

**Mary Higgins**

# **CLARK**

**DO**

# **ZOBACZENIA**

przełożył  
Arkadiusz Nakoniecznik

Tytuł oryginału:  
ILL BE SEEING YOU

Copyright © by Mary Higgins Clark 1993

Copyright © by Prószyński i S-ka 1995  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki:  
Jerzy Matuszewski

Fotografia na okładce:  
Marek Janicki

Opracowanie merytoryczne:  
Jan Koźbiel

Opracowanie graficzne i techniczne:  
Barbara Wójcik

Korekta:  
Jadwiga Przeczek

Skład i łamanie:  
Waldemar Maciąg

ISBN 83-85661-89-1

„Seria z diamentem”  
Wydanie I

Wydawca:  
PRÓSZYŃSKI I S-KA, 02-569 Warszawa, ul. Różana 34

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne s-ka z o.o.  
ul. Okrzei 5, 64-920 Piła

*Nie honor, lecz hańbę za swój obrał znak,  
Łgarstwo zaś uczynił cnotą swą.*

*Alfred, lord Tennyson*

## Podziękowania

Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką. O przyjęcie szczególnie serdecznych podziękowań proszeni są:

Dr B. W. Webster, dr Robert Shaler, Finian I. Lennotf, Leigh Ann Winick, Gina i Bob Scrobogna, Jay S. Watnick, George Taylor, James F. Finn, sierż. Ken Lowman.

Wielkie dzięki dla mojego długoletniego wydawcy Michaela V. Kordy oraz jego bliskiego współpracownika Chucka Adamsa, za życzliwe i nadzwyczaj istotne wskazówki. *Sine qua non*.

Tak jak zawsze, wszechstronną pomocą służyły mi moja agentka, Eugene H. Winick, oraz Lisi Gade.

Dziękuję Judith Glassman, a także mojej córce Cori Higgins Clark za ich pomysły oraz pomoc w poskładaniu fragmentów łamigłówek. Dziękuję wszystkim przyjaciołom i całej rodzinie. Teraz, kiedy jest już po wszystkim, z radością mówię wam: Do zobaczenia!

# 1

Meghan Collins odeszła kilka kroków od licznej grupy dziennikarzy zgromadzonych przed wejściem do izby przyjęć Szpitala im. Roosevelta. Zaledwie kilka minut temu karetka przywiozła byłego senatora, który został napadnięty w Central Parku; reporterzy natychmiast zjawili się tłumnie, by uzyskać informacje o stanie zdrowia poszkodowanego.

Meghan postawiła na podłodze ciężką torbę - bezprzewodowy mikrofon, telefon komórkowy i notesy ważyły tyle, że pasek boleśnie wrzynał się jej w ramię - po czym oparła się o ścianę i przymknęła oczy, żeby choć trochę odpocząć. Wszyscy dziennikarze byli zmęczeni. Od wczesnego popołudnia czekali w sądzie na werdykt w sprawie dotyczącej poważnych malwersacji finansowych, a o dziewiątej wieczorem, kiedy zbierali się do wyjścia, nadeszła ta informacja o napadzie. Teraz dochodziła już jedenasta. Rześki październikowy dzień ustąpił miejsca pochmurnej nocy, stanowiącej niemiłą zapowiedź wczesnej zimy.

Personel szpitala miał pełne ręce roboty. Młodzi rodzice z zakrwawionym dzieckiem na rękach zostali natychmiast zaprowadzeni do ambulatorium, natomiast potłuczeni, rozdygotani jeszcze uczestnicy wypadku drogowego pocieszali się nawzajem, oczekując na udzielenie pomocy lekarskiej. Dobiegające od czasu do czasu z zewnątrz zawozenie karetek wtapiało się w zgiełk nowojorskich ulic.

Ktoś dotknął ramienia Meghan.

- Co słyhać, pani mecenas?

To był Jack Murphy z Kanału 5. Je go żona kończyła razem z Meghan studia prawnicze na Uniwersytecie Nowojorskim, tyle że w dal-

szym ciągu pracowała w zawodzie, podczas gdy Meghan Collins po sześciu miesiącach spędzonych w jednej z kancelarii adwokackich przy Park Avenue zatrudniła się jako reporterka w stacji radiowej WPCD. Nie żałowała tej decyzji, tym bardziej, że od miesiąca współpracowała z telewizyjnym Kanałem 3, także wchodzącym w skład WPCD.

- Wszystko w porządku - odparła Meghan. W tej samej chwili rozległ się sygnał telefonu.

- Wpadnij do nas kiedyś na kolację - powiedział Jack. - Dawno nie mieliśmy okazji pogadać.

Wrócił do kamerzysty ze swojej ekipy, a Meghan sięgnęła do torby po aparat. Dzwonił Ken Simon z dyżurki WPCD.

- Meg, lada chwila będzie u was karetka z ofiarą napadu na rogu Pięćdziesiątej Szóstej i Dziesiątej. Kobieta, pchnięcie nożem. Zobacz, co z nią.

Na przybierający na sile jęk sygnału nałożył się tupot pospiesznych kroków - to zespół reanimacyjny pędził w kierunku drzwi prowadzących na podjazd. Meg wrzuciła aparat do torby i podążyła za ludźmi w białych strojach.

Ambulans zahamował z piskiem opon, doświadczone ręce sprawnie przeniosły ofiarę na wózek. Do jej twarzy natychmiast przyciśnięto maskę tlenową. Prześcieradło okrywające szczupłe ciało było prześiknięte krwią. Na tle potarganych kasztanowatych włosów rzucała się w oczy błękitnawa błądźliwość skóry na szyi.

Meg podbiegła do drzwi ambulansu po stronie kierowcy.

- Są jacyś świadkowie?

- Ani jednego - odparł kierowca. Miał zmęczoną, pooraną zmarszczkami twarz. - Leżała w zaułku między starymi domami w pobliżu Dziesiątej Alei. Wygląda na to, że ktoś podszedł od tyłu, wepchnął ją tam i wsadził nóż między żebra. Pewnie nie zdążyła nawet krzyknąć.

- W jakim jest stanie?

- Paskudnym.

- Miała przy sobie dokumenty?

- Żadnych. Została okradziona. To pewnie sprawka jakiegoś ćpuna, który potrzebował szmalu na działkę.

Sanitariusze ruszyli z wózkiem do budynku, więc Meghan podziękowała kierowcy i pobiegła za nimi.

- Zaraz będzie komunikat o stanie zdrowia senatora! - zawołał do niej jeden z dziennikarzy. \*

Reporterzy stłoczyli się przy recepcji, tylko Meghan została przy wózku. Gdyby ktoś ją zapytał dlaczego, nie potrafiłaby wyjaśnić. Przyglądała się, jak lekarz, który właśnie miał podłączyć kroplówkę, odsuwa maskę tlenową i unosi powiekę ofiary.

- Za późno — powiedział.

Meghan przez chwilę wpatrywała się w niewidzące, błękitne oczy młodej kobiety, a potem ogarnęła spojrzeniem całą twarz: szerokie czoło, łukowato wygięte brwi, wystające kości policzkowe, prosty nos, pełne wargi.

Na chwilę przestała oddychać, bo odniosła wrażenie, jakby patrzyła w lustro.

## 2

Meghan wsiadła do taksówki i kazała się wieźć do swego mieszkania w Batory Parku na samym końcu ulicy. Była to kosztowna podróż, ale dziewczynie mocno dawała do myślenia. Wzruszyła się, jakiego doznała widoku z tej komety. Właściwie wręcz przeciwnie. Ohałasowała cztery do pięciu godzin przed wyjściem, wesołonie dzinsową kurtkę i także sportową torbę. Zabójstwa bankowych - na opalonych i wyraźnie odznaczały się miejsca po zegarku i pierścionka. Kieszenie były puste, me no też przy kobiecie torebki. Meghan włączyła światło w pokoju, a potem zszedła z oknami, pałała w stronę Statuą wo Uwiebiła śródmieście Newportu, jego wąskimi ulicami, steze Usłyszy majestatycznym world trade Center i me ustającym aniżeli kuchni. Meghan była tymczasowo w domu od matki; zamierzała zmienić mieszkanie na stałe, stopniowo skompletować wyposażenie z poprzedniego. W ciągu trzech lat, jako tu pracując dla WPCD, me lała wprowadzić tych zmian w życie. Rzuciła płaszcz na krzesło i poszła do łazienki, żeby przebrać się w piżamę i szlafrok. W łazience było przyjemnie ciepło, lecz

ciałem wstrząsały dreszcze. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że od powrotu nie spojrzała w lustro; kosztowało ją sporo wysiłku, by odwrócić się do toaletki i stanąć twarzą w twarz ze swoim odbiciem.

Stwierdziła, że jest blada jak papier i ma szeroko otwarte, przerażone oczy. Drżącymi rękami wyjęła spinkę z włosów pozwalając, by opadły luźno na ramiona.

Wpatrywała się badawczo w lustro, usiłując znaleźć różnice między sobą a tamtą martwą kobietą. Ofiara miała pełniejszą twarz, oczy raczej okrągłe, a nie owalne, brodę zaś nieco mniejszą, ale odcień skóry, a także barwa włosów oraz szeroko otwartych oczu były takie same.

Meghan wiedziała, gdzie teraz znajduje się tamta kobieta: w szpitalnej kostnicy, gdzie robiono jej zdjęcia, pobierano odciski palców i opisywano stan uzębienia. Potem patolog przystąpi do sekcji zwłok.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że drży jak w febrze. Pobiegła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła karton z mlekiem. Gorące kakao.

Wkrótce siedziała z kolanami pod brodą na kanapie, trzymając w ręku kubek z parującą zawartością. Zadzwoił telefon; przypuszczała, że to matka, więc postarała się, żeby jej „Halo?” zabrzmiało możliwie naturalnie.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?
- Nie, dopiero weszłam do domu. Go słyszała, mam?
- Wydaje mi się, że wszystko w porządku. Dzisiaj znowu dzwoniłi z firmy ubezpieczeniowej. Przyjadą jeszcze raz, jutro po południu. Mam nadzieję, że nie będą już mnie wypytywać o te pożyczki, które ojciec wziął pod zastaw swojej polisy. Chyba nie mogą uwierzyć, że naprawdę nie mam pojęcia, co zrobił z pieniędzmi. Pod koniec stycznia ojciec Meghan jechał z lotniska w Newark do domu w Connecticut. Przez cały dzień padał śnieg z deszczem. O wpół ośmej Edwin Collins zadzwonił z samochodu do swego współpracownika, Victora Orsiniego, żeby uzgodnić godzinę spotkania, które miało się odbyć następnego dnia przed południem. Kończąc rozmowę powiedział, że właśnie zbliża się do mostu Tappan Zee. W kilka sekund później przejeżdżająca przez most cysterna wpadła. Posiłek uderzyła w mijającą ją ciężarówkę. Nastąpiła potężna eks-

plozja, w której zasięgu znalazło się siedem czy osiem samochodów osobowych. Ciężarówka przełamała barierę i runęła w lodowate wody rzeki Hudson, zaraz po niej to samo uczyniła cysterna, pociągając za sobą jeszcze kilka płonących pojazdów.

Świadek wypadku, który doznał jedynie obrażeń, gdyż zdołał w ostatniej chwili usunąć się cysternie z drogi, zeznał, że jadący przed nim ciemnoniebieski cadillac skręcił nagle, usiłując uniknąć zderzenia i zniknął za krawędzią pozbawionego w tym miejscu bariery ochronnej mostu. Edwin Collins podróżował właśnie ciemnoniebieskim cadillakiem. Była to największa tragedia w historii mostu. Ośmioro ludzi straciło życie, Sześćdziesięcioletni ojciec Meghan nie dotarł tego wieczoru do domu; uznano, że zginął w wypadku. Służba drogowa nadal szukała ciała, wraku, ale w ciągu prawie dziewięciu miesięcy, jakie upłynęły od katastrofy, niczego nie znaleziono.

Tydzień po wypadku została odprawiona msza żałobna, ale z powodu braku świadectwa zgonu banki zamroziły wspólne konta Edwina i Catherine Collins, firmy ubezpieczeniowe zaś odmówiły wypłacenia pieniędzy z polisy na życie.

Mama i tak przeżywa ciężkie dni, a ci ludzie zadręczają ją prawie bez przerwy, pomyślała Meg.

Porozmawiam z nimi - powiedziała. - Jeśli się okaże, że próbują grać na zwłokę, będziemy musiały oddać sprawę do sądu.

Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że nie powinna dodatkowo denerwować matki opowieścią o zabitej w ciemnym zaułku kobiecie tak do niej podobnej, że mogłaby być jej rodzoną siostrą. Zamiast tego zdała relację z rozprawy, której przysłuchiwała się po południu.

Meghan długo leżała w łóżku, balansując na granicy między płytką drzemką a jawą, ale kiedy sen wreszcie nadszedł, był głęboki i po-krzepiający.

Obudziło ją elektroniczne piśnięcie i odgłos pracującego faksu. Spójrzała na zegarek: piętnaście po czwartej. Co to może być, do licha?

Włączyła światło i wsparłszy się na łokciu zobaczyła, że z urządzenia powoli wysuwa się papierowa wstęga. Wskoczywszy z łóżka, przebiegła przez pokój i odczytała wiadomość.

Składała się z czterech wyrazów: „Pomyłka. Annie to pomyłka”

Tom Weicker, pięćdziesięciodwuletni kierownik działu wiadomości Kanału 3, coraz częściej „wypożyczał” Meg od siostrzanej stacji radiowej. Od pewnego czasu szukał nowego człowieka do nadającego na żywo zespołu, wypróbując kolejnych reporterów; teraz podjął ostateczną decyzję: Meghan Collins. Ma znakomitą prezencję, jest w pełni dyspozycyjna, a w dodatku potrafi w interesujący sposób przekazać najzwyczajniejszą informację. Jej prawnicze wykształcenie okazało się niezwykle pomocne podczas relacjonowania wydarzeń sądowych, a naturalne ciepło i życzliwy stosunek do ludzi pozwalały łatwo nawiązywać wszelkie kontakty.

W piątek rano Weicker wezwał Meghan do swego gabinetu. Kiedy zastukała w futrynę otwartych na oścież drzwi, gestem zaprosił ją do środka. Miała na sobie dopasowany żakiet w bładoniebieską i rdzawobrazową kratę oraz spódnicę z tego samego materiału, sięgającą do cholewek wysokich butów z miękkiej skóry. Ma klasę, pomyślał Weicker. W sam raz do tej roboty.

Meghan przyglądała się Weickerowi, usiłując rozszyfrować wyraz jego twarzy. Szef działu wiadomości był szczupłym mężczyzną o ostrych rysach, ponieważ jednak miał dość mocno przeredzone włosy i nosił okulary, wydawał się starszy niż był w istocie i przypominał raczej kasjera bankowego niż człowieka tkwiącego po uszy w świecie. Wciąż jednak zniknęło natychmiast, kiedy zaczynała się już przekonać, że

Wrażenie to jednak zniknęło natychmiast, kiedy zaczynała się już przekonać, że

Pożyczył ją po raz pierwszy, powiedział wprost,

że bardzo jej współczuje z powodu tragicznej śmierci ojca, ale musi mieć pewność, że sprawa ta w najmniejszy sposób nie wpłynie na jej pracę.

Nie wpłynęła, a teraz Meghan usłyszała, jak Weicker proponuje jej posadę, na której jej tak bardzo zależało.

Na chwilę zapomniała o tym, co się zdarzyło. Ale się tata ucieszył! - to była pierwsza myśl, jaka przemknęła jej przez głowę.

\*\*\*

-Trzydzieści pięter niżej, w podziemnym garażu, parkingowy Bernie Heffernan siedział w samochodzie Toma Weickera i przetrząsał zawartość skrytki po stronie pasażera. Ironia losu sprawiła, że Bernie został obdarzony dobroną, niewinną twarzą o pełnych policzkach, niewielkich ustach i podbródku oraz dużych oczach o szarym spojrzeniu. Miał też gęste, wiecznie zmierzwiłone włosy i silne, choć nieco już zaokrąglone ciało. Liczył sobie trzydzieści pięć lat i wyglądał na człowieka, który nawet ubrany w najlepszą koszulę i garnitur nie zawaha się pomóc jakiemuś pechowcowi przy zmienianiu koła.

Mieszkał z matką w obskurnym domu w Jackson Heights w Queens, gdzie się urodził. Opuszczał swoją dzielnicę na dłużej tylko wtedy, kiedy pozbawiano go wolności; wspomnienia o tych ponurych, koszmarnych miesiącach wciąż budziły w nim przerażenie. Po raz pierwszy trafił do poprawczaka następnego dnia po swoich dwunastych urodzinach, a jako dwudziestolatek miał już za sobą trzy lata w szpitalu psychiatrycznym. Cztery lata temu skazano go na dziesięć miesięcy więzienia po tym, jak policja znalazła go zaczajonego w samochodzie pewnej studentki. Wcześniej ostrzegano go wielokrotnie, żeby trzymał się od niej z daleka. To zabawne, ale Bernie już nawet nie pamiętał jej twarzy. Ani jej, ani żadnej z tak ważnych kiedyś dla niego kobiet Bernie za nic nie chciałby wrócić za kratki. Bał się innych więźniów; kiedyś nawet go pobili. Dał mamie słowo, że już nigdy nie będzie krył się w krzakach i zaglądał w okna, nie będzie wchodził się za kąpielnie ani usiłował ich pocałować. Ostatnio łatwiej przychodziło mu zapanować nad emocjami. Nienawidził psychiatry, powtarzając bez przerwy mamie, że pewnego dnia Bernie przez swój paskudli

charakter wpakuje się w tarapaty, z których nikt ani nic nie zdoła go wyciągnąć. Bernie wiedział, że nie ma już żadnych powodów do obaw.

Ojciec rozplątał się w sienie mgły, kiedy Bernie był jeszcze chłopcem. Zgorzkniała matka starała się odgrodzić siebie i syna od świata zewnętrznego; musiał bez przerwy wysłuchiwać narzekań na niesprawiedliwość losu, jakich doznała w swym trwającym już siedemdziesiąt trzy lata życiu, oraz bezustannego wypominania, jak wiele ma jej do zawdzięczenia.

Bernie większość zarobionych pieniędzy przeznaczal na sprzęt elektroniczny, dzięki czemu dysponował radiem działającym na częstotliwościach zarezerwowanych dla policji, innym, też wysokiej klasy, które mogło odbierać programy z całego niemal świata; miał również urządzenie modulujące głos.

Wieczorami posłusznie oglądał z matką telewizję, ale po dziesiątej, kiedy starszka kładła się spać, schodził do piwnicy, włączał radio i obdzwaniał stacje nadające programy z telefonicznym udziałem słuchaczy. Przedstawiał się zmyślnymi nazwiskami i udawał najróżniejsze postaci. Najczęściej starał się prezentować poglądy przeciwne do tych, za jakimi opowiadał się prowadzący audycję, gdyż w swoim telefonicznym wcieleniu uwielbiał zażarte dyskusje, ostre spięcia i zwyczajne pyskówki.

W tajemnicy przed matką kupił ogromny, 40-calowy telewizor i magnetowid i często do późnej nocy oglądał filmy pornograficzne.

Podsluchując policyjne rozmowy wpadł na świetny pomysł: przeglądał książkę telefoniczną i zaznaczał czerwonym flamastrem numery, obok których widniały kobiece nazwiska, a później, w środku nocy, dzwonił pod któryś z tych numerów i mówił na przykład, że onuje z aparatu komórkowego, że jest przed drzwiami domu i że za chwilę wedrze się do środka - może tylko po to, by złożyć wizytę, e może też po to, żeby zabić. Odłożywszy słuchawkę dusił się ze śmiechu, słuchając rozkazów kierujących pod ten adres wóz policyjny, w k \*wlece J • Była to zabawa prawie równie dobra jak zaglądanie w na "3 a Sledzenie ko \*briet, miała zaś tę zaletę, że nie groziło mu, iż dio wo ni6J spoc \*Ziewane J chwili zaleje go snop światła z reflektorów raz u i ktoś krzyknie ostrym głosem: „Stój, bo strzelam!”



Samochód Toma Weickera stanowił dla Berniego prawdziwie skarbnicę informacji. Dziennikarz miał w schowku elektronicznego notepad z nazwiskami i adresami niemal wszystkich pracowników stacji. Bernie nie posiadał się z radości, przepisując dane do własnego notepadu. Któregoś nocy zadzwonił do żony Weickera; wpadła w histerię, kiedy powiedział jej, że właśnie zaczyna otwierać tylne drzwi domu.

Wspomnienie jej przeraźliwego krzyku zapewniło jej godzinę wyśmienitej zabawy.

Niepokoilo go tylko to, że po raz pierwszy od wyjścia z więzienia na Rikers Island zaczęło mu się wydawać, że nie jest w stanie przestać myśleć o jednej, konkretnej osobie. Osobą tą była reporterka pracująca dla Kanału 3, tak piękna, że zawsze, kiedy otwierał drzwi jej samochodu, ogarniała go przemożna ochota, by jej dotknąć.

Nazywała się Meghan Collins.

## 4

Meghan jakoś udało się ze spokojem przyjąć propozycję Weickera. Wśród pracowników stacji krążył żart, że gdyby ktoś okazał w takiej sytuacji nadmierny entuzjazm i rozplątał się w podziękowaniach, „Stalowy Weicker” natychmiast zacząłby się zastanawiać, czy aby dokonał trafnego wyboru. Zależało mu na pracujących twardo naprzód, ambitnych ludziach, uważających wszelkie objawy uznania, jakie ich spotykało, za spóźnione.

Pokazała szefowi otrzymaną faksem wiadomość. Przeczytawszy, uniósł brwi.

- Co to ma znaczyć? O jaką pomyłkę chodzi? I kto to jest Annie?

- Nie mam pojęcia. Wczoraj wieczorem, kiedy byłam w Szpitalu Roosevelta, przywieziono dziewczynę zakłutą nożem na ulicy. Może wiesz, czy została już zidentyfikowana?

- Jeszcze nie. A dlaczego pytasz?

- Wydaje mi się, że powinieneś o czymś wiedzieć... - odparła z ociąganiem Meghan. - Otóż... Ona wygląda tak samo jak ja.

- Chcesz powiedzieć, że jest do ciebie podobna?

- Mogłaby być moją bliźniaczą siostrą.

Tom zmrużył oczy.

czy sugerujesz, że ten faks ma jakiś związek z jej śmiercią?

o przypuszczalnie tylko zbieg okoliczności, ale wydawało mi

le, że powinieneś o tym wiedzieć.

adzi... Pozwól mi, że to zatrzymam? Dowiem się, kto pro-

Me... w sprawie... zapytam - co on o tym myśli,

wia... U... Przystąpiła do wykonywania swoich nowych obowiązków.

Dzień był raczej spokojny: tylko konferencja prasowa burmistrza - podał do wiadomości nazwisko nowego szefa policji - oraz podejrzany pożar, który zniszczył rezydencję w Washington Heights. Późnym popołudniem Meghan zadzwoniła do szpitala. Biuro Osób Zaginionych rozpowszechniło podobiznę i szczegółowy rysopis zamordowanej, odciski palców wysłano do Waszyngtonu w celu porównania z tymi, jakie znajdowały się w kartotekach policyjnych. Bezpośrednią przyczyną śmierci był cios nożem w klatkę piersiową, który spowodował powolny, ale obfity krwotok wewnętrzny. Kobieta kilka lat temu miała złamane obie ręce i nogi. Jeżeli w ciągu trzydziestu dni nikt nie zgłosi się po ciało, zostanie pochowane na cmentarzu komunalnym w oznaczonym jedynie numerem grobie. Jeszcze jedna Jane Doe.\*

O szóstej Meghan zaczęła zbierać się do wyjścia. Weekend, jak każdy od zniknięcia ojca, zamierzała spędzić z matką w Connecticut. W niedzielę po południu miała być w położonej zaledwie o czterdzieści minut jazdy od ich domu w Newtown Klinice Manninga, specjalizującej się w dokonywaniu sztucznych zapłodnień. Odbywał się tam coroczny zjazd dzieci, które przyszły na świat dzięki metodzie *in vitro*. Przy windzie dogonił ją redaktor dyżurny.

- Meg, w niedzielę pracujesz ze Steve'em, Powiedziałem mu, żeby o trzeciej był na miejscu z kamerą.

- W porządku.

Przez cały tydzień Meghan korzystała ze służbowego samochodu, ale tego ranka przyjechała własnym. Winda zatrzymała się ze zwykłym szarpnięciem w podziemnym garażu. Meg uśmiechnęła się na widok Berniego, który dostrzegł ją z daleka i natychmiast ruszył truchtem na niższy poziom. Po chwili przyprowadził jej białego mustanga

- Są jakieś wiadomości o tacie? — zapytał z troską w głosie.

- Niestety, nie. Ale dziękuję za współczucie.

Pochylił się tak, że ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

- Moja matka i ja modlimy się za panią.

Miły człowiek, pomyślała Meghan, skręcając na rampę wyjazdową.

i dokurr t= 2\*!..5ml Doe = nazwiska, jakimi w krajach anglosaskich określa się w sądac" men ac oficjalnych osoby o nie ustalonej tożsamości (przyp. tłum.).

## 5

Włosy Catherine Collins zawsze wyglądały tak, jakby przed chwilą zmierzwiła je ręką. Były krótkie, gęste i kręcone, a ostatnio zostały ufarbowane na popielatoszary kolor, podkreślający filigranową urodę twarzy w kształcie serca. Patrząc na matkę Meghan myślała czasem, że to chyba dobrze, iż odziedziczyła po ojcu znacznie bardziej zdecydowanie zarysowaną szczękę. Catherine Collins w wieku pięćdziesięciu trzech lat przypominała zszarzałą laleczkę, a wrażenie to potęgował jej niewielki wzrost. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt i często mówiła o sobie: „domowy krasnal”. Dziadek Meghan, Patrick Kelly, przybył z Irlandii do Stanów mając dziewiętnaście lat, „w jednej koszuli na grzbiecie i ze zmianą bielizny pod pachą”, jak głosiła rodzinna opowieść. Pracując za dnia jako pomywacz w kuchni jednego z hoteli przy Piątej Alei, nocami zaś jako sprzątac w domu pogrzebowym, bardzo szybko doszedł do wniosku, że cnoć ludzie potrafią się obejść bez wielu rzeczy, to na pewno nie są one aż tak niezbędne. Ponieważ znacznie przyjemniej jest patrzeć na ludzi zajętych jedzeniem niż na leżących nieruchomo w trumnach i przysypanych goździkami, Patrick Kelly poświęcił całą energię działalności w biznesie żywieniowym, nie t...  
Później zbudował w Newtown w stanie Connecticut...  
marzeń i dla upamiętnienia wsi, w której przyjeżdżali...  
zajeździe znajdowało się...  
znakomita restauracja, do której zjeżdżali...  
nawet o pięćdziesiąt mil. Patrick...  
- przylegający do zajazdu piękny wiejski dom, zamiesz-

kał w nim, wziął sobie żonę i spłodził Catherine. Prowadził interes osobiście aż do chwili, kiedy umarł w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat,

Jego córka, a potem także wnuczka, dosłownie wychowywały się w zajeździe. Catherine prowadziła go obecnie z zamiłowaniem do doskonałości, jakie wpoił jej ojciec, a zaangażowanie w pracę nieco złaodziło szok, jaki spowodowała niespodziewana śmierć męża.

Chociaż od tragedii na moście minęło już prawie dziewięć miesięcy, nadal podświadomie oczekiwała, że któregoś dnia drzwi otworzą się z hukiem, stanie w nich Ed i zawoła radośnie: „Gdzie są moi dziewczyny?” Czasem łapała się na tym, że wyteża słuch, jakby spodziewała się lada chwila usłyszeć głos męża.

Teraz, jakby mało było powodów do żalu i rozpacz, pojawiły się poważne problemy finansowe. Przed dwoma laty Catherine zamknęła zajazd na pół roku, oddała go w zastaw hipoteczny, a za uzyskany kredyt przeprowadziła zakrojone na wielką skalę prace modernizacyjne i remontowe.

Chyba nie mogła wybrać mniej odpowiedniej chwili. Ponowni otwarcie „Drumdoe” zbiegło się w czasie z początkiem recesji; dochody były tak niskie, że nie wystarczały nawet na spłaty rat kredytu a przecież były jeszcze podatki... Obecnie na jej osobistym koncie zostało zaledwie kilka tysięcy dolarów.

Przez kilka pierwszych tygodni po wypadku Catherine przygotowywała się psychicznie na to, że pewnego dnia ktoś zadzwoni do niej z informacją o odnalezieniu zwłok męża. Teraz modliła się, żeby nastąpiło to jak najszybciej; wówczas skończyłaby się ta okropna niepewność.

Towarzyszyło jej uczucie niekompletności. Dopiero teraz pojął, jak wielkim błędnie pozostają ludzie nie doceniający psychologii i znaczenia obrzędów pogrzebowych. Chciała mieć możliwość odwiedzenia grobu męża. Pat, jej ojciec, często używał określenia „przejzwoity chrześcijański pogrzeb”; kiedy natrafiał w gazecie na nekrologoś znajomego, obie z Meg uprzedzały go, wykrzykując głos: „Dobry Boże, mam nadzieję, że urządzili mu przyzwoity chrześcijański pogrzeb!”

Od pewnego czasu przestały żartować na ten temat.

\*\*\*#

W piątek po południu Catherine była jeszcze w domu, przygotowując się do wyjścia do zajazdu; zamierzała spędzić w nim, jak niemal zawsze, porę kolacji. Ładne mi „Dzięki Bogu, już piątek!”, pomyślała. Dobrze, że przynajmniej Meg przyjedzie.

Lada chwila powinni zjawić się ludzie z firmy ubezpieczeniowej. Żeby wypłacili mi przynajmniej część odszkodowania, zanim nurkowie znajdą choćby najmniejszy kawałek samochodu! — pomyślała. Ja naprawdę potrzebuję tych pieniędzy. Chcą się wymigać od podwójnej kompensaty, a ja byłabym skłonna nawet się na to zgodzić, przynajmniej do czasu, kiedy wreszcie uzyskają te dowody, o których bez przerwy mówią.

Jednak dwaj smutni urzędnicy, którzy wkrótce potem zasiedli w fotelach, nie przywieźli pieniędzy.

- Pani Collins, mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę, w jak niezręcznej znaleźliśmy się sytuacji - powiedział starszy z nich. - Ogromnie pani współczujemy i wiemy, na czym polegają pani kłopoty, ale problem polega na tym, że nie możemy wypłacić odszkodowania z polisy ubezpieczeniowej pani męża, dopóki nie otrzymamy świadectwa zgonu, a tego na razie nikt nie wyda.

- Chce pan powiedzieć, że świadectwo zostanie wystawione dopiero wtedy, kiedy władze uzyskają niepodważalny dowód śmierci męża? A jeśli rzeka zaniósła jego ciało do Atlantyku?

Mężczyźni spojrzeli niepewnie na siebie, po czym zabrał głos młodszy:

- Pani Collins, Nowojorski Zarząd Dróg Publicznych, właściciel i zarządczyni mostu Tappan Zee, uczynił wszystko co w ludzkiej mocy, aby wydobyć z rzeki wraki oraz ciała ofiar. Istotnie, w wyniku eksploracji wykryto i wydobyto wiele ciał, które uległy zniszczeniu, ale tak ciężkie części jak skrzydła samolotu nie mogły przecież zniknąć bez śladu. Oprócz tego, jak wiadomo, katastrofie wzięło udział jeszcze sześć pojazdów - samochody, w tym także wóz pani męża. Odnaleziono również wiele samochodów osobowych oraz ciała jadących nimi na dnie rzeki poniżej miejsca wypadku, ani na żadnym

z jej brzegów nie znaleziono najmniejszej śrubki czy choćby kawałka blachy z ciemnoniebieskiego cadillaca.

- Chce pan przez to powiedzieć...

Catherine stwierdziła, że dalsze słowa nie mogą precyzować się jej gardło.

- Chcę powiedzieć, że raport na temat wypadku, który niebawem zostanie ogłoszony przez Zarząd, kategorycznie stwierdza, iż Edwin Collins nie zginął tamtej nocy na moście Tappan Zee. Eksperti są zdania, że jeśli nawet przebywał wówczas w pobliżu miejsca tragedii, to pewno nie stał się jedną z jej ofiar. Naszym zdaniem skorzystał z okazji, jaka nadarzyła się w wyniku ogromnego zamieszania, by upozorować swoją śmierć i zniknąć, tak jak to sobie z góry zaplanował. Najwiodoczniej doszedł do wniosku, że dzięki jego polisie ubezpieczeniowej pani córka będzie miała zapewnione utrzymanie, a sam postanowił rozpocząć nowe życie.

## 6

Mac - tak wszyscy nazywali doktora Jeremy'ego MacIntyre'a - mieszkał z siedmioletnim synkiem Kyle'em tuż za zakretem ulicy, przy której stał dom Collinsów. Kiedy jeszcze studiował na Uniwersytecie Yale, dorabiał podczas wakacji pracując jako kelner w „Zajeździe Drumdoe”. Zaowocowało to ogromnym przywiązaniem do okolicy oraz mocnym postanowieniem, że kiedyś wróci, by tu zamieszkać.

Jeszcze jako chłopiec Mac zauważył, że dziewczyny w ogóle nie zwracają na niego uwagi. Przeciętny wzrost, przeciętna waga, przeciętny wygląd... Trudno o dokładniejszy opis.

Jednak prawda przedstawiała się tak, że Mac po prostu nie doceniał swoich walorów. Po pewnym czasie kobiety zaczynały przejawiać zainteresowanie tajemniczym wyrazem jego orzechowych oczu, zmierzwionymi chłopięco włosami, spokojną powagą, z jaką prowadził je za rękę na parkiet lub obejmował podczas spaceru w mroźny zimowy wieczór.

st & C od PoCztku wiedzi al, że zostanie lekarzem. Rozpocząwszy w ale, szybko doszedł do wniosku, że przyszłość medycyny es związana z genetyką. Teraz liczył sobie trzydzieści sześć lat i pracował w LifeC^A " lu dzies' Zm^ Se netyki.

PracaTIT ^^ TM Południowy wschód od Newtown. sc: ia życia r omu od P wiadała i szybko stała się nieodłączną cze- kiem. Ozln r Z iedZl0ncSo onCar któremu s^d Przyznał opiekę nad dziec- eni się w wieku dwudziestu siedmiu lat. Małżeństwo prze-

trwało półtora roku, wydając na świat Kyle'a. Pewnego dnia po powrocie z pracy Mac zastał w domu opiekunkę do dziecka oraz krótki liścik: „Mac, to nie dla mnie. Jestem beznadziejną matką i żoną. Oboje wiemy, że nic z tego nie będzie. Muszę poważnie zająć się swoją karierą. Zajmij się Kyle'em. Zegnaj, Ginger”.

Od tego czasu Ginger układała się całkiem nieźle. Występowała w kabaretach w Las Vegas i na statkach wycieczkowych, nagrała kilka płyt, z których najnowsza dostała się nawet na listy najlepiej sprzedawanych krążków. Na urodziny i Boże Narodzenie przysyłała Kyle'owi kosztowne zabawki, prawie zawsze albo zanadto skomplikowane, albo zbyt proste. Od chwili, kiedy zdecydowała się odejść, widziała synka zaledwie trzy razy.

Chociaż Mac przyjął jej decyzję niemal z czymś w rodzaju ulgi, to w głębi duszy czuł żal i rozgoryczenie. Nigdy nie przypuszczał, że w życiu spotka go coś takiego jak rozwód i w gruncie rzeczy wciąż jeszcze nie oswoił się do końca z tą myślą. Zdawał sobie sprawę, że synowi brakuje matki, więc tym bardziej starał się być dobrym, troskliwym ojcem.

W piątkowe wieczory Mac i Kyle często szli na kolację do „Zajazdu Drumdoe”, by w cichym, półprywatnym zakątku sali zjeść przyrządzaną specjalnie dla nich pizzę, rybę i chipsy.

O tej porze w zajeździe zawsze można było zastać Catherine, a z biegiem lat coraz częściej pojawiała się tam także Meg. Kiedyś, kiedy ona miała dziesięć lat, a Mac dziewiętnaście i roznosił potrawy, powiedziała mu ze smutkiem w głosie, że jednak najbardziej lubi jadać w domu.

„Czasem urządzamy sobie kolację z tatusiem», jeżeli akurat nigdzie nie wyjechał” — oznajmiła.

Od chwili zniknięcia ojca Meg spędzała w < bmu wszystkie weekendy i towarzyszyła matce także w zajeździe. Jednak tego wieczoru nie pojawiła się żadna z nich.

Mac dał głośno wyraz swemu rozczarowaniu i ku jego zdziwieniu Kyle, który zawsze z utęsknieniem oczekiwał spotkania z Meg, zbył sprawę wzruszeniem ramion i jednym zdaniem:

- Nie ma jej, no i fajno.

Fajno” było nowym słowem-kluczem. Kyle używał go do wyrażania najrozmaitszych uczuć i tym razem też Mac nie był pewien, co jego syn miał na myśli. Pomału, pomyślał. Jeśli chłopaka coś gryzie, prędzej czy później sprawa wyjdzie na jaw, a przecież z pewnością nie może to mieć nic wspólnego z Meghan.

\*\*\*

Kyle w milczeniu dokończył pizzę. Prawda przedstawiała się tak: był po prostu wściekły na Meghan. Do tej pory zawsze sprawiała wrażenie jakby interesowała się nim i tym, co robi, ale w środę po południu, kiedy bawił się przed domem ucząc Jake'a stawiania na tylnych łapach, Meghan przejechała ulicą nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, mimo że zawołał, żeby się zatrzymała. Na pewno go widziała, bo patrzyła prosto na niego. Zamiast jednak zatrzymać samochód i wysiąść, dodała gazu i odjechała. No i fajno.

Postanowił, że nie powie o tym tacie. Tata na pewno zaczęłby tłumaczyć, że Meghan martwi się o swojego ojca, pana Collinsa, który nie wrócił do domu i nie wiadomo, czy nie zginął w tym okropnym wypadku na moście. Powiedziałyby też, że czasem, kiedy ktoś jest głęboko pogrążony w myślach, może minąć na ulicy kogoś znajomego w ogóle go nie dostrzegając. Ale Meg widziała Kyle'a, a mimo to nawet nie raczyła mu pomachać.

No i fajno, pomyślał. No i fajno.

# 7

**K**iedy po przeszło godzinnej podróży Meghan dotarła wreszcie do domu, zastała matkę siedzącą nieruchomo w fotelu w po-grążonym w ciemności salonie.

- Wszystko w porządku, mamó? - zapytała z niepokojem. - Już prawie wpół do ósmej. Nie idziesz do zajazdu?

Włączyła światło i ujrzała mokrą od łez twarz matki. Padła przed nią na kolana i chwyciła ją mocno za ręce. — Mój Boże, znaleźli go, prawda?

- Nie, Meggie - odparła Catherine Collins, po czym łamiącym się głosem zrelacjonowała córce rozmowę z pracownikami firmy ubezpieczeniowej.

To niemożliwe, pomyślała Meghan. Tata nigdy nie zrobiłby mamie czegoś takiego. Nie jej. To jakaś okropna pomyłka.

- To najgłupsza historia, jaką słyszałam w życiu! - stwierdziła stanowczo.

- Tak właśnie im powiedziałam. Ale, Meg... Gzy domyślasz się dlaczego ojciec wziął tak duży kredyt pod zastaw swojej polisy? Wciąż się nad tym zastanawiam ale bez skutku. Nawet jeśli zainwestował te pieniądze, to nie mam pojęcia, gdzie. Bez świadectwa zgonu mam związane ręce. Tymczasem zaczyna brakować mi pieniędzy. Co prawda Phillip przesyła nam co miesiąc należną ojcu część zysków firmy, ale wolałbym nie nadużywać jego dobrej woli. Wiem, że z natury jestem dość konserwatywna, lecz remontując zajazd na pewno taka nie byłam. Przesadziłam, Meg, i teraz kto wie, czy nie będę musiała sprzedać „Drumdoe”.

Ich zajazd. Był piątkowy wieczór. Matka powinna tam być, w swoim żywiole, witać gości, nadzorować pracę kelnerów i kucharzy, kontrolować jakość potraw.

- Tata na pewno tego nie zrobił - powiedziała cicho Meg. - Jestem tego pewna.

Z piersi Catherine wyrwało się rozpaczliwe łkanie.

- Może wykorzystał wypadek na moście, żeby ode mnie uciec? Ale dlaczego, Meg? Przecież tak bardzo go kochałam!

Meghan objęła ją mocno.

- Posłuchaj mnie: twoje pierwsze przeczucie na pewno było słuszne. Tata nigdy by tak nie postąpił, a my to udowodnimy.



# 8

**B**iuro Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera miało siedzibę w Danbury w stanie Connecticut. Edwin Collins założył firmę mając dwadzieścia osiem lat, wcześniej przepracowawszy pięć dla „Fortune 500” z Nowego Jorku. Właśnie tyle czasu zajęło mu dojście do wniosku, że nie nadaje się do pracy w wielkiej korporacji. Mniej więcej dwanaście lat przed swoim zniknięciem wszedł w spółkę z Phillipem Carterem.

Carter, prawnik z wykształcenia, był kiedyś klientem Edwina i dzięki niemu znalazł kilka interesujących posad. Ostatnią z nich otrzymał w międzynarodowej firmie z siedzibą w Maryland.

Collins za każdym razem, kiedy zjawiał się tam w sprawach służbowych, spotykał się z Carterem na lunchu i czasem szli razem na drinka. W ciągu kilku lat zawiązała się między nimi nić przyjaźni, a na początku lat osiemdziesiątych, po rozpadzie trwającego przez wiele lat małżeństwa, Phillip Carter zrezygnował z posady, by stać się wspólnikiem Collinsa.

Pod wieloma względami stanowili swoje przeciwieństwa. Collins - wysoki, przystojny, o klasycznych rysach twarzy - przywiązywał wielką wagę do stroju i miał poczucie humoru zaprawione odrobiną zgrzyźliwości, natomiast Carter był rubaszny i otwarty, miał przyjemnie nieregularną fizjonomię i strzechę siwiejących włosów, ubierał się zaś w rzeczy, owszem, drogie, które nigdy jednak nie pasowały do siebie; jego krawat rzadko bywał starannie zawiązany. Był znakomity kompanem do kieliszka; umiał opowiadać zabawne historie i chętnie oglądał się za atrakcyjnymi kobietami.

Założenie spółki okazało się dobrym pomysłem. Przez dość długi czas Phillip Carter mieszkał na Manhattanie i codziennie dojeżdżał do Danbury - to znaczy wtedy, kiedy akurat nie podróżował w interesach po kraju. Jego nazwisko często pojawiało się w rubrykach towarzyskich nowojorskich gazet, jako że chętnie uczęszczał na przyjęcia i wernisaże, za każdym razem w towarzystwie innej damy. W końcu kupił niewielki dom w Brookfield, zaledwie dziesięć minut jazdy od biura, i spędzał w nim coraz więcej czasu. Obecnie mający pięćdziesiąt trzy lata Phillip Carter należał do osobistości znanych w rejonie Danbury.

Niemal codziennie zostawał w biurze, kiedy wszyscy pracownicy poszli już do domów; znaczna część firm, które były ich klientami, miała siedziby na środkowym zachodzie, niektóre nawet na zachodnim wybrzeżu, więc wczesny wieczór na wschodnim wybrzeżu był najlepszą porą, żeby do nich dzwonić. Od tragedii na moście prawie się nie zdarzało, żeby Phillip wyszedł z pracy przed ósmą.

Kiedy Meghan zadzwoniła w piątek za pięć ósma, właśnie wkładał płaszcz.

- Obawiałem się, że może dojść do czegoś takiego - powiedział, wysłuchawszy relacji o wizycie urzędników z firmy ubezpieczeniowej.  
- Możesz wpaść do mnie jutro koło południa?

Odłożywszy słuchawkę dość długo siedział bez ruchu za biurkiem; potem wykręcił domowy numer swojego księgowego.

- Myślę, że powinniśmy natychmiast sprawdzić dokumenty finansowe firmy - powiedział spokojnie.

# 9

Kiedy w sobotę o drugiej po południu Meghan weszła do Biura Doradztwa Kadrowego, zobaczyła trzech mężczyzn, siedzących z kalkulatorami przy długim stole, na którym zazwyczaj leżały czasopisma i stały doniczki. Nie musiała czekać na wyjaśnienia Phillipa Cartera, aby domyślić się, że to rewidenci. Phillip zaproponował jej, żeby przeszli do gabinetu ojca.

Miała za sobą bezsenność, podczas której w jej głowie ścierały się najróżniejsze pytania, domysły i wątpliwości. Phillip zamknął drzwi, po czym wskazał jej jeden z dwóch foteli ustawionych przed biurkiem; sam usiadł w drugim. Meghan doceniła jego delikatność; z pewnością zabolaloby ją serce, gdyby zobaczyła go zajmującego miejsce ojca. Wiedziała, że Carter będzie szczery.

- Czy sądzisz, że to możliwe, żeby mój ojciec skorzystał z okazji, by zniknąć? - zapytała wprost.

Milczenie Phillipa stanowiło wystarczającą odpowiedź.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Meg, żyję już wystarczająco długo, aby wiedzieć, że wszystko jest możliwe. Ludzie z Zarządu Dróg i firmy ubezpieczeniowej kręcili się tu przez dłuższy czas, zadając bardzo niedelikatne pytania. Parę razy niewiele brakowało, żebym wyrzucił ich za drzwi. Tak jak wszyscy spodziewałem się, że z rzeki zostanie wydobyty wrak samochodu Eda albo przynajmniej jakieś części. Całkiem możliwe, że prąd uniósł większość szczątków, możliwe, że sporo z nich zniknęło w mule na dnie rzeki, ale coś powinno jednak zostać. Dlatego muszę ci odpowiedzieć, że owszem, taka możliwość wydaje mi się dość prawdopodobna

ale jednocześnie nie wierzę, żeby twój ojciec był zdolny do takiego wyczynu.

Mniej więcej to właśnie spodziewała się usłyszeć, ale wcale nie zrobiło się jej lżej na sercu. Dawno temu, kiedy jeszcze była bardzo mała spróbowała wyciągnąć widelcem grzanekę z włączonego opiekacza. Teraz poczuła się tak samo jak wtedy.

- Pewnie sprawę pogarsza jeszcze fakt, że kilka tygodni przed zniknięciem tata zaciągnął duży kredyt pod zastaw swojej polisy?

- Właśnie. Musisz wiedzieć, że zdecydowałem się na rewizję ksiąg przede wszystkim ze względu na twoją matkę. Kiedy wiadomość o tym się roznieśli - a jestem pewien, że nie trzeba będzie na to długo czekać - wówczas wszyscy się dowiedzą, że finanse firmy są w porządku. Może w ten sposób uda się ukryć tę plotkę.

Meghan opuściła wzrok. Miała na sobie dzinsy i dzinsową kurtkę. Nagle przyszło jej do głowy, że jest ubrana tak samo jak kobieta, która umarła po przywiezieniu do Szpitala Roosevelta.

- Czy ojciec grał? - zapytała. - To wyjaśnialoby, na co potrzebował tyle pieniędzy.

Carter pokręcił głową.

- Twój ojciec nie był hazardzistą. Możesz mi wierzyć, bo widziałem ich wielu. - Skrzywił się. - Meg, ja także chciałbym znać odpowiedzi na te wszystkie pytania, ale ich nie znam. Obserwując zawodowe i prywatne życie Eda nigdy bym nie pomyślał, że wpadnie na pomysł, by zniknąć. Z drugiej jednak strony brak jakichkolwiek namacalnych dowodów, że uczestniczył w tym wypadku musi budzić poważne wątpliwości.

Meghan przeniosła spojrzenie na biurko i stojący za nim głęboki obrótowy. Wyobraziła sobie ojca siedzącego w nim z błyszczącymi oczami i złożonymi rękami, w pozie, którą matka nazwała „święty Ed mężczyzna”.

oskonale pamiętała, jak będąc dzieckiem wbiegała do tego gabinetu - ojciec zawsze miał dla niej jakiś cukierek albo baton czekoladowy. Kiedy matka starała się uchronić ją przed słodyczami.

Psuła tego swinstwa" - powtarzała ciągle. „Będą jej się



„Słodkie do słodkiego, Catherine”.

Zawsze ukochana córeczka tatusia. On dostarczał radości i rozrywek, podczas gdy matka zmuszała ją do gry na pianinie i siania łożka. To właśnie matka zaprotestowała, kiedy Meghan postanowiła odejść z kancelarii adwokackiej.

„Na litość boską, Meg! Wytrzymaj jeszcze chociaż pół roku, nie niszczyć wszystkiego, co z takim trudem osiągnęłaś!”

Ojciec zrozumiał.

„Zostaw ją w spokoju, kochanie” - powiedział stanowczo. „Nasza córka ma głowę na karku i potrafi zatroszczyć się o swoje sprawy”.

Kiedyś, kiedy jeszcze była mała, zapytała ojca, dlaczego tak dużo podróżuje.

„Och, Meg...” - westchnął. „Byłbym zachwycony, gdybym nie musiał tego robić, ale widocznie urodziłem się wędrownym bardem”.

Ponieważ wyjeżdżał często, po każdym powrocie starał się wynagrodzić jej swoją nieobecność. Proponował na przykład, że zamiast iść na obiad do zajazdu sam przygotowuje w domu coś tylko dla nich dwojga.

„Meghan Anne, postanowiłem umówić się z tobą na randkę”.

ko z drewna czereśniowego, które wyszukał w sklepie Armii Zbawienia i własnoręcznie doprowadził do świetności. Stolik ze zdjęciami żony i córki. Półki zastawione oprawionymi w skórę książkami.

Od dziewięciu miesięcy opłakiwała go jako umarłego, ale teraz ogarnął ją jeszcze większy żal. Jeżeli ludzie z firmy ubezpieczeniowej mieli rację, to ojciec stał się dla niej kimś obcym. Spojrzała Carterowi prosto w oczy.

- Oni się mylą - powiedziała. - Wiem, że mój ojciec nie żyje i że prędzej czy później zostaną odnalezione resztki jego samochodu. Rozejrzała się dokoła. - Mimo to wydaje mi się, że nie mamy prawa zajmować tego pokoju. Wpadnę tu w przyszłym tygodniu, żeby zabrać jego rzeczy.

- Możemy się tym zająć, Meg.

- Proszę, nie. Przy okazji zrobię w nich porządek, a wolałabym

bić tego w domu, przy mamie. Biedaczka i tak nie jest w najlepszej formie.

Phillip Carter skinął głową.

- Masz rację, Meg. Ja też martwię się o Catherine.

Właśnie dlatego nie odważyłam się pisać ani słowa o tym, co zdarzyło się wczoraj wieczorem.

Opowiedziała mu o ofierze napadu oraz o tajemniczym faksie otrzymanym w środku nocy. Na twarzy Phillipa pojawił się wyraz głębokiej troski.

- Meg, to naprawdę podejrzana sprawa. Mam nadzieję, że twój szef skontaktował się już z policją. Nie możemy dopuścić, żeby cokolwiek ci się stało.

\*\*\*

Kiedy Victor Orsini włożył klucz do zamka w drzwiach biura firmy „Collins i Carter”, przekonał się ze zdziwieniem, że są one otwarte. W sobotnie popołudnia zazwyczaj nie przychodził tu nikt oprócz niego. Właśnie wrócił z Colorado, gdzie odbył kilka spotkań i teraz zamierzał zapoznać się z nagromadzoną korespondencją.

Orsini miał trzydzieści jeden lat, nie znikającą opaleniznę, muskularne ramiona, szerokie bary, wysportowane ciało i w ogóle wygląd człowieka spędzającego większość czasu na łonie natury. Jego włoskim pochodzeniu świadczyły kruczoczarne włosy i ostre rysy twarzy, natomiast błękitne oczy otrzymał w spadku po angielskiej babce.

Pracował u Collinsa i Cartera od siedmiu lat. Nie spodziewał się, że zostanie tu aż tak długo; szczerze mówiąc, traktował tę posadę jedynie jako etap przejściowy na drodze ku jakiejś znacznie potężniejszej firmie.

a wld ofc rewidentów uniósł brwi. Siłąc się na obojętny ton, księgowy poinformował go, że Phillip Carter i Meghan Collins są w gabinecie Collinsa, po czym zawahał się i już znacznie mniej pewnym głosem przedstawił teorię, według której Collins wykorzystał

Posobność, by zniknąć i zacząć nowe życie. o szalenstwo - odparł krótko Victor, po czym zapukał do drzwi. Kniętych

Otóż Carter.

-/yictor. Dotrze, że jesteś. Nie spodziewałem się ciebie już dzisiaj.

Mejian odwróciła się, żeby powiedzieć „dzień dobry”. Orsini natychmiast zauważył, że dziewczyna z trudem powstrzymuje się od płaczu. Chciał ją jakoś pocieszyć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Sa był wielokrotnie przesłuchiwany przez detektywów prowadzących śledztwo w sprawie wypadku na moście.

„Ti, Edwin powiedział, że właśnie wjeżdża na most” - powtórzył. Jak, jestem pewien, że użył słowa „wjeżdżam”, a nie „zjeżdżam”. Czy panowie uważają, że mam kłopoty ze słuchem? Tak, chciał spotkać się ze mną następnego dnia rano. Nie, nie widzę nic niezwykłego! fakcie, że do mnie zadzwonił. Edwin bardzo często korzystał z telefonu zainstalowanego w samochodzie”.

Vi\*r zadał sobie pytanie, kiedy też policja zorientuje się wreszcie, że tyłhon jeden twierdzi, jakoby tej fatalnej nocy Edwin Collins znalazł sifia moście Tappan Zee. Wnioski wypływające z tej myśli były takiewesołe, że nawet nie musiał się specjalnie trudzić, żeby ścisnąć jąciagięniętą rękę Meghan mieć odpowiednio poważną minę.

fi

# 10

W niedzielę o trzeciej po południu Meg spotkała się na parkingu Kliniki Manninga ze Steve'em Boyle'em, kamerzystą Kanału 3.

Budynek kliniki stał na wzgórzu, oddalonym około dwóch mil od drogi numer 7 w wiejskiej części hrabstwa Kent, zaledwie czterdzieści minut jazdy na północ od domu Meghan. Wzniesiony został w 1890 roku jako rezydencja pewnego biznesmena, którego żona zdołała jakoś odwieść od zamiaru postawienia ogromnego pseudopałacu, mającego stanowić widomy dowód jego błyskawicznej kariery. Co prawda z najwyższym trudem, ale jednak przekonała go, że na tle pięknego krajobrazu znacznie lepiej będzie się prezentował dom w stylu angielskiego dworku.

- Gotów na spotkanie z dziećmi? - zapytała Meghan.

- Akurat jest transmisja z meczu Gigantów, a my musimy zajmować się krasnalami! - odparł Steve z pretensją w głosie.

Przestronny hol pełnił funkcję recepcji połączonej z poczekalnią. Wzrosty, ciemnych dębówą boazerią ścianach wisały zdjęcia dzieci zawdzięających swoje istnienie osiągnięciom współczesnej wiedzy. Skupione w małych grupkach meble stwarzały nastrój przytulności i warunków prowadzenia dyskretnych rozmów połączonych z czymś w rodzaju wykładów.

ow od wdzięcznych rodziców. „Bardzo pragnęliśmy mieć dziecko, e życie traciło sens, aż pewnego dnia przyjechaliśmy do Kliniki, o acw I'aly broszurki z przedrukowanymi fragmentami li

Nasze:

ninga.. „Chodziłam na przyjęcia wydawane przez przyjaciółki



z okazji narodzin kolejnych dzieci i starałam się nie płakać. Jedna z nich powiedziała mi o zapłodnieniu *in vitro*, a piętnaście miesięcy później przyszedł na świat Jamie..." „Wkrótce miałam skończyć czterdzieści lat i zdawałam sobie sprawę, że będzie za późno na dziecko. Na szczęście dowiedziałam się o..."

Co roku w trzecią niedzielę października do Kliniki Manninga zapraszano dzieci, które zostały poczęte dzięki metodzie zapłodnienia pozaustrojowego; zapraszano je naturalnie z rodzicami. Meghan dowiedziała się, że rozesłano ponad trzysta zaproszeń, a przyjazd potwierdziło dwustu małych gości.

W jednym z mniejszych pomieszczeń przylegających do głównego holu Meghan przeprowadziła wywiad z doktorem George'em Manningiem - siwowłosym, siedemdziesięcioletnim dyrektorem kliniki - który na użytek widzów wyjaśnił w skrócie, na czym polega zapłodnienie *in vitro*.

- Mówiąc najprościej jak tylko można, jest to metoda, dzięki której kobieta mająca kłopoty z zajściem w ciążę może jednak urodzić upragnione dziecko. Leczenie rozpoczynamy po dokładnym zbadaniu jej cyklu miesięczkowego. Środki, które podajemy, zmuszają jajniki do wytwarzania większej ilości komórek jajowych, które następnie pobieramy od kobiety.

Jajeczka są zapładniane nasieniem jej partnera. Następnego dnia embriolog sprawdza, czy próba zakończyła się powodzeniem. Jeśli tak, lekarz umieszcza zapłodnioną komórkę jajową, która od tej pory jest zwana embrionem, w macicy kobiety. Na życzenie przyszłej matki pozostałe embriony - o ile istnieją - mogą zostać zamrożone i ewentualnie później wykorzystane.

Po piętnastu dniach pobieramy krew w celu przeprowadzenia próby ciąży. - Stary lekarz wskazał obszerny hol. - Jak można się domyślać z liczby zgromadzonych tam osób, wiele z tych prób daje wynik pozytywny.

- Rzeczywiście - przyznała Meghan. - Czy może pan powiedzieć, jaki procent zabiegów kończy się sukcesem?

- Wciąż jeszcze nie tak duży, jak byśmy chcieli, ale z miesiąca miesiąc coraz większy - odparł poważnie.

Dziękuję za wywiad, panie doktorze.

Potem Meghan ruszyła w towarzystwie Steve'a na wędrowkę po holu; rozmawiała z wieloma kobietami, niektóre prosiła, by podzieliły się z widzami swymi przeżyciami.

- Zapłodnili czternaście moich komórek jajowych, wszczepili mi trzy - wyjaśniała jedna z matek. - Jedna się przyjęła, i to właśnie ona. - Z uśmiechem wskazała najstarszego syna. - Chris ma już siedem lat. Pozostałe embriony zostały zamrożone. Wróciłam tu pięć lat temu i potem urodził się Todd. W zeszłym roku spróbowałam po raz trzeci, no i Jill ma już trzy miesiące. Część embrionów obumarła, ale zostały jeszcze dwa na wypadek, gdybym zdecydowała się na kolejne dziecko.

- Może już wystarczy, Meghan? - zapytał Steve. - Chciałbym zdążyć przynajmniej na końcówkę meczu.

- Jeszcze tylko porozmawiam z kimś z personelu. Cały czas obserwuję tamtą kobietę. Sprawia wrażenie, jakby znała każdego z imienia.

Meg podeszła do interesującej ją kobiety i spojrzała na identyfikator.

- Czy mogę zamienić z panią kilka słów, pani doktor? - zapytała.

- Oczywiście - odparła doktor Petrovic starannie modulowanym głosem, w którym można było dosłyszeć ślad obcego akcentu. Średniego wzrostu, o orzechowych oczach i subtelnym rysach twarzy, sprawiała wrażenie osoby raczej uprzejmej niż serdecznej. Mimo to otaczała ją wianuszek dzieci.

- Od jak dawna pracuje pani w klinice?

- W marcu minie siedem lat. Jestem embriologiem i kieruję laboratorium.

- Co pani czuje patrząc na te dzieci?

- Z nich stanowi żywy dowód, że cuda jednak się zdarzają.

- Uziękt"

ujeparu.

edy ode

szli kilka kroków od lekarki, Meg zwróciła się do Steve'a

vea

żebyś zm??-112 doSyC materiału z wnętrza budynku, ale

Wszyscy wzd W UJ?Cle ca W SruPY na zewnątrz. Zdaje się, że zaraz chciałabym,

Wspólne zdjęcie jak co roku miało zostać wykonane na trawniku przed głównym wejściem do budynku. Jak zawsze przy takich okazjach nie obyło się bez zamieszania; dzieci ustawiano od najmłodszego do najstarszego, z tyłu zajęły miejsce matki z niemowlętami na rękach, po bokach zaś stanęli pracownicy kliniki. Jesienny dzień był ciepły i pogodny, w powietrzu unosiły się nitki babiego lata, a kiedy Steve skierował kamerę na zebranych, Meghan uświadomiła sobie nagle, że wszystkie dzieci sprawiają wrażenie niezmiernie szczęśliwych. Go w tym dziwnego? - zadała sobie natychmiast pytanie. Przecież każde z nich jest wyśnzione i upragnione.

Trzyletni może chłopczyk wyrwał się z pierwszego rzędu i podbiegł do kobiety w ciąży, stojącej w pobliżu Meghan. Błękitnooki i złotowłosy, z nieśmiałym, uroczym uśmiechem na twarzy, objął matkę za nogi i przywarł do jej kolan.

- Sfilmuj go - poprosiła Meghan Steve'a. - Jest cudowny.

Steve skierował kamerę na chłopca, namawianego łagodnie przez matkę, aby dołączył do pozostałych dzieci.

- Na pewno stąd nie odejdę, Jonathanie - przekonywała go. - Cały czas będziesz mnie widział. Obiecuję ci, że nie odejdę.

Odprowadziła dziecko do grupy, po czym wróciła na poprzednie miejsce.

Meghan podeszła do niej.

- Zechce pani odpowiedzieć na kilka pytań? - zagadnęła, wysuwając do przodu mikrofon.

- Bardzo chętnie.

- Mogłaby się pani przedstawić i powiedzieć, ile lat ma pani dziecko?

- Nazywam się Dina Anderson, a mój synek, Jonathan, ma prawie trzy latka.

- Czy dziecko, którego pani oczekuje, także zostało poczęte dzięki zapłodnieniu *in vitro*?

- Owszem, a w dodatku będzie bliźniaczym bratem Jonathana.

- Bliźniaczym bratem? — powtórzyła zdumiona Meghan.

- Wiem, że to wydaje się niemożliwe, ale tak właśnie jest - odparła radosnym tonem Dina Anderson. — Zapłodnione jajeczko czasem dzieli się w laboratorium tak samo jak w organizmie kobiety. Kiedy

medziano nam, że tak właśnie stało się z jednym z naszych jajek - postanowiliśmy z mężem, że urodzę każde z bliźniąt oddzielnie. Udało nam się, że każde z osobna będzie miało większe szanse na przeżycie, a poza tym pewną rolę odegrały też względy praktyczne, gdyż zależało mi na jak najszybszym powrocie do pracy.

Fotograf wreszcie uporał się z robieniem zdjęć.

- W porządku, dzieciaki, już po wszystkim!

Dzieci rozbiegły się we wszystkie strony, a Jonathan ponownie podbiegł do matki. Dina Anderson schyliła się i chwyciła go w objęcia.

- Nie wyobrażam sobie życia bez niego - powiedziała. - I ogromnie się cieszę, że już za dziesięć dni będziemy mieli Ryana.

To niesłychana historia, pomyślała Meghan.

- Pani Anderson, czy zgodziłaby się pani, żebym zaproponowała mojemu szefowi zrobienie reportażu o pani bliźniakach?

# 11

**W**drodze powrotnej do Newtown Meghan zadzwoniła z samochodu do matki. Zaniepokoiła się, kiedy usłyszała automatyczną sekretarkę, więc od razu połączyła się z zajazdem<sup>11</sup> gdzie powiedziano jej, że pani Collins jest w sali jadalnej.

"Proszę jej przekazać, że niedługo tam będę.

\*■\*ez następny kwadrans samochód Meghan jechał jakby kierowany przez automatycznego pilota. Dziewczyna była niezmiernie podniecona perspektywą przygotowania pierwszego samodzielnego reportu dla Weickera. Z pewnością może liczyć na pomoc Maca, który przez<sup>ec</sup>\*ez jest specjalistą od genetyki. Udzieli jej fachowych porad, dostamy lektur, dzięki którym dowie się więcej o problemach związanych z z<sup>o</sup>^tadnieniem pozaustrojowym. Kiedy ruch zwiększył się na tyle, że nie <sup>o</sup>zna już było nawet marzyć o szybkiej jeździe, ponownie sięgną<sup>o</sup>\* po telefon i wystukała numer Maca.

zabrał Kyle. Meghan uniosła ze zdziwieniem brwi, słysząc zmianę<sup>o</sup>Ui jego głosu, kiedy dowiedział się, kto mówi. Chłopiec nie odpo<sup>o</sup>dział na pozdrowienie, tylko od razu przekazał słuchawkę ojcu. Co g<sup>o</sup> ugryzło?

/Jak się masz, Meghan. Co mogę dla ciebie zrobić?

jk zawsze, kiedy słyszała głos Maca, poczuła bolesne ukłucie w okolic<sup>o</sup> serca. Mając dziesięć lat nazywała go swoim najlepszym przyjaci<sup>o</sup>em, interesowała się nim jako dwunastoletnia smarkuła, a jako szesnastolatka zakochała się po uszy. Trzy lata później ożenił się z Gin<sup>o</sup>ger. <sup>o</sup>te<sup>o</sup>g była na ślubie i do dziś wspominała to jako jeden z największ<sup>o</sup>ych "koszmarów w życiu. Mac zupełnie oszalał na punkcie tej kobit<sup>o</sup>

Meghan podejrzewała, że nawet teraz, siedem lat po rozwodzie, dyby Ginger weszła do domu i powiedziała, że postanowiła wrócić, n<sup>o</sup> przyjąłby ją z otwartymi ramionami.

Nigdy nie przyznała nawet sama przed sobą, że nie przestała go kochać, choć starała się ze wszystkich sił.

- Potrzebna mi twoja fachowa pomoc - powiedziała. Zjechała na luzniejszy pas i dodała gazu, jednocześnie opowiadając Macowi o wizyte w klinice i pomysle reportażu, jaki przyszedł jej do głowy. - Potrzebuję tych informacji jak najprędzej, żeby mogła już jutro porozmawiać z szefem - zakończyła.

- Nie ma problemu. Kyle i ja właśnie wybieramy się do zajazdu, więc wszystko ci przywiozę. Zjesz z nami kolację?

- Dobry pomysł. W takim razie do zobaczenia.

Dochodziła siódma, kiedy Meghan dotarła do granicy miasta. Temperatura szybko spadała, a łagodne do tej pory podmuchy wiatru zdecydowanie przybierały na sile. W świetle reflektorów drzewa rzucały długie cienie, które przywiodły jej na myśl ciemne fale rzeki Hudson.

Lepiej skoncentruj się na tym, w jaki sposób namówić Weickera na zrobienie reportażu o Klinice Manninga! — skarciła się w myślach.

\*\*\*

Phillip Carter siedział w „Drumdoe" przy trzyosobowym stoliku pod oknem. Na widok Meghan podniósł rękę i zaprosił ją gestem do siebie.

- Catherine poszła do kuchni zmyć głowę szefowi kuchni - poinformował. - Tamci ludzie - wskazał ruchem głowy gości siedzących przy sąsiednim stoliku - zamówili befsztyki, a twoja matka uznała, że to, co dostali, przypomina raczej krążki hokejowe. Befsztyki rzeczywiście nie były krwiste, ale z pewnością nadawały się do zjedzenia.

Meghan uśmiechnęła się i usiadła.

s<sup>o</sup>y, bo wt<sup>o</sup>Λ ohyba naJ<sup>o</sup>leP<sup>o</sup> ->> g<sup>o</sup>y y kucharz zrezygnował z powo<sup>o</sup>id<sup>o</sup> i l/t y Sama musiał<sup>o</sup> by si<sup>o</sup>? zająć przygotowywaniem posił<sup>o</sup> - <sup>o</sup>ycią<sup>o</sup>n<sup>o</sup> } 6m<sup>o</sup> przestała<sup>o</sup> y myśleć o różnych przykrych sprawach. p<sup>o</sup>yszedU<sup>o</sup> a \* musnęła Palcami dłoń Cartera. - Dziękuję, że

- Mai, że jeszcze nie jadłaś. Udało mi się wymóc na Catherine, że dojadzie do mnie.

- To W, ale czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym tylko wypila chwilę tu Mac i Kyle, a ja obiecałam wcześniej, że zjem z Je. Szczerze mówiąc, nie robię tego bezinteresownie: chcę z Maca trochę informacji.

\*#\*

Podczas gdy Kyle w dalszym ciągu boczył się na Meghan. Nie była pytająca na Maca, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o co mu chodzi - mruknął. W sprawie, która w tej chwili najbardziej interesowała, zaczął od potwierdzenia jej decyzji. - Masz całkowitą rację. Wciąż jeszcze wiele prób kończy się niepowodzeniem, a sama metoda jest bardzo kosztowna.

Meghan była podobna do Macowi i jego synowi. Byli do siebie bardzo podobni. Pamiętała, jak podczas ślubu Maca ojciec mocno ścisnął ją w jej duszy. Zagarbiał.

- Zosia trochę z mamą i Phillipem - powiedziała, kiedy obaj zaczęli zbierać się do odejścia. - Cześć, kolego.

Spróbował przywitać Kyle'a, ale chłopiec odsunął się od niej.

- Hej, co się dzieje?

Ku zaskonieniu spostrzegła, że chłopiec ma oczy pełne łez.

- Myślisz, że jesteś moim przyjacielem! - wykrztusił, po czym odwrócił się i pobiegł do drzwi.

- Do czego mu chodzi - obiecał Mac i ruszył za synem.

\*•\*\*

Osiem dni później tego samego dnia w pobliskim Bridgewater Dina przyznając w objęciach Jonathana opowiadała mężowi o spotkaniu w klinice Manninga.

Meghan Collins z Kanału 3 ma zamiar przyjechać do miasta. Chce być w szpitalu, kiedy urodzi się Ryan i mówić o nim.

Jeżeli jej szef się zgodzi, co jakiś czas

będzie



zwieźdzać do nas, żeby przygotować materiał o tym, jak rozwijają się nasze dzieci.

Kochanie, czy jesteś pewna, że potrzebny nam taki rozgłos? - zapytał Donald Anderson.

- Daj spokój. Przecież to może być świetna zabawa! Poza tym zgadzam się z Meghan, że im większy rozgłos nada się tej metodzie, tym więcej będzie ludzi, którym dzięki niej urodzi się upragnione dziecko. Chyba sam przyznasz, że ten mały mężczyzna wart był zachodu i pieniędzy?

Ten mały mężczyzna właśnie próbuje włożyć głowę do twojej kawy - zauważył Anderson. Podniósł się z fotela, podszedł do żony i wziął syna na ręce. - Pora spać, kolego. Jeśli ty się zgadzasz, to ja nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń - dodał. - Chyba rzeczywiście będzie przyjemnie móc potem oglądać profesjonalnie zrobione filmy o swoich dzieciach.

Dina przyglądała się z rozculeniem, jak jej błękitnooki, jasnowłosy mąż niesie na piętro ich dziecko; podobni byli do siebie jak dwie

krople wody. Przygotowała już wszystkie zdjęcia Jonathana z okresu niemowlęstwa. Ależ to będzie radość, kiedy zaczną porównywać je z fotografiami Ryana! W klinice zostało jeszcze jedno zapłodnione jajeczko. Za dwa lata chyba z niego skorzystam i może tym razem dziecko będzie podobne do mnie? - pomyślała patrząc na oliwkową cerę, orzechowe oczy i kruczoczarne włosy odbijające się w lustrze.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - mruknęła.

\*\*\*

W zajeździe Meghan, siedząc przy kawie z matką i Phillipem, słuchając jak Carter spokojnie analizuje wszystkie aspekty zniknięcia jej ojca.

Fakt, że Edwin bez twojej wiedzy zaciągnął znaczny kredyt pod zastaw swojej polisy, daje przewagę ludziom z firmy ubezpieczeniowej. Jednak, jak ci powiedzieli, należy uznać, że z jakichś powodów zależono o mu na zgromadzeniu znacznej gotówki. Dowiedziałem się też, że dość, że nie wypłacą ci ani centa z jego ubezpieczenia na życie, to jeszcze nie mają zamiaru uwzględnić roszczeń z tytułu ubezpieczenia bodowego.



- Co oznacza, że Vance wszystko, ponieważ nie jestem w stanie udowodnić, że mój tata nie żyje - stwierdziła ze spokojem Catherine Collins. - Phillips Edwinowi należą się jeszcze jakieś pieniądze z tytułu wcześniej podpisanych kontraktów?

- Nie - odpowiedział krótko Carter.

- A jak ci idzie w tym roku polowanie na talenty?

- Nie najlepiej.

- W takim razie czego dałeś nam te 45000 dolarów, mimo że jeszcze nie odnalazł ciała Edwina?

Współwłaściciel firmy „Collins i Carter” zmarszczył brwi.

- Ponieważ irytującym to za stosowne. Chętnie zwiększyłbym tę sumę, ale po prostu nie mogę. Oddacie mi wszystko z ubezpieczenia, kiedy uzyskacie dowody śmierci Edwina.

Catherine położyła dłoń na jego ręce.

- Nie mogę na to pozwolić, Phillipie. Stary Pat przewróciłby się w grobie, gdyby się wiedział, że żyję za pożyczone pieniądze. Jeśli nie udowodnię, że tata zginął w tym wypadku, stracę zajazd, dzieło życia mojego ojca. W dodatku będę też musiała sprzedać dom. - Spojrzała na Meggan. - Dzięki Bogu, że chociaż mam ciebie, Meggie.

Po tej rozmowie Meggan postanowiła nie wracać do Nowego Jorku, lecz zostać na noc w domu.

Choć wcale tego nie ustalały, w domu żadna z nich nie wspomniała ani słowem o ciociu, który był ich mężem i ojcem. O dziesiątej w milczeniu obejmy wieczorne wiadomości, po czym zaczęły szykować się do snu. Meggan zastukała do drzwi sypialni matki, aby powiedzieć jej dobranoc. Nagle uświadomiła sobie, że przestała traktować ten pokój jako sypialnię rodziców. Otworzywszy drzwi natychmiast zauważyła, że matka przesunęła swoją poduszkę na środek łóżka.

Świadczyło to o tym, że jeśli nawet Edwin Collins żył, to nie mógł już czego szukać w domu.

## 12

Bernie Heffernan spędził niedzielny wieczór z matką, oglądając telewizję w zagraconym salonie zaniedbanego domu w Jackson Heights. Co prawda znacznie chętniej przebywał w swojej zapchanej elektroniką piwnicy, ale schodził tam dopiero po dziesiątej, kiedy matka położyła się już do łóżka. Od dziesięciu lat, to znaczy od chwili, kiedy spadła z piwnicznych schodów, nie odważyła się postawić na nich stopy.

W wiadomościach o szóstej nadano przygotowaną przez Meghan relację ze zjazdu w Klinice Manninga. Bernie wpatrywał się w ekran jak urzeczony, nie zdając sobie sprawy z tego, że na czole wystąpiły mu krople potu. Gdyby był w piwnicy, nagrałby relację na kasetę.

- Bernardzie!

Ostry głos matki wyrwał go z transu. Odruchowo wykrzywił usta w uśmiechu.

- Przepraszam, mamo.

Jej ukryte za grubymi szklami okularów oczy wydawały się nienaturalnie duże.

- Pytałam cię, czy już odnaleziono ojca tej kobiety.

Wspomnił kiedyś matce o zniknięciu ojca Meghan i do tej pory telefował. Uspokajająco poklepał rękę starej kobiety.

- \*dowiedziałem jej, że oboje modlimy się za nią.

Nadal przyglądała mu się podejrzliwie.

Bernardzie, chyba nie myślisz za dużo o tej dziewczynie?

- \*okądże znowu, mamo.

Jak tylko matka położyła się spać, Bernie zszedł do piwnicy. Czuł się zmęczony i przygnębiony. Istniał tylko jeden sposób, w jaki mógł poprawić sobie nastrój.

Natychmiast usiadł przy aparacie. Najpierw kościelna rozgłośnia z Atlanty. Posługując się modulatorem głosu wyrzaskiwał obelgi pod adresem kapłana, dopóki nie przerwano połączenia. Potem zadzwonił do jednej ze stacji na Manhattanie, która właśnie rozpoczęła nocną audycję z udziałem słuchaczy, i powiedział prowadzącej ją dziennikarce, że dowiedział się o spisku na jej życie.

O jedenastej zaczął telefonować do kobiet, których nazwiska zaznaczył wcześniej w książce telefonicznej. Każdej z nich mówił to samo: że stoi przed drzwiami jej domu i za chwilę wejdzie do środka. Słuchając ich przerażonych głosów wyobrażał sobie jak wyglądają: młode, ładne, stare, nieciekawe, szczupłe, otyłe... W myślach tworzył ich twarze, stopniowo wzbogacając je o coraz więcej szczegółów.

Tak czynił do tej pory, ale tej nocy wszystkie miały tę samą twarz - twarz Meghan Collins.

# 13

Kiedy w poniedziałek o wpół do siódmej rano Meghan zeszła do kuchni, zastała tam krzątającą się matkę. W powietrzu unosił się zapach świeżo zaparzonej kawy, na stole stały szklanki z sokiem pomarańczowym, w tosterze piekły się grzanki. Meghan otworzyła usta, aby zbesztać matkę za to, że zerwała się tak wcześnie, ale natychmiast je zamknęła; sądząc po podkrążonych oczach, Catherine Collins w ogóle nie spała tej nocy.

Tak samo jak ja, pomyślała Meghan, sięgając po dzbanek z kawą,

- Wciąż myślę o tym wszystkim, mam. - Mówiła powoli, starannie dobierając słowa. - Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego tata mógłby chcieć zniknąć. Załóżmy, że w jego życiu pojawiła się mna kobieta; naturalnie nie można tego wykluczyć, ale nawet

Skądby tak się stało, jestem pewna, że po prostu poprosiłby cię o roz-  
Ma się rozumieć, byłabyś wstrząśnięta, a ja wściekłabym się na go, ale przecież obie jesteśmy realistkami i tata doskonale zdawał so-

ego sprawę. Podejrzenia firmy ubezpieczeniowej opierają się na aktach: że do tej pory nie znaleziono ani jego ciała, ani samo-  
Zna krótko przed zniknięciem wziął duży kredyt pod za-

„Q Pieniężny na życie. Nie wolno jednak zapominać, że to była je-  
Pieniężny liczyć się z możliwością, że chciał zainwestować  
żam. W Pół, który nie spotkałby się z twoją aprobatą. Uwa-

z tym. Jest możliwe - odparła spokojnie Catherine. Łącznie  
ze teraz iiii J  
Jeszcze naprawdę nie wiem, co robić.

- Ale ja wiem. Wystąpimy do sądu o wypłacenie odszkodowań, w tym także podwójnego odszkodowania za śmierć w wyniku nie-szczęśliwego wypadku. Przecież nie będziemy siedzieć z założonymi rękami i słuchać, jak ci ludzie wmawiają nam, że tata wystawił cię do wiatru.

\*\*\*

O siódmej rano Mac i Kyle siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Poprzedniego wieczoru chłopiec kategorycznie odmówił wyjaśnienia przyczyn nagłego ochłodzenia uczuć do Meghan, ale teraz zmienił zdanie.

-Dużo myślałem-powiedział.

Mac uśmiechnął się.

- To ci się chwali.

- Serio. Pamiętasz, jak wczoraj Meg opowiadała o tej rozprawie, na której była w śróde?

-Owszem.

- Z tego wynika, że nie mogła przejeżdżać tędy w śróde po południu.

■ "" - Zgadza się.

- A więc to nie ja widziałem koło naszego domu.

Mac spojrział synowi w oczy.

- Jestem tego pewien.

- To musiał być ktoś bardzo podobny do niej. - Kyle uśmiechnął się z ulgą, prezentując puste miejsca po dwóch zębach i spojrzął na Jake'a, który ułożył się wygodnie pod stołem. - Kiedy przyjedzie tu za tydzień, Jake będzie potrafił fajowo prosić o jedzenie!

Na dźwięk swego imienia Jake wyskoczył spod stołu jak dzgnij szpilką i stanął na tylnych łapach.

- Wydaje mi się, że on już teraz jest w tym mistrzem - zauważy kwaśno Mac.

###

Meghan wjechała do garażu pod budynkiem stacji od strony dziesiątej Szóstej Ulicy. Bernie otworzył jej drzwi zanim wyra silnik.

Dzień dobry, panno Collins. - Jego promienny uśmiech i przyjazny głos sprawiły, że Meghan także się uśmiechnęła. - Mama i ja widzieliśmy panią w tej klinice... To znaczy, oglądaliśmy pani relację w wiadomościach. To chyba bardzo przyjemnie być wśród tylu dzieci?

Wyciągnął rękę, by pomóc jej przy wysiadaniu.

- Rzeczywiście - przyznała. - Tym bardziej, że wszystkie są takie miłe.

- Moja mama uważa, że sposób, w jaki one się rodzą, jest trochę dziwny. Wie pani, co mam na myśli. Mnie tam nie za bardzo podoba ją się te wszystkie naukowe sztuczki.

Osiągnięcia, nie sztuczki, poprawiła go w myśli Meghan, głośno zaś powiedziała:

- Wiem, co masz na myśli. Chwilami wydaje mi się jakby to było coś z *Nowego wspaniałego świata*.

Bernie patrzył na nią pustym wzrokiem.

- Do zobaczenia.

Z torebką wetkniętą pod pachę ruszyła do windy.

Bernie odprowadził ją spojrzeniem, po czym wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i zjechał na niższy poziom garażu. Celowo wybrał pogrążone w półmroku miejsce w najdalszym kącie. Przerwę na lunch parkingowi zazwyczaj spędzali w którymś z samochodów, jedząc kanapki i czytając gazety. Nikt nie miał nic przeciwko temu, naturalnie pod warunkiem, że nie pobrudzi się tapicerki keczupem. Od chwili, kiedy jakiś kretyn wypalił dziurę w skórzanym podłokietniku mercederowo zakazane było jedynie palenie, nawet w tych wozach, gdzie Pe y dosłownie wysypywały się z popielniczek. Nikogo nie obchodziło, jakiego rodzaju przedmioty wchodziły do samochodu podczas przerwy. Bernie najbardziej lubił wchodzić do białego mustangu Meghan, gdyż czuł tam zapach jej perfum.

\*\*\*

ne 50 przebiec ^ w jedne 2 przegródek obszernego, podzielone 20 przebiegła \*lam\*pomieszczenia na trzydziestym piętrze. Pospiesz- Plef \*S\*a r0ZDrar m grafik za J?e, o J jedenastej miała pojechać na P'awę Pewnego znanego brokera.

Zadzwoił telefon.

- Meg, możesz zaraz do mnie przyjść? — zapytał Tom Weicker.

W jego gabinecie siedziało dwóch mężczyzn. Meghan знаła jednego z nich - Jamala Nadera, czarnoskórego detektywa o nienaganych manierach, z którym często spotykała się w sądzie. Przywitali się serdecznie, a Weicker przedstawił jej drugiego mężczyznę:

- Porucznik Story. Zajmuje się morderstwem, którego ofiarę widziałam w Szpitalu Roosevelta. Pokazałem mu faks, który dostałaś w nocy.

Nader pokręcił głową.

- Ta dziewczyna naprawdę jest do ciebie niesłychanie podobna,

Meg — powiedział.

- Zidentyfikowaliście ją?

- Nie, ale... - Nader zawahał się. - Wygląda na to, że ona cię zna.

Meghan wytrzeszczyła oczy.

- Znała mnie? Skąd wiecie?

- We czwartek wieczorem w kostnicy przetrząsnęto jej rzeczy, ale niczego nie znaleziono i przekazano prokuratorowi okręgowemu jako dowody. Jeden z naszych chłopców na wszelki wypadek przejrzał je jeszcze raz. W kieszeni kurtki było coś w rodzaju zaszewki, a za nią tkwił kawałek papieru z firmowym nadrukiem „Zajazdu Drumdoe”, twoim imieniem oraz służbowym numerem telefonu.

- Z moim imieniem?!

Porucznik Story wyjął z kieszeni foliową torebkę z niewielkim skrawkiem papieru w środku.

- Proszę bardzo: pani imię i numer telefonu do rozgłośni.

Meghan zacisnęła palce na krawędzi biurka, wpatrując się w słone pewną ręką litery i lekko pochylone cyfry. Poczula, że zupewnie zaschło jej w ustach.

- Panno Collins, czy rozpoznaje pani charakter pisma? - zapytał Story.

- Tak.

- W takim razie, kto to napisał?

Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na trzymaną przez porucznika kartkę.

- Mój ojciec... - szepnęła.

# 14

Phillip Carter przyjechał tego dnia do biura o ósmej rano. Jak zwykle - pierwszy. Personel firmy składał się zaledwie z trzech osób: Jackie - pięćdziesięcioletniej sekretarki, matki dwóch nastoletnich chłopców, Milly - dość zaawansowanej wiekiem księgowej i Victora Orsiniego.

Carter miał na swoim biurku własny komputer zawierający dane, do których nie miał dostępu nikt oprócz niego. Przyjaciele często żartowali sobie z jego upodobania do aukcji w prowincjonalnych miasteczkach, ale byliby zdumieni, gdyby się dowiedzieli, ile wiejskich terenów udało mu się nabyć za naprawdę psie pieniądze. Niestety, prawie wszystkie przeszły na własność byłej żony; za to, co kupował po rozwodzie, płacił już astronomicznie wysokie ceny.

wkładając kluczyk do komputera pomyślał, że kiedy Jackie i Milly dowiedzą się o wątpliwościach związanych ze zniknięciem Edwina Horsa, z pewnością nie zabraknie im tematów do popołudniowych rozmów. W pewnym sensie uważał się za człowieka strzegącego ze wszystkich sił swojej prywatności, coś aż skręcało się w nim na myśl o tym, że jego życie stanie się obiektem domysłów dwóch pań, spożywających w domu ogromne ilości sałatek z kiełków lucerny.

W końcu pokoiła go sprawa gabinetu Eda. Wpierw wydawało mu się, że kiedy Ed zostanie oficjalnie uznany za zmarłego, ale teraz już wiadomo, że Ed został zabity. W pewnym sensie Ed został zabity, ale teraz wiadomo, że Ed został zabity. W pewnym sensie Ed został zabity, ale teraz wiadomo, że Ed został zabity.

W pewnym sensie Ed został zabity, ale teraz wiadomo, że Ed został zabity. W pewnym sensie Ed został zabity, ale teraz wiadomo, że Ed został zabity.

Carter zmarszczył brwi. Victor Orsini. Nie lubił tego człowieka. Orsini zawsze trzymał się bliżej Eda, ale spisywał się wręcz znakomicie, a jego doświadczenie w dziedzinie technologii stosowanych w medycynie było trudne do przecenienia. Teraz, kiedy zabrakło Edwina Orsini, będzie musiał sam zająć się tym obszarem działania firmy.

Wiedział, że jak tylko Meghan zabierze rzeczy ojca, będzie musiał oddać jego gabinet Victorowi, który urzędował w zagraconym pokoju. Tak, na razie potrzebuje tego człowieka, bez względu na uczucia, jakie do niego żywi.

Jakiś wewnętrzny głos szeptał mu do ucha, że powinien mieć na oku Victora Orsiniego.

\*\*\*#

Porucznik Story zgodził się dać Meghan kserokopię kartki znalezionej w kieszeni martwej kobiety.

—Kiedy przydzielono pani ten numer telefonu?

—W połowie stycznia.

—A kiedy po raz ostatni widziała się pani z ojcem?

—Czternastego stycznia. Wyjeżdżał w interesach do Kalifornii.

—W jakich interesach?

Meghan wydawało się, że ma opuchnięty język, a palce, w których obraca kopię kartki ze swoim imieniem i numerem telefonu, są zimne jak sople lodu. Opowiedziała porucznikowi o Biurze Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera. Było oczywiste, że Jama Nader poinformował już Story'ego o zaginięciu jej ojca.

- Czy w chwili wyjazdu znał już ten numer?

—Z pewnością. Potem już go nie widziałam ani z nim nie rozmawiałam. Miał wrócić do domu dwudziestego ósmego stycznia.

—I właśnie wieczorem tego dnia zginął w wypadku na moście Tap-pan Zee?

- Rozmawiając przez telefon ze swoim współpracownikiem, Victorem Orsinim, wspomniał, że właśnie dojeżdża do mostu. Katastrofa wydarzyła się niecałą minutę po przerwaniu połączenia. Jeden ze świadków zeznał, że widział, jak ciemnoniebieski cadillac skręca raptownie w bok i spada do rzeki. - Nie miało sensu przemilczanie czegoś, o czym

Porucznik mógł się dowiedzieć z jednej rozmowy telefonicznej. - Firma ubezpieczeniowa odmówiła wypłacenia odszkodowania, ponieważ nie odnaleziono ani ciała ojca ani wraku jego samochodu. Specjaliści Zarządu Dróg Publicznych twierdzą, że gdyby wóz rzeczywiście runął do rzeki, natrafiliby przynajmniej na jakąś jego część. - Podniosła wyżej głowę. - Moja matka ma zamiar skierować sprawę do sądu.

Widziała sceptycyzm w oczach mężczyzn. Sama też miała wrażenie, że zachowuje się jak ci nieszczęśni świadkowie, którzy z maniackim uporem trwają przy swoich zeznaniach, nie licząc się z niepodważalnymi dowodami świadczącymi o tym, że albo są w błędzie, albo kłamią.

Story odchrząknął.

- Panno Collins - powiedział. - Młoda kobieta, którą zamordowano w czwartkowy wieczór, była do pani uderzająco podobna i miała przy sobie kartkę z pani imieniem i numerem telefonu napisanymi przez pani ojca. Czy może nam to pani jakoś wyjaśnić?

Meghan odruchowo napięła mięśnie karku.

- Rzeczywiście, była do mnie podobna. Ojciec mógł ją gdzieś spotkać, zwrócić uwagę na podobieństwo, powiedzieć jej o tym i — to do niego podobne - zaproponować: „Jeśli kiedyś będzie pani w Nowym Jorku, proszę odwiedzić moją córkę”. Wielu ludzi ma sobowtórów. Ojciec ze względu na rodzaj swojej pracy stykał się z mnóstwem ludzi i jestem pewna, że gdyby spotkał kogoś podobnego do mnie, zachowałby się właśnie w ten sposób. Tak samo jestem pewna, że gdyby żył, nie zniknąłby bez słowa pożegnania, pozostawiając moją matkę w trudnej sytuacji finansowej. - Spojrzała na Toma. - Chyba powinnam już iść, jeśli mam zdążyć na początek sprawy Baxtera.

- Dobrze się czujesz? - zapytał rzeczowo.

~ Doskonale - odparła spokojnie.

~ Poprosiliśmy o pomoc FBI - powiedział Nader. - Jeżeli ktoś posiadał ich o zaginięciu osoby, której rysopis odpowiada rysopisowi lary, wkrótce się o tym dowiemy. Możliwe, że wyjaśnienie tej tajemnicy pozwoli nam rozwikłać także pozostałe.



# 15

Praca w Klinice Manninga dawała Helenie Petrovic dużo satysfakcji. Owdowiawszy w wieku dwudziestu siedmiu lat, wyemigrowała z Rumunii do Stanów Zjednoczonych, gdzie skorzystała z pomocy wieloletniej przyjaciółki rodziny, pracując u niej jako kosmetyczka, a wieczorami uczęszczając do szkoły.

Teraz liczyła sobie czterdzieści osiem lat i była szczupłą, atrakcyjną kobietą o zawsze poważnych oczach. Od poniedziałku do piątku Helenę mieszkano w wynajętym domku w New Milford, zaledwie osiem kilometrów od kliniki, na weekendy natomiast jeździła do Lawrenceville w stanie New Jersey, do przytulnego, utrzymanego w stylu kolonialnym domu, którego była właścicielką. Ściany przylegającego do sypialni gabinetu pokrywały niemal od podłogi po sufit fotografie dzieci, którym pomogła przyjść na świat.

Helenę uważała się za kogoś w rodzaju głównego pediatry zajmującego się niemowlętami na oddziale położniczym bardzo dobrego szpitala. Różnica polegała na tym, że embriony, którymi się opiekowała, były znacznie delikatniejsze od najbardziej wrażliwego dziecka. Między innymi dlatego traktowała swoje obowiązki z tak wielką powagą.

Spoglądając w laboratorium na małe probówki, często przypominała sobie twarze rodziców, a czasem także wcześniej urodzonych dzieci, i wyobrażała sobie małe istoty, które dzięki niej przyjdą kiedyś na świat. Kochała je wszystkie, ale najbardziej przypadł jej do serca pewien jasnowłosy chłopczyk o promiennym uśmiechu, przywodząc jej na myśl utraconego w młodości męża.

\*\*\*

Rozprawa przeciwko Baxterowi odbywała się w sądzie przy Centre Street. Osłaniany z dwóch stron przez obrońców nienagannie ubrany mężczyzna stwierdził, że jest niewinny; jego stanowczy głos i niewzruszony spokój musiały wywrzeć wrażenie na wszystkich obecnych. Wteg znowu towarzyszył Steve z kamerą.

- Ale aktor! - jęknął. - Chyba już wołałbym wrócić do Connecticut, do tamtych krasnali.

- Zostawiłam Tomowi notatkę z propozycją zrobienia dłuższego reportażu o tych bliźniakach - poinformowała go Meghan. - Po południu spróbuję go przycisnąć.

Steve mrugnął porozumiewawczo.

- Jeśli kiedykolwiek będę miał dzieci, wołałbym zrobić je tak, jak przykazała matka natura... Chyba wiesz, co mam na myśli?

Odpowiedziała mu przelotnym uśmiechem.

- Chyba tak.

\*\*\*

O czwartej po południu Meghan weszła do gabinetu Toma.

- Żeby nie było niejasności: chcesz mi powiedzieć, że ta kobieta urodzi brata-bliźniaka swojego trzyletniego syna? - zawołał.

- Tak jest. W Angli już mieli coś takiego, ale u nas to zupełna nowość. Sprawa jest interesująca także ze względu na matkę, bo Dina Anderson to nie byle kto - jest wiceprzewodniczącą rady nadzorczej banku. A jej starszy synek to prawdziwe чудо.

Poza tym rezultaty badań dowodzą, że bliźniaki często rozwijają się a potem układają sobie życie w bardzo podobny sposób, nawet jeśli zostały rozdzielone zaraz po urodzeniu. Wychodzą za męża albo żonę i są z osobami o tym samym imieniu, tak samo nazywają dzieci, mają podobne domy, identycznie cheszą się i ubierają. Warto sprawdzić jak to wygląda, kiedy jedno z bliźniąt jest znacznie starsze od drugiego. Przemyśl to - prosiła. - Zobacz, pierwsze „dziecko z probówki” urodziło się zaledwie piętnaście lat temu, a teraz są ich już tysiące. Właśnie dlatego coraz częściej pojawiają się nowe metody walki z bezpłodnością.





W... a... p... b... n... Xi 2  
N 2  
C3  
3  
N W  
er cl 2.  
58'

z... b... o...  
8 i...  
za... nowych...  
n...  
a...

CEO WVIS

# 16

**W** poniedziałek po południu życie w Klinice Manninga zdążyło już prawie wrócić do normy po niedzielnym zjeździe. Z trawnika znikły ostatnie ślady pikniku, a w obszernym b.olu ponownie zapanował spokój.

Mężczyzna i kobieta, oboje zbliżający się do czterdziestki, przeglądali czasopisma, czekając na pierwszą wizytę. Marge Walters, recepcjonistka, zerknęła na nich ze współczuciem. Ona sama nie miała żadnych problemów z zajściem w ciążę i w ciągu pierwszych trzech lat małżeństwa urodziła troje dzieci. Po drugiej stronie poczekalni Marge zdenerwowana, najwyżej dwudziestokilkuletnia kobieta trzymała rękę za rękę. Marge wiedziała, że dziewczyna miała na dzisiaj wyznaczony zabieg. W laboratorium zapłodniono dwanaście pobranych z komórki wcześniej komórek jajowych, z których trzy miały teraz zostać wszczepione do jej macicy; może przynajmniej jednemu z nich uda się zagnieździć na stałe. Czasem ta sztuka udawała się więcej niż jednemu embrioni, w wyniku czego rodziło się dwoje lub troje dzieci.

„To byłoby błogosławieństwo, nie żaden kłopot” - zapewniała recepcjonistkę dziewczyna, kiedy ustalały termin wizyty. Pozostałe dziećmi embrioni czekało w zamrażarce na wypadek, gdyby pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem.

W porze lunchu doktor Manning zwołał niespodziewanie zebranie personelu. Marge bezwiednie nawijała na palec końce swoich krótkich, jasnych włosów. Manning poinformował pracowników, że Meghan Collins z Kanalu 3 będzie przygotowywała obszerny reportaż o działalności ich kliniki, ze szczególnym uwzględnieniem niezwykłych wydarzeń, jakim miało być przyjście na świat brata Jonathana

Andersona. Poprosił, aby udzielono jej wszelkiej pomocy, naturalnie nie zapominając o respektowaniu prawa pacjentek do prywatności. Wyłożna ujawnić nazwiska tylko tych, które wyrażą pisemną zgodę.

Marge miała nadzieję, że ona także wystąpi w tym reportażu. Byłaby to wielka frajda dla jej chłopców.

Na prawo od jej stanowiska zaczynały się gabinety personelu kierowniczego. Jedne z drzwi otworzyły się gwałtownie i do holu szybkim krokiem weszła nowa sekretarka Manninga. Zatrzymała się przy biurku Marge, żeby pochylić się i szepnąć:

- Coś się stało! Doktor Petrovic wyszła z gabinetu doktora Manninga bardzo zdenerwowana, a kiedy zjrzałam do jej pokoju, aż się przestraszyłam, bo wyglądała tak, jakby miała dostać ataku serca.

- Nie wiesz o co chodzi?

- Nie wiem, ale wygląda na to, że ona pakuje swoje rzeczy. Ciekawe, sama zrezygnowała, czy została zwolniona?

- Nie wyobrażam sobie, żeby chciała odejść z własnej woli - powiedziała Marge. - To laboratorium było całym jej życiem.

\*\*\*

- Do zobaczenia, Meghan — powiedział Bernie, kiedy w poniedziałek wieczorem Meg wsiadała do samochodu.

Odparła, że przez jakiś czas nie będzie pokazywać się w siedzibie stacji, gdyż otrzymała specjalne zadanie w Connecticut. Jadąc do domu zastanawiała się, w jaki sposób przekazać matce wiadomość, że została odsunięta od przygotowywania relacji dla dzienników telewizyjnych zaledwie kilkanaście godzin po tym, jak zaproponowano jej tę posadę.

Będzie musiała powiedzieć, że to ze względu na zbliżający się termin przyjścia na świat drugiego dziecka Andersonów, bo szefostwu zależało na jak najszybszym ukończeniu reportażu. Marna i tak jest wystarczająco przygnębiona, lepiej, żeby nic nie wiedziała o podejrzeniach policji, pomyślała Meghan. Ani o kartce napisanej przez tatę. W ją chyba zupełnie załamało.

Zjechała z autostrady na drogę stanową. Na niektórych drzewach zaczęła tręchę liści, choć ich jesienne barwy mocno już wyblakły. Meghan zawsze lubiła jesień, ale o tej chciałaby jak najprędzej zapomnieć.

Część jej umysłu - ta należąca do prawnika zdolnego oddzielić emocje od profesjonalnej rzetelności - koniecznie chciała zająć się tworzeniem oraz analizą hipotez, które mogłyby wyjaśnić, skąd w kieszeni martwej kobiety wzięła się kartka z jej imieniem i numerem telefonu. Snucie domysłów nie świadczy o braku lojalności, powtarzała w duchu. Dobry obrońca powinien spojrzeć na sprawę także z punktu widzenia prokuratora.

Matka przejrzała wszystkie dokumenty znajdujące się w ściennym sejfie, ale z pewnością nie zainteresowała się zawartością szuflad biurka w gabinecie ojca. Nadeszła pora, aby to uczynić.

Meghan miała nadzieję, że w pracy załatwiła wszystko jak należy. Dla Billa Evansa, który miał ją zastąpić, przygotowała szczegółową listę zaplanowanych działań.

Jutro o jedenastej miała spotkać się z doktorem Manningiem. Zapyta go, czy mogłaby zgłosić się na wstępną rozmowę tak jakby była potencjalną pacjentką. Minionej nocy - prawie zupełnie bezsennej, podobnie zresztą jak poprzednia - przyszło jej do głowy coś jeszcze: dobrze byłoby sfilmować Jonathana Andersona pomagającego matce podczas ostatnich przygotowań na przyjęcie nowego dziecka. Może Andersonowie mają też jakieś taśmy wideo z okresu, kiedy Jonathan był niemowlęciem?

Dotarłszy do domu stwierdziła, że jest pusty. Mogło to oznaczać tylko jedno: matka wciąż jeszcze była w zajeździe. I bardzo dobrze, pomyślała Meghan. Tam właśnie czuje się najlepiej. Wyjęła z samochodu telefaks, który pożyczyła z biura; miała zamiar podłączyć go do drugiej linii w gabinecie ojca, żeby nie zrywać się z łóżka za każdym razem, kiedy jakimś dowcipnisiowi przyjdzie do głowy w środku nocy nadać idiotyczną wiadomość. Weszła do środka, starannie zamknęła drzwi i zaczęła kolejno włączać światło we wszystkich pomieszczeniach, aby odegnąć wpełzającą przez okna ciemność. Przechodząc z pokoju do pokoju poczuła nagły przypływ melancholii. Lubiła ten dom. Pokoje nie były zbyt duże, co nawet stało się powodem żartobliwych narzekań matki, która stwierdziła, iż stare wiejskie domy zawsze sprawiają z zewnątrz wrażenie znacznie większych niż są w istocie.

„Tutaj też wszystko jest jednym wielkim złudzeniem optycznym!” gderała.

Według Meghan urok domu polegał właśnie na przytulności i intymności jego pomieszczeń. Lubiła niezbyt równe podłogi z szerokich desek, kominki, szerokie przeszklone drzwi i narożne kredensy w jadalni. Uwielbiała stare klonowe meble, pokryte rozkosznie ciepłą patyną czasu, wysiedziane fotele i różnobarwne, ręcznie tkane dywany.

Tata często wyjeżdżał, pomyślała otwierając drzwi jego gabinetu; od katastrofy na moście zarówno ona, jak i matka starały się zaglądać tu możliwie najrzadziej. Zawsze jednak wiedziałyśmy, że wróci, a kiedy to następowało, ileż było radości!

Włączyła lampę i usiadła w fotelu. Gabinet mieścił się w najmniejszym pokoju na parterze. Po obu stronach kominka znajdowały się półki z książkami. Obok ulubionego mebla ojca, fotela obitego brązową skórą i stanowiącego komplet z otomaną, stała wysoka lampa, przy niej niewielki stolik. Na nim i na okapie kominka tłoczyły się rodzinne fotografie: zdjęcie ślubne rodziców, Meghan jako niemowlę, cała trójka podczas jakiegoś wyjazdu, stary Pat dumnie pozujący przed wejściem do „Zajazdu Drumdoe”. Historia szczęśliwej rodziny, pomyślała Meg, przenosząc wzrok z jednej oprawionej fotografii na drugą.

Wzięła do ręki portretowe zdjęcie matki ojca. Zrobione na początku lat trzydziestych, kiedy Aurelia miała dwadzieścia cztery lata, udawało ponad wszelką wątpliwość, że była kobietą piękną i elegancką: gęste włosy, duże oczy o wyrazistym spojrzeniu, owalna twarz, smukła szyja, kołnierz z soboli... „Miałem najpiękniejszą matkę w Pensylwanii, a teraz mam najpiękniejszą córkę w Connecticut” - mawiał często ojciec. „Jesteś do niej bardzo podobna”.

Jego matka umarła, kiedy był dzieckiem.

Meghan nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała zdjęcie Richarda Collinsa dziadka.

„Nigdy nie zdołaliśmy się porozumieć” - wyjaśnił jej kiedyś ojciec. „Cieszyłem się, kiedy nie musiałem go oglądać”.

Rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwoniła Virginia Murphy, prawa matka w zajeździe.

- Catherine poprosiła mnie, żebym sprawdziła, czy jesteś w domu i żebym zapytała cię, czy przyjdiesz na kolację.

- Jak ona się czuje, Virginio?

- Kiedy tu jest, czuje się dobrze, a na dzisiaj mamy wyjątkowo dużo rezerwacji. O siódmej ma przyjechać pan Carter. Zaprosił twoją matkę.

Meghan zawsze podejrzewała, iż Phillip Carter traktuje jej matkę z więcej niż zwykłą kurtuazją.

- Bądź tak dobra i powiedz mamie, że muszę się przygotować do jutrzejszego wywiadu, dobrze? Przyrządź sobie coś na miejscu.

Odłożywszy słuchawkę, wyjęła z torby gruby plik wycinków z gazet i czasopism z materiałami dotyczącymi zapłodnienia pozaustrojowego, który przygotowano jej w redakcji. Zmarszczyła brwi, gdyż bardzo szybko natrafiła na kilka artykułów opisujących procesy, jakie kobiety wytoczyły klinikom, ponieważ badania wykazały, że ich mężowie nie są biologicznymi ojcami narodzonych dzieci.

To poważna pomyłka — powiedziała na głos, po czym zanotowała w pamięci, żeby koniecznie poruszyć ten problem w reportażu.

O ósmej zrobiła sobie w kuchni kanapkę i dzbanek herbaty, po czym wróciła z nimi do gabinetu. Jedząc przeglądała fachową literaturę, dostarczoną jej przez Maca; doszła do wniosku, że kiedy to wszystko przeczyta, będzie mogła uważać, że ukończyła przyspieszony kurs metod zapładniania pozaustrojowego.

Kilka minut po dziesiątej usłyszała trzaśnięcie drzwi.

- Cześć, mamó! Jestem tutaj! - zawołała.

Catherine Collins bez tchu wpadła do pokoju.

- Meggie, nic ci nie jest?

- A dlaczego miałyby mi coś być?

- Kiedy skręcałam na podjazd ogarnęło mnie okropne przeczucie, zupełnie jakby groziło ci jakieś niebezpieczeństwo.

Meghan roześmiała się, ale ten śmiech zabrzmiał nieprzekonująco.

Masz rację, groziło: próbowałam zgłębić tajemnice DNA i nie widać było brakowało, a dostałabym kompletnego pomieszania. Teraz rozumiem, dlaczego siostra Elizabeth zawsze powtarzała, że nie mam głowy do przedmiotów ścisłych.

Z ulgą zobaczyła, jak z twarzy matki znika niepokój.

\*\*\*

Helena Petrovic przelykała nerwowo ślinę, kończąc pakować o północy ostatnią walizkę. Na wierzchu zostawiła jedynie przybory toaletowe i ubranie, które zamierzała założyć rano. Chciała mieć już to wszystko za sobą. Ostatnio stała się bardzo nerwowa. Napięcie okazało się zbyt wielkie i przyszła pora, żeby z tym skończyć.

Zdjęła walizkę z łóżka i postawiła ją obok pozostałych. W tej chwili do jej uszu dotarło szczęknięcie otwieranego zamka. Zakryła sobie usta ręką, by powstrzymać krzyk; nie spodziewała się go dzisiaj. Odwróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

- Helena... - Jego głos brzmiał jak zwykle łagodnie. - Czyżbyś nie zamierzała się ze mną pożegnać?

- Ja... Chciałam do ciebie napisać...

- Teraz to już nie będzie konieczne.

Sięgnął prawą ręką do kieszeni. Błysnął metal; potem chwycił jedną z poduszek i przytrzymał ją przed sobą. Helena nawet nie zdążyła pomyśleć o ucieczce. W jej głowie eksplodował potworny ból, a w następnym ułamku sekundy cała przeszłość, którą tak starannie sobie zaplanowała, zniknęła w nieprzeniknionej ciemności.

\*\*\*

O czwartej nad ranem dzwonek telefonu wyrwał Meghan z głębokiego snu. Sięgnęła po omacku po słuchawkę.

- Meg... — szepnął zachrypnięty męski głos.

~ Kto mówi?

Usłyszała ciche pyknięcie, to matka podniosła słuchawkę drugiego

Paratu.

~" Twój ojciec, Meg. Mam kłopoty. Zrobiłem coś okropnego...

Meghan usłyszała zduszony jęk, rzuciła słuchawkę i popędziła do Wialni matki. Catherine Collins leżała bezwładnie w pościeli; miała wnięte oczy i bladopopielatą twarz. Meg chwyciła ją za ramiona.

!• " Mamó, to tylko jakiś wstętny, okrutny wariat! - krzyknęła. -

Miała Edwina Collinsa nie odzyskiwała przytomności.

biobol  
V2enia

# 17

A rano w piątek o wpół do szóstej rano Mac zaczął, aż jego tryskający energicznie w oczy do szkolnego autobusu, po czym wsiadł do samochodu i ruszył w drogę do Westport. Wiedział, że było znacznie cieplej niż na zewnątrz i okulary Maca na tył głowy zaszyły mgłą. Gderając je po raz nie wiadomo który, potachował się. Jaka szkoda, że nie może mieć szkieł kontaktowych. Przez uszy nie było twarze na plakatach które widać było przy wjeździe na wizyty u optyka.

Łakaniem ze zdumieniem i białego mustanga Meghan skreczając podjazd. Zatrąbił mrugając światłami. Mustang zatrzymał się. Opony Maca podjechały i przystanął na jezdni obok niego. Obaj ludzie jednocześnie łusnęli szyby, ale wesoło. „Jak się masz?” zamarł. Na chwilę ustach kiedy zobaczył bladą twarz Meghan i rąbek czerwonej kurtki spod wrzuconego w pośpiechu płaszcz.

~ 77 ~ zapytał. „Pokoje?”

- Nie, jestem w szpitalu, odpowiedziała bezbarwnym tonem.

Mac zważył w lusterku zbliżający się jakiś samochód, więc zapro-

- Wjedź lepiej na podjazd.

Wyłączył silnik i otworzył drzwi mustanga. Wstał i zobaczył. Czyżby to coś poważnego? Przez chwilę mu niespokojna myśli. Kiedy weszli na ganek widać dziewczynę, klucze w ręku.

~ 78 ~ „Ue ja to zrobię.”

Wstał i odwrócił twarz do siebie.

- A teraz opowiedz mi wszystko.

- Początkowo myśleli, że to zawał serca. Potem na szczęście okazało się, że nie mieli racji, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Dostaje leki wzmacniające, zostanie w szpitalu co najmniej tydzień. Wyobraź sobie, że pytali ją, czy ostatnio miała jakieś stresujące przeżycia!

- Niepewny śmiech zamienił się w stłumiony szloch. Z trudem, ale zapanowała nad sobą i energicznym ruchem odrzuciła włosy do tyłu. - Nic mi nie jest, Mac. Badania wykazały, że serce jest w porządku. Myślę, że to z powodu wyczerpania i zdenerwowania. Mama potrzebuje przede wszystkim odpoczynku i środków uspokajających.

- Zgadzasz się z tobą, ale wydaje mi się, że tobie też by się to przydało. Myślę, że teraz powinnaś napić się kawy.

Poszła za nim do kuchni.

- Ja ją zaparzę - powiedziała.

- Siadaj. Nie chcesz zdjąć płaszcza?

- Jest mi zimno. - Mimo wszystko zdołała się uśmiechnąć. - A jakim cudem ty możesz wytrzymać w taki dzień w samym garniturze?

Mac zerknął na swoją szarą tweedową marynarkę.

- Urwał mi się guzik przy płaszczu, a nie wiem, gdzie wepchnąłem igłę i nici.

Kiedy kawa się zaparzyła, napełnił dwie filiżanki, jedną postawił przed Meg, a sam z drugą usiadł po przeciwnej stronie stołu.

- Przypuszczam, że teraz, kiedy Catherine jest w szpitalu, na jakiś czas przeniesiesz się tutaj?

- I tak miałam zamiar to zrobić.

Opowiedziała mu o zadziwiającym podobieństwie ofiary morderstwa, o kartce znalezionej w kieszeni denatki, o faksie otrzymanym w środku nocy.

~ 79 ~ W związku z tym wszystkim szef uznał, że powinnam na jakiś czas zniknąć z ekranu, ale pozwolił mi pracować nad reportażem o Klinice Manninga. Dzisiaj nad ranem zadzwonił telefon i...

Powtórzyła słowa, które usłyszała w słuchawce.

Mac miał nadzieję, że w jego głosie nie słyhać zdumienia, jakie go ogarnęło. To prawda, że podczas niedzielnej kolacji przy stole przez cały czas siedział Kyle i widocznie to powstrzymywało Meg przed mówieniem o swoich koszmarnych przeżyciach, ale żeby zdołała aż do te-

go stopnia zapanować nad sobą? Nie wspomniała też ani słowem o decyzji firmy ubezpieczeniowej, choć to akurat mogła spokojnie zrobić. Od chwili, kiedy skończyła dziesięć lat, a on rozpoczął studia i przyjeżdżał na każde wakacje, aby pracować w zajeździe, był życzliwym po-wiernikiem jej tajemnic. Opowiadała mu o wszystkim - poczynając od tego, jak bardzo tęskni za ojcem, wyjeżdżającym w częste podróże służbowe, a kończąc na tym, jak bardzo nienawidzi nauki gry na pianinie.

Mac jedynie w trakcie swego trwającego półtora roku małżeństwa nie widywał się regularnie z Collinsami. Zamieszkawszy tu po rozwodzie - od tego czasu minęło już siedem lat - był przekonany, że on i Meg nadal są tymi samymi dobrymi kumplami, co dawniej. Okazało się jednak, że nie miał racji.

Meghan milczała, pogrążona w myślach, najwyraźniej nie oczekując od niego ani rady, ani pomocy. Przypomniał sobie słowa Kyle'a: „Myślałem, że jesteś moim przyjacielem”. Właśnie, ta kobieta, którą Kyle widział koło ich domu i którą wziął za Meghan. Czy możliwe, żeby to była ta osoba, która zginęła dzień później?

Mac postanowił nie poruszać tego tematu, dopóki nie będzie miał okazji jeszcze raz porozmawiać z synem i dopóki nie przemyśli dokładnie całej sprawy. Czuł jednak, że musi o coś zapytać.

—Meg, czy jest jakaś możliwość, choćby nie wiem jak mało prawdopodobna, że ten głos dzisiaj rano należał do twojego ojca?

—Nie. Na pewno nie. Poznałabym go. Mama też. Ten głos był zupełnie nieludzki, może nie aż tak jak głos komputera, ale brzmiało w nim coś mechanicznego.

—Powiedział, że jest w kłopotach?

—Tak.

—Ale na tamtej kartce rozpoznałaś pismo ojca?

—Tak.

— Czy twój ojciec wspominał kiedykolwiek o kimś imieniem Annie? Meghan wpatrywała się w niego w milczeniu.

Annie... Nagle w jej uszach zabrzmiał wesoły głos przekomarżającego się z nią ojca: „Meg... Meggie... Meghan Anne... Annie...”

Annie! Zawsze tak do mnie mówił, kiedy był w wyjątkowo dobrym humorze, uświadomiła sobie z przerażeniem.

# 18

W e wtorek o świcie Frances Grolier stojąca przy oknie swego domu w Scottsdale w stanie Arizona ujrzała, jak pierwsze promienie słońca wydobywają z mroku zarysy Gór McDowella. Wiedziała, że wkrótce potoki słonecznego blasku spłyną na spiętrzone masy skał, z upływem dnia zmieniając ich barwy i odcienie.

Odwróciła się, przeszła na drugą stronę obszernego studia i zatrzymała się przy oknie wychodzącym na tył budynku. Dom stał na granicy rezerwatu Indian Pima, dzięki czemu roztaczał się z niego widok na dziewiczą pustynię, za którą wznosiła się Góra Wielbłądzia; teraz i pustynia, i góra skąpane były w nieśmiałej różowej poświacie, poprzedzającej wschód słońca.

Mimo pięćdziesięciu sześciu lat Frances w dalszym ciągu roztaczała wokół siebie aurę rozwichrzonej ekscentryczności, do której bardzo pasowały szczupła twarz, gęsta grzywa siwiejących brązowych włosów oraz wielkie oczy o przesywającym spojrzeniu. Nigdy nie starała się ukryć pod makijażem głębokich zmarszczek wokół oczu i ust. Wysoka i szczupła, najlepiej czuła się w spodniach i luźnym fartuchu. Unikała rozgłosu, ale jej rzeźby znano w kręgach artystycznych - szczególnym uznaniem cieszyły się portrety. Wyczuć, z jakim potrafiła oddać wszelkie niuanse kryjące się pod jej bardziej nawet niewzruszoną twarzą, świadczyło o wielkości talentu.

Dawno temu podjęła decyzję i nigdy jej nie żałowała, gdyż taki właśnie styl życia bardzo jej odpowiadał. Jednak teraz...



Nie powinna była oczekiwać od Annie zrozumienia. Należało dotrzymać słowa i nic jej nie mówić. Annie wysłuchiwała wyznania matki z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, po czym przebiegła, przez pokój i celowo potrąciła stojak z glinianym modelem popiersia; na pewno zrobiła to celowo. Potem wybiegła z domu, wskoczyła do samochodu i odjechała, zostawiając za sobą chmurę pyłu. Jeszcze tego samego wieczoru Frances próbowała dodzwonić się do mieszkającej córki w San Diego, ale za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka i tak już było przez cały następny tydzień. Takie zniknięcie bez śladu leżało w stylu Annie. W ubiegłym roku po zerwaniu zaręczyn z Gregiem poleciała do Australii i przez pół roku wędrowała po najdzikszych bezdrożach.

Frances zabrała się do naprawiania uszkodzonego popiersia ojca Annie, ale jej palce najwyraźniej nie chciały służyć poleceń płynących z mózgu.

\*\*\*

Kiedy we wtorek o drugiej po południu Meghan weszła do gabinetu George'a Manninga, natychmiast wyczuła zmianę w jego nastawieniu. W niedzielę, kiedy relacjonowała przebieg zjazdu, prezentowała wylewność, chęć współpracy i promieniała dumą z osiągnięć swojej kliniki. Jeszcze wczoraj, podczas rozmowy telefonicznej, wydawał się pełen entuzjazmu, natomiast dzisiaj wyglądał na starego, siedemdziesięcioletniego człowieka, którym zresztą był. Zdrowa, różowa cera, na którą Meghan zwróciła wcześniej uwagę, zrobiła się bladoszara, a ręka, którą wyciągnął na powitanie, wyraźnie drżała.

Rankiem, przed wyjazdem do Westport, Mac uparł się, żeby w jego obecności zadzwoniła do szpitala i zapytała o stan zdrowia matki. Powiedziano jej, że pani Collins śpi i że jej ciśnienie mieści się już w górnych granicach normy.

Mac... Co takiego dostrzegła w jego oczach, kiedy się z nią żegnał? Jak zawsze musnął wargami jej policzek, ale w oczach miał coś innego niż zwykle. Współczucie? Tego na pewno nie potrzebowała.

Płytka drzemkę, w jaką kilkakrotnie zapadała tej nocy, trudno było nazwać pokrępiącym snem, ale przynajmniej pozbyła się otę-

pienia oraz ciężaru, który jeszcze wczoraj czuła przy każdym poruszeniu powiek. Rano wzięła gorący prysznic - co za ulga dla zeszywniałych mięśni! - po czym założyła ciemnozielony kostium składający się z żakietu i sięgającej do łydek spódnicy. Chciała prezentować się jak najlepiej. Zauważyła wcześniej, że wszyscy dorośli biorący udział w zjeździe byli bardzo dobrze ubrani, ale prędko doszła do wniosku, iż nie ma w tym nic dziwnego: ludzie, których stać na wydanie od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów na upragnione dziecko, z całą pewnością nie żyją z zasiłków pomocy społecznej.

W kancelarii adwokackiej przy Park Avenue, gdzie Meghan podjęła pracę zaraz po studiach, nauczono ją przywiązywać wielką wagę do stroju. Później, już jako reporterka radiowa przekonała się, że ludzie stają się znacznie bardziej rozmowni, jeśli mogą choćby częściowo utożsamić się z osobą przeprowadzającą wywiad.

Zależało jej na tym, by doktor Manning potraktował ją jako ewentualną pacjentkę, ale teraz, stojąc przed jego biurkiem, odniosła wrażenie, że stary lekarz spogląda na nią jak oskarżony na sędziego, który zaraz ogłosi wyrok. Otaczała go wyraźna aura strachu. Dlaczego Manning miałby się jej bać?

- Nawet pan sobie nie wyobraża, doktorze, jak bardzo zależy mi na tym reportażu - powiedziała, siadając w fotelu naprzeciwko biurka. - Już nawet...

- Panno Collins - przerwał jej w pół słowa - obawiam się, że nie będziemy mogli pani pomóc. Podczas zebrania personelu doszliśmy do wniosku, że większość naszych pacjentek nie byłaby zachwycona widokiem kamer telewizyjnych i dziennikarzy.

- Ale w niedzielę nie miał pan nic przeciwko naszej obecności.

- Bo w niedzielę przyjechali tutaj ludzie z dziećmi. Ci, którzy dopiero na nie oczekują albo którym nie udało się jeszcze zrealizować żarzeń, często są zdenerwowani i przygnębieni. Sama pani rozumie, że to są bardzo intymne sprawy.

Mówił spokojnym, rzeczowym tonem, ale z jego oczu nie zniknął lęk. Przed czym? — przemknęło Meghan przez głowę.

- Podczas rozmowy telefonicznej ustaliliśmy, że nikt, kto wcześniej



nie wyrazi na to zgody, nie będzie filmowany ani nawiątywany do proszonego o udzielenie wywiadu - przypomniała.

Manning podniósł się z fotela.

- Panno Collins, moja decyzja jest nieodwołalna, a zatem obawiam się, że muszę już wracać do moich obowiązków.

Meghan nie pozostało nic innego jak również wstać.

- Co się stało, panie doktorze? - zapytała cicho. - Przecież pan wie, że ja nie uwierzę, by tak radykalną zmianę stanowiska spowodowała jedynie spóźniona troska o dobro pańskich pacjentek.

Nie odpowiedział, więc Meghan wyszła z gabinetu i poszła do głównego holu. Mijając biurko recepcjonistki uśmiechnęła się ciepło do siedzącej przy nim kobiety i, zerknąwszy uprzednio na tabliczkę z nazwiskiem, powiedziała:

- Pani Walters, jedna z moich przyjaciółek chciałaby dowiedzieć się nieco więcej o waszej klinice. Czy ma pani może jakieś materiały?

Marge Walters sprawiała wrażenie bardzo zdziwionej -

- Widocznie doktor Manning zapomniał dać pani to wszystko, co przygotowała jego sekretarka. Zaraz do niej zadzwonię, żeby to przyniosła.

- Będę pani ogromnie wdzięczna - odparła Meghan. — Panu doktorowi także bardzo zależy na reportażu, który mam przygotować.

- Wcale mu się nie dziwię. My wszyscy też jesteśmy zadowoleni, że pani robi coś takiego. To przecież świetna reklama dla kliniki. Proszę chwilkę zaczekać, już dzwonię do Jane.

Meghan zacisnęła kciuki; modliła się w duchu, żeby doktor Manning nie zdążył poinformować sekretarki o swojej nagiej decyzji. Niestety, kiedy recepcjonistka zamieniła kilka słów przez telefon, przyjazny uśmiech zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca masce sztywnej uprzejmości.

- Panno Collins, przecież pani doskonale wiedziała, że nie powinienam prosić sekretarki doktora Manninga o te materiały.

- Chodzi mi wyłącznie o informacje, jakie uzyskuje każda kobieta, która przychodzi tu w charakterze potencjalnej pacjentki.

- W takim razie chyba będzie lepiej, jeśli porozmawia pani o tym z doktorem Manningiem. - Marge Walters zawahała się, nim dodała

cieplejszym tonem: - Nie chciałabym być nieuprzejma, ale proszę mnie zrozumieć, panno Collins. Ja tutaj pracuję i muszę wykonywać polecenia.

Było jasne, że nie ma co liczyć na pomoc z jej strony. Meghan odwróciła się już, by odejść, ale przystanąła, tknięta nagłą myślą.

- Może mi pani powiedzieć choć to jedno: czy personel naprawdę sprzeciwił się zrobieniu tego reportażu?

Marge Walters tylko przez chwilę opierała się przemożnej chęci podzielenia się z kimś niezwykłą informacją.

— Wczoraj w samo południe mieliśmy zebranie pracowników kliniki - powiedziała przyciszonym głosem. - Wszyscy ogromnie się ucieszyli na wiadomość, że będzie pani robiła ten reportaż. Nie mam pojęcia, dlaczego doktor Manning zmienił zdanie.

# 19

Draca w laboratorium „LifeCode”, gdzie Mac zajmował się terapią genową, dawała mu mnóstwo satysfakcji i absorbowała go X niemal bez reszty.

Po rozstaniu z Meghan pojechał prosto do laboratorium i wziął się do pracy, lecz w miarę upływu czasu coraz wyraźniej uświadamiał sobie, żeżerna kłopoty z koncentracją. Jakiś trudny do wytłumaczenia, niesprecyzowany niepokój paraliżował jego myśli i ciało do tego stopnia, że Mac miał poważne problemy z obsługą przyrządów, które zazwyczaj nie sprawiały iru najmniejszych kłopotów. Lunch postanowił zjeść przy biurku i przy okazji podjąć próbę zanalizowania dręczących go przeczuć.

Zadzwoił do szpitala, gdzie powiedziano mu, że pani Collins została przeniesiona z oddziału intensywnej terapii na kardiologię oraz że rozmowa z nią jest niemożliwa, ponieważ akurat zasnęła.

I bardzo dobrze, pomyślał. Widocznie rzeczywiście zostawiono ją w szpitalu tylko na wszelki wypadek. Bezruch i odpoczynek powinny przyczynić się do szybkiej poprawy jej stanu zdrowia.

Wszystko wskazywało na to, że przyczyną jego niepokoju jest Meghan. Czyżby coś jej zagrażało? Nawet jeśli niemożliwe okazałoby się prawdziwe i Ed Collins wrócił z zaświatów, to przecież niebezpieczeństwo z pewnością nie groziło z jego strony.

Nie, złowrogie przeczuć musiały mieć jakiś związek z bliźniaczo podobną do Meghan ofiarą morderstwa. Kiedy wreszcie Mac wyrzucił do kosza nie dojedzoną kanapkę i wysączył ostatnie krople zimnej kawy, wiedział już, co robić: pojedzie do Nowego Jorku, żeby zobaczyć na własne oczy zwłoki tamtej kobiety.

W drodze do domu wstąpił do szpitala. Catherine z całą pewnością znajdowała się pod wpływem środków uspokajających, ponieważ mówiła znacznie wolniej i mniej wyraźnie niż zwykle.

- Czy to nie jest zupełnie bez sensu, Mac? - zapytała, kiedy wziął krzesło i usiadł przy łóżku.

- Nawet dzielne córki Irlandii od czasu do czasu mogą sobie pozwolić na chwilę słabości.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Przypuszczam, że to przez te nerwy. Pewnie wiesz już o wszystkim?

- Tak.

- Meggie przed chwilą wyszła. Miała pojechać do zajazdu. Mac, ten nowy kucharz!... Jestem pewna, że przedtem pracował w jakiejś budzie z jedzeniem na wynos. Będę musiała się go pozbyć. — Jej twarz zachmurzyła się. - To znaczy, jeśli jakimś cudem uda mi się nie dopuścić do sprzedaży „Drumdoe”.

- Wydaje mi się, że na jakiś czas powinnaś przestać zaprzętać sobie tym głowę.

Catherine westchnęła ciężko.

- Wiem, wiem... Chodzi tylko o to, że mogę sobie poradzić z kucharzem, natomiast jestem bezradna wobec ludzi z firmy ubezpieczeniowej, którzy nie chcą wypłacić mi pieniędzy, i wobec szaleńców, którzy dzwonią do nas w środku nocy. Meg twierdzi, że takie rzeczy zdarzają się teraz bardzo często, ale ja jakoś nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego. Myślę, że mnie rozumiesz.

- Zaufaj Meg - powiedział, czując się jak ostatni hipokryta.

Kilka minut później wstał z krzesła, nachylił się i pocałował Catherine w czoło. Uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiło się coś jakby iskierki humoru.

- Mam świetny pomysł, jak pozbyć się kucharza: zaproponuję, żeby zatrudnili go w tym szpitalu. W porównaniu z tym, co podali mi tu na obiad, jego potrawy to prawdziwe arcydzieła sztuki kulinarnej.

\*\*\*

Kiedy Mac wrócił do domu, Marie Dileo ustawiała właśnie talerze na stole, a Kyle odrabiał lekcje na dywanie w dużym pokoju. Mac

chwycił go pod pachy, podniósł z podłogi i posadził obok siebie na kanapie.

- Młody człowieku, czy dobrze przyjrzałeś się tej kobiecie, którą wzięłeś za Meghan?

- Dość dobrze - odparł Kyle. - Meg była tu dziś po południu i  
- Naprawdę?

- Tak. Chciała wiedzieć, dlaczego się na nią obraziłem.

- I powiedziałeś jej?

- Aha.

- Go ona na to?

- Ze w środę po południu była w sądzie i że czasem różni ludzie chcą się przekonać, jak żyją ci, którzy występują w telewizji. I też pytała, czy dobrze przyjrzałem się tamtej pani. Powiedziałem, żejechała naprawdę bardzo powoli, a kiedy ją zobaczyłem, wybiegłem na podjazd i zawałęm, ale ona tylko zatrzymała się na chwilę, opuściła szybę i zaraz potem odjechała.

- Teo mi wcześniej nie mówiłeś.

- Mówiłem, że zobaczyła mnie i odjechała.

- Ale nie że zatrzymała się i opuściła szybę kolego.

- Aha. Naprawdę myślałem wtedy, że to Meg, ale teraz już wiem, że miała za długie włosy. Wiesz, takie aż do ramion, jak mamusia na tym zdjęciu.

Ginger niedawno przysłała Kyle'owi jedno ze swoich zdjęć wykonanych dla potrzeb prasy i agentów: jasne, kręcone włosy opadały poniżej linii ramion, lekko rozchylone usta odsłaniały doskonale równe, białe zęby, do tego duże, zmysłowe oczy. W rogu napisała: „Mojemu kochanemu Kyle'owi, z całusami, mama”.

Reklamówka, pomyślał Mac z niechęcią. Gdyby był w domu, kiedy dostarczono pocztę, Kyle nigdy by nie zobaczył tej fotografii.

\*\*\*

Po wizycie w szpitalu i rozmowie z Kyle'em Meghan zajrzała jeszcze na chwilę do zajazdu; do domu dotarła o wpół do ósmej. Virginia uparła się, żeby Meg wzięła ze sobą kolację: porcję pieczonego kurczaka, sałatkę i paszteciki.

- Obie z matką jesteście takie same - gderała, pakując ciepłe jedzenie. - Gdyby was nie pilnować, w ogóle zapomnielibyście o jedzeniu.

Całkiem możliwe, pomyślała Meghan, przebierając się w piżamę i szlafrok. Jeszcze w college'u odkryła, że ten właśnie strój najlepiej nadaje się do spędzania spokojnych wieczorów w zaciszu domowym, kiedy do roboty nie ma nic poza czytaniem książek lub oglądaniem telewizji.

W kuchni naląła sobie kieliszek wina, po czym, wstawiwszy pieczeń do kuchenki mikrofalowej, zajęła się pasztecikami. Kiedy kurczak był już wystarczająco gorący, postawiła talerz na tacy i przeniosła się do gabinetu ojca. Jutro z samego rana zacznie przekopywać się przez historię Kliniki Manninga. Od fachowców zbierających materiały dla stacji telewizyjnej szybko uzyska wszelkie niezbędne informacje, w tym także o doktorze Manningu. Ciekawa jestem, czy w życiu tego człowieka są jakieś mroczne tajemnice? - pomyślała.

Na ten wieczór miała jednak zupełnie inne plany: musiała stwierdzić, czy istnieją jakiegokolwiek poszlaki świadczące o tym, że coś łączyło jej ojca z zamordowaną kobietą, która mogła mieć na imię Annie.

W jej umyśle zakiełkowało podejrzenie tak nieprawdopodobne, że na razie nie była w stanie potraktować go poważnie. Wiedziała jedno: jak najszybciej musi przejrzeć wszystkie osobiste papiery ojca.

Wcale jej nie zdziwiło, że w szufladach biurka panuje idealny porządek; Edwin Collins był nadzwyczaj systematycznym człowiekiem. Papier listowy, koperty, znaczki - wszystko miało swoje miejsce. Kalendarz okazał się wypełniony na cały styczeń i część lutego, dalej były zaznaczone jedynie stałe daty: urodziny matki, urodziny Meghan, coroczny zjazd członków klubu golfowego.

Czy ktoś, kto planuje swoje zniknięcie, zaznacza w kalendarzu tak odległe daty? Przecież to zupełnie bez sensu.

Przy tych dniach w styczniu i lutym, kiedy nie było go lub miało nie być w domu, wpisał tylko nazwę miasta. Szczegółowy plan podróży znajdował się w notatniku, z którym nigdy się nie rozstawał.

Okazało się, że dolna szuflada po prawej stronie biurka jest zamknięta, Meghan bezskutecznie przetrząsała pozostałe w poszukiwaniu klucza, potem wahała się przez chwilę, lecz szybko podjęła decyzję. Nie może czekać do jutra, żeby sprowadzić ślusarza. Poszła do kuchni i odszukawszy skrzynkę z narzędziami, po krótkim namyśle wyjęła z niej płaskie dłuto. Zgodnie z jej oczekiwaniami stary zamek nie stawiał zbytniego oporu.

W szufladzie leżało mnóstwo kopert, pospinyanych gumkami w spore paczuszki. Meghan wyjęła pierwszą z brzegu paczkę i przejrzała pobieżnie; wszystkie koperty, z wyjątkiem leżącej na wierzchu, były zaadresowane tą samą ręką.

W tej różniącej się od pozostałych znalazła tylko wycinek z „Biuletynu Filadelfijskiego”. Było to umieszczone w czarnych ramkach; zdjęcie przystojnej starszej kobiety, opatrzone pod spodem trzema linkami tekstu:

*Aurelia Crowley Collins, lat 75, długoletnia mieszkanka Filadelfii, 1 grudnia zmarła na atak serca w Szpitalu św. Pawła.*

Aurelia Crowley Collins! Meghan aż wstrzymała oddech ze zdumienia; ochłonawszy uważnie przyjrzała się kobiecie na zdjęciu. Szybko rozstawione oczy, pofalowane włosy, okalające owalną twarz... Tak, ponad wszelką wątpliwość była to ta sama osoba, tyle że znacznie starsza, której portret zajmował honorowe miejsce na stoliku. Jej babka!

Nekrolog pochodził sprzed dwóch lat. A więc babka wcale nie zmarła dawno, jak twierdził ojciec, ale zaledwie dwa lata temu! Meghan mowicznie przejrzała plik kopert i spostrzegła, że wszystkie zostały temprowane w Filadelfii, ostatnia mniej więcej przed trzydziestoma miesiącami.

Wyjęła jeden list, przeczytała, potem drugi, trzeci. Nie wierząc własnym oczom wyjęła pozostałe paczuszki i wyciągając z nich na chybił trafił koperty zaznajomiła się z treścią jeszcze kilku listów. Najnowszy został wysłany trzydzieści lat temu; wszystkie były bardzo ładne i bardzo do siebie podobne:

*Drogi Edwinie!*

*Miałam nadzieję, że napiszesz do mnie choć kilka słów z okazji Bożego Narodzenia. Modlę się za ciebie i Twoją rodzinę. Jakże bym chciała zobaczyć moją wnuczkę! Ciągle wierzę, że któregoś dnia pozwolisz mi na to.*

*Kocham Cię,  
matka*

*Drogi Edwinie!*

*Zawsze powinniśmy patrzeć w przyszłość, ale kiedy człowiek czuje, że coraz bardziej się starzeje, znacznie łatwiej jest mu oglądać się wstecz i gorzko żałować pomyłek, które popełnił. Czy naprawdę nie możesz ze mną porozmawiać, choćby przez telefon? Sprawiłbyś mi tym ogromną radość.*

*Kochająca Cię  
matka*

Sfatygowany wygląd listów świadczył o tym, że ojciec często do nich zaglądał. Tato, pomyślała Meghan, przecież byłeś takim dobrym człowiekiem! Dlaczego mówiłeś wszystkim, że twoja matka nie żyje? Co takiego ci zrobiła, że nie mogłeś jej wybaczyć? I dlaczego gromadziłeś te listy, skoro nie zamierzałeś się z nią pogodzić?

Ponownie wzięła do ręki kopertę, w której przysłano wycięty z gazety nekrolog. Nie było na niej nazwiska nadawcy, tylko adres w Chestnut Hill, jednej z najbardziej luksusowych dzielnic Filadelfii.

Kto wysłał ten list? A przede wszystkim, jakim człowiekiem był naprawdę jej ojciec?

# 20

**W**uroczym, utrzymanym w stylu kolonialnym domu Helenę Petrovic w Lawrenceville w stanie New Jersey jej siostrzenicę Stephanie z każdą chwilą ogarniał coraz większy niepokój. Dziecko miało przyjść na świat za kilka tygodni, a ją - jakby nie dość, że była niemal bez przerwy zmęczona - bolał krzyż. Mimo to postanowiła przygotować gorący lunch dla Helenę, która poprzedniego dnia zapowiedziała, że zjawi się w domu około południa. O wpół do drugiej Stephanie zadzwoniła do ciotki, ale w domku w Connecticut nikt nie podniósł słuchawki. Teraz minęła już szósta, a Helenę jeszcze nie było w domu. Czyżby coś się stało? A może w ostatniej chwili przypomniała sobie o czymś, lecz nie przyszło jej do głowy, że powinna zadzwonić i zawiadomić siostrzenicę o opóźnieniu swego przyjazdu?

Stephanie doznała prawdziwego wstrząsu, kiedy podczas wczorajszej rozmowy dowiedziała się, że Helenę zrezygnowała z pracy.

„Muszę odpocząć, a poza tym nie chcę, żebyś ciągle siedziała zupełnie sama” - usłyszała przez telefon.

Tymczasem prawda przedstawiała się tak, że Stephanie wręcz uwielbiała siedzieć zupełnie sama. Nigdy do tej pory nie zaznała luksusu, jakim było dla niej leżenie w łóżku dopóty, dopóki nie przyszła jej ochota zaparzyć kawę i wziąć z werandy dostarczoną o świcie gazetę. Czasem, kiedy naprawdę nie chciało jej się nic robić, zostawała w łóżku przez całe przedpołudnie i oglądała telewizję.

Miała dwadzieścia lat, ale wyglądała na więcej. Jako mała dziewczynka, a później jako nastolatka marzyła, żeby pójść w ślady młodszej sio-

stry ojca, Helenę, która przed dwudziestu laty wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

Teraz Helenę była jej ostoją i nadzieją na przyszłość w świecie, który nagle się zmienił i nigdy nie miał być taki sam jak kiedyś. Podczas krótkiej, krwawej rewolucji w Rumunii Stephanie straciła rodziców oraz dom, przez co musiała przeprowadzić się do sąsiadów, gdzie tylko z najwyższym trudem udało się znaleźć miejsce dla jeszcze jednej osoby.

Przez kilka lat Helenę przysyłała od czasu do czasu trochę pieniędzy oraz paczki na święta Bożego Narodzenia, aż wreszcie zdesperowana Stephanie, napisała do niej rozpaczliwy list z prośbą o pomoc.

Kilka tygodni później weszła na pokład samolotu lecącego do Stanów Zjednoczonych.

Helenę była dla niej bardzo dobra. Młoda emigrantka pragnęła tylko tego, by móc mieszkać na Manhattanie, pracować w salonie piękności, a wieczorami chodzić do szkoły kosmetycznej. Mimo że przylatując do Stanów знаła zaledwie kilka słów po angielsku, w krótkim czasie zdołała znakomicie opanować ten język.

Odgarnęła z wysokiego czoła niesforny kosmyk jasnobrązowych włosów. Znowu zaczął jej doskwierać głód. Postanowiła, że coś zje teraz, a kiedy przyjedzie Helenę, odgrzeje jej kolację w kuchence.

O ósmej, kiedy z uśmiechem na ustach oglądała w telewizji powtórkę *Złotych dziewcząt*, zadźwięczał gong u drzwi.

Stephanie westchnęła — z ulgą, ale i z irytacją. Widocznie Helenę ma pełne ręce bagaży i nie chce jej się szukać kluczy. Zerknęła na ekran; program zbliżał się do końca. Skoro już spóźniła się tyle, czy nie mogła zaczekać jeszcze minuty? - pomyślała podnosząc się z kanapy.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy na schodkach zobaczyła młodego policjanta. Z niedowierzaniem wysłuchiwała informacji, że Helenę Petrovic została zastrzelona w Connecticut.

Zanim dała ogarnąć się rozpacz, przez głowę przemknęła jej rozpaczliwa myśl: co będzie ze mną? Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu Helenę powiedziała, że zamierza zmienić na jej korzyść testament, w którym poprzednio cały swój majątek zapisała Fundacji Kliniki Mannmga. Teraz wszystko przepadło.

Do zobaczenia



# 21

Około ósmej we wtorkowy wieczór ruch w podziemnym garażu prawie zupełnie ustał. Bernie, który często brał nadgodziny, właśnie zakończył dwunastogodzinną służbę i szykował się do wyjścia do domu.

Nie miał nic przeciwko dłuższej pracy, ponieważ zarówno pensja, jak i napiwki były całkiem przyzwoite. Właśnie dzięki napiwkom mógł sobie pozwolić na zakup skomplikowanego sprzętu elektronicznego. Jednak tego wieczoru był mocno podenerwowany i zaniepokojony. Kiedy w porze lunchu siedział w samochodzie Toma Weickera i grzebał w schowku w tablicy rozdzielczej, podniósłszy w pewnej chwili wzrok zobaczył przez przednią szybę szefa, który tylko zmierzył go ciężkim spojrzeniem, po czym odszedł bez słowa. Fatalnie. Awantura i natychmiastowa reprimenda z pewnością oczyściłyby atmosferę.

Bernie odbił kartę w zegarze. Kierownik wieczornej zmiany zauważył go przez okienko i wezwał do siebie. Na jego twarzy nie sposób było doszukać się żadnych przyjaznych uczuć.

- Bernie, opróżnij swoją szafkę. - Podał mu kopertę. - To twoja pensja i dwutygodniowa odprawa.

- Ale...

Kierownik przerwał mu stanowczym gestem.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że od pewnego czasu powtarzają się skargi na to, że z samochodów giną pieniądze i drobne przedmioty.

- Nigdy niczego nie ukradłem!

- Ale nie powinieneś być grzebać w samochodzie Weickera. Jesteś zwolniony.

Wróciwszy w paskudnym nastroju do domu, Bernie znalazł w kuchni mikrofalowej mrożone spaghetti i naleśniki z serem.

- Miałam okropny dzień - poskarżyła się matka, wyrzucając do worka resztki foliowego opakowania. - Te bachory z sąsiedztwa bez przerwy dają się przed naszym domem. Kazałam im się zamknąć, a one zaczęły wyzywać mnie od starych nietoperzy. Wiesz, co wtedy zrobiłam? - Nie czekała na odpowiedź. - Zadzwoiłam na policję. Nawet szybko przyjechali, ale byli dla mnie okropnie niemili.

Bernie chwycił ją za ramię.

- Sprowadziłaś tu policję? Zeszli na dół?

- Dlaczego mieliby schodzić na dół?

- Mamo, ja nie chcę, żeby tutaj kręcili się jacyś policjanci.

- Przecież ja sama już od paru lat nie byłam w piwnicy. Mam nadzieję, że utrzymujesz tam porządek? Wiesz przecież, że kurz okropnie drażni mi zatoki.

- W piwnicy jest zupełnie czysto, mamo.

- Chciałabym w to wierzyć. Niestety, nie lubisz sprzątać, zupełnie jak twój ojciec. - Roztarła sobie ramię. - Tak mocno mnie złapałeś, że aż zabołało. Nie rób tego więcej.

- Dobrze, mamo. Przepraszam.

Nazajutrz rano Bernie wyszedł z domu o tej samej porze co zwykle. Nie chciał, żeby matka dowiedziała się, że wyrzucono go z pracy. Zamiast do budynku stacji telewizyjnej, pojechał do myjni odległej zaledwie o kilka przecznic od domu. Po myciu, odkurzeniu, suszeniu, woskowaniu i polerowaniu jego ośmioletni chevrolet co prawda nie przestał być starym gratem, ale prezentował się całkiem przyzwoicie, ternie mył samochód kilka razy do roku, zwykle kiedy matka oświadczała, że w najbliższą niedzielę ma zamiar pojechać do kościoła. Oczywiście, sprawy miałyby się zupełnie inaczej, gdyby wybierał się na Przejazdkę z Meghan; dla niej wypucowałby wóz tak, że błyszczałby jak nowy.

Bernie miał w głowie precyzyjny plan postępowania. Myślał nad nim

stało się źle, że wyrzucono go z pracy.

tył jakiś głębszy sens. Przecież przez to, że musiał siedzieć w tym przeklętym garażu, widywał Meghan tylko wtedy, kiedy otwie-

rał drzwi jej białego mustanga lub kiedy wsiadała do wozu reporterskiego, a tymczasem on chciał być stale koło niej i filmować każdy jej ruch, by potem oglądać ją na ekranie telewizora.

Postanowił, że kupi sobie kamerę na Czterdziestej Siódmej Ulicy.

Najpierw jednak musi na nią zarobić. Jest znakomitym kierowcą, więc wykorzysta swoje umiejętności wożąc ludzi „na lebka”. Dzięki temu zajęciu będzie miał pełną swobodę poruszania się po mieście i okolicy; będzie mógł nawet pojechać za Meghan do Connecticut.

Musi tylko uważać, żeby nikt go nie zauważył.

„To się nazywa obsesja, Bernie” - powiedział psychiatra w więzieniu na Riker's Island, kiedy Bernie poprosił go, żeby wyjaśnił, co jest z nim nie w porządku. „Myślę, że udało się nam ci pomóc, ale gdybyś znowu poczuł coś takiego, natychmiast zgłoś się do mnie. Możliwe, że będziemy musieli dać ci jakieś leki”.

Ale Bernie wiedział, że nie potrzebuje żadnych lekarstw. Wystarczy, jeśli uda mu się być blisko Meghan Collins.

## 22

Ciało Helenę Petrovic przeleżało cały wtorek w sypialni, tam gdzie zginęła. Nigdy nie utrzymywała zbyt zażyłych stosunków z sąsiadami, zdążyła już pożegnać się z nielicznymi, z którymi wymieniała zdawkowe pozdrowienia, a jej samochód stał w zamkniętym garażu. Dopiero kiedy późnym popołudniem zjawiała się właścicielka segmentu, znalazła na podłodze obok łóżka zwłoki kobiety.

Zabójstwo samotnej specjalistki od embriologii nie wzbudziło większego zainteresowania nowojorskich stacji telewizyjnych, które ograniczyły się do lakonicznej wzmianki w wieczornych wiadomościach. Nie znaleziono dowodów świadczących o rabunkowym lub seksualnym motywie morderstwa.

Sąsiadka mieszkająca po drugiej stronie ulicy zeznała, że Helenę Petrovic odwiedzała tylko jedna osoba, mężczyzna, który zawsze przyjeżdżał późnym wieczorem. Nigdy nie zdołała mu się dokładnie przyrzyć, ale na pewno był wysoki. Przypuszczała, że jest bliskim przyjacielem Helenę Petrovic, gdyż zawsze wprowadzał samochód do garażu, ale odjeżdżał w nocy, bo rano już go nie było. Ile razy przyjeżdżał? Kilka, może kilkanaście. Jaki miał samochód? Nową, ciemną limuzynę.

"o odkryciu nekrologu babki Meghan zadzwoniła do szpitala ale odwiedziła się tylko, że matka śpi i że jej stan jest zadowalający. Po dważ dosłownie padała z nóg ze zmęczenia, wzięła pastylkę nasen-



na, położyła się do łóżka i obudziła się dopiero o wpół do siódmej, kiedy zadzwonił budzik.

Ponowna rozmowa telefoniczna ze szpitalem upewniła ją, że matka spokojnie przespała noc, a w stanie jej zdrowia nie zaszły żadne niekorzystne zmiany.

Pijąc kawę przeglądała „Timesa” i ku swemu niewysłowionemu zdumieniu w części dotyczącej Connecticut znalazła informację o śmierci doktor Helenę Petrovic. Obok krótkiej notatki zamieszczono zdjęcie ofiary; miała oczy o smutnym, tajemniczym spojrzeniu. Jeszcze niedawno rozmawiała z nią w klinice, pomyślała Meghan, Kto i dlaczego zamordował tę spokojną, inteligentną kobietę? Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl: według informacji zamieszczonej w gazecie doktor Petrovic właśnie zrezygnowała z pracy i zamierzała opuścić Connecticut. Czyżby jej decyzja miała jakiś związek ze zmianą stosunku doktora Manninga do pomysłu zrealizowania większego raportu o jego klinice?

Było jeszcze za wcześnie, żeby dzwonić do Toma Weickera, ale chyba w sam raz, by złapać Maca, zanim wyjdzie do pracy. Meghan wiedziała, że musi stawić czoło jeszcze jednej sprawie, więc równie dobrze mogła to zrobić właśnie teraz.

Po głosie Maca łatwo było poznać, że się śpieszy.

- Mac, bardzo cię przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale muszę z tobą porozmawiać.

- To ty, Meg? Jasne, nie ma sprawy. Zaczekaj chwilkę.

Chyba zasłonił mikrofon ręką, gdyż jego zirytowany głos dochodził jakby zza ściany.

- Kyle, znowu zostawiłeś zeszyty na stole w kuchni! - Zaraz potem zwrócił się do Meghan. - Wybacz mi, ale codziennie jest to samo. Każę mu spakować zeszyty wieczorem, ale on tego oczywiście nie robi, a rano biega jak szalony po całym domu, bo wydaje mu się, że je zgubił.

- Czemu więc nie spakujesz ich za niego?

- Bo to niewychowawcze. Co z mamą, Meg?

- W porządku. Myślę, że nic jej nie będzie. To silna kobieta.

- Tak jak ty.

- Ja na pewno jej nie dorównuję.

- Moim zdaniem znacznie ją przewyższasz, bo nie wspomniałaś mi ani słowem o tej ofierze morderstwa. Ale o tym pogadamy innym razem.

- Mac, czy jadąc do pracy mógłbyś wstąpić do mnie na minutkę?

- Jasne. Jak tylko Jego Wysokość wsiądzie do autobusu.

Meghan wiedziała, że ma najwyżej dwadzieścia minut, żeby się wykąpać i ubrać. Kiedy rozległ się dzwonek, właśnie kończyła się cześć.

- Napijmy się kawy - zaproponowała, - Muszę zadać ci kilka bardzo poważnych pytań.

Czy to możliwe, żeby minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy tym samym stole? - zadała sobie w myślach pytanie. Wydawało się jej, że miało to miejsce nie wiadomo jak dawno. Jednak wczoraj była niemal w szoku, dzisiaj natomiast, wiedząc, że z matką wszystko w porządku, mogła spojrzeć prawdzie w oczy - niezależnie od tego, jaka miałyby być.

- Jesteś specjalistą od DNA, prawda?

- Owszem.

- I wiesz o tym, że kobieta, którą zamordowano w czwartek, była do mnie bardzo podobna?

- Wiem.

- Czy możliwe jest stwierdzenie pokrewieństwa między nami na podstawie porównania naszego DNA?

Mac unióśł brwi i przez chwilę przyglądał się uważnie Meghan, po czym skoncentrował spojrzenie na swojej filiżance.

- Meg, wygląda to tak: na podstawie badania DNA możemy stwierdzić ze stuprocentową pewnością, czy dane osoby miały tę samą matkę. Badanie jest bardzo skomplikowane, ale jeśli chcesz, mogę zaprowadzić cię do laboratorium i pokazać, jak wygląda. Ustalenie, czy owe osoby miały tego samego ojca jest możliwe z pewnością sięgającą dziesięćdziesięciu dziewięciu procent. Nie jest to więc jednoznaczne stwierdzenie taktu, tylko granicząca z pewnością hipoteza.

- Czy można przeprowadzić takie badanie mojego DNA i DNA tamtej kobiety?

-Tak.

-Nie wydajesz się zaskoczony moją prośbą.

Odstawił filizankę i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

-Meg, już wcześniej postanowiłem, że dziś po południu pojedę do kostnicy, żeby zobaczyć tę dziewczynę i upewnić się, że pobiorą próbkę jej krwi, zanim zostanie pochowana.

Meg przygryzła dolną wargę.

-A więc twoje domysły idą w tym samym kierunku. - Zamrugowała raptownie, by usunąć sprzed oczu obraz twarzy martwej kobiety. - Rano muszę zobaczyć się z Phillipem i zajrzeć do szpitala. Możemy spotkać się w kostnicy. O której by ci pasowało?

Umówili się na drugą. Wsiadając do samochodu, Mac pomyślał, że właściwie żadna pora nie była odpowiednia, by oglądać zwłoki kobiety podobnej do Meghan Collins.

## 23

Phillip Carter dowiedział się o śmierci doktor Petrovic z radia, w drodze do biura. Natychmiast zanotował w pamięci, żeby polecić Orsiniemu znalezienie jej następcy; bądź co bądź, pracę w Klinice Manninga otrzymała właśnie dzięki ich firmie. Prowizja za znalezienie specjalisty w dziedzinie wymagającej tak wysokich kwalifikacji była pokaźna, więc należało uczynić wszystko, żeby ponownie móc na nią zapracować.

Kiedy za kwadrans dziewiąta dotarł do biura, zobaczył samochód Meghan, zaparkowany blisko wejścia do budynku. Najwyraźniej czekała na niego, gdyż wysiadła z wozu i wyszła mu naprzeciw.

- Cóż za miła niespodzianka. - Objął ją ramieniem. - Ale przecież masz klucze! Dlaczego nie weszłaś?

Przez twarz Meg przemknął blady uśmiech.

- Dopiero przed chwilą przyjechałam - odparła.

Poza tym, wchodząc bez pozwolenia, czułabym się jak intruz, do dała w myślach.

- Mam nadzieję, że z Catherine wszystko w porządku?

- Czuje się całkiem nieźle.

- Dzięki Bogu - powiedział z wyraźną ulgą.

Niewielka poczekalnia, na której umeblowanie składały się krzesła i kanapa pokryte różnobarwnym, wzorzystym materiałem oraz okrągły stolik do kawy, sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie. Idąc Przez nią Meghan czuła, jak wezbraną falą ogarniają przygnębienie, ym razem weszli do gabinetu Phillipa; chyba wyczuł, że dziewczyna me chce rozmawiać w pokoju ojca.

Pomógł jej zdjąć płaszcz.

- Może kawy?

- Dzięki. Zdążyłam wypić już trzy filiżanki.

Zajął miejsce za biurkiem.

- A ja staram się trochę ograniczyć ilość kofeiny, więc też zrezygnuję. Meg, wyglądasz na zmartwioną.

- Bo jestem. - Zwilżyła usta. - Phillipie, zaczynam podejrzewać, że w gruncie rzeczy nie znałam ojca.

W jakim sensie?

Opowiedziała mu o nekrologu i listach znalezionych w szufladzie biurka; mówiąc obserwowała, jak troska malująca się na jego twarzy ustępuje miejsca niedowierzaniu.

- Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć - powiedział, kiedy skończyła. - Znałem twego ojca od wielu lat. Odkąd pamiętam, zawsze wydawało mi się, że jego matka umarła, kiedy był małym chłopcem, ojciec zaś ponownie się ożenił, w wyniku czego Edwin miał paskudne dzieciństwo. Kiedy mój ojciec umierał, Ed powiedział coś, czego nie zapomnę do końca życia: „Zazdroszczę ci, że będziesz mógł opłakiwać któreś z rodziców”.

- A więc nie znałeś ani jego matki, ani ojca?

- Oczywiście, że nie.

- Nie rozumiem, dlaczego kłamał? - Meghan zacisnęła ręce i przygryzła dolną wargę. - Dlaczego nie powiedział prawdy mojej matce? Co chciał osiągnąć, zwodząc ją i oszukując?

- Zastanów się, Meg. Kiedy poznał twoją matkę, na pewno opowiedział jej o swojej rodzinie, przedstawiając taką samą wersję wydarzeń, jak wszystkim. Potem, kiedy okazało się, że przypadli sobie do gustu, było mu głupio przyznać się, że ją okłamał. Poza tym, czy wyobrażasz sobie, jaka byłaby reakcja twego dziadka, gdyby dowiedział się, że jego przyszły zięć zerwał wszelkie kontakty z matką?

- Tak, chyba rozumiem... Ale przecież dziadek umarł tak dawno temu! Czemu tata...

Miała tak bardzo ściśnięte gardło, że nie zdołała dokończyć.

- Meg, kiedy raz zacznie się kłamać, powrót do prawdy z upływem czasu staje się coraz trudniejszy.

Meghan usłyszała głosy dobiegające zza drzwi i wstała z fotela.

- Czy możesz zachować to tylko dla siebie?

- Oczywiście.

Carter wstał także.

- Co masz zamiar teraz zrobić?

- Jak tylko upewnię się, że z mamą wszystko w porządku, pojedę na Chestnut Hill. Może tam uda mi się czegoś dowiedzieć.

- A jak posuwa się praca nad reportażem o Klinice Manninga?

- W ogóle się nie posuwa, bo Manning cofną swoją zgodę. Będę musiała znaleźć inny ośrodek zajmujący się zapłodnieniem pozaustrojowym... Zaraz, chwileczkę: zdaje się, że ty albo tata szukaliście dla nich kogoś z personelu?

- Tą sprawą zajmował się twój ojciec. Tak się niefortunnie składa, że chodzi o tę kobietę, którą zastrzelono wczoraj wieczorem.

- Doktor Petrovic? Rozmawiałam z nią w zeszłym tygodniu.

Zabrzącał interkom. Phillip Carter podniósł słuchawkę.

- Kto? W porządku, proszę przełączyć... Dzwoni dziennikarz z „New York Post” — wyjaśnił dziewczynie. - Licho wie, czego chce ode mnie. - Ponownie przyłożył słuchawkę do ucha i po chwili jego twarz zachmurzyła się. - To absolutnie niemożliwe - powiedział głosem, w którym wyraźnie zabrzmiała tłumiona wściekłość. - Nie będę się wypowiadał na ten temat aż do chwili, kiedy osobiście porozmawiam z doktorem Iovino ze Szpitala Miejskiego.

Gwałtownym ruchem odłożył słuchawkę i spojrzał na Meghan.

- Meg, ten dziennikarz zainteresował się przeszłością Helenę Petrovic. Okazuje się, że nikt nigdy nie słyszał o niej w Szpitalu Miejskim w Nowym Jorku. Zatem jej referencje były sfalszowane, a my nie mieliśmy żadnych podstaw, żeby skierować ją do Kliniki Manninga!

- Ale chyba sprawdziliście wszystko, zanim przedstawiliście Manningowi jej kandydaturę?

Meghan nie musiała zadawać tego pytania, gdyż doskonale знаła odpowiedź, a nawet gdyby nie znała, bez trudu wyczytałaby ją z twarzy

Phillipa Cartera. Sprawą Helenę Petrovic zajmował się Edwin Collins. Wic

to do jego obowiązków należało zweryfikowanie informacji zawartych w jej życiorysie.

# 24

Mimo wysiłków personelu napięcie panujące w Klinice Manninga dawało się wyczuć bez trudu. Kilka nowych pacjentek obserwowało z niepokojem, jak z mikrobusu sieci CBS wyskakują reporter i kamerzysta i szybkim krokiem ruszają w kierunku głównego wejścia do budynku.

Marge Walters doskonale wywiązała się z roli uprzejmej, ale stanowczej recepcjonistki.

- Doktor Manning nie będzie udzielał żadnych wywiadów aż do chwili, kiedy zapozna się z wszystkimi zarzutami - oświadczyła reporterowi. Nie mogła jednak przeszkodzić kamerzyście, filmującemu wewnątrz głównego holu oraz znajdujące się tam kobiety. Kilka z nich poderwało się z miejsc, więc Marge opuściła swoje miejsce za biurkiem i podbiegła do nich.

- To tylko chwilowe nieporozumienie... próbowała je uspokoić. Nagle zdała sobie sprawę, że kamera rejestruje każdy jej ruch i słowo.

- To nie żadne nieporozumienie, tylko najzwyczajniejszy skandal! - wybuchnęła jedna z kobiet, zasłaniając sobie twarz rękami. - Długo walczyłam ze sobą, zanim zdecydowałam się tu przyjechać, a teraz mam jeszcze oglądać się w wiadomościach?

Szybkim krokiem skierowała się do wyjścia.

- Ja też rezygnuję - powiedziała druga. - Pani Walters, proszę skreślić moją dzisiejszą wizytę.

- Rozumiem. - Marge próbowała przywołać na twarz współczującą uśmiech. - Na kiedy mam panią zapisać?

- Muszę sprawdzić w kalendarzyku. Zadzwońię później.

Marge w milczeniu obserwowała uciekające w popłochu kobiety. Żadna nie zadzwoni, pomyślała z goryczą. Nagle zauważyła, że pani Kaplan, która przyszła na drugą już wizytę, podchodzi do reportera.

- Co się właściwie stało? - zapytała pacjentka.

- To, że osoba, która przez sześć lat kierowała laboratorium w tej klinice, nie była lekarzem. Wszystko wskazuje na to, że ukończyła tylko kurs kosmetyczny.

- O, Boże! - Pani Kaplan załamała rękę. - Dwa lata temu moja siostra poddała się tu zabiegowi. Czy jest możliwe, że wszczepiono jej cudzy embrion?

Niech Bóg ma nas w swojej opiece, pomyślała Marge. To już koniec. Rano, kiedy usłyszała przez radio wiadomość o śmierci doktor Petrovic, doznała niemal szoku. Dopiero przed godziną, kiedy zjawiła się w pracy, dotarły do niej pogłoski, że coś jest nie w porządku z referencjami lekarki. Teraz, kiedy usłyszała rozmowę pani Kaplan z dziennikarzem i zobaczyła na własne oczy reakcję pacjentki, uświadomiła sobie, co ten skandal może oznaczać dla kliniki.

Helene Petrovic zajmowała się zamrożonymi embrionami. Pod jej opieką znajdowały się setki próbek wielkości połowy serdecznego palca, zawierających zarodki ludzkich istot. Wystarczyła najmniejsza pomyłka, żeby pacjentce wszczepiono niewłaściwy embrion, czyniąc z niej matkę-nosicielkę, nie zaś biologiczną matkę dziecka.

Pani Kaplan także wybiegła z kliniki, a za nią popędzili reporter i kamerzysta. Marge wyrzała przez okno: na parking zajeżdżały samochody kolejnych stacji telewizyjnych, a dziennikarze zasypywali Pytaniami kobiety, które przed chwilą opuściły budynek.

Wśród reporterów dostrzegła także młodą dziennikarkę z Kanału 3, Meghan Collins. To ona miała przygotować reportaż o klinice; doktor Manning najpierw wyraził zgodę, a potem nie wiedzieć czemu wycofał się ze współpracy.

\*\*\*

Meghan nie była do końca przekonana, czy powinna się tu zjawić, bardziej, że już niebawem, przy okazji badania skandalu z fałszywymi referencjami Helene Petrovic, musiało wypłynąć na wierzch na-

zwisko jej ojca. Zaraz po opuszczeniu gabinetu Phillipa Cartera otrzymała przez telefon komórkowy wiadomość, że Steve, jej kamerzysta, będzie na nią czekał w Klinice Manninga.

- Weicker się zgodził - uprzedzono jej pytanie.

Usiłowała wcześniej dodzwonić się do Toma Weickera, by poinformować go o niezręcznej sytuacji, w jakiej się znalazła, ale nigdzie nie mogła go złapać. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że postąpi najrozsądniej przyjmując to zlecenie. Należało się spodziewać, że na razie prawnicy i tak nie dopuszczą dziennikarzy do doktora Manninga.

Nie przyłączyła się do gromady reporterów zasypujących gradem pytań zdezorientowane kobiety; dała znak Steve'owi, żeby szedł za nią i delikatnie otworzyła drzwi kliniki. Tak jak się spodziewała, Marge Walters siedziała za biurkiem i rozmawiała z kimś przez telefon.

- Musimy odwołać wszystkie dzisiejsze wizyty! - mówiła recepcjonistka podniesionym głosem. - I powiedz im, żeby czym prędzej wydali jakieś oświadczenie, bo w przeciwnym razie w telewizji pokażą tylko uciekające pacjentki. - Stuknięcie drzwi, które zamknęły się za Steve'em spowodowało, że Marge podniosła wzrok. - Muszę już kończyć - rzuciła pospiesznie do słuchawki.

Meghan odezwała się dopiero wtedy, kiedy zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko biurka. Sytuacja wymagała taktu i wyczucia. Zdążyła się już przekonać, że nie należy być natarczywym wobec ludzi, którzy czują się w jakikolwiek sposób zagrożeni.

- Widzę, że ma pani ciężki dzień, pani Walters - powiedziała łagodnie.

Recepcjonistka otarła czoło wierzchem dłoni.

- I to jak!

Kobieta najwyraźniej miała się na baczności, ale Meghan od razu zorientowała się, że przeżywa ona ten sam konflikt, co poprzedniego dnia: Marge Walters doskonale zdawała sobie sprawę z konieczności zachowania dyskrecji, lecz jednocześnie rozpierała ją chęć porozmawiania z kimś o najświeższych wydarzeniach. Marge po prostu była urodzoną plotkarą.

- Poznałam doktor Petrovic podczas zjazdu - ciągnęła Meghan poornie obojętnym tonem. - Wydała mi się bardzo miłą osobą.

- Bo taka była - potwierdziła skwapliwie Marge. - Naprawdę trudno uwierzyć, że nie miała niezbędnych kwalifikacji. Przypuszczam, że skończyła studia medyczne w Rumunii, a teraz, kiedy tam tyle się zmieniło, na pewno uda się to potwierdzić. Nie rozumiem tylko, dlaczego ci ze Szpitala Miejskiego twierdzą, że nigdy u nich nie pracowała. To na pewno jakaś pomyłka, ale sprostowanie może nadejść zbyt późno. Taki skandal oznacza dla nas koniec.

- Całkiem możliwe - zgodziła się Meghan. - Myśli pani, że jej rezygnacja ma jakiś związek z wczorajszą decyzją doktora Manninga o odwołaniu wywiadu?

Marge bez słowa spojrzała na kamerę trzymaną przez Steve'a.

- Chciałabym poinformować opinię publiczną o wszystkim, co mogłoby zmienić negatywny obraz kliniki - dodała pospiesznie Meghan.

Marge Walters wahała się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie podjęła decyzję. Postanowiła zaufać Meghan Collins.

- Helenę Petrovic była jedną z najsympatyczniejszych i najcieężej pracujących osób, jakie kiedykolwiek widziałam. Nikt nie cieszył się tak bardzo jak ona, kiedy zabieg wszczepienia embrionu kończył się sukcesem. Kochała te wszystkie małe istotki, które miała pod swoją opieką i osobiście pilnowała, żeby regularnie sprawdzano działanie awaryjnego generatora, który w razie awarii elektryczności miał zapewnić stały dopływ prądu do zamrażarek. - W oczach recepcjonistki pojawiły się łzy. - Pamiętam, jak w zeszłym roku doktor Manning opowiedział nam na zebraniu, jak przyjechał do kliniki podczas tej okropnej grudniowej burzy śnieżnej, żeby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Wie pani, kto zjawił się minutę po nim? Helenę Petrovic. Musi pani wiedzieć, że ona potwornie bała się jeździć nocą, szczególnie kiedy padał śnieg, a mimo to wsiadła do samochodu i przyjechała. Tak bardzo przejmowała się swoją pracą.

- Pani słowa potwierdzają wrażenie, jakie odniosłam podczas naszej rozmowy - odparła Meghan. - Wydała mi się wtedy bardzo troskliwą, pełną poświęcenia osobą, szczególnie kiedy zobaczyłam, w jaki sposób odnosi się do tych wszystkich dzieci.

- Nie było mnie wtedy, bo miałam ślub w rodzinie. Czy możecie przestać filmować?



- Oczywiście.

Meghan dała znak Steve'owi, żeby wyłączył kamerę.

Marge Walters potrząsnęła głową.

- Naprawdę chciałam tu być, ale moja kuzynka Dodie wreszcie zdecydowała się wyjść za mąż za chłopaka, z którym mieszkała od ośmiu lat. Szkoda, że nie słyszała pani, co mówiła jej matka! Można by pomyśleć, że chodzi o dziewiętnastoletnią dziewczynę ze szkoły prowadzonej przez zakonnice. Założę się, że dzień przed ślubem zaczęła tłumaczyć córce, skąd się biorą dzieci! - Skrzywiła się, uświadomiwszy sobie, że akurat w tym miejscu jej słowa mogą brzmieć trochę dwuznacznie. - To znaczy, skąd się bierze większość z nich.

- Czy jest jakiś sposób, żeby dotrzeć do doktora Manninga?

Meghan zdawała sobie sprawę, że jeśli taki sposób istnieje, to może go znać wyłącznie ta kobieta. Niestety, spotkał ją zawód.

- Powiem pani w sekrecie, że właśnie teraz rozmawia z zastępcą prokuratora stanowego i policjantami.

Nie było w tym nic dziwnego; rozmowa z pewnością dotyczyła nagłego odejścia Helenę Petrovic z kliniki oraz jej życia osobistego.

- Czy Helenę miała przyjaciół wśród personelu?

— Raczej nie. Była bardzo miła, ale jakby trochę skryta...

Wie pani,

co mam na myśli. Początkowo myślałam, że to może ze względu na swoje pochodzenie, ale przecież te wszystkie Gabor też są z Rumunii, a mają mnóstwo przyjaciół, szczególnie Zsa Zsa.

- Wydaje mi się, że Zsa Zsa Gabor pochodzi nie z Rumunii tylko z Węgier, ale to w tej chwili nie ma znaczenia. A więc pani zdaniem Helenę Petrovic nie miała przyjaciół ani nie utrzymywała z nikim bliższych kontaktów?

- Jeżeli już miałabym kogoś nazwać jej przyjacielem, to chyba tylko doktora Williamsa. Był asystentem doktora Manninga. Przez pewien czas nawet zastanawiałam się, czy on i Helenę nie mają się ku sobie. Pewnego razu pojechaliśmy z mężem na kolację do takiej jednej małej restauracji i tam zobaczyłam ich razem przy stoliku. Szczerze mówiąc, nie sprawiali wrażenia zachwyconych, kiedy podeszłam do nich i powiedziałam: „Dobry wieczór”. Ale to było tylko ten jeden jedyny raz, sześć lat temu, zaraz po tym, jak zaczęła tu pracować. Mu-

szą przyznać, że od tego czasu miałam na nich oko, ale nigdy nie zauważyłam, żeby byli dla siebie jakoś szczególnie serdeczni.

- Czy doktor Williams nadal pracuje w klinice?

- Nie. Otrzymał propozycję objęcia posady dyrektora Centrum Franklina w Filadelfii i przyjął ją, czemu zresztą trudno się dziwić, bo Centrum cieszy się znakomitą opinią. Między nami mówiąc, doktor Williams jest urodzonym menedżerem. Skompletował tutaj cały zespół lekarzy i, proszę mi wierzyć, spisał się znakomicie.

- A więc to on zaangażował Helenę Petrovic?

- Teoretycznie tak, ale kandydatów na wszystkie najważniejsze stanowiska wyszukiwała nam jedna z firm zajmujących się, jak to się mówi, polowaniem na talenty. Jednak potem pracowali tu razem przez jakieś pół roku, więc gdyby Helenę nie nadawała się do tej roboty, doktor Williams na pewno by to zauważył.

- Chętnie zamieniałabym z nim kilka słów, pani Walters.

- Proszę mówić mi Marge. Ja też bym tego chciała. Powiedziałaby ci, jak znakomicie Helenę dawała sobie radę w laboratorium.

Frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Recepcjonistka spojrzała w ich stronę.

- Znowu kamery! Meghan, nie powiem więcej ani słowa.

-I tak bardzo mi pomogłaś.

W drodze do domu postanowiła, że nie da doktorowi Williamsovi szansy na zbycie jej przez telefon. Pojedzie do Filadelfii, do Centrum Franklina, i spróbuje porozmawiać z nim osobiście. Przy odrobinie szczęścia może uda się namówić go do wzięcia udziału w programie o problemach związanych z zapłodnieniem pozaustrojowym?

Ciekawe, co powie o Helenę Petrovic? Czy będzie jej bronił, jak Marge Walters, czy raczej wyrazi oburzenie z powodu oszustwa, jakiego się dopuściła, okłamując jego i pozostałych kolegów?

Meghan zastanawiała się także, czego dowie się w domu na Chestnut Hill, skąd jej ojciec otrzymał wiadomość o śmierci matki.

# 25

Victor Orsini i Phillip Carter nigdy nie chodzili razem na lunch. Orsini zdawał sobie sprawę, że Carter uważa go za protegowanego Edwina Collinsa. Kiedy przed siedmiu laty pojawiła się możliwość zatrudnienia w firmie, Orsini miał poważnego konkurenta, ale pokonał go dzięki decyzji Eda Collinsa. Jego stosunki z Carterem od samego początku były poprawne, lecz nigdy serdeczne.

Jednak dzisiaj, kiedy już obaj zamówili solę z rusztu i domową sałatkę, Orsini musiał sam przed sobą przyznać, że szczerze współczuje Carterowi. Do biura co chwila wpadali jacyś dziennikarze, urywały się telefony, bo bez przerwy dzwonili reporterzy z prasy, radia i telewizji, wszyscy zaś zadawali to samo pytanie: Jak to możliwe, że by Collins i Carter nie zdemaskowali kłamstw, zawartych w życiorysie Helenę Petrovic?

- Mówię im prawdę - powiedział Phillip Carter, nerwowo bębniąc palcami w nakryty obrusem stół. - Ed zawsze skrupulatnie badał kandydatów, a tą sprawą zajmował się osobiście. Fakt, że zniknął bez śladu, oraz to, że policja oficjalnie wyraża wątpliwości co do tego, czy zginął w wypadku na moście, działa jak oliwa dołana do ognia.

- Czy Jackie nie przypomina sobie jakichś szczegółów związanych z tą sprawą? - zapytał Orsini.

- Wtedy dopiero co zaczęła u nas pracować. Co prawda na liście są jej inicjały, ale ona niczego nie pamięta. Wcale się jej nie dziwię: przecież to zwykły list polecający, jaki zawsze dołączamy do życiorysu kandydata, który został przez nas zaakceptowany. Jak tylko doktor Man-

ning otrzymał naszą opinię, zaprosił Helenę Petrovic na rozmowę i przyjął ją do pracy.

- Zostać przyłapanym na fałszerstwie dokumentów to nic przyjemnego, ale chyba najgorzej jest wtedy, jeśli sprawa dotyczy medycyny - zauważył Orsini.

- To prawda - zgodził się Phillip. - Jeżeli ta Petrovic cokolwiek naknoćła i klinika zostanie pozwana do sądu, jest bardziej niż pewne, że oni pozwą z kolei nas.

-I wygrają.

Carter skinął głową.

-I wygrają. - Umilkł na chwilę. - Victorze, współpracowałeś z Edem częściej niż ze mną. Tego wieczoru, kiedy zadzwonił do ciebie z samochodu, chciał umówić się z tobą na spotkanie następnego dnia rano. Czy powiedział może coś jeszcze?

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Przestań się zgrywać, do cholery! - parsknął Phillip Carter. - Czy na podstawie tej rozmowy można dojść do wniosku, że znajdował się w takim stanie psychicznym, by skorzystać ze sposobności i zniknąć, pozorując swoją śmierć w katastrofie?

- Chciał się tylko upewnić, czy nazajutrz rano będę w biurze, bo zależało mu na tym, by ze mną porozmawiać - odparł Orsini lekko podniesionym głosem. - Nie wiem, czy mówił coś jeszcze, bo połączenie było wyjątkowo słabe. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

- Wybacz mi. Po prostu szukam czegokolwiek, co pozwoliłoby dostrzec jakiś sens w tym bezsensie. - Carter westchnął ciężko. - Właściwie chciałem porozmawiać z tobą o czymś innym. W sobotę Meghan zabierze z gabinetu Eda jego rzeczy osobiste, więc od poniedziałku będziesz mógł się tam przenieść. Co prawda ten rok nie był najlepszy, ale możesz przemeblować pokój według własnego uznania, naturalnie w granicach rozsądku.

- Nie zwracaj sobie tym głowy.

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

Uwagze Orsiniego nie umknął fakt, iż Phillip Carter nawet nie zaczął się o tym, że w przyszłości, kiedy wyjaśnieniu ulegnie status



prawny zaginionego Eda Collinsa, ma zamiar zaproponować Victorowi przystąpienie do spółki. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma co liczyć na taką propozycję. Jeżeli o niego chodzi, to szykował się już do przenosin do znacznie większej firmy na zachodnim wybrzeżu; mógł tam trafić już w ubiegłym roku, ale wówczas przyjęto kogoś innego, kto zupełnie się nie sprawdził. I bardzo dobrze, gdyż tym razem zaproponowano mu znacznie wyższe zarobki, stanowisko wiceprezesa oraz możliwość nabycia po cenach preferencyjnych sporego pakietu akcji.

Najchętniej odszedłby już teraz, ale ze względu na okoliczności było to niemożliwe. Poza tym musiał jeszcze sprawdzić coś w biurze, a po przenosinach do gabinetu Eda miał większe szanse na to, że poszukiwania zakończą się powodzeniem.

## 26

Bernie wstąpił na obiad do restauracji przy drodze numer 7, tuż za Danbury. Usiadłszy na stołku przy barze zamówił największego hamburgera, frytki i kawę, po czym, przeżuując i połykając, z zadowoleniem analizował wydarzenia minionych godzin.

Po umyciu samochodu kupił w sklepie z używaną odzieżą czapkę szofera i ciemną marynarkę, gdyż uważał, że dzięki temu strojowi już na samym starcie uzyska przewagę nad kierowcami wszystkich nielegalnych taksówek w Nowym Jorku, następnie zaś pojechał na lotnisko La Guardia i zaparkował samochód w miejscu, gdzie stało już sporo limuzyn oczekujących na pasażerów.

Poszcęściło mu się niemal od razu. Mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna zjechał ruchomymi schodami i zaczął szukać wśród kierowców tego, który trzymał kartkę z jego nazwiskiem, ale okazało się, że nikt na niego nie czeka. Bernie bez trudu czytał w myślach pechowca; pewnie zamówił samochód w którejś z tańszych firm i teraz kłął się za to w duchu. Większość kierowców zatrudnionych w tych przedsiębiorstwach dopiero od niedawna mieszkała w Nowym Jorku i przez pierwsze pół roku pracy nie była w stanie trafić pod żaden adres. Bernie podszedł do mężczyzny i zaproponował, że zawiezie go do asta; uprzedził, że nie dysponuje luksusową limuzyną, tylko zwykłym, porządnie utrzymanym samochodem, oraz oznajmił z dumą, że jest na najlepszym kierowcą, jakiego można sobie wyobrazić. Kurs odniósł Czterdziestą Ósmą Ulicę miał kosztować dwadzieścia minut, a on dostarczył tam swego pasażera w ciągu trzydziestu minut i otrzymał dziesięciodolarowy napiwek.

-Naprawdę prowadzi pan jak szatan - powiedział mężczyzna.

Bernie włożył do ust kolejną frytkę i uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeżeli dalej będzie mu szło podobnie, to minie sporo czasu, zanim matka zorientuje się, że stracił posadę. Nigdy nie dzwoniła do niego do pracy, bo nie lubiła rozmawiać przez telefon. Twierdziła, że boli ją od tego głowa.

Był teraz wolny jak ptak i znajdował się blisko miejsca, gdzie mieszkała Meghan. Kupił plan okolic Newtown i przestudiował go uważnie. Collinsów stał przy Bayberry Road, nawet niedaleko stąd.

Punktualnie o drugiej przejechał powoli obok białego budynku pomalowanymi na czarno okiennicami. Przyglądał mu się z uwagą, kłójąc każdy szczegół. Bardzo ładny dom, nawet elegancki. Bernie przypomniał sobie sąsiadów z Jackson Heights, którzy wylewali bebnem maleńkie podwóreczka i z dumą mówili o nich: „patio”.

Po lewej stronie brukowanego kostką podjazdu rósł spory rododendron, po prawej płacząca wierzba, a iglasty żywopłot oddzielał działkę Collinsów od sąsiedniej posesji.

Zadowolony z wyników obserwacji Bernie wcisnął mocniej pedał gazu. Naturalnie byłby idiotą, gdyby od razu zawrócił; skreślił za najbliższy róg i natychmiast depnął hamulec; niewiele brakowało, a potraciłby jakiegoś skretyniałego psa.

- Jake! Jake! - krzyczał mniej więcej siedmioletni chłopiec, biegnąc o sił w nogach przez trawnik.

Pies merdając wesoło ogonem podbiegi do dzieciaka, a Bernie powoli ruszył z miejsca. Na ulicy było tak cicho, że mimo zamkniętych okien wyraźnie usłyszał, jak chłopiec woła za nim:

-Dziękuję panu! Bardzo dziękuję!

\*\*\*

Mac zjawił się w biurze koronera, mieszczącym się przy wschodniej Trzydziestej Pierwszej Ulicy, już o wpół do drugiej. Meghan miała przyjechać dopiero o drugiej, ale on zadzwonił wcześniej i umówił się na spotkanie z doktorem Kennethem Lyonsem. Zaprowadzono go na czwarte piętro, gdzie w małym gabinecie podzielił się z lekarzem sądowym swymi podejrzeniami.

Lyons był szczupłym, blisko pięćdziesięcioletnim mężczyzną o życzliwym uśmiechu i bystrych, inteligentnych oczach.

- Ta kobieta to prawdziwa zagadka. Z pewnością nie jest kimś, czyje zniknięcie nie wzbudziłoby czyjegoś zainteresowania. I tak przed pogrzebem pobralibyśmy próbkę jej DNA. Nie widzę przeszkód, żeby pobrać taką samą próbkę od panny Collins i sprawdzić, czy istnieje między nimi jakieś pokrewieństwo.

- Meghan bardzo na tym zależy.

Sekretarka doktora siedziała przy biurku pod oknem. Kiedy zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę, po czym oznajmiła:

- Panna Collins czeka na dole.

Wyszedłszy z windy, Mac ujrzał na twarzy Meghan coś więcej niż całkiem zrozumiałym lęk, jaki większość ludzi odczuwa przed wizytą w kostnicy. Odnosił też wrażenie, że rozpacz, która towarzyszyła dziewczynie od chwili zaginięcia ojca, ustąpiła miejsca przejmującemu smutkowi.

Mimo to na jego widok uśmiechnęła się lekko. Jest taka ładna, pomyślał. Porywisty wiatr sprawił, że kasztanowate włosy rozwiały się jej wokół głowy. Miała na sobie czarno-biały tweedowy kostium oraz czarne botki. Zapinany na suwak żakiet sięgał bioder, a obcisła spódnica łydek. Czarny golf podkreślał błądź twarży.

Mac przedstawił ją doktorowi Lyonsowi.

- Zejdziemy do chłodni, żebyście mogli przyjrzeć się ofierze - powiedział koroner.

W kostnicy było idealnie czysto. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy wielkich szuflad. Zza zamkniętych szklanych drzwi, teraz zasłoniętych kotarą, dobiegał stłumiony szmer głosów. Mac był pewien, że w sali obok trwa właśnie sekcja zwłok.

Jeden z pracowników zaprowadził ich na sam koniec pomieszczenia i wskazał jedną z szuflad. Doktor Lyons podziękował mu skinieniem głowy, a następnie pociągnął za uchwyt.

Szuflada wysunęła się bezszelestnie. Mac w milczeniu przyglądał się nagiemu, zamrożonemu ciału młodej kobiety. Na klatce piersiowej widniała głęboka rana. Szczupłe ramiona leżały wyciągnięte wzdłuż tułowia, palce rąk były wyprostowane. Szczupła talia, chłopięce bio-

dra, długie nogi, stopy o wysokim podbiciu... Wreszcie Mac przeniósł wzrok na twarz.

Zmatowiałe kasztanowate włosy przylegały go czaszki, ale bez trudu mógł wyobrazić je sobie lśniące i potargane przez wiatr. Usta były pełne, rzęsy gęste i długie, czarne brwi odznaczały się wyraźnie na wypukłym czole.

Nagle poczuł się tak, jakby otrzymał silny cios w żołądek. Chwyliły go mdłości i zawroty głowy. To mogła być Meg, pomyślał. Ktoś chciał, żeby to była Meg.

## 27

Catherine Collins wcisnęła przycisk i część łóżka uniosła się bezszelestnie, tak że posłanie zamieniło się w coś w rodzaju wygodnego fotela. Już od godziny, czyli od chwili, kiedy zabrano tacę z resztkami lunchu, Catherine bezskutecznie usiłowała zasnąć. Była zresztą wściekła na siebie za próbę ucieczki w sen; pora stawić życiu czoło, moja miła, powiedziała sobie stanowczo.

Żałowała, że nie ma przy sobie kalkulatora i ksiąg rachunkowych zajazdu, bo wtedy mogłaby samodzielnie oszacować, kiedy będzie musiała sprzedać „Drumdoe”. Te przeklęte długi! Ojciec nigdy nie zdecydowałby się zaciągnąć tak wysokiego kredytu. „Obywaj się tym co masz i rób wszystko, żeby było tego coraz więcej” - brzmiało jego życiowe credo, które często jej powtarzał.

Jednak, kiedy wreszcie wybudował upragniony zajazd i dom, stał się nadzwyczaj szczodrym mężem i ojcem. Naturalnie pod warunkiem, że nie oczekiwało się od niego jakichś ekstrawagancji.

Chyba oszalałam, dając projektantowi wolną rękę i nie stawiając prawie żadnych ograniczeń finansowych, pomyślała. Cóż, teraz już za późno na żale.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie wiedzieć czemu przypomniawszy sobie okropne zdjęcia wraków, wyciąganych z wody pod mostem Tappan Zee. Wraz z Meghan przyglądały się tym fotografiom przez szkło powiększające, bojąc się, że znajdą to, co spodziewały się znaleźć: jakąś część ciemnoniebieskiego cadillaca.

Catherine odrzuciła koldrę, wstała z łóżka, założyła szlafrok i przeszła do niewielkiej łazienki, by obmyć twarz. Zerknąwszy w lustro,

zO lg.O  
dn dn  
zac t^ac  
nia Ma  
dzo 1.20  
zon on

I  
i  
c

I  
j  
c  
n

Ms^naHem. Chyba powinnaś na ioyiba^ywoienne,  
„^dilga, powieiała sobie w duchu. ^^ do kiz.  
E^ięć minut &ózniej, czując się już nieco pj. ^

óA ai\_a usta n^o szminki. W błękitnej j sd Co praw.  
^aw5ltarczaia co dobrze, zęby P^zf "w^zed ezzawsze istniała  
i» %an pojechała do Nowego Jorku, ale przecie  
^^ że zajrzy Ktoś jeszcze. „Kvlone drzwi.  
Hzał. PhilHp Carter zapukał w lekko uchylone  
"Hge wejść?

Napylł się i pocałował ją w policzek.  
-glądasZ bacznie lepiej. \* <tad wyjść, ale lekarze  
! Hak^ tez się czuje. Chciałam j u rkriałam mz nawet staa wwi= ■  
tfpriigie, ze byn\ została jeszcze kilka dni.  
- U ws^stko to chyba dobry P^om^ • ^ Mial na sobie  
Plunał soW jedno z krzesel\* usiadł blisko to stybrzo.  
ja^azow^rynarke, ciemnobrazowe spod oczuta M  
^tzowy krawat. Jego obecność sprawila,  
\$ Rzyplyw t^knoty za mezem, trzy dziestu jeden  
E Jfn był Wdzo P^w^/ff^y uniwersytetami ^ ^ nar.  
% Wczas piecia po meczu futbolowym. \*\*\*y ^  
^iHarvard, Chodziła wówczas z jednia y . ^  
kieci^ezwr6ciła uwagę na Eda. Jego ciemne włosy,  
s» K umięśnione ciało robiły wrażenie. . u się przed  
następny Wiec tańczyli już razem, a nazaju  
Cjq oskiego domu z tuzinem roz w r -  
„Bede się \*> ciebie zalecał, Catherine -oM- phil.  
Wgak szybko, by powstrzymać napływające  
^jaljaz^ekę.  
•^ Coś nie w porządku? . u sisku.  
v Wtpić czy powiesz to samo za kilka-  
^e^ ^ zdazyłem najpierw porozmaw^zMeg  
! pojech^a do miasta. Co się stało, PhiUipie.

- P  
rzypus  
zczam  
, że  
czytał  
aś o  
tej  
kobieci,  
ie,  
którą  
zamor  
dowan  
o  
w  
New  
Milfor  
d?

- O  
  
tej  
lekar  
ce?  
Tak,  
to  
okr  
op  
ne.  
- A  
więc  
jeszcz  
e nie  
wiesz,  
że ona  
wcale  
nie  
była  
lekarz  
em, że  
przed-  
stawił  
a  
sfalsz  
owan  
e  
refere  
ncje i  
że to  
my  
umieś  
ciliśm  
y ją w  
Klinic  
e  
Mann

inga.

Catherine wyprostowała się raptownie.

- Co takiego?!

Do pokoju szybkim krokiem weszła pielęgniarka.

- Pani Collins, na dole czekają dwaj detektywi z policji w New Milford, którzy chcą z panią porozmawiać. Doktor też będzie przy tej rozmowie, ale kazał uprzedzić panią, że zaraz tu przyjdą.

Catherine zaczęła, aż kroki pielęgniarki umilkną w korytarzu.

- PhiUipie, ty wiesz, dlaczego oni tu przyszli - stwierdziła.

- Owszem. Godzinę temu byli u mnie w biurze.

- A więc, dlaczego? Nie musisz czekać na lekarza, na pewno nie zemdleję. Chcę wiedzieć, na co powinnam się przygotować.

- Ofiara morderstwa była klientką Eda, który musiał wiedzieć o fał-

szerstwie. - Phillip Carter odwrócił spojrzenie, jakby nie chciał widzieć bolesnego grymasu na twarzy kobiety. - Jak wiesz, policja nie wierzy w śmierć Eda w wypadku na moście. Sąsiadka mieszkająca vis a vis Helenę Petrovic zeznała, że do domu naprzeciwko regularnie przyjeżdżał wysoki mężczyzna prowadzący dużą, ciemną limuzynę. - Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej. - Po raz ostatni widziała go dwa tygodnie temu. Catherine, kiedy Meg wezwała do siebie karetkę, przyjechała także policja. Po odzyskaniu świadomości powiedziałaś, że dzwonił do ciebie mąż.

Catherine próbowała przełknąć ślinę, ale nie mogła, gdyż usta i gardło miała suche jak wiór. Przemknęła jej myśl, że tak właśnie mu-

si się czuć człowiek umierający z pragnienia.

- I dlatego, że nie mogłam zebrać myśli. Chciałam powiedzieć, że

o Meg zadzwonił ktoś podający się za jej ojca.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł lekarz.

~ Catherine, jest mi niezmiernie przykro, ale zastępcy prokurato-  
ra s anowego bardzo zależy, żeby oficerowie prowadzący śledztwo

- A ci kilka pytań, a ja

soirzałanaPhittM?<sup>d</sup>  
Oczywiście.

wprowadzik ^ektyw<sup>o</sup>w\_

^To detekty\* M><sup>c</sup> CoUins, została tu pam P > ^

Przykro mi, ze muszę za fie?

i^^.,^rwaUCathe|ine.-P-I  
.DUczegome-^

mell,iecrekepo

Edwin"-

W 1975 roku, w południe zespół dochodzeniowy z Connecticut przyjechał do Lawrenceville w stanie New Jersey, aby porozmawiać ze Stephanie Petrovic o jej zamordowanej ciotce.

Starając się nie zwracać uwagi na niespokojne poruszenia dziecka, Stephanie położyła na brzuchu złączone mocno ręce, aby ukryć ich drżenie. Urodzona i wychowana w Rumunii rządzonej przez reżim Ceausescu, nauczyła się bać policji i choć mężczyźni siedzący naprzeciwko niej sprawiali dość sympatyczne wrażenie i nie mieli na sobie mundurów, ani trochę im nie ufała. Ludzie, którzy zaufali policji, często kończyli w więzieniu albo jeszcze gorzej.

Zjawił się także prawnik Helenę Charles Potters. Przypominał jej trochę sołtysa wsi, w której przyszła na świat. On także był bardzo uprzejmy, ale Stephanie wyczuła, iż ma to raczej związek z jego zawodem niż z jakimiś cieplejszymi uczuciami, jakie mógłby do niej żywić. Przyszedł tu, żeby wykonywać swoje obowiązki i zdążył już ją poinformować, iż polegają one na dopilnowaniu, aby została spełniona ostatnia wola jego klientki, która przekazała cały swój majątek Klinice Manninga.

- Iż- ona chce ją zmienić testament - powiedziała mu Stephanie. Iż- a zamiar pomóc mi, żebym mogła pójść do szkoły kosmetycznej. J- wynajmując mieszkanie w Nowym Jorku. Obiecała, że zostawi mi ^jt ze. Często powtarzała, że jestem dla niej jak córka. testa o2Umiem-1 • Niestety, ponieważ jednak nie sporządziła nowego en- tu, mogę powiedzieć tylko tyle, że dopóki ten dom nie zosta-



nie sprzedany, wolno pam... w nim fl&eszkać. WjA^ > konaWCa testa-  
mentu mogę wyuczyć Pam-... a\*a, > m sk> ze pO  
sprzedaży bedz. P-f^^ Chanie \*HJw &J^ dawała sob\*  
Sama <\*<...^^^> i ni^dnepracy, niebę-  
sprawę, ze jesii medosta  
d%rnt^^3^3e3cio^> ^ Clotka ^ mlaSie b^ Z3a-  
kimś mężczyzną. erm bylyrr^W k\lg zapraszane na przyjęcia  
\_ Raczej nie - \*&\*&f ^eW Aof W ^ ^ od^ koncerty. W sobo-  
^^  
łami dokąd. .aiaaoty^^^WzebyUTciuHelenepojawił się  
Stephamemcn^ed^  
jakiś mężczyzna. Bytat g  
^CKciałatozrobićdop.erofo sprzedać \,edaz> domu. zderzała wtedy  
pojechać do Francja \_W[fl aV wyraznym obcym  
akcentem i z... oraz wie... o,avaoa.  
to,zebyłatakbardzo^ .en-etrn^ iL^^pU^c^  
\_DoktorManning^erd. ^^WuSLt imieniemHugo.

ojczysty język- d, ^e doktor ^tor M^ng na pewno będzie bar-

~ Y tne spędzanie Ferenc, ^; ^ Wji i Centów.  
czas ponowne spraw chaal^i ^ dai h odnoCzać.  
-Ztego-w^P P^ n-kai z.P>y^;aWpoangielsku--  
Hugo odwrócił się do P owaHel^e aL Hel^pJLvic?

I Jąkana sytuac3afin^ O^PJ^^^... To znaczy,

TaDom jest splacony, op^cz tego ^f go zostawua około ośmiolet tys\*  
dolarów w akcjach, oblig^jach oraz 9> ^, ^^ \$btówce

Tyle pieniędzy, a ja nie dostanę z tego ani centa! - pomyślała Ste-  
phanie i otarła ręką czoło. Bolał ją kręgosłup, miała opuchnięte nogi  
i w ogóle czuła się paskudnie. Dobrze, że pan Potters pomógł jej zała-  
twić formalności związane z pogrzebem. Msza żałobna miała zostać od-  
prawiona w piątek w kościele św. Dominika.

Rozejrzała się dokoła. Taki piękny pokój z miętko wyściełanymi  
fotelami i kanapami, błyszczącymi stołami, ozdobnymi lampami i bla-  
doniebieskim dywanem! Cały dom jest piękny. Bardzo lubiła w nim  
mieszkać. Helenę obiecała jej, że będzie mogła zabrać parę drobia-  
zgów do mieszkania w Nowym Jorku. Co teraz będzie? Zaraz, o co  
pyta ten policjant?

- Kiedy spodziewasz się dziecka?

Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Za dwa tygodnie. - Nie mogła dłużej tłumić w sobie żalu i roz-  
paczy. - Powiedział, że to moja sprawa i wyjechał do Kalifornii. Nie chce  
mi pomóc. Nie wiem, gdzie go szukać, ani co powinnam zrobić.

# 29

Wstrząs, jakiego doznała Meghan ponownie ujrawszy martwą kobietę, do której była tak podobna, częściowo ustąpił, kiedy pobrano jej krew z ramienia.

Sama nie wiedziała, jakiej reakcji oczekiwała od Maca; jedyną, jaką zauważyć było zaciśnięcie warg. Po wyjściu z kostnicy powiedział tylko, że Podobieństwo jest tak uderzające, iż jego zdaniem należy koniecznie Przeprowadzić badanie porównawcze DNA. Doktor Lyons całkowicie zgodził się z tą opinią.

Ta, ani Mac nie jedli jeszcze lunchu. Wsiedli do samochodów i pojechali do jej ulubionej restauracji na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Kiedy już siedzieli przy stoliku w zacisznym kącie sali, Meghan opowiedziała o sfalszowanych referencjach Helenę Petrovic i o roli, jaką w tej sprawie najprawdopodobniej odegrał Edwin Collins.

Do Golika podszedł właściciel lokalu, Jimmy Neary, żeby zapytać o zdrowie Catherine. Kiedy dowiedział się, że jest w szpitalu, natychmiast przycisnął telefon, żeby Meghan mogła do niej zadzwonić.

Obrał Phillip.

Jeśli się masz, Phillipie - powiedziała Meg. - Chciałam sprawdzić, co słychać u mamy. Możesz ją dać do aparatu?

~ Meg, twoja matka przeżyła paskudny wstrząs.

~ kki znowu wstrząs? - zapytała z niepokojem dziewczyna.

~ K-toś przysłał jej tuzin róż. Wszystko zrozumiesz, jak przeczytała dołączony liścik.

Mac przyglądał się wiszącemu na ścianie obrazowi przedstawiającemu irlandzki krajobraz. Usłyszawszy jęk Meghan, spojrział szybko

na nią, w samą porę, by zobaczyć, jak jej oczy rozszerzają się z przerażenia. Coś się stało Catherine, przemknęło mu przez głowę.

- Meg, o co chodzi? - zapytał wyjmując aparat z jej drżących palców. - Halo?

- Cieszę się, że tam jesteś, Mac.

Nawet teraz Phillip Carter mówił spokojnym, opanowanym głosem. Mac objął Meghan ramieniem i tak wysłuchał relacji z wydarzeń, jakie miały miejsce w ciągu minionej godziny.

- Zostanę jeszcze trochę z Catherine - zakończył Carter. - W pierwszej chwili mało nie oszalała, ale teraz jest już znacznie spokojniejsza. Chce rozmawiać z Meg.

Mac podał dziewczynie aparat. Przez chwilę wydawało mu się, że zapadła w trans, ale zaraz ocknęła się i wyciągnęła rękę. Widział, jak bardzo się stara, żeby jej głos brzmiał możliwie najnormalniej.

- Wszystko w porządku, mamo?... Co o tym myślę? Ze to też jakiś okrutny dowcip. Masz rację, tata nigdy nie zrobiłby czegoś takiego... Wiem... Tak, wiem, co czujesz... Daj spokój, na pewno dasz sobie radę. Przecież jesteś córką starego Pata... Za godzinę jestem umówiona z panem Weckerem, ale zaraz potem jadę prosto do szpitala... Ja też cię całuję. Jeśli możesz, to daj mi jeszcze na chwilę Phillipa... Phillipie, zostań z nią jeszcze trochę, dobrze? Nie powinna być teraz sama... Wielkie dzięki.

Odłożyła aparat na stolik.

- To prawdziwy cud, że mama nie dostała zawału serca. Tylko sobie wyobraź, policjanci wypytują ją o ojca i akurat wtedy w pokoju zjawiają się te róże!

Przygryzła wargi, żeby ukryć ich drżenie.

Mac w tej chwili niczego nie pragnął tak bardzo, jak objąć ją, przytulić mocno i scałować wszystkie ból z jej ust i oczu, ale zamiast tego spróbował rozwiązać jej obawy.

~ Catherine na pewno nie dostanie zawału serca - stwierdził stanowczo. - W ogóle przestań zwracać sobie tym głowę. Mówię serio, \*g- A wracając do rzeczy: o ile dobrze zrozumiałem, policja usiłuje w jakiś sposób powiązać sprawę twego ojca z zabójstwem Helenę Petrovic?

HS

Czuł, że musi być blisko Meghan, ale zdawał sobie także sprawę z potrzeby zachowania ostrożności. Newtown to niewielka osada, a w takich miejscowościach gliny mają na oku wszystkie samochody z obcą rejestracją.

Co by było, gdybym rąbnął tego kundla? - zastanawiał się Bernie, jadąc przez Bronx w kierunku mostu na Willis Avenue. Dzieciak na pewno rozdarłby gębę od ucha do ucha, a ludzie wybiegliby z domów, żeby zobaczyć co się dzieje. Ktoś mógłby się zdziwić, co tu robi facet w szoferskiej czapce i wezwać policję, a wtedy sprawdziliby mnie w komputerze i...

Bernie doskonale wiedział, co by to oznaczało.

Mógł zrobić tylko jedno. Znalazłszy się na Manhattanie, podjechał do sklepu z towarami przecenionymi na Czterdziestej Siódmej Ulicy, gdzie nabył większość swoich elektronicznych zabawek. Już dość dawno upatrzył tam sobie prawdziwą, profesjonalną kamerę wideo. Teraz wreszcie kupił ją, a do tego jeszcze samochodową krótkofalówkę przestrojona na częstotliwości policyjne.

Następnie pojechał do sklepu z artykułami piśmiennymi, gdzie na był kilka arkuszy różowego papieru. W tym roku przepustki wydawane przez policję dziennikarzom miały właśnie kolor różowy. Miał taką w domu, znaną któregoś dnia na parking. Przy pomocy komputera i drukarki laserowej mógł ją skopiować i wstawiać zmyślone dane, a także zrobić zezwolenie parkingowe, które wstawi za przednią szybę.

Nikt dokładnie nie wie, ile lokalnych stacji kablowych działa na terenie Nowego Jorku, a tym bardziej nikt nie zna nazw ich wszystkich. Będzie udawał, że pracuje dla jednej z nich. Bernie Heffernan, reporter.

Tak jak Meghan.

Jedyny problem polegał na tym, że zbyt szybko kurczyły się jego oszczędności. Potrzebował stałego dopływu pieniędzy. Na szczęście przed powrotem do domu złapał kurs na lotnisko Kennedyego, a stamtąd drogą do miasta.

Podczas kolacji matka co chwila kichała.

Zaziębiłaś się, mamó? - zapytał z troską w głosie.

- Ja się nie zaziębiam, tylko mam alergię! - odparła wyniośle. - Wydaje mi się, że w powietrzu jest mnóstwo kurzu.

- Doskonale wiesz, że to niemożliwe. Jesteś znakomitą gospodynią.

- Bernardzie, czy ty aby na pewno utrzymujesz porządek w piwnicy? Pamiętaj, że ci zaufałam. Po tym, co się stało, już nigdy nie odważę się zejść do piwnicy.

- Oczywiście, mamó.

W wiadomościach o szóstej zobaczyli Meghan Collins, przeprowadzającą wywiad z recepcjonistką z Kliniki Manninga. Bernie pochylił się do przodu w fotelu, pozerając wzrokiem twarz Meghan. Jego czoło i dłonie pokryły się potem.

Nagle matka wyrwała mu pilota z ręki, wyłączyła telewizor i uderzyła go na odlew w twarz.

Gapiłeś się na nią, Bernardzie! - wrzasnęła piskliwym głosem. - Widziałam, jak gapisz się na tę dziewczynę! Czy ty nigdy nie zmądrzejesz?

\*\*\*

^ Kiedy Meghan weszła do pokoju matki, zastała ją całkowicie

J'ozku i myśleć, bo w końcu zw^iew"- " ^ ^ \* .eieć  
d? miała czym się zająć. \* ^ P«ynajmniej bę-

Co na to twój lekarz?

- Początkowo oczywiście protestował, ale w końcu zgodził się mnie wypisać. - Jej głos zadrżał niepokojąco. - Meggie, tylko nie próbuj mnie przekonywać, że powinnam zostać! Jestem pewna, że w domu

od razu poczuje się lepiej.

^fghan uścisnęła ją mocno,  
opakowałaś się?

»"i~  
je\*» Cawa dlr ^T o S2CZoteC2Ce do 2^w.

Meg jes2C2e

masz zadzwonić i umówić się na spotkanie.

3 O  
C N 2  
Jn  
57  
STs  
r\* Cu R

C @ x

gl  
L Q W

en eo o  
a p x) K  
N PP P N W en  
O

a\*  
2-? P?  
10. R'

S-s-e-N

N 3 s) R N  
N O  
en %0  
8-9  
C  
IT'  
N

era &  
ex. o- 5' ^  
3 O N  
5' en 3 O'

w A T3  
s \* \* a

Tl R o 0-  
V, Eg

w P 3  
Na Ncs  
P N E en  
\*! '2 fi 8

- Właśnie, co z nim? Wszystko się zgadza?

- Tak. Skończył studia na Harvardzie, nigdy nie miał żadnych problemów z prawem. Dziesięć lat temu wystąpił o pozwolenie na broń, po tym jak napadnięto na niego, kiedy zatrzymał się przed czerwonymi światłami w Bridgeport.

Rozległ się brzęczyk interkomu.

- Dzwoni panna Collins w sprawie spotkania z panem Marronem.

- To jego córka? - zapytał Dwyer.

- Tak.

Niech wpadnie jutro

Marron przez chwilę rozmawiał z Meghan, po czym spojrzął na prokuratora.

- Może być o ósmej rano? Jedzie służbowo do Filadelfii i chce tam być wczesnym przedpołudniem.

Dwyer skinął głową, a kiedy Marron zakończył rozmowę z Meghan i odłożył słuchawkę, odchylił się do tyłu razem z fotelem.

- Zobaczmy więc, co mamy: Edwin Collins zniknął bez śladu i jest uważany za zmarłego, ale jego żona dostaje kwiaty, za które zapłacono jego kartą kredytową, zgadza się?

Zamówienie złożono w kwiaciarni przez telefon. Karta kredytowa Collinsa nie została anulowana, a dzisiaj skorzystano z niej po raz pierwszy od stycznia.

- Czy zaraz po jego zniknięciu nie zastrzeżono jej numeru?

- Jeszcze do niedawna Collins był uważany za zmarłego, więc bank nie miał powodu, żeby śledzić operacje dokonywane za pomocą jego karty.

Tym razem to Arlene Weiss zerknęła do notatek.

- Muszę zapytać Meghan Collins o coś, co powiedziała jej matka. Chodzi o ten telefon, po którym Catherine Collins wylądowała w szpitalu.

- Co z nim?

- Ten kto dzwonił, powiedział, że jest w okropnych kłopotach, czy coś w tym rodzaju. Co to mogło znaczyć?

- Dowiemy się, co ona o tym myśli, kiedy z nią porozmawiamy, a tymczasem wiem, co ja myślę - oświadczył Dwyer. - Czy Edwi\*<sup>1</sup>

Collins nadal jest traktowany jako „zaginiony, przypuszczalnie martwy”?

Marron i Weiss jednocześnie skinęli głowami. Zastępca prokuratora stanowego John Dwyer podniósł się z fotela.

- W takim razie trzeba będzie to zmienić. Po pierwsze, stwierdziłmy ponad wszelką wątpliwość, że Collins znał Helenę Petrovic. Po drugie, prawie na pewno nie zginął w tej katastrofie. Po trzecie, na kilka tygodni przed zniknięciem zaciągnął znaczny kredyt pod zastaw swojej polisy ubezpieczeniowej. Po czwarte, nie znaleziono najmniejszego kawałka jego samochodu, a wiemy już, że przez cały czas Petrovic odwiedzał jakiś wysoki mężczyzna jeżdżący dużą ciemną limuzyną. Po piąte: nocny telefon, karta kredytowa, kwiaty. Myślę, że to wystarczy. Roześlijcie do wszystkich jednostek jego rysopis. Od tej pory jest poszukiwany w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa Heleny Petrovic.

20

W^^^^Td.- przechod^f\*  
bUski kontakt z ta ^" ^Lbnonami w klmrce to <<<\* P  
„kaje sie, że pochyła cos << ^ ^ wepchnctae,\*>ec wy  
rotoxpeticP<"dzTM P k je. <=>„ iuz do Kli-

„UManningal-^" — j^\*  
mmi edo» atru. a) e znam fakty, a one \*»eu^ ^S  
Przykro m>. Vrctorze, a dni przed tym, i<"

tów. „Collins Carter ^ennikanami  
d\_\*t6,ćo S I S I, S »P<\*TM! »<<• Rrt Helenę"etrov, c i \*  
Orsini z wysilkom v ic g za l o tieien  
„twierdza kategorycznie, ze mgdy ^ kied <\*> zos  
**Li \* - ASASA Na razie iak**  
mi skierowana do Kliniki i  
odW,-była to nieprawda.

124

Postanowił sięgnąć po ostateczny argument.

- Larry, przez ostatni rok bardzo wam pomogłem.

- Naprawdę?

- Wepchnęliście swoich kandydatów trzem spośród naszych najlepszych klientów.

- Widocznie nasi byli po prostu lepsi.

- A kto wam powiedział, że akurat te firmy poszukują wysoko kwalifikowanych specjalistów?

- Przykro mi, Victorze.

Orsini długo wpatrywał się w milczącą słuchawkę. „Proszę do nas rxie dzwonić, my zadzwonimy do pana". Wiedział już, że Downes i Rosen nigdy nie zaproponują mu pracy w swojej firmie.

Uchyliły się drzwi i do gabinetu zajrzała Milly.

- Idę już do domu. Co za okropny dzień, prawda, panie Orsini? Ci wszyscy dziennikarze i te nie kończące się telefony...

Jej oczy błyszczały z podniecenia. Victor bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak przy kolacji relacjonuje ze szczegółami wydarzenia minionych kilkunastu godzin.

- Gzy pan Girtler już wrócił?

- Nie, nie wrócił. Zadzwonił tylko, żeby powiedzieć, że zostanie jeszcze przez jakiś czas w szpitalu, a potem pojedzie prosto do domu. "SX"ie pan, coś mi się wydaje, że pan Carter ma jakieś poważniejsze plany wobec pani Collins...

Orsini nie odpowiedział.

- W takim razie dobranoc, panie Orsini.

- Dobranoc, Milly.

\*\*\*

Matka poszła się przebrać, Meghan zaś pobiegła do gabinetu ojca i wyjęła z szuflady listy oraz wycinek z nekrologiem. Schowała je do torby, modląc się w duchu, żeby matka nie zauważyła rys na czołowej ścianie szuflady pozostałych po włamaniu. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała powiedzieć jej o swoim okryciu, ale Aa pewno jeszcze nie teraz. Może podczas pobytu Welfii w Fi-

uda jej się coś wyjaśnić?

125



Zajrzała też do swojej łazienki, żeby umyć twarz i ręce oraz poprawić makijaż. Po krótkim namyśle postanowiła zadzwonić do Maca. Tę jeśli ona się z nim skontaktuje, niż żeby miał myśleć, że coś jej nie w porządku. To znaczy, jeszcze bardziej nie w porządku niż w rzeczywistości, poprawiła się w myślach. Słuchawkę podniósł Kyle.

To był taki Kyle, jakiego znała: nie ukrywający zadowolenia z tego, do niego dzwoni.

- Cześć, kolego. Jak leci?

- Fajno. Ale mogło być fatalnie.

- Tę)lacz620?

- Jake o mało nie wpadł pod samochód. Rzuciłem mu piłeczkę, piętnie ją łapie, ale za którymś razem rzuciłem za mocno a on pobiegł "a nią na ulicę i tam o mało co nie wpadł pod samochód. Mówię ci, jak \*en facet zahamował! Po prostu stanął w miejscu.

- Cieszę się, że Jakeowi nic się nie stało, ale następnym razem baw się z nim na podwórzu. Macie tam wystarczająco dużo miejsca.

To samo powiedział tata. Właśnie wrywa mi słuchawkę. Czot,m.

MCS Nie wrywam ci jej, tylko po nią sięgam - rozległ się głos Maca.

^ Cześć, Meg. Wiesz już o wszystkim, co się tutaj wydarzyło, a er u ciebie?

Powiedziała mu, że matka wróciła do domu.

- Jutro jadę do Filadelfii, żeby zebrać materiał do reportażu.

Wpadniesz pod ten adres na Chestnut Hill?

- Tak. Naturalnie mama jeszcze o niczym nie wie.

- Ode mnie na pewno się nie dowie. Kiedy wrócisz?

- Raczej nie przed ósmą, bo to prawie cztery godziny jazdy.

Meg - Mac zawahał się wyraźnie. - Wiem, że nie życzysz sobie, bym się wtrącał, ale ja naprawdę chcę ci pomóc. Chwilami oroszę jednak wrażenie, że mnie unikasz.

- Nie bądź głupi. Zawsze byliśmy kumplami.

- Nie jestem pewien, czy nadal nimi jesteśmy. Może coś przeocłem? Co się stało, Meg?

Tylko tyle, że ilekroć przypominę sobie ten list, w którym błagałam cię, żebyś me zemdlił się z Ginger, nie mogę ze wstydu spojrzeć w lustro, pomyślała Meghan. Tylko tyle, że uświadomiłam sobie iż już zawsze będę tylko twoim kumplem i staram się zachować dystans. Nie mogę ryzykować, że Jeremy MacIntyre odwróci się ode mnie po raz drugi.

- Nic się nie stało, Mac - odparła z udawaną beztróską. - Nadal jesteś moim przyjacielem. Nic na to nie poradzę, że nie skarzę się na lekcje gry na pianinie. Po prostu dałam sobie z nimi spokój wiele lat temu.

Wieczorem weszła na chwilę do sypialni matki i wyłączyła dzwonek w jej aparacie. Jeżeli tej nocy znowu zadzwoni jakiś dowcipniś, matka nie będzie miała o tym pojęcia.

# 31

Doktor Henry Williams, sześćdziesięcioletni dyrektor Centrum Badawczego im. Franklina, mieszczącego się we wciąż odnawianej, starej części Filadelfii, na pierwszy rzut oka przypominał dobrodusznego, kochanego wujaszka. Miał gęste szpakowate włosy i łagodną twarz, na której widok uspokajały się nawet najbardziej zdenerwowane pacjentki, a że ze względu na swój imponujący wzrost mocno się garbił, łatwo można było odnieść wrażenie, że pochyla się z uwagą, aby wysłuchać wszystkich, którzy mają mu coś do powiedzenia.

Meghan zadzwoniła do niego zaraz po rozmowie z Tomem Weikerem, a doktor chętnie zgodził się na spotkanie. Przyjął ją w jasnym, sprawiającym sympatyczne wrażenie gabinecie, na którego ścianach wisiało mnóstwo zdjęć niemowląt oraz nieco większych dzieci.

- Czy one wszystkie przyszły na świat dzięki zapłodnieniu *in vitro*?  
- zapytała Meghan.

- Powiedzmy, że dzięki pomocy współczesnej medycyny. Nie we wszystkich przypadkach stosowaliśmy metodę, o której była pani uprzejma wspomnieć.

- Rozumiem, albo przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem. O zapłodnieniu *in vitro* mówimy wtedy, kiedy wnikięcie plemnika do komórki jajowej następuje poza organizmem matki?

- Zgadza się. Naturalnie kobieta musi wcześniej otrzymywać specjalne leki, które powodują, że jej jajniki produkują więcej komórek jajowych niż zwykle.

- Tak, wiem o tym.

- Stosujemy także wiele innych metod - jeśli pani sobie życzy, dostarczę pani nieco literatury na ten temat - ale zawsze przyświeca nam jeden, nadrzędny cel: umożliwienie kobiecie zajścia w ciążę i urodzenia dziecka, którego pragnie.

- Czy zgodzi się pan udzielić wywiadu przed kamerą, a także umożliwi nam wstęp na teren Centrum, żebyśmy mogli porozmawiać z pacjentkami?

- Oczywiście. Szczerze mówiąc, jesteśmy bardzo dumni z tego co robimy, a odrobina życzliwego zainteresowania ze strony mediów z pewnością nam nie zaszkodzi. Stawiam tylko jeden warunek: to ja najpierw porozmawiam z pacjentkami i spróbuję uzyskać ich zgodę na wystąpienie przed kamerą. Nie wszystkie życzą sobie, aby ktoś dowiedział się, że korzystały z pomocy Centrum.

- Dlaczego? Chyba najważniejsze powinno być dla nich dziecko?

- I jest, ale Hedy teściowa jednej z naszych pacjentek dowiedziała się, w jaki sposób synowa zaszła w ciążę, stwierdziła bez ogródek, że wątpi, czy jest to dziecko jej syna, a to ze względu na niską żywotność jego plemników. Sprawę wyjaśniło dopiero badanie DNA, przeprowadzone na żądanie pacjentki.

- Niektóre kobiety chyba zgadzają się na wszczepienie obcych embrionów?

- Owszem, ale tylko te, które w żaden sposób nie mogą mieć własnego dziecka. Bądź co bądź, to coś w rodzaju adopcji.

- Chyba tak... Panie doktorze, czy mogłabym przyjechać z kamerzystą jeszcze dziś po południu? Pewna kobieta mieszkająca w Connecticut ma lada dzień urodzić bliźniaczego brata syna, który przyszedł na świat trzy lata temu właśnie dzięki zapłodnieniu *in vitro*. Mamy zamiar dokładnie relacjonować ten przypadek.

Przez pogodną twarz Williamsa przemknął cień.

- Czasem nachodzą mnie wątpliwości, czy aby nie posuwamy się za daleko. Ja sam wielokrotnie zastanawiałem się nad skutkami, jakie może przynieść rozdzielenie bliźniąt już w embrionalnej fazie rozwoju. A tak przy okazji: ten oddzielony embrion, który zostaje w zamrażarce, nazywamy klonem. Jeżeli jednak chodzi o pani pytanie, to bardzo proszę, nie mam nic przeciwko temu.

- Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczna. Najpierw zrobimy kilka ujęć z zewnątrz i na dole, a potem przedstawię zarys historii Centrum. To już ponad sześć lat, jeśli się nie mylę?

- Dokładnie sześć lat minęło we wrześniu.

- Następnie przejdziemy do konkretnych pytań dotyczących zapłodnienia *in vitro* oraz zamrażania embrionów i klonów, tak jak to miało miejsce w przypadku pani Anderson. - Meghan wstała z fotela. - Będę musiała się pospieszyć, żeby ze wszystkim zdążyć. Czy odpowiada panu czwarta po południu?

- Jak najbardziej.

Meghan zawahała się. Miała zamiar zaczekać z pytaniem o Helenę Petrovic do chwili, kiedy wyczuje, że między nią a doktorem Williamsem nawiązała się nie porozumienia, ale teraz doszła do wniosku, że jednak powinna zaryzykować.

- Panie doktorze, nie wiem, czy tutejsza prasa donosiła o tym zdarzeniu, ale niedawno zamordowano Helenę Petrovic, która pracowała w Klinice Manninga. Okazało się, że wszystkie dokumenty, jakie przedstawiła na potwierdzenie swoich kwalifikacji, były sfałszowane. Zdaje się, że pan ją znał, a nawet pracował z nią, prawda?

- Owszem. - Henry Williams potrząsnął ze smutkiem głową. - Jako asystent doktora Manninga znałem wszystkie osoby zatrudnione w klinice. Muszę przyznać, że Petrovic udało się mnie nabrać: pod jej kierunkiem laboratorium działało bez zarzutu. To okropne, że sfałszowała dokumenty i referencje, ale fakty są takie, że zdawała się być właściwą osobą na właściwym miejscu.

Meghan postanowiła zaryzykować; chyba ten sprawiający tak sympatyczne wrażenie człowiek nie weźmie jej za złe, że drąży ten temat?

- Firma mojego ojca, a także on osobiście, zostali oskarżeni o świadome potwierdzenie kłamstw Heleny Petrovic. Proszę mi wybaczyć, ale muszę dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Recepcjonistka z Kliniki Manninga widziała kiedyś was dwoje w restauracji. Jak dobrze zdołał pan ją poznać?

- Ta recepcjonistka to zapewne Marge Walters? - zapytał z rozba- wieniem Williams. - A nie powiedziała pani, że miałem zwyczaj zapraszać na kolację każdego nowego pracownika kliniki?

- Nie, nie wspomniała o tym. Czy znał pan Helenę Petrovic zanim podjęła pracę w klinice?

-Nie.

- A czy kontaktował się pan z nią po swoim odejściu stamtąd?

-Nie.

Zabrzączał interkom. Williams podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał w milczeniu.

- Proszę mu powiedzieć, że zaraz z nim porozmawiam — powiedział wreszcie, po czym spojrzął wyczekująco na Meghan. Dziewczyna bez trudu domyśliła się, jak powinna się zachować. - Nie będę zabierała panu więcej czasu, doktorze. Ogromnie dziękuję za pomoc.

Zarzuciła torbę na ramię i wyszła.

Doktor Henry Williams zaczął, aż zamkną się za nią drzwi, a następnie przyłożył słuchawkę do ucha.

- Proszę łączyć. Wymamrotał coś na przywitanie, przez kilka sekund słuchał ze zmarszczonymi brwiami, po czym odparł nerwowo: - Oczywiście, że jestem sam! Właśnie wyszła, ale wróci o czwartej z kamerzystą. Daruj sobie te dobre rady. Masz mnie za idiotę? Odłożywszy słuchawkę, ukrył na chwilę twarz w dłoniach. Kiedy je odsunął, można było odnieść wrażenie, że nagle postarzał się o kilka lat. Sięgnął po aparat i lekko drżącymi palcami wystukał numer. - Wszystko w porządku? - zapytał.

Jej szkoccy przodkowie nazywali to jasnowidztwem. Dar przechodził z pokolenia na pokolenie, ale dziedziczyła go zawsze tylko jedna kobieta z klanu Campbell. Teraz była nią Fiona Campbell Black. Porcja z całego kraju często zwracała się do niej z prośbą o pomoc przy rozwiązywaniu kryminalnych zagadek, a zrozpaczone rodziny błagały ją, by spróbowała odnaleźć zaginionych bliskich. Fiona traktowała

swą zdolności z wielką powagą.

zameżna od dwudziestu lat, mieszkała w Litchfield w stanie Connecticut, uroczym miasteczku jakby przeniesionym do współczesności. Początku siedemnastego wieku.

♦ u™ nołudmu Andrew Black, mąż Fiony, przy-

lekko,, pochyleń ^, i^^rzt "p -, rzucit eO M  
Andrew Black wiedział, co to oznacza. z>uJd F  
Icrzśło

- Naszłó mme, jak tylko to zobaczyłam poszuku-  
\* ,, J,,7vm rdieciem Edwina Collinsa. - i OSZUKU

ne Petrovic!

Black nalał herbaty do filiżanek.

:St<sup>m</sup>n!X \*» - ,,i-\* ale .\*\* ~ \* » —

Mam przecucie co do tego człowieka.

" N^ Wzo. Musiałabym wziąć do ręki coś, co do niego należa-  
ło. Myślisz że powinnam zgłosić się na policję, czy od razu skontak-  
tować się z jego rodziną?

JfŁZ\*» — ^na CCHnsa. - He \*... - -W  
ła.-He zła i śmierci otacza tego człowieka.

1

Pierwszy kurs we czwartek rano Bernie zW 7W, - ^  
nedy ego. Zaparkowawszy chevrolet " Z ATI? \* ^ \*"  
z którego odjeżdżały podL^^K u r^^  
lazdy. Wyłdaio na to. 2e ten 4^ ^^ ^  
bus do Westport. Bernie uznaje najbardri ^^ Czeka » \* aut0n  
rat,2y d2iesto latków obarczono d^^^ ^ ^  
- Do CWcticut? - 2apytal z u^rjwec" ^  
- Nie chcemy taksówki! - parsknęła 7<> , 6mi^cnem  
ta, Po czym w ostatniej chwili lZ ~ ^^jTM" \*\* kobie-  
ca, hory właśnie usiłował zejsll ^ n ^ Af dWUletni6go " ?  
me możesz stać spokojnie? ~ B% Czy ty ^prawde  
- Czterdzieści dolarów plus oolata \*a a3,+ , T ,

wa na żonę. Y ^nieniem, me spojrzawszy na-

P2\*o,,ala się e wtt-L T T"\* WyrnZOWi \*\*roh^ <<d  
śni • . "o wadzil ostrożnie, nie nrTrkrar?-,; J , B

It ni e przesbk,,:^ PrzeIcracząc dozwolonej prędko-

ba§a2niku. azieające foteliki! ^ozic

Mężczyzna polecił Bernieemu, żeby skręcił w zjazd numer 17.

- To tylko dwa i pół kilometra stąd.

Kiedy dotarli do schludnego ceglanego domku przy Tuxedo Road, Bernie otrzymał dziesięciodolarowy napiwek.

Natychmiast wrócił na autostradę, opuścił ją zjazdem numer 15, po czym skręcił w drogę stanową numer 7. Czuł się tak, jakby samochód bez jego udziału kierował się w stronę domu Meghan. Bądź ostrożny, powtarzał sobie w duchu. Nawet z kamerą i przepustką prasową łatwo może wzbudzić czyjeś podejrzenia.

Postanowił wstąpić gdzieś na filiżankę kawy i jeszcze raz wszystko dokładnie przemyśleć, zatrzymał się więc przy najbliższym barze. W stojącym w holu automacie dostrzegł gazetę z zajmującym całą kolumnę artykułem na temat Kliniki Manninga. To właśnie tam Meghan przeprowadzała wywiad, który oglądał w telewizji. Wrzucił monetę i wyjął pismo.

Pijąc kawę, czytał artykuł. Klinikę Manninga dzieliło zaledwie czterdzieści minut jazdy od miasteczka, w którym mieszkała Meghan. Z pewnością wciąż jeszcze roi się tam od dziennikarzy i ekip telewizyjnych, oczekujących na wyniki kontroli laboratorium, w którym pracowała zastrzelona kobieta. Może Meghan też tam jest? Była przecież wczoraj, więc...

Czterdzieści minut później Bernie jechał krętą, wąską drogą prowadzącą do kliniki. Przed wyruszeniem sprzed baru dokładnie przestudiował mapę i wybrał najkrótszą trasę.

Tak jak się spodziewał, na parkingu stało kilkanaście wozów reporterskich. Zatrzymał samochód parę metrów od nich, postawił za szybą zezwolenie na parkowanie, po czym uważnie przyjrzał się sfalszowanej przepustce; tylko ekspert mógłby stwierdzić, że nie jest autentyczna. Została wystawiona na niejakiego Bernarda Heffernana z Kanału 86, z Elmiry w Nowym Jorku. Była to jedna z mniejszych stacji lokalnych; gdyby ktoś zapytał, dlaczego tamtejszą społeczność tak bardzo zainteresowała sprawa Kliniki Manninga, mógłby odpowiedzieć, że władze lokalne mają zamiar utworzyć na swoim terenie podobną instytucję. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, Bernie wysiadł z samochodu i postawił kołnierz kurtki. Większość dziennikarzy i k

mer^ysto stów nieiii u uhvt elegancko ubrana. Założył ciemne okula- ry, po c ne wlt- / i magazyn-ka kamerę, i rawciziw profesjonalny sprzęt, pomyśli- Sj i. ^a. Sporo go kosztowała. Nie miał tyle gotówki, więc zapłaca- . . ^edytowa. W domu wtarł w nią nieco pyłu z podiogn piwvvv . . patem napisał na DOKU wielkimi literami: KANAŁ 86.

^ głównym^ , ^Jcunastu reporterów i kamerzystów tłoczyło się wokół mężczy- , tór^g^ głównym zadaniem - Bernie zorientował się w tjm ninrjj i Jrazu - było zagadać ich na śmierć, niczego przy okazji nie mów:to,

! Powtarzana \* - <e \*az: personel Kliniki Manninga jest dumny ze swoich susv, i dzięki którym pomogliśmy przyjść na świat wielu dzieciom \*» rwanym z utęsknieniem przez rodziców. Jeste-

oczeP .. . . . .  
smy głęboko pitp, ^i, iż wbrew informacjom podanym na formularzu wizow>v\_ tt[ene Petrovic zdobyła w Rumunii wykształcenie niezbędne \* , . konywania zawodu embriologa. Żaden ze współpracujący(y, jh) specjalistów nie zaobserwował niczego, co mogłoby świadczyć - <rrx, że pani Petrovic porusza się po obcym dla niej terenie. ^ °

- A jeśli poptjw - i jkkieś błędy? - zapytał jeden z dziennikarzy. - Popuśćmy, zeseN\_ f)»jnr

...liła embriony i niektóre kobiety tek jesteśmy gotowi przeprowadzić wszelkie urodziły nie , ^nie z badaniem DNA. Na wyniki trzeba czeswoje dzieci?

Ja zyczenihip^ cje(1, ~Ha niezbędne badam, kac cztery do szes^"" zgodni, ale są one niepodważalne i ostateczne.

Jeżeli któraś z pa.&cj\ będzie chciała przeprowadzić te badania w in- nym ośrodku, poo^ ~ ■ 0 wszelkie koszty. Ani doktor Manning, ani nikt z personelu un^j^znego nie spodziewa się najmniejszych pro-

"efnie rozejrzy | Radkiem; ani śladu Meghan. Może zapytać ko- \$os, c\*y ją widzisialk -, to byiby bład. Staraj się wtopić w tłum, po-

Włódka sobie po prostu nie chciała mówić, że  
nie ma szczęścia i że nie ma powodzenia, więc  
nie skierowała na niego najmniejszej uwagi, więc  
nie mówiła na niego niemal bez przerwy męż-  
czyźnie. Ci włączyli ją.



potem wyszedł z kliniki wraz z całą grupą, starając się jednak za-  
nawet zbliżyć do żadnego z dziennikarzy. Co prawda dostrzegł ka-  
merzystę z Kanału 3, ale zamiast Meghan towarzyszył mu jakiś przy-  
sadzisty mężczyzna z mikrofonem. W chwili, kiedy reporterzy zesli-  
li się po schodkach łączących podjazd z frontowymi drzwiami, przy kra-  
węzniku zatrzymał się samochód, z którego wysiadła kobieta w za-  
awansowanej ciąży.

- Czy pani jest pacjentką doktora Manninga? - zapytał jeden  
z dziennikarzy.

Stephanie Petrovic usiłowała zasłonić twarz przed kamerami.

- Nie, nie! Chcę ich tylko prosić, żeby podzielili się ze mną pie-  
niędzmi mojej ciotki. Ona zapisała wszystko klinice, a ja myślę, że  
ktoś z nich ją zabił, bo bali się, że po tym, jak odejdzie, może zmie-  
nić testament. Gdyby udało mi się to udowodnić, pieniądze byłyby

\*\*\*

Meghan długo siedziała w samochodzie przed elegancką rezyden-  
cją na Chestnut Hill, trzydzieści kilometrów od centrum Filadelfii.  
Piętrowy budynek miał wysmakowaną fasadę o wysokich, dzie-  
lonych oknach i potężnych dębowych drzwiach; nad nią wznosił się  
szary dach, ciemnozielony w padających ukośnie promieniach  
chylącego się ku zachodowi słońca.

Wzdłuż prowadzącej przez rozległy trawnik wyłożonej kamienny-  
mi płytami ścieżki rosły wielkie azalie, które na wiosnę z pewnością  
okrywały się niezliczonymi kwiatami. Smukłe brzozy, rozrzucone tu  
i ówdzie po terenie posiadłości, przypominały nieruchomych strażni-  
ków.

Na skrzynce na listy widniało nazwisko „C. J. Graham”. Czy sły-  
szała je kiedykolwiek od ojca? Raczej nie.

Wysiadła z samochodu i powoli ruszyła ścieżką. Przed drzwiami  
wahała się jeszcze przez chwilę, ale w końcu nacisnęła guzik; z wnętrza  
dobiegł przytłumiony odgłos gongu. Zaraz potem drzwi otworzył  
kobieta w stroju pokojówki.

- Słucham? - zapytała grzecznie, ale z rezerwą.

Meghan dopiero teraz uświadomiła sobie, że nawet nie wie o ko-  
go ma zapytać.

- Chciałabym zamienić kilka słów z kimś, kto mieszka w tym do-  
mu i znał Aurelię Collins.

- Kto przyszedł, Jessie? - zapytał męski głos.

Za plecami pokojówki Meghan dostrzegła wysokiego człowieka  
o zupełnie siwych włosach, zbliżającego się szybkim krokiem.

- Jessie, zaprosz tę młodą damę do środka - polecił. ~ Na dworze  
nie jest dziś najcieplej.

Meghan weszła do holu. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, męż-  
czyzna zmrużył oczy, jakby chciał jej się dokładniej przyjrzeć, i ski-  
nął ręką.

- Jeszcze bliżej, jeśli można. Do światła. - Nagle na jego twarzy  
pojawił się szeroki uśmiech. - Annie, prawda? Mój Boże, jak się cie-  
szę, że cię znowu widzę!

# 33

**C** . ^fc telewizor. Z '\*^\-17;-Xta,O»as« po-

z „formacja, ze skończyła już rozmowę z prokuratorem „sza do Filadelfii.

„mierc ta-

— Tego samego, co od ciebie. Wiesz już, że >

Q Jeden

rL wie co jeszcze wymyśli. Sama ostrzegła- mnie w

W głosie Meg było coś, co nappełniło ^ameru j przeczuciami.

- Meggie tyco sprz. de mna ukrywasz- daje słowo.

- Muszę jechać, matno. Porozmawiamy wieczorem,

— Nie chcę, żebyś cokolwiek przede mna UKrywała.

- Obiecuję, że nie będę.

\*\*\*

Lekarz zalecił Catherine kilkudniowy f^egO zawa- h w domu. Będ  
leżała nic nie robiąc i \* ^TM^2u  
lu serca, pomyślała. Postanowiła pojsc do jajazau.

Nie było jej tam zaledwie kilka dni, ale od razu zauważyła różnicę. Virginia spisywała się znakomicie, lecz jej uwadze umykało wiele szczegółów. Ot, chociażby ten, że kwiatowa kompozycja w recepcji mocno przywidła.

- Kiedy to przywieźli? - zapytała Catherine.

- Dziś rano.

- Zadzwoń do kwaciarni i powiedz, żeby przysłali nowy bukiet. Wciąż jeszcze miała w pamięci róże, które dostarczono do szpitala, tak świeże, jakby ścięto je zaledwie przed kilka minutami.

Stoliki w sali jadalnej były już nakryte do lunchu. Catherine szła między nimi, przekazując uwagi podążającemu za nią kelnerowi.

- Tutaj brakuje serwetki... I tam, przy oknie... Tutaj trzeba przynieść jeszcze jeden nóż... Ta solniczka jest czymś upaprana...

- Tak jest, proszę pani.

Potem zajrzała do kuchni. Poprzedni kucharz po dwudziestu latach pracy przeszedł w lipcu na emeryturę. Nowy, Clive D'Arcette, mimo młodego wieku mógł się pochwalić sporym doświadczeniem oraz znakomitymi referencjami, jednak po czterech miesiącach Catherine coraz bardziej skłaniała się ku opinii, że znakomicie nadaje się na pomocnika, ale musi minąć jeszcze sporo czasu, zanim będzie mógł grać pierwsze skrzypce.

Clive właśnie przygotowywał zimne przekąski. Właścicielka zajazdu zmarszczyła brwi na widok brudnego blatu kuchenki; najwyraźniej wczoraj wieczorem nikt się nie pofatygował, by go wyczyścić. Kosz także nie został opróżniony. Skosztowała sosu hollenderskiego.

- Dlaczego jest słony?

- Nie wydaje mi się, żeby był słony, proszę pani - odparł D'Arcette tonem, który prawie można by określić mianem uprzejmego.

- A mnie się właśnie tak wydaje i założę się, że podobnie będzie się wydawało każdemu, kto go zamówi.

- Pani Collins, zatrudniła mnie pani jako szefa kuchni. Skoro nim jestem, muszę mieć możliwość przygotowywania potraw według własnego uznania. Jeżeli ma być inaczej, to nie widzę możliwości dalszej Współpracy.

Cieszę się, że ułatwi mi zadanie. Zwalniam cię.  
Właśnie zawiązywałam fartuch, kiedy do kuchni wpadła Virginia Murphy.

- Catherine, dokąd chcesz Clive? Niewiele brakowało, a strato-  
wałby mnie w przeszłość.

- Mam nadzieję, że powrotem do szkoły kucharskiej.

- Przecież miałaś ochotę!

»Irgmio, nigdzie nie czuję się tak dobrze jak w tej kuchni i mam nadzieję, że pozostanę w niej tak długo, jak długo uda mi się być właścicielką „Dinner”. A teraz, jak przygotował na dzisiaj nasz niedoszły Escoffier?

W sumie wydałyśmy trzy obiady, nie licząc kilkunastu kanapek sprzedanych wczoraj. Całkiem niezłe. Kiedy ruch nieco zmalł, Catherine zdołała wkroczyć na jadalnię. Przepasana białym fartuchem chodziła jak sztywna do stolika, zatrzymując się przy każdym, by zamienić kilka słów z gośćmi. Wszędzie witała ją przyjazne uśmiechy oraz zainteresowane badawcze spojrzenia,

wcale nie mam czasu na błądzenie pod uwagę to wszystko, co się o nas pisze i ja nie pomyślała. Ja też nie mogłabym z ciekawości usiedzieć spokojnie na krześle. Jednak mimo wszystko to są moi przyjaciele i to mój świat / bez względu na to, jak się to wszystko skończy, jestem pewna, że Meg i ja mamy swoje miejsce w tym mieście.

\*\*\*

Późne popołudnie spędziła w biurze, przeglądając księgi rachunkowe. Do wniosku, że nawet gdyby bank odroczył część spłat, a jej udało się zastawić albo sprzedać biżuterię, w najlepszym razie uda się jej wytrzymać jeszcze pół roku. Ale do tego czasu może wyjaśni się sprawa ubezpieczenia... Och, gdyby po śmierci ojca przepisała majątek na siebie i Eda!

Zamknęła oczy. Właściwie dlaczego to robiłam? - pomyślała. - Wiem, dlaczego. Należało, żeby Ed czuł się lokatorem w moim domu. Nawet kiedy najczęściej tutaj Edwin zawsze pokrywał wszelkie wydatki związane z utrzymaniem budynku i bieżącymi naprawami.

„Muszę czuć, że tu jest moje miejsce”, powtarzał. Och, Edwin! Jak on mówił o sobie? Ach, tak: „Wędrowny bard”. Zawsze traktowała to jako żart, ale czy słusznie? Teraz nie była tego pewna,

Usiłowała przypomnieć sobie słowa starej piosenki Gilberta i Sullivana, którą Ed często nucił, ale pozostała jej w pamięci tylko pierwsza linijka i któraś ze środkowych. Pierwsza brzmiała: „Wędrowny ze mnie bard, strój mój to dziury i łaty”, a ta druga tak: „I śpiewam małą pieśń tak, by każdy miał ją za swoją”.

Bardzo smutne słowa, jeśli się nad nimi zastanowić. Dlaczego Edwin uważał, że do niego pasują?

Catherine otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła do książek. Kiedy zamknęła ostatnią, rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił Bob Marron, jeden z dwójki detektywów, którzy odwiedzili ją w szpitalu.

- Pani Collins, jest coś, o czym muszę pani powiedzieć, choć to wcale nie oznacza, że upieram się, by skorzystała pani z tego rozwiązania.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Wysłuchiwała w milczeniu krótkiej opowieści Marrona o Fionie Black, obdarzonej zdolnościami parapsychofizycznymi kobiecie, która często pomagała policji w poszukiwaniach zaginionych osób.

- Zadzwoń do nas, gdyż wyczuła bardzo silne wibracje mające związek z pani mężem, ale po to, żeby powiedzieć coś konkretnego, musi dostać do ręki jakiś przedmiot, który do niego należał.

- Odsyłacie mnie do szarlatanów?

- Chyba wiem, co pani myśli na ten temat, ale czy pamięta pani może głośną sprawę zaginięcia dziecka Talmadge'ów? To było jakieś trzy lata temu.

- Owszem.

- Otóż właśnie pani Black podpowiedziała nam, żeby skoncentrować poszukiwania na placu budowy w pobliżu ratusza. W ten sposób ocalała małemu życie.

- Rozumiem. - Catherine zwilżyła wargi językiem. Wszystko jest gorsze od niepewności. - O jaki konkretnie przedmiot chodzi pani Black? Jakaś część garderoby? A może obrączkę?

- Ona jest tutaj. Chętnie odwiedziłaby panią i sama coś wybrała, na pewno jeśli pani się zgodzi. Mogę przywieźć ją za pół godziny.

Catherine przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna najpierw poradzić się Meghan, ale niespodziewanie dla siebie usłyszała swój głos mówiący:

- A więc do zobaczenia za pół godziny. Już idę do domu.

\*\*\*

Stojąc w obszernym holu twarzą w twarz z uprzejmym mężczyzną, który najwyraźniej wziął ją za kogoś innego, Meghan czuła się tak, jakby przeniesiono ją do innego czasu.

- Nie nazywam się Annie, tylko Meghan - wykrztusiła, z trudem poruszając na pół sparaliżowanymi ustami. - Meghan Collins.

Graham ponownie utkwiał w niej badawcze spojrzenie.

- Jesteś córką Edwina, prawda?

- Tak.

- Pozwól ze mną, proszę.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do obszernego gabinetu na prawo od holu.

- Spędzam tu większość czasu - wyjaśnił, posadziwszy ją na kanapie, po czym zajął miejsce w skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

- Od śmierci żony ten dom wydaje mi się okropnie wielki.

Meghan zdawała sobie sprawę, iż gospodarz zorientował się, że doznała czegoś w rodzaju szoku i teraz próbuje ją z niego łagodnie wyprowadzić. Nie była w stanie zrewanżować mu się podobną delikatnością i zacząć od ogólnikowych, ostrożnych pytań; otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę z nekrologiem.

- Czy to pan przysłał to mojemu ojcu?

- Owszem. Nie dostałem żadnej odpowiedzi, ale jeśli mam być szczerzy, wcale jej nie oczekiwałem. Byłem wstrząśnięty, kiedy w styczniu przeczytałem o tym okropnym wypadku na moście.

- W jaki sposób poznał pan tatę?

- Proszę mi wybaczyć, zapomniałem się pani przedstawić: jestem Cyrus Graham, przyrodni brat pani ojca.

Przyrodni brat! Ojciec nigdy nie wspominał o nim ani słowem, pomyślała Meghan.

- Przed chwilą nazwał mnie pan „Annie”. Dlaczego?

- Czy masz siostrę, Meghan? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nie.

- I nie pamiętasz, jak dziesięć lat temu ty i twoi rodzice spotkaliście mnie w Arizonie?

- Nigdy tam nie byłam.

- W takim razie już nic z tego nie rozumiem - przyznał Graham.

- Kiedy i gdzie dokładnie to było?

- Niech się zastanowię... W kwietniu, już prawie jedenaście lat temu, w Scottsdale. Moja żona pojechała na tydzień do uzdrowiska, a ja właśnie miałem ją odebrać. Zatrzymałem się w hotelu „Safari” w Scottsdale. Wychodząc po kolacji z restauracji zauważyłem Edwina. Siedział przy stoliku w towarzystwie mniej więcej czterdziestoletniej kobiety oraz dziewczyny bardzo podobnej do ciebie. - Znów spojrzał na Meghan. - Zarówno ona, jak i ty przypominacie matkę Edwina.

- Moją babkę?

- Tak jest. - Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. - Boję się, że wpędzam cię w coraz większe zdenerwowanie.

- W tej chwili na niczym nie zależy mi tak bardzo jak na tym, żeby dowiedzieć się możliwie dużo o tamtych dwóch osobach.

- Jak sobie życzysz. Spotkanie trwało bardzo krótko, ale doskonale je zapamiętałem, ponieważ było pierwszym po bardzo długiej przerwie.

- Kiedy widział się pan z nim poprzednim razem?

- Chyba wtedy, kiedy skończyliśmy szkołę podstawową. Jednak, choć minęło trzydzieści lat, poznałem go natychmiast. Naturalnie poszedłem do stolika, ale spotkało mnie bardzo chłodne przyjęcie. Przedstawił mnie żonie i córce jako „starego znajomego z Filadelfii”. Nie pozostało mi nic innego jak szybko pożegnać się i odejść. Wiedziałem od Aurelii, że Ed mieszka z rodziną w Connecticut, więc pomyślałem, że pewnie przyjechali do Arizony na wakacje.

- A więc przedstawił panu tę kobietę jako swoją żonę?

- Chyba tak, choć nie jestem tego zupełnie pewien. Możliwe, że Powiedział coś w tym rodzaju: „Frances i Annie, poznajcie Cyrusa Grahama”.

- Jest pan pewien, że ta dziewczyna miała na imię Annie?

- Owszem. A kobieta Frances.

- Ile lat mogła mieć wtedy Annie?  
 - Około szesnastu.

Czyli teraz miałyby jakieś siedem (pomyślała M...  
 Miałyby, gdyby me to, ze zwa...  
 Graham wciąż przyglądał się jej uważnie

- Myślę, że obojgu namp...  
 powiedział. - Jadłaś już lunety

- Proszę nic robić sobie kr...  
 - Będzie mi bardzo miło, zechcesz mi towarzyszyć. Poproś?  
 Jessie, żeby coś nam przygotowała

Jak tylko wyszedł z pokoju, Meghan zło...  
 z całej siły, żeby powstrzymać...  
 gdyby chciała, nie mogłaby...  
 miała sobie jedną z rozmów...  
 „Dlaczego nazwałś mnie...  
 „Bo Meghan i Annie to m...  
 Udało ci się oba wykorzystać...  
 Zaraz potem do gabinetu...  
 z tacą, na której stał dzbanek...  
 z wdzięcznością przyjęła filiżankę...  
 - Nawet pan sobie nie wfo...  
 powiedziała, stwierdzając zadowolaniem, że jej głos brzmi prawie normalnie. - A teraz...  
 się dla mnie zupełnie obcym...  
 To nie była miła historia...  
 nił się z siedemnastoletnią...  
 dziewczyna jest w ciąży.

- Uważał to za swój obowiązek. - Był znacz-  
 nie od niej starszy i niemal od...  
 drze wspomagał zarówno ją, jak...  
 czternaście lat, Richard wziął...  
 znacznie wcześniej. To był ioc...  
 ja matka żyli ze sobą w zgodny...  
 oboje surowi, ściśle przestrzegali...  
 sad oraz zupełnie pozbawieni humoru.

- Ale ojca wychowywała jego matka?  
 - Tylko przez pierwsze trzy lata, bo potem zakochała się bez pamięci w jakimś kalifornijczyku, który nie miał najmniejszej ochoty wychowywać czyjegoś dziecka. Pewnego dnia zjawiała się tutaj i po prostu zostawiła Eda wraz z jego ubrankami i zabawkami. Moja matka była wściekła, podobnie jak Richard, natomiast Edwin nie posiadał się z rozpaczy, bo do tej pory wręcz uwielbiał swoją matkę.

- Zostawiła go w rodzinie, gdzie...  
 ghan z niedowierzaniem.

- Właśnie tak. Moja matka i Richard zajęli się nim wyłącznie z poczucia obowiązku. Obawiam się, że był tak zwanym trudnym dzieckiem. Pamiętam, jak całymi dniami stał przy oknie z nosem przylepionym do szyby, wypatrując matki. Wciąż wierzył, że jednak po niego wróci.

- Wróciła?  
 - Owszem, po roku. Wielki romans okazał się wielkim nieporozumieniem, więc przyjechała zabrać Edwina. Biedaczysko nie posiadał się z radości, zresztą tak samo jak moi rodzice.

- A potem...  
 - A potem, kiedy miał osiem lat, Aurelia poznała kolejnego mężczyznę i wszystko powtórzyło się od początku.

- Dobry Boże!  
 - Tym razem Edwin był naprawdę nie do wytrzymania. Zapewne doszedł do wniosku, że jeśli porządnie zajdzie nam za skórę, znajdziemy jakiś sposób, żeby odesłać go do matki. Największe piekło rozpoczęło się pewnego przedpołudnia, kiedy wyszło na jaw, że napełnił wodą bak nowego samochodu mojej matki.

- I co, osiągnął swój cel?  
 - Nie, ponieważ Aurelia wyjechała z Filadelfii w niewiadomym kierunku. Moi rodzice posłali go do szkoły z internatem, wakacje zaś spędzał na obozach. Widywałem go bardzo rzadko, a kiedy odwiedziłem go w szkole, ze zdziwieniem stwierdziłem, że ma tam wielu kolegów. Już wtedy mówił wszystkim, że jego matka nie żyje.

- Zobaczył ją jeszcze kiedyś?  
 - Kiedy miał szesnaście lat wróciła do Filadelfii, tym razem na sta-



łe. Wreszcie spoważniała i nawet podjęła pracę w firmie prawniczej. Chyba próbowała skontaktować się z Edwinem, ale było już za późno. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Ból był zbyt wielki. Potem od czasu do czasu dzwoniła do mnie, aby zapytać, czy nie mam o nim jakichś wiadomości. Jeden z przyjaciół przysłał mi wycinek z lokalnej gazety informujący o jego ślubie z twoją matką oraz nazwę i adres jego firmy. Podałem ten adres Aurelii i wiem, że pisywała do niego na jego urodziny i Boże Narodzenie, lecz nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Podczas jednej z rozmów opowiedziałem jej o spotkaniu w Scottsdale. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem wysyłając mu jej nekrolog...

- Zawsze był cudownym ojcem i wspaniałym mężem - powiedziała Meghan, walcząc z napływającymi do oczu łzami. - W związku ze swoją pracą wiele podróżował. Nie wierzę, żeby prowadził drugie życie, żeby miał inną kobietę, którą nazywał żoną, albo drugą córkę, którą też kochał, ale wygląda na to, że tak właśnie było. W jaki inny sposób można wytłumaczyć istnienie Annie i Frances? Nie wiem, czy moja matka i ja zdołamy kiedykolwiek wybaczyć mu to oszustwo.

Właściwie nie było to pytanie, ale Cyrus Graham powiedział coś, co mogło stanowić odpowiedź na dręczące dziewczynę wątpliwości.

- Odwróć się, Meghan.

Kiedy to zrobiła, wskazał jej jedno z okien.

- Tutaj właśnie pewien chłopiec stał całymi godzinami, czekając na powrót matki. Takie przeżycia muszą pozostawić niezatarty ślad w psychice człowieka.

## 34

O czwartej po południu Mac zadzwonił do Catherine, aby zapytać, jak się czuje. Ponieważ nikt nie odbierał telefonu, wykręcił numer zajazdu, ale w chwili, kiedy recepcjonistka miała połączyć go z biurem, zabrzączał stojący na biurku interkom.

- Dziękuję, zadzwonię później - powiedział pospiesznie i odłożył słuchawkę.

Przez następną godzinę nie miał czasu tego uczynić. Dopiero w drodze do domu, mijając przedmieścia Newtown, wystukał domowy numer Catherine.

- Pomyślałem, że zajrzę do ciebie, naturalnie jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział.

- Na pewno przyda mi się moralne wsparcie - odparła; potem poinformowała go o zapowiedzianej wizycie kobiety obdarzonej zdolnościami parapsychicznymi.

- Będę za pięć minut.

Mac odłożył aparat i zmarszczył brwi. Nie wierzył w jasnowidzów. Licho wie, czego Meg dowie się o Edwinie na Chestnut Hill, pomyślał. Catherine znajduje się u kresu wytrzymałości nerwowej i doskonale obeszłaby się bez „pomocy” jakiejś szarlatanki.

Skreślił na podjazd przed domem Collinsów akurat wtedy, kiedy z samochodu zaparkowanego przed drzwiami wysiadali mężczyzna i kobieta. To pewnie detektyw i ta jasnowidzka, pomyślał Mac.

Dogonił ich na schodkach. Bob Marlon przedstawił się, potem zaś wskazał towarzyszącą mu kobietę i powiedział, że to pani Fiona Black, która ma nadzieję pomóc odnaleźć Edwina Collinsa.



Mac oczekiwał pokazu czarnej magii i taniego efekciarstwa, a po chwili stwierdził, iż nieco wbrew sobie czuje sympatię do tej nowanej, poważnej kobiety.

- Wiele pani przeżyła - powiedziała Fiona, przywitawszy się Catherine. - Nie wiem, czy uda mi się pani pomóc, ale jestem pewna, że powinniśmy przynajmniej spróbować.

Przez twarz Catherine przemknął promyk nadziei.

- Jestem przekonana, że mój mąż nie żyje, choć policja w to nie wierzy. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym mogła to udowodnić, wet najgorsza prawda jest dużo lepsza od niepewności.

- Może nam się uda.

Fiona Black uściśnęła rękę Catherine, po czym weszła do salonu, gładząc się uważnie dokoła. Catherine, Mac oraz detektyw Morrison obserwowali ją w milczeniu. Po dłuższej chwili kobieta zwróciła się ponownie do gospodyni:

- Pani Collins, czy ma pani jeszcze ubrania i rzeczy osobiste?  
- Tak. Chodźmy na górę.

Ruszyła jako pierwsza. Mac poczuł, że serce bije mu w przyspieszonym tempie. Fiona Black roztaczała wokół siebie aurę niezwykłości. Z pewnością nie była oszustką.

Catherine zaprowadziła ich do głównej sypialni. Na toalecie stały dwie fotografie: jedna przedstawiała Meghan, druga Catherine i Edwina w strojach wizytowych. Ostatni Sylwester w zajeździe, poraygi Mac. Zabawa była wyjątkowo udana.

Fiona Black przez chwilę przyglądała się zdjęciu, po czym zapytała:  
- Gdzie są jego ubrania?

Catherine otworzyła dużą szafę. Mac wiedział, że kilka lat temu wyburzono ścianę oddzielającą ten pokój od sąsiedniego i wstawiono dwie wielkie szafy, będące właściwie miniaturowymi garderobami. Tam należała do Edwina: rzędy marynarek, spodni i garniturów, półki koszulami i swetrami, stojak na buty. Catherine także przyglądała się zawartości szafy.

- Edwin miał znakomity gust, jeśli chodzi o dobór ubrań. W dzieciństwie do mojego ojca, któremu musiałam kupować krawcy - powiedziała z melancholijnym uśmiechem.

Fiona Black musnęła palcami jedną marynarkę, potem drugą.

- Ma pani jego ulubione spinki albo obrączkę?

Catherine wysunęła szufladę nocnego stolika.

- To jego ślubna obrączka. Któregoś dnia gdzieś się zapodziała i myśleliśmy, że zginęła na dobre, dorobiliśmy więc nową, a wtedy ta znalazła się za stolikiem.

Fiona Black wzięła do ręki cienkie złote kółko.

- Mogę zatrzymać ją na kilka dni? Obiecuję, że jej nie zgubię.

Catherine zawahała się, ale powiedziała:

- Jeżeli uważa pani, że się do czegoś przyda...

\*\*\*

Kamerzysta z Kanału 3 zjawił się przed Centrum Franklina za kwadrans czwarta. Meghan miała wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, że robimy to w takim pośpiechu.

Kościsty mężczyzna, który przedstawił się jako Len, wzruszył ramionami.

- Dla mnie to nic nowego.

Meghan była zadowolona, że musi skoncentrować się na przeprowadzeniu wywiadu. Na razie nie mogła jeszcze spokojnie myśleć o godzinnej rozmowie z Cyrusem Grahamem, przyrodnim bratem ojca; potrzebowała nieco czasu, by oswoić się z bolesną prawdą. Obiecała matce, że niczego nie będzie przed nią ukrywać i zamierzała dotrzymać słowa. Dziś wieczorem odbędą szczerą rozmowę.

- Len, na początku chcę mieć panoramiczne ujęcie budynku i okolicy. Chyba nikt nie wie, że w Filadelfii są jeszcze brukowane ulice.

- Żałuj, żeś nie widziała tej dzielnicy przed renowacją - odparł mężczyzna, włączając kamerę.

W głównym holu Centrum przywitała ich recepcjonistka. W poczekalni siedziały trzy kobiety. Wszystkie były elegancko ubrane i miały staranny makijaż. Meghan domyśliła się, że są to pacjentki, które na Prośbę doktora Williamsa zgodziły się wystąpić w jej programie.

Miała rację. Recepcjonistka dokonała prezentacji, po czym Meghan zaczęła zadawać pytania. Okazało się, że jedna z kobiet jest w ciąży i że będzie to już jej trzecie dziecko poczęte dzięki metodzie za-

plodnienia *in vitro*. Dwie pozostałe urodziły po jednym dziecku i także zamierzały w najbliższym czasie skorzystać z przechowywanych w klinice embrionów.

- Ja mam ich aż osiem - wyjaśniła jedna z pacjentek, uśmiechając się do kamery. Lekarze przeszczepią mi trzy z nich, może zagnieździ się choć jeden. Jeśli nie, zaczekam kilka miesięcy i ponowię próbę.

- A jeśli od razu zajdzie pani w ciążę, to czy za rok zjawi się tu pani ponownie?

- Och, nie. Chcemy mieć tylko dwoje dzieci.

- Ale pani embriony pozostaną w laboratorium, prawda?

- Owszem. Będziemy pokrywać koszty związane z ich przechowywaniem. Kto wie, co się jeszcze zdarzy? Mam dopiero dwadzieścia osiem lat i mogę zmienić zdanie. Dobrze będzie wiedzieć, że kiedy tylko zechcę, mogę urodzić jeszcze jedno dziecko.

- Pod warunkiem, że embrion szczęśliwie przetrwa rozmrażanie.

- Oczywiście.

Potem przeszli do gabinetu doktora Williamsa i Meg po raz drugi tego dnia usiadła w fotelu przed biurkiem dyrektora Centrum.

- Panie doktorze, jeszcze raz dziękuję, że zechciał pan nas przyjąć - zaczęła. - Na początku chciałabym pana prosić, żeby w kilku słowach wyjaśnił pan telewizjom, na czym polega metoda zapłodnienia *in vitro*. Potem, jeśli pan pozwoli, pokażemy wewnątrz laboratorium oraz zademonstrujemy, w jaki sposób przechowuje się zamrożone embriony.

Doktor Williams stanął na wysokości zadania, gdyż w zwięzły, ale jednocześnie przystępny sposób opowiedział o problemach, jakie kobiety miewają z zajściem w ciążę, po czym przedstawił podstawowe założenia metody zapłodnienia pozaustrojowego.

Najpierw kobieta otrzymuje leki powodujące zwiększenie liczby komórek jajowych produkowanych przez jajniki. Potem pobieramy od niej komórki jajowe, zapładniamy je w laboratorium, a otrzymane w ten sposób embriony - najczęściej dwa lub trzy - wszczepiamy do macicy. Pozostałe zamrażamy, aby w razie potrzeby skorzystać z nich w przyszłości.

- Doktorze, za kilka dni przyjdzie na świat dziecko, którego bliźniaczy brat urodził się trzy lata temu. Jak to możliwe?

- Cóż, zdarza się, że na płytce Petriego zapłodnione jajo dzieli się na dwie identyczne części, tak samo jak w macicy. W przypadku, o którym pani mówi, matka zapewne zażyła sobie, aby wszczepiono jej jedną część, drugą zaś zamrożono. Wszystko wskazuje na to, że także zabieg przeniesienia drugiej części zakończył się sukcesem.

Po skończonej rozmowie Len zrobił jeszcze długie ujęcie ściany zawieszonych fotografiami dzieci, po czym sfilmował wewnątrz laboratorium, szczególnie dużo uwagi poświęcając zamrażarkom, w których, zamrożone w płynnym azocie, przebywały embriony.

- No, chyba wystarczy — powiedziała Meghan o wpół do szóstej. — Bardzo dziękuję wszystkim za współpracę. Panie doktorze, jestem panu ogromnie wdzięczna.

- A ja pani - zapewnił ją. - Jestem przekonany, że dzięki temu reportażowi zgłosi się do nas wiele bezdzietnych małżeństw.

Przed budynkiem Centrum Len schował kamerę do furgonetki i odprowadził Meghan do jej samochodu.

- Nie uważasz, że to trochę niesamowite? — zapytała. — Mam troje dzieci i szczerze mówiąc cieszę się, że żadne z nich nie zaczynało od pobytu w którejś z tych zamrażarek.

- Z każdego z tych embrionów może wyrosnąć człowiek, który nigdy nie przyszedłby na świat, gdyby nie współczesna nauka - zauważyła Meghan.

Jadąc z powrotem do Connecticut uświadomiła sobie, że miła, interesująca rozmowa z doktorem Williamsem podziałała jak odtrutka. Teraz mogła już prawie spokojnie wrócić myślami do chwili, kiedy Cyrus Graham wziął ją za Annie. Każde słowo, jakie padło podczas jej Pobytu w eleganckiej rezydencji, wryło się jej głęboko w pamięć.

Tego samego wieczoru, kwadrans po ósmej, Fiona Black zadzwoniła do Boba Marrona.

- Edwin Collins nie żyje - powiedziała spokojnie. - Umarł wiele miesięcy temu, a jego ciało leży w wodzie.

# 35

Meghan dotarła do domu o wpół do dziesiątej i z radością stwierdziła, że oprócz matki czeka na nią także Mac. Widząc pytanie w jego oczach, skinęła lekko głową, ale Catherine była czujna.

- O co chodzi, Meg?

Dziewczyna wciągnęła unoszący się w powietrzu zapach zupy cebulowej.

- Zostało jeszcze trochę? - zapytała, wskazując w stronę kuchni.

- No tak, oczywiście nie jadłaś kolacji! Mac, nalej jej kieliszek wina, a ja szybko coś podgrzeję.

- Tylko zupę, mamo.

Jak tylko Catherine znikła w kuchni, Mac podszedł do Meghan.

- Jak było? - zapytał półgłosem.

Odwróciła się, żeby nie dostrzegł łez w jej oczach,

- Paskudnie.

- Meg, jeśli chcesz rozmawiać o tym tylko z matką, natychmiast sobie pójdę. Wpadłem tu wracając z pracy, bo pomyślałem sobie, że przyda się jej towarzystwo, a pani Dileo zgodziła się zostać dłużej z Kyle'em.

- To bardzo miło z twojej strony, Mac, ale powinieneś przede wszystkim myśleć o chłopcu. On zawsze tak się cieszy, kiedy wracasz do domu. Dzieci są bardzo uczuciowe i nigdy nie należy sprawiać im zawodu.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że gada, co jej ślina na język przyniesie. Nagle poczuła, że Mac bierze jej twarz w dłonie i odwraca ku sobie.

- Meggie, co się stało?

Zagryzła wargi. Nie rozplacze się, choćby nie wiem co.

- Nic, tylko...

Nie była w stanie dokończyć. Mac objął ją mocno. Boże, żeby tak już zostać w jego objęciach... Nagle przypomniała sobie ten nieszczęsny list. Dziewięć lat temu przyszedł do niej z listem, w którym błagał go, żeby nie żenił się z Ginger.

„Wydaje mi się, że będziesz zadowolona, jeśli to od razu zniszczę” powiedział wtedy i objął ją tak samo jak teraz. - „Meg, kiedyś i ty się zakochasz. Uczucie, które teraz żywisz do mnie, to coś zupełnie innego. W ten sposób reaguje prawie każdy, kiedy jego najlepszy przyjaciel żeni się albo wychodzi za mąż. Pojawia się obawa, że teraz wszystko się zmieni, ale z nami tak się nie stanie. Zawsze będziemy przyjaciółmi”.

Wspomnienie podziało jak zimny prysznic. Meghan opanowała się, wyprostowała i cofnęła o krok.

- Nic mi nie jest. Po prostu padam na nos ze zmęczenia i chce mi się jeść. - Usłyszała kroki matki i zaczekała, aż Catherine wejdzie do pokoju. - Mam niezbyt dobre wiadomości, mamo.

- Pójdę już, żebyście mogły spokojnie porozmawiać - powiedział Mac, ale Catherine nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Zostań, Mac. Przecież należysz do rodziny.

Usiedli przy kuchennym stole. Meghan wydawało się, że wyczuwa obecność ojca. To on zawsze przygotowywał spóźnione kolacje, kiedy w restauracji był komplet gości, a matka nie miała czasu, żeby coś przekąsić. Świetnie parodiował kelnera dyskutującego z kłopotliwymi gośćmi. „Czy naprawdę uważa pan, że ten stolik jest zbyt kanciasty? A pani przeszkadza przeciąg? To dziwne, bo okna w całym budynku są szczelnie zamknięte. Można po prostu wiatr świszcze między pani uszami?”

Z wazy z gorącą zupą unosił się wspaniały zapach, ale Meghan chciała najpierw powtórzyć wszystko, czego dowiedziała się o ojcu. Przerwywając od czasu do czasu, by napić się wina, opowiedziała najpierw o jego dzieciństwie oraz o teorii Cyrusa Grahama, według której jego przyrodni brat odwrócił się od matki, ponieważ nie był w stanie znieść myśli, że mogłaby jeszcze raz go opuścić.

Catherine zareagowała dokładnie tak, jak oczekiwała Meghan: poczuła ogromne współczucie dla niechcianego dziecka, z którego wyrósł mężczyzna śmiertelnie obawiający się tego, że zostanie odrzucony po raz trzeci.

Potem jednak nadeszła chwila, kiedy Meg musiała zrelacjonować przebieg spotkania w Scottsdale.

- Przedstawił tamtą kobietę jako swoją żonę? - zapytała Catherine głosem wypranym z emocji.

- Nie mam pojęcia. Graham wiedział, że tata jest żonaty i ma córkę, uznał więc, że siedzi przy stoliku właśnie w towarzystwie żony i córki. Tata powiedział coś w rodzaju: „Frances i Annie, poznajcie Cyrusa Grahama”. Mamo, czy tata opowiadał ci o swojej dalszej rodzinie? Może po prostu mamy jakichś krewnych w Arizonie?

- Na litość boską, *Ues!* Jeśli przez tyle lat nie miałam pojęcia nawet o tym, że twoja babka jeszcze żyje, to skąd miałabym wiedzieć o jakiejś dalszej rodzinie? - Catherine Collins przygryzła wargę. - Wybacz mi. - Nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie. - Mówisz, że ten Graham wziął cię za Annie? Czyżbyś była do niej tak bardzo podobna?

- Owszem.

Meg spojrzała pytająco na Maca, który od razu domyślił się, czego dotyczą jej wątpliwości.

- Wydaje mi się, że powinnaś powiedzieć matce, po co jeździłaś wczoraj do Nowego Jorku.

- Chyba tak. Mamo, jest jeszcze jedna sprawa...

Patrząc matce prosto w oczy opowiedziała jej o zamordowanej dziewczynie. Kiedy skończyła, Catherine Collins przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, usiłując zrozumieć to, co przed chwilą usłyszała.

- Była bardzo podobna do ciebie? - zapytała wreszcie takim głosem, jakby dopiero co przebudziła się z głębokiego snu. - I miała przy sobie kartkę z twoim imieniem i numerem telefonu napisanymi ręką Edwina? Zdaje się, że kilka godzin po jej śmierci dostałaś faksem wiadomość, że „Annie to pomyłka”... - Oczywiście Catherine robiły się coraz większe z przerażenia. - Pojechałaś zrobić badanie DNA, bo podejrzewaś, że możesz być z nią spokrewniona!

- Pojechałam zrobić te badania, bo chcę wreszcie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Cieszę się, że zgodziłam się spotkać z tą kobietą. Wątpię, czy będziesz tym zachwycona, ale dzisiaj zadzwonił Bob Marron z policji w New Milford...

Opowiedziała córce o wizycie Fiony Black. Meg pomyślała, że to trochę niezwykła metoda poszukiwania zaginionych osób, choć chyba wcale nie bardziej niezwykła niż wydarzenia ostatnich kilku miesięcy.

O wpół do jedenastej Mac podniósł się z krzesła.

- Jeżeli chcecie mojej rady, to proponuję, żebyście poszły już do łóżek.

\*\*\*

Kiedy wszedł do domu, zastał panią Di Leo siedzącą przed telewizorem.

- Kyle był bardzo zawiedziony, że nie wrócił pan powiedzieć mi dobranoc - poinformowała go. - No, na mnie już pora.

Mac zaczekał, aż gospościa wsiądzie do samochodu, wyłączył oświetlenie na zewnątrz domu i zamknął drzwi, po czym zajrzał do pokoju syna. Kyle leżał zwinęty w kłębek, z wymiętą poduszką pod głową.

Poprawił mu kołdrę, a następnie nachylił się i pocałował go w czubek głowy. Chłopiec wyglądał i zachowywał się jak normalne, zdrowe siedmioletnie dziecko, lecz Maca mimo to dręczył niepokój, czy aby nie lekceważy jakichś trudno dostrzegalnych, choć istotnych sygnałów. Przecież zdecydowana większość rówieśników jego syna jest wychowywana przez matki. Mac stał przez chwilę przy łóżku, po czym bezradnie wzruszył ramionami; sam już nie wiedział, czy współczuje swemu synowi, czy małemu chłopcu, jakim przed pięćdziesięciu laty był Edwin Collins, czy wreszcie Catherine i Meghan, które ponosiły teraz konsekwencje trudnego dzieciństwa ich męża i ojca.

\*\*\*

W wiadomościach o jedenastej wieczorem pokazano krótki wywiad, jakiego przed wejściem do Kliniki Manninga udzieliła Stephanie Petrovic. Reporter wyjaśnił na wstępie, że młoda kobieta mieszkała z ciotką w domu w New Jersey.

- Ciało zostanie wysłane do Rumunii, natomiast msza żałobna odbędzie się w rumuńskim kościele św. Dominika w Trenton.

- Pojadę tam - powiedziała Meghan do matki. - Muszę porozmawiać z tą dziewczyną.

\*\*\*

W piątek o ósmej rano w domu Boba Marrona zadzwonił telefon. Na Manhattanie, niemal dokładnie naprzeciwko budynku, w którym znajdowało się nowojorskie mieszkanie Meghan Collins, znaleziono niewłaściwie zaparkowanego ciemnoniebieskiego cadillaca. Po sprawdzeniu okazało się, że wóz stanowi własność Edwina Collinsa.

- Ten wariat tym razem trochę przesadził - powiedział detektyw do żony, wykręcając numer zastępcy prokuratora stanowego.

Kwadrans później zadzwonił do Meghan Collins i zapytał, czy mogłaby przyjechać z matką do biura Johna Dwiera. Prokurator chciałby porozmawiać z nimi najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

## 36

W piątek rano Bernie włożył do magnetowidu kasetę, którą poprzedniego dnia nagrał w Klinice Manninga. Natychmiast stwierdził, że wykonywał zbyt gwałtowne poruszenia kamerą, gdyż obraz cały czas kołysał się i skakał.

- Bernardzie! - zawołała matka, stojąc u szczytu piwnicznych schodów. - Wystygnie ci śniadanie.

- Już idę, mamo - odparł, po czym z ociąganiem wyłączył telewizor i magnetowid.

Matka miała na sobie stary flanelowy szlafrok, tak sprany i wytarty, że w kilku miejscach porobiły się już w nim dziury. Bernie wiele razy powtarzał jej, że za często go pierze, lecz w odpowiedzi nieodmienne słyszał, że ona, w przeciwieństwie do niego, lubi czystość i że w jej domu można jeść nawet z podłogi.

Matka była w podłym nastroju.

- Przez całą noc okropnie kichałam - powiedziała nalewając owsiankę do talerza. - Wydaje mi się, że nawet teraz czuję kurz wydobywający się z piwnicy. Czy ty aby na pewno wycierasz tam podłogę?

- Tak, mamo.

- Gdybyś wreszcie naprawił te schody, zeszłabym tam, żeby przekonać się na własne oczy.

Bernie doskonale wiedział, że matka nigdy nie zaryzykuje takiej wyprawy. Jeden ze stopni był pęknięty, a poręcz trzymała się na słowo honoru.

- Mamo, chyba lepiej, żebyś tego nie robiła. Pamiętasz, co się stało z twoim biodrem? Teraz doszły jeszcze te reumatyczne bóle w kolanach...



- Nawet przez myśl mi nie przeszło znowu narażać się w taki sposób! - prychnęła. - Pamiętaj, że masz tam dokładnie sprzątać. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego spędzasz tyle czasu w tej piwnicy.

- Oczywiście, że rozumiesz, mammo. Przecież nie mogłabyś spać, gdybym późno w nocy oglądał telewizję w salonie.

- Tej nocy i tak prawie wcale nie spałam. Męczył mnie katar.

Wszystko przez tę alergię.

- Przykro mi, mammo. - Bernie pospiesznie dokończył ledwo ciepłą owsiankę. - Biegnę, bo spóźnię się do pracy.

Odprowadziła go do drzwi, a kiedy wyszedł już na zewnątrz, zawołała za nim:

- Cieszę się, że dla odmiany zacząłeś trochę dbać o samochód!

\*\*\*

Po krótkiej rozmowie telefonicznej z Bobem Marronem Meghan szybko wykąpała się, ubrała i zeszła do kuchni. Catherine właśnie przygotowywała śniadanie. Pogodne „Dzień dobry, Meg”, zamarło jej na ustach, kiedy zobaczyła wyraz twarzy córki.

- Co się stało? Wydawało mi się, że słyszysz dzwonek telefonu.

Meghan ujęła w dłonie twarz matki.

- Mammo, spójrz na mnie. Będę z tobą zupełnie szczerza. Przez wiele miesięcy wierzyłam, że tata zginął w katastrofie na moście, ale po tym, co wydarzyło się w ciągu minionego tygodnia postanowiłam przyjrzeć się sprawie z punktu widzenia prawnika i dziennikarza, analizując wszystkie możliwości i odrzucając te najmniej prawdopodobne. Starałam się brać pod uwagę również taką ewentualność, że tata żyje i znajduje się w poważnych kłopotach, ale wydaje mi się... To znaczy, jestem pewna, że nigdy nie wystawiłby nas na takie cierpienia. Telefon w środku nocy... kwiaty... a teraz...

Umilkła.

— A teraz co, Meg?

- Tuż koło mojego mieszkania znaleziono jego samochód.

- Święty Boże!

Twarz Catherine Collins miała barwę popiołu.

- To nie on go tam postawił, Mammo, za tym wszystkim musi się

coś kryć. Jeszcze nie wiem co, ale coś na pewno. Zastępca prokuratora stanowego chce się z nami jak najszybciej spotkać. On i jego ludzie najprawdopodobniej będą nas przekonywać, że tata żyje, ale przecież żaden z nich go nie znał tak jak my. Bez względu na to, jak wyglądało jego prawdziwe życie, nie przysłałby ci kwiatów do szpitala ani nie zostawiłby samochodu tam, gdzie - wiedziałby to przecież - z pewnością zostanie znaleziony. Na pewno oszczędziłby nam tych okropnych cierpień. Podczas spotkania w prokuraturze powinniśmy, musimy bronić go ze wszystkich sił.

Żadna z nich nawet nie pomyślała o śniadaniu. Zabrały do samochodu po kubku gorącej kawy, a kiedy Meghan wyjechała z garażu, powiedziała, starając się, by zabrzmiało to możliwie najbardziej bez trosko:

- Zdaje się, że to wbrew przepisom, prowadzić jedną ręką, ale co ja poradzę, że kawa tak bardzo mi pomaga?

- To dlatego, że jest ci zimno nie tylko z zewnątrz, ale i od środka! Spójrz, w nocy spadło trochę śniegu! Zapowiada się długa zima. Zawsze lubiłam zimy, natomiast twój ojciec ich nienawidził. Między innymi właśnie dlatego nie miał nic przeciwko częstym podróżom. W Arizonie jest chyba ciepło przez cały rok, prawda?

W chwilę potem minęły „Zajazd Drumdoe”.

- Jak tylko wrócimy, wysadzę cię przy zajeździe, a sama wezmę się ostro do pracy - oświadczyła stanowczo Meghan. - Pamiętaj, żeby nie wspomnieć ani słowem o tym, co mówił Cyrus Graham! O tamtej kobiecie i dziewczynie wiemy tylko tyle, że nazywały się Frances i Annie, i że Graham sam doszedł do wniosku, iż poznał żonę i córkę taty. Dopóki nie ustalimy więcej szczegółów, nie widzę najmniejszego powodu, by dawać prokuratorowi jeszcze jeden pretekst do podkopywania dobrego imienia taty.

Meghan i Catherine zostały natychmiast zaprowadzone do gabinetu Johna Dwyera. Prokurator czekał na nie w towarzystwie Boba Marrona i Arlene Weiss. Meghan usiadła na krześle obok matki; dla dodania otuchy cały czas trzymała ją za rękę.



Szydło bardzo szybko wyszło z worka. Zarówno zastępca prokuratora stanowego, jak i detektywi byli przekonani, że Edwin Collins żyje i że wkrótce skontaktuje się z żoną i córką.

- Telefon, kwiaty, samochód - wyliczał John Dwyer. - Czy wiedziała pani, że mąż ma pozwolenie na broń? - zwrócił się bezpośrednio do Catherine.

- Owszem. Dostał je mniej więcej przed dziesięciu laty.

- Gdzie trzymał rewolwer?

- Zamknięty w szafce w gabinecie albo w domu.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Kilka lat temu.

- Dlaczego pan o to pyta? - wtrąciła się Meghan. - Czy znaleźliście rewolwer w samochodzie?

- Zgadła pani - odparł spokojnie Dwyer.

- Nie widzę w tym nic dziwnego - stwierdziła Catherine. - Często woził go ze sobą, gdyż dziesięć lat temu w Bridgeport został napadnięty, kiedy zatrzymał się na czerwonym świetle.

Dwyer przeniósł spojrzenie na Meghan.

- Panno Collins, cały wczorajszy dzień spędziła pani w Filadelfii. Nie możemy wykluczyć, że pani ojciec dokładnie śledzi pani poruszenia i wiedział o tym, że wyjechała pani z Connecticut. Mógł zatem przypuszczać, iż pojechała pani do swojego mieszkania w Nowym Jorku. Jestem zmuszony kategorycznie zażądać, żebyście w przypadku nawiązania przez Edwina Collinsa kontaktu z którąś z was próbowały namówić go, aby dobrowolnie zgłosił się na policję. Możemy wtedy wyjść na dobre.

- Mój mąż na pewno nie skontaktuje się z nami - odparła stanowczo Catherine. - Panie Dwyer, tamtej nocy na moście niektórzy kierowcy wyskoczyli z samochodów, próbując uciec przed płomieniami, prawda?

- Owszem, tak było.

- O ile wiem, pewna kobieta została potrącona przez jeden z samochodów i niewiele brakowało, a wpadłaby do rzeki.

- Rzeczywiście.

- Dlaczego więc nie weźmie pan pod uwagę takiej możliwości: mój mąż wyskoczył z samochodu, ale został zepchnięty do rzeki, a po wypadku ktoś odjechał jego cadiakiem?

Meghan bez trudu dostrzegła na twarzy prokuratora rozdrażnienie zmieszane ze współczuciem. Jej matka też chyba to zauważyła, gdyż podniosła się z krzesła.

- Ile czasu potrzebuje zazwyczaj pani Black, żeby dowiedzieć się czegoś o zaginionej osobie? - zapytała.

Dwyer wymienił szybkie spojrzenie z detektywami.

- Już się... dowiedziała - odparł z wahaniem. - Twierdzi, że pani mąż od dawna nie żyje i że jego ciało znajduje się w wodzie.

Catherine Collins zamknęła oczy i zachwiała się, jakby lada chwila miała upaść. Meghan chwyciła ją mocno za ramiona. Ciało matki drżało jak w febrze, ale kiedy się odezwała, jej głos był zadziwiająco silny:

- Nigdy nie przypuszczałam, że taka wiadomość może mi sprawić ulgę. Chyba jednak nie powinnam się temu dziwić, zważywszy na to, co od was wcześniej usłyszałam.

Po wywiadzie, jakiego udzieliła Stephanie Petrovic, opinia środków masowego przekazu była jednoznaczna: dokładnie tak samo zachowują się wszyscy potencjalni spadkobiercy, których nadzieje z takich lub innych powodów nie zostały spełnione. Jej oskarżenia dotyczące rzekomego spisku, mającego na celu zgładzenie ciotki i zagarnięcie pozostawionego przez nią majątku uznano za nedorzeczne. Klinika Manninga stanowiła własność grupy prywatnych inwestorów i była kierowana przez doktora Manninga, lekarza cieszącego się nienaganą reputacją. On sam nadal odmawiał wszelkich kontaktów z prasą, ale dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że nie odniesie żadnych osobistych korzyści w związku z przekazaniem przez Helenę Petrovic hojnego daru na rzecz kliniki. Zaraz po okraszonym łzami wywiadzie Stephanie weszła do budynku w towarzystwie jednego z wyższych rangą członków personelu, który jednak nie zgodził się skomentować jej wypowiedzi.

Natomiast Charles Potters ani myślał ukrywać swego oburzenia. W piątek rano, tuż przed mszą żałobną, ponury jak chmura gradowa wpadł do domu Helenę.

i na to, jak skończy się sprawa z jej dokumentami  
 - Bez względu pja ciotka była całą duszą oddana swojej pracy! By-  
 i referencjami, t^jyby dowiedziała się o twoim zachowaniu. - Złagod-  
 łaby załamana, g^hmiast, jak tylko zobaczył przygnębienie malujące  
 niał jednak naty^dej kobiety. - Zdaję sobie sprawę, że wiele ostatnio  
 się na twarzy mKdział. - Po mszy będziesz mogła trochę odpocząć,  
 przesłaś - powi y wpaść do ciebie jakieś koleżanki Helenę?

Zdaje się, że mia^eby zostawiły mnie w spokoju - odparła Stephanie.

- Poprosiłamymam, a poza tym doskonale daję sobie radę sama.

- Prawie ich nie pik poszedł, umościła sobie z poduszek wygodne le-

Jak tylko prav\*U się na kanapie. Nie było to wcale łatwe, gdyż krę-  
 gowisko i położy i prawie bez przerwy. Stephanie czuła się bardzo sa-  
 gosłup bolał ją jv\*/\*; chciała widzieć wokół siebie tych starych kobiet,  
 motna, lecz nie \*niej przyciszonymi głosami. Była bardzo zadowo-  
 rozmawiających ustawiła jednoznaczne instrukcje na wypadek swojej  
 łona, że Helenę "P o zostać wysłane do Rumunii i pochowane w grobie  
 śmierci: ciało mi/

obok jej męża. ^mki wyrwał ją dzwonek telefonu. Kto to może  
 być?

Z płytkiej dr^

— pomyślała. yic? - usłyszała w słuchawce przyjemny  
 kobiecy głos.

- Panna Petr<^

- Tak. nan Collins z Kanału 3. Co prawda wczoraj nie było

-Jestem Me^ytanninga, ale widziałam panią w telewizji..

mnie w Klinice ^ym rozmawiać. Adwokat mojej ciotki był ze mnie

- Nie chcę o plony!

bardzo niezado^yżam, że powinnyśmy się spotkać. Kto wie, może

- Mimo to > ,omóc?

uda mi się pani rób? Mnie nikt nie może pomóc!

- W jaki spcr A warto spróbować. Dzwonię do pani z samochodu.

- Chyba jedi?kościola. Czy po mszy pójdzie pani ze mną na lunch?

Właśnie jadę dc ,prawdę martwi się o mnie, a ja tak bardzo potrzebu-

Ona chyba r>^myślała Stephanie, głośno zaś powiedziała:

ję przyjaciela, p"k występować w telewizji.

- Nie chcę jvMo tego nie zmusza. Po prostu porozmawiamy sobie

- Nikt pani

we dwójkę.

Stephanie wahała się tylko przez chwilę. W szybkim podjęciu decyzji pomogła jej świadomość, że po mszy grozi jej towarzystwo Sana Pottersa albo kobiet z Klubu Rumuńskiego.

- W porządku, pójdę z panią na lunch.

Meghan odwiozła matkę do zajazdu, po czym ruszyła do Trenton; jechała z największą prędkością, jaką odważyła się rozwinąć. Po drodze zadzwoniła do Toma Weickera, żeby poinformować go o odnalezieniu samochodu ojca.

- Czy wie o tym ktoś jeszcze? - zapytał natychmiast.

- Na razie nie. Policja stara się utrzymać sprawę w tajemnicy, ale prędzej czy później na pewno nastąpi jakiś przeciek. - Starła się, by brzmiało to jak najbardziej bez troski. — Chciałam, żeby Kanał 3 był pierwszy.

- Z tego robi się coraz większa sprawa, Meg. x

- Wiem.

- Zaraz damy wiadomość na antenę.

- Właśnie po to zadzwoniłam.

- Meg... Przykro mi.

- Zupełnie niepotrzebnie. Jestem pewna, że wszystko da się wyjaśnić w racjonalny sposób.

- Kiedy ma się urodzić dziecko pani Anderson?

- Kazali jej zgłosić się do szpitala w poniedziałek. Zgodziła się, żebyśmy wpadli do nich w niedzielę wieczorem i zrobili parę ujęć. Ma sporo fotografii Jonathana z okresu, kiedy był niemowlęciem. Krysie, że wykorzystamy je, żeby porównać wygląd obu chłopców.

- Zostawiam ci tę sprawę. Przynajmniej na razie.

- Dziękuję, Tom.

\*\*\*

Niemal przez całe piątkowe popołudnie Phillip Carter odpowiadał na pytania dotyczące Edwina Collinsa. Z upływem czasu stawały się coraz ostrzejsze, on zaś czuł, że traci cierpliwość.

- Nie, nigdy nie byliśmy oskarżeni o zarekomendowanie na jakieś stanowisko kandydata z fałszywymi referencjami lub niepotwierdzo-

nymi kwalifikacjami. Zawsze cieszyliśmy się i nadal cieszymy znakomitą reputacją.

Arlene Weiss zainteresowała sprawą samochodu.

- Kiedy odnaleziono go w Nowym Jorku, miał na liczniku czterdzieści dwa tysiące kilometrów. Według wpisu do książki serwisowej po raz ostatni był na przeglądzie nieco ponad rok temu, przy stanie licznika wynoszącym trzydzieści dwa tysiące kilometrów. Ile kilometrów miesięcznie przejeżdżał przeciętnie pan Collins?

- To zależało wyłącznie od jego rozkładu zajęć. Samochody są własnością firmy i wymieniamy je co trzy lata, przy czym każdy z nas samodzielnie zajmuje się przeglądami i wszystkim, co jest związane z ich obsługą. Ja skrupulatnie przestrzegam terminów, natomiast Edwin zaledwie tym nie przejmował.

- W takim razie ujmijmy rzecz w inny sposób - odezwał się Bob Marron. - Pan Collins zniknął w styczniu. Czy to możliwe, żeby między październikiem a styczniem przejeździł dziesięć tysięcy kilometrów?

— Naprawdę nie mam pojęcia. Mogę podać panom, z jakimi klientami prowadziłem wtedy rozmowy, a na podstawie rachunków z hoteli być może udałoby mi się ustalić przybliżoną trasę jego podróży.

- Po prostu chcemy stwierdzić, jak często korzystano z tego samochodu po wypadku na moście Tappan Zee - wyjaśnił Marron. ~ Interesuje nas także rachunek za rozmowy przeprowadzane z aparatu zainstalowanego w cadillaku.

Chodzi wam o ustalenie godziny, o której Ed rozmawiał z Orsinim? Zrobiła to już firma ubezpieczeniowa. Połączenie zostało przerwane niecałą minutę przed katastrofą.

Kolejne pytania dotyczyły stanu finansów firmy.

- Nasze księgi są w porządku. Dopiero co przeprowadziliśmy kontrolę. Od kilku lat, jak większość firm, odczuwamy skutki recesji. Właściciele przedsiębiorstw częściej zwalniają ludzi niż przyjmują ich do pracy. Mimo to nie widzę powodu, dla którego Edwin musiałby pożyczać kilkaset tysięcy dolarów pod zastaw swojej polisy ubezpieczeniowej.

- Zapewne otrzymaliście prowizję za skierowanie Heleny Petrovic do pracy w Klinice Manninga?

- Oczywiście.

- Czy Collins zgarnął ją do własnej kieszeni?
- Nie, została zaksięgowana jak należy.
- A nikogo nie zainteresowało, skąd w dokumentach wzięło się nazwisko tej Petrovic, skoro Collins załatwił wszystko na własną rękę?
- Na rachunku jest krótka informacja: „Druga rata za pośredniczenie w zatrudnieniu doktora Henry'ego Williamsa”. Teraz już wiem, że nie było żadnej drugiej raty.
- Z tego wynika, że Collins nie wyszukał dla niej pracy tylko po to, by oszukać firmę na sześć tysięcy dolarów?
- To chyba oczywiste.

Kiedy wreszcie sobie poszli, Phillip Carter bezskutecznie usiłował skoncentrować uwagę na dokumentach leżących przed nim na biurku. W sekretariacie zadzwonił telefon, a zaraz potem Jackie poinformowała go przez interkom, że dzwoni człowiek będący jednocześnie wydawcą i jedynym dziennikarzem gazetki rozprawianej wśród klientów pobliskiego supermarketu. Phillip nie życzył sobie z nim rozmawiać; odłożywszy słuchawkę interkomu skonstatował, że dzisiaj do Biura Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera dobija się wielu dziennikarzy, nie zadzwonił natomiast ani jeden klient.

i refi  
łaby  
niał  
się n  
prze  
Zdaj

# 37

Pr  
J;  
gow:  
goshi  
mot  
rozn  
ło  
śmie  
obol  
Z  
spotkania.

**M**eghan wśliznęła się do kościoła św. Dominika o wpół do pierwszej, niemal dokładnie w połowie mszy żałobnej za duszę świętej pamięci Heleny Petrovic. W nabożeństwie, które zgodnie z życzeniem zmarłej odbywało się bez uroczystej oprawy, uczestniczyło niewiele osób: kilkoro sąsiadów z Lawrenceville oraz garstka zaawansowanych wiekiem kobiet z Klubu Rumuńskiego. Stephanie siedziała w ławce obok prawnika ciotki. Meghan po deszła do niej i przedstawiła się, jak tylko wszyscy wyszli ze świątyni. Odniosła wrażenie, że młoda kobieta jest zadowolona ze spotkania.

- Zaraz do pani przyjdę, tylko pożegnaj się z tymi ludźmi - powiedziała Stephanie.

**mnii** Meghan nie zauważyła jakichś szczególnych objawów rozpaczyny. Żeby nie marnować czasu zagadnęła dwie kobiety, które właśnie opuściły kościół.

- Dobrze panie znały Helenę Petrovic?

ucja

- Tak samo jak wszyscy - odparła uprzejmie jedna z kobiet. - Czasem chodziła z nami na koncerty. Należała do Klubu Rumuńskiego, więc była informowana o wszystkich naszych przedsięwzięciach. Od czasu do czasu brała w nich udział.

u/i

C

- Ale nie często?

- Raczej nie.

- Miała jakichś bliskich przyjaciół?

Druga kobieta pokręciła głową.

we c

- Helenę trzymała się na uboczu.

-A co z mężczyznami? Widziałam raz panią Petrovic i muszę przyznać, że zrobiła na mnie wrażenie bardzo atrakcyjnej kobiety.

Tym razem obie potrząsnęły głowami.

- Jeśli nawet spotykała się z jakimś mężczyzną, to nigdy nie wspomniała o tym ani słowem.

Meghan zauważyła kątem oka, że Stephanie pożegnała się już ze wszystkimi uczestnikami nabożeństwa. Ruszyła w jej kierunku w samą porę, by usłyszeć słowa prawnika:

- Niedobrze się stało, że umówiłaś się z tą dziennikarką. Może jednak odwiezie cię do domu?

- Dziękuję, nie trzeba. Nic mi nie będzie.

Meghan pomogła młodej kobiecie zejść ze schodów prowadzących na placyk przed kościołem.

- Są bardzo strome.

- A ja zrobiłam się okropnie niezdarna. Wciąż potykam się o własne nogi.

- To twój teren - powiedziała Meghan, kiedy znalazły się w samochodzie. - Gdzie tu można dobrze zjeść?

- Miałyby pani coś przeciwko temu, żebyśmy pojechały do domu? Zostało mnóstwo jedzenia, bo prawie każdy coś mi przyniósł, a ja jestem bardzo zmęczona.

\*\*\*

Meghan uparła się, że to ona przygotowuje lunch.

- Zdejmij pantofle i połóż się na kanapie - poleciła stanowczym tonem. - Moja rodzina prowadzi zajazd, a ja mogę o sobie powiedzieć, że prawie wychowałam się w kuchni. Potrafię zrobić coś do jedzenia.

Podgrzewając zupę i układając na półmisku kurczaka na zimno oraz sałatę, rozglądała się dokoła. Kuchnia została urządzona w stylu wiejskim: podłogę miała wyłożoną terakotą, ściany glazurą, szafki ponad wszelką wątpliwość zrobiono na zamówienie, a okrągły dębowy stół i również dębowe krzesła z pewnością liczyły sobie kilkadziesiąt lat. Wszystko to musiało kosztować sporo zachodu i jeszcze więcej pieniędzy.

Na lunch przeniosły się do jadalni. Tutaj także wszystko było najwyższej jakości, a meble nosiły ślady wieloletniego, lecz troskli-

wego użytkownika. Skąd Helenę Petrovic miała na to pieniądze? - zastanawiała się Meghan. Przecież najpierw pracowała jako kosmetyczka, potem została sekretarką, a następnie trafiła do Kliniki Manninga.

Okazało się, że nie musi zadawać pytań, gdyż Stephanie aż się paliła, by opowiedzieć jej o swoich kłopotach.

- Chcą sprzedać ten dom. Wszystkie pieniądze, jakie za niego dostaną, przejdą na własność kliniki, osiemset tysięcy dolarów z konta też, ale ja myślę, że to niesprawiedliwie. Ciotka obiecała mi, że zmieni testament. Jestem jej jedyną krewną. Właśnie dlatego ściągnęła mnie tutaj.

- Acoz ojcem dziecka? Można go zmusić, żeby ci pomógł.

- On wyjechał.

- Można go odszukać. W tym kraju prawo chroni interesy **dziecka**. Jak on się nazywa?

Widać było, że Stephanie bije się z myślami.

- Nie chcę mieć z nim nic wspólnego - oświadczyła wreszcie.

- Ale ty masz prawo domagać się od niego opieki!

• - I tak oddam dziecko do adopcji. To jedyne wyjście.

- Niekoniecznie. Jak on się nazywa i gdzie się poznaliście?

- Na rumuńskim przyjęciu w Nowym Jorku. Ma na imię Jan. Helenę rozboleła głowa, więc wyszła trochę wcześniej, a on zaproponował, że odwiezie mnie do domu. - Wbiła wzrok w podłogę. - Nie chcę o tym mówić. Byłam taka głupia!

- Często się z nim widywałaś?

- Kilka razy.

- Powiedziałaś mu o dziecku?

- Zadzwoił, żeby powiedzieć, że wyjeżdża do Kalifornii. Wtedy powiedziałam, że jestem w ciąży, ale on odparł, że to mój problem.

- Kiedy to było?

- W marcu.

- Czym on się zajmuje?

- Jest mechanikiem. Panno Collins, ja naprawdę niczego od niego nie chcę. Przecież jest mnóstwo ludzi, którzy marzą o dziecku, prawda?

- Owszem, ale nie to miałam na myśli mówiąc, że może uda mi się ci pomóc. Gdybyśmy odnalazły Jana, musiałybyśmy żyć na wasze utrzymanie przynajmniej do chwili, kiedy udałoby ci się znaleźć pracę.

- Proszę zostawić go w spokoju. Ja się go boję. Był taki zły...

- Ponieważ powiedziałaś mu, że jest ojcem twojego dziecka?

- Niech pani przestanie o niego wypytywać! - Stephanie odsunęła się z krzesłem od stołu. - Jeżeli chce mi pani pomóc, to proszę znaleźć ludzi, którzy wezmą ode mnie dziecko i dadzą mi trochę pieniędzy.

- Wybacz mi, proszę - powiedziała Meghan ze skrucą. - Nie chciałam cię zdenerwować. Napijmy się herbaty. Pozmywam później. Przeszły do salonu Meghan podłożyła dziewczynie pod plecy jeszcze jedną poduszkę i podsunęła jej stółek, żeby mogła oprzeć nogi. Stephanie uśmiechnęła się przepaszająco.

- Pani jest bardzo miła. Naprawdę mi przykro, że się uniosłam, ale to wszystko wydarzyło się tak nagle...

- Teraz najbardziej potrzebujesz sponsora, dzięki któremu dostaniesz zieloną kartę i będziesz mogła znaleźć pracę. Chyba twoja ciotka miała chociaż jednego przyjaciela, który zrobi to dla ciebie?

- Czy to znaczy, że będę mogła zostać w Stanach, jeśli znajdę sponsora?

- Właśnie. Czy wiesz o kimś, kto na przykład jest winien przysługę twojej ciotce?

Na twarzy Stephanie pojawił się radosny uśmiech.

- Tak, jest ktoś taki! Bardzo pani dziękuję.

- A kto to? - zapytała szybko Meghan.

Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Mogę się mylić - wyszeptła dziewczyna. - Muszę się **nad tym** zastanowić.

Nie chciała powiedzieć nic więcej.

#\*\*

○ drugiej po południu Bernie miał już za sobą kilka kursów z lotniska La Guardia oraz jeden z portu lotniczego im. Kennedy'ego do Bronxville. Nie planował podróży do Connecticut, ale ponieważ na skrzyżowaniu autostrad zorientował się, że skręcił na północ, nie miał już innego wyjścia, jak tylko jechać prosto do Newtown.



Podjazd przed domem Meghan był pusty. Bernie dotarł ulicą aż do ślepego zaułka i tam zawrócił. Nigdzie nie dotrzegł ani dzieciaka, ani je-  
ła  
ni  
si  
go postrzelonego psa. To dobrze; nie chciał, żeby ktoś go zauważył.

Po chwili znowu mijał dom Meghan. Wystarczy, bo w końcu ktoś ryś z sąsiadów zwróci na niego uwagę.

**Z** Kiedy przejechał obok „Zajazdu Drumdoe” przypomniał sobie, że stanowi on własność matki Meghan. Dowiedział się tego poprzedniego dnia z gazety. Natychmiast zawrócił i skręcił na parking. Na pewno mają tu bar, pomyślał. Napiję się piwa i zjem kanapkę.

Może spotka Meghan? Powiedziałyby jej to samo, co wszystkim: że teraz pracuje dla stacji telewizji kablowej z Elmiry. Z pewnością mi uwierzy.

**m** Ściany niezbyt obszernego holu były wyłożone boazerią; na podłodze leżała kraciasta, granatowo-czerwona wykładzina. Po prawej stronie, w sali jadalnej, siedziało zaledwie kilka osób; kelnerzy sprząтали ze stołów. Już prawie po lunchu, pomyślał Bernie. Do baru skręcało się w lewo. Stwierdziwszy, że jest jedynym klientem, usiadł na wysokim stołku i poprosił o piwo i kartę. Po krótkim namyśle zamówił dużego hamburgera.

- Bardzo tu ładnie - zagadnął barmana.
- Jasne - zgodził się tamten.

**m** Miał przypiętą do koszuli plakietkę z imieniem „Joe” i mógł sobie liczyć jakieś pięćdziesiąt lat. Na ladzie leżała miejscowa gazeta; Bernie wskazał ją ruchem głowy.

**bi** Czytałem to wczoraj. Wygląda na to, że właściciele mają sporo problemów.

**u** - Do diabła i jeszcze trochę - potwierdził barman. - Cholernie mi ich żal. Pani Collins to najmiłsza kobieta na świecie, a jej córka Meg to prawdziwe чудо.

**w** Przy końcu baru usiedli dwaj mężczyźni. Joe obsłużył ich, po czym wdał się w pogawędkę. Bernie rozglądał się dyskretnie dokoła; okna wychodziły na parking z tyłu budynku, za którym zaczynał się zarzewiony teren, rozciągający się aż do domu Collinsów.

**w** Nagle przyszedł mu do głowy znakomity pomysł: mógłby wrócić tu wieczorem, zostawić wóz na parkingu zapełnionym samochodami gości,

którzy przyjechali na kolację, a następnie zagłębić się w las. Jeżeli podejdziesz wystarczająco blisko okien, może uda mu się sfilmować Meghan w jej własnym domu? Kamera była wyposażona w obiektyw o zmiennej ogniskowej, więc nie powinien mieć z tym żadnych problemów.

Przed uregulowaniem rachunku zapytał barmana, czy zajazd zatrudnia parkingowych.

- Tylko w piątki i soboty wieczorem - odparł Joe.

Bernie skinął z zadowoleniem głową. Przyjedzie tu w niedzielę w porze kolacji.

\*\*\*

Meghan rozstała się ze Stephanie Petrovic o drugiej.

- Koniecznie daj mi znać, kiedy będziesz szła do szpitala - powiedziała na odchodnym. - Dobrze jest mieć wtedy obok siebie jakąś życziwą duszę, szczególnie jeśli to twoje pierwsze dziecko.

- Rzeczywiście, trochę się boję - przyznała Stephanie. - Niewiele brakowało, a moja mama umarłaby podczas porodu. Chciałabym mieć to już za sobą.

Meghan wciąż miała przed oczami zatroskaną twarz dziewczyny. Dlaczego Stephanie tak kategorycznie odmawiała ujawnienia nazwiska ojca dziecka i nie chciała zmusić go do płacenia alimentów? Chociaż właściwie trudno się jej dziwić, skoro miała zamiar oddać dziecko do adopcji...

Przed wyruszeniem w drogę do domu Meghan chciała zatrzymać się na chwilę w jeszcze jednym miejscu. Lawrenceville leżało w pobliżu Trenton, a tam właśnie Helenę Petrovic pracowała jako sekretarka w Ośrodku Badań nad Płodnością. Może znajdzie się tam ktoś, kto ją pamięta, mimo że odeszła do Kliniki Manninga już ponad sześć lat temu. Meghan zależało na tym, by dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

\*\*\*

Ośrodek Badań nad Płodnością w Trenton mieścił się w niewielkim budynku przylegającym do szpitala. Recepcja była tak mała, że mogło w niej stanąć tylko biurko i jedno krzesło dla interesantów. Nie ulegało wątpliwości, iż Ośrodek nie może się równać z Kliniką Manninga.

Meghan nie pokazała legitymacji dziennikarskiej; nie przyjechała tu jako reporterka. Jak tylko wyjaśniła siedzącej za biurkiem kobiecie, że chciałaby porozmawiać z kimś o Helenie Petrovic, wyraz twarzy recepcjonistki uległ raptowniej zmianie.

- Nie mamy nic do powiedzenia na ten temat. Pani Petrovic pracowała tu przez trzy lata jako sekretarka i nigdy nie miała do czynienia ze sprawami medycznymi.

- Wierzę pani - zapewniła ją Meghan. - Chodzi jednak o to, że odpowiedzialnością za skierowanie jej do Kliniki Manninga obarcza się mojego ojca. Chciałabym porozmawiać z kimś, kto ją dobrze znał. Muszę wiedzieć, czy firma mojego ojca zwróciła się do kierownictwa waszego Ośrodka z prośbą o opinię.

Recepcjonistka zawahała się.

— Bardzo panią proszę - powiedziała cicho Meghan.

Sprawdzę, czy dyrektorka ma chwilę czasu.

Dyrektorka miała siwiejące włosy, nieco ponad pięćdziesiąt lat oraz bardzo interesującą twarz. Kiedy Meghan weszła do jej gabinetu, przedstawiła się jako doktor Keating.

- Ale nie lekarz - wyjaśniła natychmiast, - Zajmuję się wyłącznie ekonomiczną stroną działalności Ośrodka.

Teczke Helenie Petrovic trzymała nie w szafie, lecz w szufladzie biurka.

- Przedwczoraj zastępca prokuratora stanowego z Connecticut

poprosił mnie o przesłanie kopii tych dokumentów.

- Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, żebym wynotowała

sobie kilka rzeczy? - zapytała Meghan.

W - Skądże znowu.

Informacje zawarte w teczce pokrywały się z tymi podawanymi przez prasę. Składając podanie o przyjęcie do pracy w Ośrodku, Helenie Petrovic napisała prawdę: wcześniej była zatrudniona jako kosmetyczka, ostatnio zaś ukończyła wieczorową szkołę dla sekretarek w Nowym Jorku, co potwierdzała załączona kopia dyplomu.

- Wszystko się zgadzało - powiedziała doktor Keating. - Sprawiała sympatyczne wrażenie i była bardzo grzeczna, więc zatrudniłam ją i nigdy tego nie żałowałam.

- Czy potem poinformowała panią, że odchodzi do Kliniki Manninga?

- Nie. Powiedziała tylko, że zamierza wrócić do zawodu kosmetyczki, ponieważ jedna z jej przyjaciółek otworzyła w Nowym Jorku salon piękności. Nie dziwiło mnie więc, że nikt nie zwrócił się do nas z prośbą o opinię na jej temat.

- A więc nie miała pani do czynienia z Biurem Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera?

- Nie.

- Helenie Petrovic zdołała oszukać nawet doświadczonych lekarzy pracujących w Klinice Manninga. Jak pani sądzi, gdzie udało jej się zdobyć wiedzę niezbędną do kierowania laboratorium, w którym przechowuje się zamrożone embriony?

Doktor Keating zmarszczyła brwi.

- Jak już mówiłam detektywom z Connecticut, Helenie była zafascynowana medycyną, a szczególnie jej osiągnięciami w dziedzinie leczenia bezpłodności. W każdej wolnej chwili czytała fachowe książki, a kiedy tylko mogła, zaglądała do laboratorium - naturalnie nigdy nie zostawała w nim sama. Ścisłe przestrzegamy zasady, żeby zawsze znajdowały się tam co najmniej dwie odpowiednio wykwalifikowane osoby. To coś w rodzaju systemu bezpieczeństwa, który moim zdaniem powinien zostać wprowadzony we wszystkich instytucjach podobnych do naszej.

- A więc uważa pani, że Petrovic uczyła się na podstawie lektur i obserwacji?

- Trudno uwierzyć, żeby ktoś, kto nigdy nie miał okazji wykonać najprostszych czynności przy stole laboratoryjnym zdołał oszukać wysokiej klasy specjalistów, ale żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy.

- Wszyscy, z którymi rozmawiałam do tej pory twierdzą, jakoby Helenie Petrovic była nadzwyczaj sympatyczną, ale samotną osobą. Czy pani to potwierdzi?

- Raczej tak. Z tego co wiem, nigdy nie uczestniczyła w prywatnych przyjęciach organizowanych przez członków personelu ani nie zapraszała nikogo do siebie.

- A jak wyglądała sprawa z mężczyznami?



- Nie jestem pewna, ale przez cały czas miałam wrażenie, że spotyka się z kimś ze szpitala. Koleżanki, które podczas jej nieobecności odbierały telefony, żartowały nieraz, że ma jakiegoś doktora Kildare'a; przypuszczalnie mężczyzna, który dzwonił, podawał wewnętrzny numer, pod którym mogła znaleźć go w szpitalu.

- Ale pani nie zna tego numeru?

- To było ponad sześć lat temu...

- Tak, oczywiście. - Meghan podniosła się z miejsca. - Serdecznie dziękuję za pomoc, pani doktor. Czy mogę zostawić swój numer telefonu na wypadek, gdyby przypomniała sobie pani o czymś, co mogłoby mi się przydać?

Doktor Keating wyciągnęła na pożegnanie rękę.

- Znam pani sytuację, panno Collins. Naprawdę chciałabym pomóc.

Zajawszy miejsce za kierownicą, Meghan przez chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w potężny, dziewięciopiętrowy budynek szpitala, długi na kilkadziesiąt metrów, z dziesiątkami okien, w których właśnie zapalały się światła.

Czy to możliwe, żeby za jednym z tych okien pracował lekarz, który pomógł Helenę Petrovic w przygotowaniach do niebezpiecznego oszustwa?

W chwili, gdy wjeżdżała na drogę stanową numer 7, zaczęły się wiadomości o piątej po południu. Meghan nastawiła radio na swoją stację.

- Zastępca prokuratora stanowego John Dwyer - usłyszała - potwierdził uzyskane przez nas wcześniej wiadomości o odnalezieniu samochodu, którym poruszał się Edwin Collins tego styczniowego wieczoru, kiedy wydarzyła się katastrofa na moście Tappan Zee. Samochód stał na Manhattanie przed wejściem do budynku, w którym mieszka

córka Collinsa. W ciemnoniebieskim cadillaku znaleziono rewolwer Collinsa; badania balistyczne pozwoliły stwierdzić, że właśnie z tej broni zastrzelono Helenę Petrovic, do niedawna kierowniczkę laboratorium w Klinice Manninga. Przed kilku laty została tam umieszczona

na przez firmę Collinsa i Cartera, która nie zadała sobie trudu, by sprawdzić autentyczność sfałszowanych, jak się później okazało, dyplomów i referencji. Edwin Collins jest od dzisiaj poszukiwany listem gończym jako podejrzany o popełnienie morderstwa.

## 38

W piątek doktor George Manning wyszedł z kliniki o piątej po południu. Co prawda trzy kolejne pacjentki zrezygnowały z ustalonych już dawno terminów wizyt, ale jak do tej pory tylko sześcioro zaniepokojonych rodziców zażądało przeprowadzenia badania DNA, aby upewnić się, że ich dzieci są ich biologicznym potomstwem. Jednak Manning doskonale wiedział, iż wystarczy jedna potwierdzona wpadka, by zaczęły zgłaszać się do niego wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek odwiedziły klinikę. Miał więc uzasadnione powody, by obawiać się najbliższych dni i tygodni.

W ponurym nastroju przemierzał dwanaście kilometrów dzielące go od domu w Południowym Kencie. Jaka szkoda, jaka wielka szkoda! Dziesięć lat ciężkiej pracy oraz znakomita reputacja obrócone wniwecz w ciągu zaledwie kilkunastu godzin. Jeszcze niespełna tydzień temu cieszył się z kolejnego zjazdu małych „wychowanków” i przygotowywał się do przejścia na zasłużoną emeryturę. W styczniu, w dniu swoich siedemdziesiątych urodzin, zapowiedział oficjalnie, że zostanie na stanowisku jeszcze tylko przez rok.

Najbardziej bolesne było wspomnienie rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadził wówczas z Edwinem Collinsem, który zadzwonił z powinszowaniami i zapytał żartem, czy Biuro Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera będzie mogło jeszcze raz służyć pomocą Klinice Manninga!

\*\*\*

W piątek wieczorem przed położeniem synka do łóżka, Dina Anderson przycisnęła go mocno do piersi.

- Jonathanie, wydaje mi się, że twój braciszek nie będzie chciał czekać aż do poniedziałku.

- I jak, kochanie? - zapytał mąż, kiedy zeszła na dół.

- Co pięć minut.

- Dzwonię do lekarza.

- A więc to tyle, jeśli chodzi o nasz wspólny występ w telewizji. - Skrzywiła się, kiedy chwycił ją kolejny skurcz. - Powiedz mamie, żeby tu przyjechała, i uprzedź doktora, że jedziemy już do szpitala.

Pół godziny później Dina Anderson siedziała w fotelu w izbie przyjęć szpitala w Danbury.

- Uwierzyłby pan, że skurcze mogą tak nagle ustać? - zapytała ze skwaszoną miną.

- Mimo to zostanie pani w szpitalu - odparł lekarz. - jeśli do rana się nie pojawią, damy pani kroplówkę, żeby je wywołać. Pan może wracać do domu - zwrócił się do męża kobiety.

Dina ujęła w dłonie twarz Donalda.

- Nie martw się tak bardzo, tatuśku. Aha, zadzwoń do Meghan Collins i powiedz jej, że Ryan najprawdopodobniej urodzi się już jutro. Chciała sfilmować go zaraz po przyjściu na świat. I nie zapomnij przynieść ze sobą pierwszych zdjęć Jonathana; wszyscy będą mogli się przekonać, że dzieci są identyczne. Zawiadom też doktora Manninga. To naprawdę uroczy człowiek; dzwonił dzisiaj do mnie, żeby zapytać, jak się czuję.

\*\*\*

Następnego dnia rano Meghan i Steve, jej kamerzysta, siedzieli w korytarzu szpitala, czekając na wiadomość o nowo narodzonym Ryanie. Donald Anderson dał im fotografie Jonathana wykonane, kiedy dziecko liczyło sobie zaledwie kilka godzin. Jonathan miał przyjechać do szpitala nieco później z matką Diny, żeby można było sfilmować całą rodzinę.

Meghan obserwowała życie szpitala swoim wyczulonym okiem reporterki. Młoda matka z dzieckiem na ręku siedziała w wózku na kółkach, pchanym przez pielęgniarkę. Za nimi podążał mąż, uginający

się pod ciężarem walizek i naręczami kwiatów. Do jednego z bukietów był przywiązany różowy balon z napisem: „Dziewczynka!”

Z windy wysiadło małżeństwo z czteroletnim chłopcem; jedną rękę miał zakutą w gipsowy pancierz, a na głowie bandaż. Kobieta w zaawansowanej ciąży przeszła powoli przez hol i zniknęła za drzwiami z napisem IZBA PRZYJĘĆ.

Widząc tyle rodzin z dziećmi, Meghan pomyślała o Kyle'u; co to za matka, która zostawia sześciomiesięczne dziecko i odchodzi w stronę dal?

Kamerzysta oglądał zdjęcia Jonathana.

- Zrobię takie same ujęcia — powiedział. — Nie uważasz, że to trochę dziwne, wiedzieć z góry, jak będzie wyglądało twoje dziecko?

- Spójrz, doktor Manning! - szepnęła Meghan. - Ciekawe, czy przyjechał z powodu Andersonów?

Piętro wyżej, w sali porodowej, donośny krzyk dziecka wywołał pełne ulgi uśmiechy na twarzach lekarzy, pielęgniarek oraz rodziców. Błada i wycieńczona Dina uniosła głowę, tylko po to jednak, by zobaczyć, jak na twarzy męża pojawia się zdumienie i niedowierzanie. Spróbowała podnieść się na łokciu.

- Co z dzieckiem?! — krzyknęła rozpaczliwie. - Pokażcie mi je!

- Jest całe i zdrowe - uspokoił ją lekarz. Trzymał w rękach wierząco nóżkami niemowlę, na którego główce sterczały we wszystkie strony płomieniste rude, mokre włoski.

- To nie jest brat Jonathana! - wrzasnęła Dina. — Czyje ja dziecko urodziłam?!

**W** soboty zawsze pada - wymamrotał z dezaprobatą Kyle, przelączając telewizor z kanału na kanał. Siedział po turecku na dywanie z drzemiącym Jake'em u boku.

Mac był pogrążony w lekturze gazety.

- Nie zawsze - odparł odruchowo, po czym zerknął na zegarek: zbliżała się dwunasta. - Przełącz na Kanał 3, chcę obejrzeć wiadomości.

- W porządku. - Kyle wcisnął guzik. - Popatrz, Meg!

Mac odłożył gazetę.

- Podgłośnij trochę.

- Przecież zawsze każesz mi przyciszyć...

Kyle!

- Już dobrze, dobrze.

Meg stała w szpitalnym korytarzu.

- Skandal związany z Kliniką Manninga przybiera coraz większe i coraz bardziej niepokojące rozmiary. Po zabójstwie Heleny Petrovic oraz odkryciu oszustwa, jakiego się dopuściła, pojawiły się obawy, czy Petrovic była w stanie prawidłowo zajmować się powierzonymi jej opiece zamrożonymi embrionami. Godzinę temu w szpitalu w Danbury, gdzie teraz jesteśmy, przyszło na świat dziecko, które miało być bliźniaczym bratem trzyletniego Jonathana. - Kamezysta nieco poszerzył plan. - Obok mnie stoi doktor Allan Neitzer, położnik, który pomógł przyjść na świat drugiemu synowi Diny Anderson. Panie doktorze, co może nam pan powiedzieć o noworodku?

- To zdrowy, prześliczny chłopczyk, ważący cztery kilogramy.

- Ale nie jest bliźniaczym bratem Jonathana Andersona?

- Nie jest.

- A czy jest biologicznym dzieckiem Diny Anderson?

- Na to pytanie będę mógł odpowiedzieć dopiero po przeprowadzeniu badania DNA.

- Jak długo trzeba czekać na jego wyniki?

- Cztery do sześciu tygodni.

- W jaki sposób zareagowali Andersonowie?

- Są zrozpaczeni i zdeorientowani.

- W szpitalu zjawił się także doktor Manning, ale pojechał na górę, zanim zdążyliśmy do niego podejść. Czy widział się z Andersonami?

- Nie mogę wypowiadać się na ten temat.

- Dziękuję panu, doktorze. - Meghan ponownie spojrzała prosto w kamerę. - Ekipa Kanału 3 zostanie w szpitalu w Danbury, by śledzić rozwój tej pasjonującej historii, a tymczasem oddaję głos do studia.

- Wyłącz to, Kyle.

Chłopiec nacisnął guzik i ekran ściemniał.

- Go to wszystko znaczy, tato?

Duże problemy, synu, pomyślał Mac. Ile jeszcze błędów popełniła Helena Petrovic w Klinice Manninga? Bez względu na ich ilość i rodzaj, odpowiedzialność spadnie także na Edwina Collinsa.

- To bardzo skomplikowana sprawa, Kyle.

- Czy z Meg jest coś nie w porządku?

Mac przez dłuższą chwilę przyglądał się synowi. Jasne włosy, takie same jak jego, wciąż niesfornie opadały na czoło, a brązowe oczy odziedziczone po Ginger straciły już nieco ze swojej beztraski. Jeżeli nie liczyć tych oczu, Kyle był stuprocentowym MacIntyre'em, Jak bym się czuł, gdybym spojrział synowi w twarz i zobaczył kogoś zupełnie obcego? ~ przemknęło Macowi przez głowę. Szybko wyciągnął rękę i objął chłopca.

- Meg miała ostatnio wiele kłopotów.

- Obok ciebie i Jake'a jest moim najlepszym przyjacielem - powiedział Kyle.





Jake poruszył ogonem na znak, że usłyszał swoje imię. Mac uśmiechnął się krzywo.

- Z pewnością byłaby zachwycona mogąc to słyszeć.

Po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni przyszła mu do głowy smutna myśl, czy aby zdumiewająca głupota, jaką się popisał nie potrafiąc w porę przeanalizować swoich uczuć do Meg, nie zepchnęła go już na zawsze do roli powiernika i przyjaciela.

\*\*\*

Meghan i Steve siedzieli w korytarzu szpitala w Danbury. Kame-rzysta chyba wyczuł, że dziewczyna nie ma ochoty na rozmowę, ponieważ nie odezwał się ani słowem. Choć minęło już sporo czasu, nie pojawili się ani Donald Anderson, ani doktor Manning.

- Spójrz, Meg - powiedział nagle Steve. - Czy to nie starszy dzieciak Andersonów?

- Rzeczywiście! A ta kobieta to pewnie jego babka.

Zerwali się z miejsc i popędzili przez hol, by dopaść upatrzoną dwójkę przed windą. Meg włączyła mikrofon, a Steve wycelował kamerę.

- Mogę zająć pani chwilę czasu?... Czy pani jest matką Diny Anderson?

- Owszem.

Kobieta miała przyjemny głos, w którym bez trudu dało się usłyszeć nutę niepokoju; jej inteligentną, zaniepokojoną twarz okalały srebrzyste włosy.

- Czy po narodzinach drugiego dziecka rozmawiała już pani ze swoją córką albo zięciem?

- Zięć zadzwonił do mnie. Przepraszam, ale muszę iść na górę. Moja córka mnie potrzebuje.

Weszła do windy, ściskając mocno rękę trzyletniego chłopca. Meghan nie próbowała jej zatrzymać.

Jonathan miał na sobie niebieską kurteczkę, doskonale pasującą do jego błękitnych oczu. Na tle jasnej cery wyraźnie odznaczały się rumieńce, a po płowych włosach, ostrzyżonych równo za uszami, spływały krople deszczu.

- Pa, pa! - zawołał i z szerokim uśmiechem pomachał rączką. Zraz potem drzwi windy zamknęły się z sapnięciem.

- Ładny dzieciak - zauważył Steve.

Meg skinęła głową. Wrócili na swoje miejsca.

- Myślisz, że Manning wyda jakieś oświadczenie? - zapytał kamerzysta.

- Na jego miejscu przede wszystkim skontaktowałabym się z prawnikami.

Firmie Collinsa i Cartera też przyda się dobry adwokat, dodała w myślach.

Rozległ się sygnał urzędnika przywoławczego. Meghan wyjęła z torby telefon komórkowy i połączyła się z pokojem wydania, gdzie powiedziano jej, że chce z nią rozmawiać Tom Weicker.

- Jeżeli Tom zjawił się w sobotę w pracy, to znaczy, że coś się święci — mruknęła.

Miała rację.

- Meg, Dennis Cimmini jest już w drodze, żeby cię zmienić. Wziął helikopter, więc powinien tam być lada chwila.

Nawet się specjalnie nie zdziwiła. Coś, co zapowiadało się jako ciekawostkowy reportaż o bliźniakach przychodzących na świat w odstępie trzech lat, przeistoczyło się w znacznie większą historię, ściśle powiązaną ze skandalem w Klinice Manninga oraz zabójstwem Helenę Petrovic.

- W porządku, Tom.

Wyczuła, że to jeszcze nie koniec.

- Meg, czy powiedziałaś prokuratorowi z Connecticut o tej martwej kobiecie, z którą byliście podobne do siebie jak dwie krople wody i o znalezionej w jej kieszeni kartce z twoim imieniem i numerem telefonu zapisanymi ręką twojego ojca?

- I tak, prędzej czy później, dowiedziałyby się tego od nowojorskiej policji.

- Gdzieś nastąpił przeciek. Prokuratura wie też, że byłaś w kostnicy i że pobrano ci próbkę krwi w celu przeprowadzenia badania DNA. Musimy natychmiast dać to na antenę, bo inne stacje już dostały cynk.

- Rozumiem.

- Od tej chwili jesteś na urlopie. Płatnym, ma się rozumieć.
- W porządku.
- Bardzo mi przykro, Meg.
- Wiem. Dzięki. Przerwała połączenie. Przez obrotowe drzwi prowadzące do szpitalnego holu wchodził właśnie Dennis Cimini. - No, na mnie już chyba pora - powiedziała do Steve'a. - Trzymaj się. Miała nadzieję, że w jej głosie nie było słycać rozczarowania.

Niebawem miała się odbyć aukcja pewnej nieruchomości, położonej przy samej granicy stanu Rhode Island; Phillip Carter postanowił rzucić na nią okiem. Potrzebował czegoś, co

## 40

pozwoliłoby mu zapomnieć choć na chwilę o pracy i niezliczonych problemach, jakim musiał stawiać czoło w minionym tygodniu. Reporterzy z prasy, radia i telewizji wpychali się drzwiami i oknami, policja przyjeżdżała prawie codziennie, a pewien znany dziennikarz zaproponował mu udział w programie publicystycznym o ludziach, którzy zaginęli bez wieści. Victor Orsini niewiele rozminął się z prawdą mówiąc, że każde słowo wypowiedziane lub napisane o sfalszowanych referencjach Helenę Petrovic stanowi kolejny gwóźdź do trumny Biura Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera.

W sobotę w samo południe dzwonek telefonu zatrzymał Cartera w progu. Phillip przez chwilę walczył ze sobą, ale w końcu zawrócił i podniósł słuchawkę. Dzwonił Orsini.

- Phillipie, właśnie oglądam telewizję. Niestety dla nas zaczynają się poważne kłopoty. Przyszedł na świat pierwszy owoc pracy Helenę Petrovic.

- Co to ma znaczyć?

Słuchając wyjaśnień Orsiniego Carter poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

- A to dopiero początek - dodał Victor. - Na ile jesteśmy ubezpieczeni, gdyby ludzie zaczęli żądać od nas odszkodowań?

- Na pewno nie na tyle, żeby wystarczyło dla wszystkich - odparł spokojnie Carter, po czym odłożył słuchawkę.

Czasem wydaje ci się, że masz wszystko pod kontrolą, ale tak nigdy nie jest, pomyślał. Nigdy nie dawał się łatwo ogarnąć panice, lecz teraz poczuł, że ma kłopoty z oddychaniem, a jego czoło pokrywa się perlistym potem. Lepiej, żeby jak najszybciej zapomniał o pomysle wyjazdu na prowincję; zadzwoni do Meg i Catherine i może umówi się z nimi na kolację. Chciał wiedzieć, co sądzą o tej sytuacji i jakie mają plany na przyszłość.

\*\*\*

Kiedy o wpół do drugiej Meghan weszła do domu, matka czekała już na nią z lunchem. Widziała relację, którą Meg nadała ze szpitala.

- Przypuszczam, że to ostatni materiał, jaki przygotowałam dla Kanału 3 - powiedziała dziewczyna.

Obie kobiety były tak przygnębione, że przez dłuższą chwilę jadły w zupełnym milczeniu.

- Mamo, co prawda jesteśmy w okropnej sytuacji, ale wyobraź sobie, co teraz czują kobiety, które poddały się zabiegowi w Klinice Manninga - odezwała się wreszcie Meghan. - Po tej historii z Andersonami żadna nie może być w stu procentach pewna, czy wszczepiono jej właściwy embrión. Wyobraź sobie co będzie, jeśli matka biologiczna i matka nosicielka zaczną wrywać sobie dziecko?

- Wcale nie muszę. - Catherine Collins zacisnęła palce na ramieniu córki. - Meg, ja od dziewięciu miesięcy przeżywam taką huśtawkę nastrojów, że chwilami zapominam, jak się nazywam.

- Wiem, mamo, ale...

- Nie przerywaj mi. Nie mam pojęcia, jak to wszystko się skończy, ale wiem jedno: nie mogę cię stracić! Jeżeli naprawdę ktoś zamordował tę nieszczęsną dziewczynę dlatego, że była podobna do ciebie, to mogę tylko współczuć jej z całego serca, a jednocześnie dziękuję Bogu, że ty żyjesz.

Obie aż podskoczyły, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Ja otworzę - powiedziała Meghan.

Okazało się, że to posłaniec z przesyłką dla Catherine Collins. Po zdarceniu papieru ukazało się małe pudełeczko z przyklejoną kopertą. Catherine otworzyła ją i przeczytała na głos krótki list:

*Szanowna pani Collins, zwracam obrączkę pani męża. Już dawno nie byłam tak pewna, że moje przeczucia mnie nie mylą, jak wtedy, kiedy powiedziałam detektywowi Marronowi, że Edwin Collins nie żyje od wielu miesięcy. Jestem z panią myślami i modlitwami.*

*Fiona Campbell Black.*

Meghan z ulgą stwierdziła, że łzy, które popłynęły z oczu matki, spłukały z jej twarzy część udręki i niepewności.

Catherine wyjęła z pudełeczka złotą obrączkę i mocno ścisnęła w dłoni.

# 41

Późnym popołudniem w szpitalu w Danbury Dina Anderson, której zaaplikowano środek uspokajający, drzemała w łóżku z Jonathanem przytulonym do jej boku. Jej mąż i matka w milczeniu siedzieli obok łóżka. W pewnej chwili do pokoju zajrzał doktor Neitzer i dał znak Donowi, że chce z nim porozmawiać. Anderson wyszedł na korytarz.

- Ma pan jakieś wiadomości?

Lekarz skinął głową.

-1 to dobre. Porównując grupy krwi pana, pańskiej żony, Jonathana oraz noworodka stwierdziliśmy, że to może być pańskie biologiczne dziecko. Pan ma A Rh plus, żona 0 Rh minus, Ryan Rh 0 plus.

- A Jonathan ma A Rh plus.

- Czyli jedną z dwóch, jakie może mieć potomstwo rodziców o grupach krwi A Rh plus i 0 Rh minus.

- Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć — wyznał Don. — Matka Diny przysięga, że dziecko do złudzenia przypomina jej brata zaraz po urodzeniu. W tej gałęzi rodziny bardzo często zdarzają się rude włosy.

- Całkowitą pewność uzyska pan dopiero po przeprowadzeniu badania DNA, ale na wyniki trzeba będzie czekać co najmniej cztery tygodnie.

- A co mamy robić w tym czasie? - zapytał z irytacją Donald Anderson. - Przywiązać się do niego, pokochać je jak własne, by potem dowiedzieć się, że musimy je komuś oddać? A może powinniśmy zostawić je w szpitalu i poczekać na ostateczny werdykt, czy jest nasze, czy nie?

- Takie małe dziecko powinno przebywać z rodzicami. Poza tym doktor Manning twierdzi, że...

- Nie obchodzi mnie, co twierdzi doktor Manning. Od chwili narodzin Jonathana bez przerwy zapewniał nas, że drugi embrion jest przechowywany w specjalnie oznaczonej probówce.

- Don, gdzie jesteś? - rozległ się słaby głos.

Anderson i Neitzer wrócili do pokoju.

- Jonathan chce zobaczyć swojego braciszka - powiedziała Dina.

- Kochanie, nie jestem pewien, czy... - wymamrotał Don.

- Aleja jestem - przerwała mu żona. - Nosłam to dziecko przez dziewięć miesięcy, przez pierwsze trzy miałam plamienia i bałam się, że je stracę. Kiedy poczułam, że się porusza, popłakałam się ze szczęścia. Uwielbiam kawę, ale przez cały okres ciąży nie wypłam ani jednej filiżanki. Przez ostatnie trzy miesiące Ryan kopał tak mocno, że w nocy co chwila budziłam się ze snu. Bez względu na to, czy jest moim biologicznym dzieckiem, czy nie jest, uważam, że w pełni zasłużyłam sobie na niego.

- Kochanie, doktor Neitzer twierdzi, że wyniki badania krwi świadczą o tym, że to może być nasze dziecko.

- Bardzo dobrze. A teraz proszę wreszcie mi je przynieść.

\*\*\*

O wpół do trzeciej do sali konferencyjnej weszli doktor Manning, jego prawnik oraz przedstawiciel dyrekcji szpitala. Pierwszy zabrał głos przedstawiciel dyrekcji.

- Doktor Manning odczyta teraz oświadczenie, ale nie będzie odpowiadał na żadne pytania. Proszę, żeby zaraz potem wszyscy dziennikarze opuścili teren szpitala. Państwo Andersonowie nie będą udzielali wywiadów, nie zgodzili się też na żadne zdjęcia.

Doktor Manning przygładził zmierzwione siwe włosy, drżącą ręką wsadził na nos okulary i zaczął czytać ochrypłym głosem:

- Pragnę wyrazić ogromny żal z powodu ciężkich przeżyć, na jakie naraziliśmy państwa Andersonów. Jednocześnie chcę stwierdzić, iż jestem całkowicie przekonany, że pani Anderson urodziła dzisiaj własne dziecko. W naszym laboratorium przechowywaliśmy dwa jej em-

briony: jednym był bliźniaczy brat trzyletniego Jonathana, drugim także jego brat, ale nie bliźniak. Naturalnie zdajecie sobie państwo sprawę, że słowo „brat” jest tutaj pewnym anachronizmem; zaraz po zapłodnieniu komórki jajowej nie sposób określić płci embrionu.

W miniony poniedziałek Helenę Petrovic powiedziała mi, że dziewięć miesięcy temu potknęła się, przenosząc płytki Petriego z tymi dwoma embrionami i upuściła jedną z nich na podłogę. Naturalnie embrion znajdujący się na tej płytce zginął, drugi natomiast umieściła w probówce, w której miał się znaleźć bliźniaczy brat Jonathana.

Doktor Manning zdjął okulary i spojrzał na zebranych.

Jeżeli Helenę Petrovic mówiła prawdę, a nie mam najmniejszego powodu, by w to wątpić, to Dina Anderson urodziła dzisiaj swoje biologiczne dziecko.

Z sali posypały się pytania.

- Dlaczego nie przyznała się do tego od razu?
- Dlaczego natychmiast nie uprzedził pan Andersonów?
- Ile jeszcze takich błędów mogła popełnić?

Doktor Manning bez słowa odwrócił się i chwiejnym krokiem wyszedł z sali.

\*\*\*

Zaraz po wieczornych wiadomościach Victor Orsini zadzwonił do Phillipa Cartera.

Chyba powinieneś oddać tę sprawę prawnikom.

Carter właśnie wychodził na kolację do „Zajazdu Drumdoe”.

Masz rację. Wątpię, czy Leiber da sobie radę, ale może poleci kogoś sensownego.

Leiber był doradcą prawnym firmy.

- Phillipie, jeśli nie masz żadnych planów na wieczór, to może zjemy razem kolację? Stare przysłowie mówi, że nieszczęście zbliża.
- Skoro tak, to zaplanowałam sobie wieczór we właściwy sposób. Umówiłem się z Catherine i Meghan Collins.
- Rozumiem. Cóż, pozdrów je ode mnie. Do zobaczenia w poniedziałek.

188

Orsini odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Powierzchnia jeziora Candlewood była zupełnie gładka, a światła stojących nad nim domów wydawały się znacznie silniejsze niż zazwyczaj. Proszone kolacje, pomyślał Orsini. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że właśnie on będzie jednym z głównych bohaterów rozmów; wszyscy w okolicy wiedzieli, że pracuje dla Collinsa i Cartera.

Dzięki rozmowie z Phillipem Carterem uzyskał informację, na której mu zależało; Carter ma zajęty wieczór, więc jest mało prawdopodobne, żeby zjawił się w biurze. On, Victor, będzie mógł zatem spokojnie przejrzeć dokumenty w gabinecie Edwina Collinsa. Przez cały czas pewna sprawa nie dawała mu spokoju i chciał wyjaśnić swoje wątpliwości, zanim Meghan Collins zabierze rzeczy ojca do domu.

\*\*\*

Meghan, Mac i Phillip zasiedli do kolacji o wpół do ósmej. Catherine wciąż jeszcze była w kuchni, gdzie zniknęła o czwartej po południu.

- Twoja matka jest chyba z żelaza - zauważył Mac.

- Też tak uważam - przyznała Meghan. - Oglądałeś wieczorne wiadomości? W Kanale 3 nie mówili o niczym innym tylko o zamieszaniu wokół dziecka Andersonów, zabójstwie Helenę Petrovic, moim podobieństwie do Annie i o wydaniu nakazu aresztowania taty. Przypuszczam, że w innych programach było podobnie.

- Chyba tak.

Phillip uniósł bezradnie ręce.

- Meg, zróbę wszystko co możliwe, żeby pomóc wam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Edwin skierował Helenę Petrovic do pracy w Klinice Manninga, ale na razie nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- Jakieś wyjaśnienie musi jednak istnieć - odparła Meg. - Jestem o tym przekonana, podobnie jak moja matka. Tylko dlatego znalazła w sobie dość odwagi, żeby przyjść tutaj i założyć fartuch.

- Chyba nie zamierza już na stałe zajmować się osobiście kuchnią?

- Na szczęście nie. Tony, poprzedni kucharz, ten który w ubiegłym roku odszedł na emeryturę, zadzwonił dzisiaj z propozycją, że mógłby wrócić na jakiś czas, żeby nam pomóc. Naturalnie zgodziłam się

189



- Od tej chwili jesteś na urlopie. Płatnym, ma się rozumieć.
- W porządku.
- Bardzo mi przykro, Meg.
- Wiem. Dzięki. - Przerwała połączenie. Przez obrotowe drzwi prowadzące do szpitalnego holu wchodził właśnie Dennis Cimini. - No, na mnie już chyba pora - powiedziała do Steve'a. - Trzymaj się. Miała nadzieję, że w jej głosie nie było słycać rozczarowania.

Niebawem miała się odbyć aukcja pewnej nieruchomości, położonej przy samej granicy stanu Rhode Island; Phillip Carter postanowił rzucić na nią okiem. Potrzebował czegoś, co

## 40

pozwoilioby mu zapomniec choc na chwile o pracy i niezliczonych problemach, jakim musial stawiac czolo w minionym tygodniu. Reporterzy z prasy, radia i telewizji wpychali sie drzwiami i oknami, policja przyjezdzała prawie codziennie, a pewien znany dziennikarz zaproponował mu udział w programie publicystycznym o ludziach, którzy zaginęli bez wieści. Victor Orsini niewiele rozminął się z prawdą mówiąc, że każde słowo wypowiedziane lub napisane o sfalszowanych referencjach Helenę Petrovic stanowi kolejny gwóźdź do trumny Biura Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera.

W sobotę w samo południe dzwonek telefonu zatrzymał Cartera w progu. Phillip przez chwilę walczył ze sobą, ale w końcu zawrócił i podniósł słuchawkę. Dzwonił Orsini.

- Phillipie, właśnie oglądam telewizję. Niestety dla nas zaczynają się poważne kłopoty. Przyszedł na świat pierwszy owoc pracy Helenę Petrovic.

- Co to ma znaczyć?

Słuchając wyjaśnień Orsiniego Carter poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

- A to dopiero początek - dodał Victor. - Na ile jesteśmy ubezpieczeni, gdyby ludzie zaczęli żądać od nas odszkodowań?

- Na pewno nie na tyle, żeby wystarczyło dla wszystkich - odparł spokojnie Carter, po czym odłożył słuchawkę.

Czasem wydaje ci się, że masz wszystko pod kontrolą, ale tak nigdy nie jest, pomyślał. Nigdy nie dawał się łatwo ogarnąć panice, lecz teraz poczuł, że ma kłopoty z oddychaniem, a jego czoło pokrywa się perlistym potem. Lepiej, żeby jak najszybciej zapomniał o pomyśle wyjazdu na prowincję; zadzwoni do Meg i Catherine i może umówi się z nimi na kolację. Chciał wiedzieć, co sądzą o tej sytuacji i jakie mają plany na przyszłość.

Kiedy o wpół do drugiej Meghan weszła do domu, matka czekała już na nią z lunchem. Widziała relację, którą Meg nadała ze szpitala.

- Przypuszczam, że to ostatni materiał, jaki przygotowałam dla Kanału 3 - powiedziała dziewczyna.

Obie kobiety były tak przygnębione, że przez dłuższą chwilę jadły w zupełnym milczeniu.

- Mamo, co prawda jesteśmy w okropnej sytuacji, ale wyobraź sobie, co teraz czują kobiety, które poddały się zabiegowi w Klinice Manninga — odezwała się wreszcie Meghan. — Po tej historii z Andersonami żadna nie może być w stu procentach pewna, czy wszczepiono jej właściwy embrion. Wyobraź sobie co będzie, jeśli matka biologiczna i matka nosicielka zaczną wrywać sobie dziecko?

- Wcale nie muszę. - Catherine Collins zacisnęła palce na ramieniu córki. - Meg, ja od dziewięciu miesięcy przeżywam taką huśtawkę nastrojów, że chwilami zapominam, jak się nazywam.

-Wiem, mamo, ale...

- Nie przerywaj mi. Nie mam pojęcia, jak to wszystko się skończy, ale wiem jedno: nie mogę cię stracić! jeżeli naprawdę ktoś zamordował tę nieszczęsną dziewczynę dlatego, że była podobna do ciebie, to mogę tylko współczuć jej z całego serca, a jednocześnie dziękuję Bogu, że ty żyjesz.

Obie aż podskoczyły, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Ja otworzę - powiedziała Meghan.

Okazało się, że to posłaniec z przesyłką dla Catherine Collins. Po zdarciu papieru ukazało się małe pudełeczko z przyklejoną kopertą. Catherine otworzyła ją i przeczytała na głos krótki list:

*Szanowna pani Collins, zwracam obrączkę pani męża. Już dawno nie byłam tak pewna, że moje przecucia mnie nie mylą, jak wtedy, kiedy powiedziałam detektywowi Marronowi, że Edwin Collins nie żyje od wielu miesięcy. Jestem z panią myślami i modlitwami.*

*Fiona Campbell Black.*

Meghan z ulgą stwierdziła, że łzy, które popłynęły z oczu matki, spłukały z jej twarzy część udręki i niepewności.

Catherine wyjęła z pudełeczka złotą obrączkę i mocno ścisnęła w dłoń.

# 41

Późnym popołudniem w szpitalu w Danbury Dina Anderson, której zaaplikowano środek uspokajający, drzemała w łóżku z Jonathanem przytulonym do jej boku. Jej mąż i matka w milczeniu siedzieli obok łóżka. W pewnej chwili do pokoju zajrzał doktor Neitzer i dał znak Donowi, że chce z nim porozmawiać. Anderson wyszedł na korytarz.

- Ma pan jakieś wiadomości?

Lekarz skinął głową.

-1 to dobre. Porównując grupy krwi pana, pańskiej żony, Jonathana oraz noworodka stwierdziliśmy, że to może być pańskie biologiczne dziecko. Pan ma A Rh plus, żona 0 Rh minus, Ryan Rh 0 plus.

- A Jonathan ma A Rh plus.

- Czyli jedną z dwóch, jakie może mieć potomstwo rodziców o grupach krwi A Rh plus i 0 Rh minus.

- Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć — wyznał Don. — Matka Diny przysięga, że dziecko do złudzenia przypomina jej brata zaraz po urodzeniu. W tej gałęzi rodziny bardzo często zdarzają się rude włosy.

- Całkowitą pewność uzyska pan dopiero po przeprowadzeniu badania DNA, ale na wyniki trzeba będzie czekać co najmniej cztery tygodnie.

- A co mamy robić w tym czasie? - zapytał z irytacją Donald Anderson. - Przywiązać się do niego, pokochać je jak własne, by potem dowiedzieć się, że musimy je komuś oddać? A może powinniśmy zostawić je w szpitalu i poczekać na ostateczny werdykt, czy jest nasze, czy nie?

- Takie małe dziecko powinno przebywać z rodzicami. Poza tym doktor Manning twierdzi, że...

- Nie obchodzi mnie, co twierdzi doktor Manning. Od chwili narodzin Jonathana bez przerwy zapewniał nas, że drugi embrion jest przechowywany w specjalnie oznaczonej probówce.

- Don, gdzie jesteś? - rozległ się słaby głos.

Anderson i Neitzer wrócili do pokoju.

-Jonathan chce zobaczyć swojego braciszka - powiedziała Dina.

- Kochanie, nie jestem pewien, czy... - wymamrotał Don.

- Aleja jestem - przerwała mu żona. - Nosiłam to dziecko przez dziewięć miesięcy, przez pierwsze trzy miałam plamienia i bałam się, że je stracę. Kiedy poczułam, że się porusza, popłakałam się ze szczęścia. Uwielbiam kawę, ale przez cały okres ciąży nie wypłam ani jednej filiżanki. Przez ostatnie trzy miesiące Ryan kopał tak mocno, że w nocy co chwila budziłam się ze snu. Bez względu na to, czy jest moim biologicznym dzieckiem, czy nie jest, uważam, że w pełni zasłużyłam sobie na niego.

- Kochanie, doktor Neitzer twierdzi, że wyniki badania krwi świadczą o tym, że to może być nasze dziecko.

- Bardzo dobrze. A teraz proszę wreszcie mi je przynieść.

\*\*\*

O wpół do trzeciej do sali konferencyjnej weszli doktor Manning, jego prawnik oraz przedstawiciel dyrekcji szpitala. Pierwszy zabrał głos przedstawiciel dyrekcji.

- Doktor Manning odczyta teraz oświadczenie, ale nie będzie odpowiadał na żadne pytania. Proszę, żeby zaraz potem wszyscy dziennikarze opuścili teren szpitala. Państwo Andersonowie nie będą udzielali wywiadów, nie zgodzili się też na żadne zdjęcia.

Doktor Manning przyglądał zmierzwione siwe włosy, drżącą ręką wsadził na nos okulary i zaczął czytać ochryplym głosem:

- Pragnę wyrazić ogromny żal z powodu ciężkich przeżyć, na jakie naraziliśmy państwa Andersonów. Jednocześnie chcę stwierdzić, iż jesteśmy całkowicie przekonani, że pani Anderson urodziła dzisiaj własne dziecko. W naszym laboratorium przechowywaliśmy dwa jej em-

briony: jednym był bliźniaczy brat trzyletniego Jonathana, drugim także jego brat, ale nie bliźniak. Naturalnie zdajecie sobie państwo sprawę, że słowo „brat” jest tutaj pewnym anachronizmem; zaraz po zapłodnieniu komórki jajowej nie sposób określić płci embrionu.

W miniony poniedziałek Helenę Petrovic powiedziała mi, że dziewięć miesięcy temu potknęła się, przenosząc płytki Petriego z tymi dwoma embrionami i upuściła jedną z nich na podłogę. Naturalnie embrion znajdujący się na tej płytce zginął, drugi natomiast umieściła w probówce, w której miał się znaleźć bliźniaczy brat Jonathana.

Doktor Manning zdjął okulary i spojrzał na zebranych.

Jeżeli Helenę Petrovic mówiła prawdę, a nie mam najmniejszego powodu, by w to wątpić, to Dina Anderson urodziła dzisiaj swoje biologiczne dziecko.

Z sali posypały się pytania.

- Dlaczego nie przyznała się do tego od razu?
- Dlaczego natychmiast nie uprzedził pan Andersonów?
- Ile jeszcze takich błędów mogła popełnić?

Doktor Manning bez słowa odwrócił się i chwiejnym krokiem wyszedł z sali.

\*\*\*

Zaraz po wieczornych wiadomościach Victor Orsini zadzwonił do Phillipa Cartera.

- Chyba powinieneś oddać tę sprawę prawnikom.

Carter właśnie wychodził na kolację do „Zajazdu Drumdoe”.

- Masz rację. Wątpię, czy Leiber da sobie radę, ale może poleci kogoś sensownego.

Leiber był doradcą prawnym firmy.

- Phillipie, jeśli nie masz żadnych planów na wieczór, to może zjemy razem kolację? Stare przysłowie mówi, że nieszczęście zbliża.

- Skoro tak, to zaplanowałem sobie wieczór we właściwy sposób.

Umówiłem się z Catherine i Meghan Collins.

- Rozumiem. Cóż, pozdrów je ode mnie. Do zobaczenia w poniedziałek.

Orsini odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Powierzchnia jeziora Candlewood była zupełnie gładka, a światła stojących nad nim domów wydawały się znacznie silniejsze niż zazwyczaj. Proszone kolacje, pomyślał Orsini. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że właśnie on będzie jednym z głównych bohaterów rozmów; wszyscy w okolicy wiedzieli, że pracuje dla Collinsa i Cartera.

Dzięki rozmowie z Phillipem Carterem uzyskał informację, na której mu zależało: Carter ma zajęty wieczór, więc jest mało prawdopodobne, żeby zjawił się w biurze. On, Victor, będzie mógł zatem spokojnie przejrzeć dokumenty w gabinecie Edwina Collinsa. Przez cały czas pewna sprawa nie dawała mu spokoju i chciał wyjaśnić swoje wątpliwości, zanim Meghan Collins zabierze rzeczy ojca do domu.

Meghan, Mac i Phillip zasiedli do kolacji o wpół do ósmej. Catherine wciąż jeszcze była w kuchni, gdzie zniknęła o czwartej po południu.

- Twoja matka jest chyba z żelaza - zauważył Mac.

- Też tak uważam - przyznała Meghan. - Oglądałeś wieczorne wiadomości? W Kanale 3 nie mówili o niczym innym tylko o zamieszaniu wokół dziecka Andersonów, zabójstwie Helenę Petrovic, moim podobieństwie do Annie i o wydaniu nakazu aresztowania taty. Przypuszczam, że w innych programach było podobnie.

- Chyba tak.

Phillip uniósł bezradnie ręce.

- Meg, zrobię wszystko co możliwe, żeby pomóc wam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Edwin skierował Helenę Petrovic do pracy w Klinice Manninga, ale na razie nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- Jakieś wyjaśnienie musi jednak istnieć - odparła Meg. - Jestem tym przekonana, podobnie jak moja matka. Tylko dlatego znalazła sobie dość odwagi, żeby przyjść tutaj i założyć fartuch.

- Chyba nie zamierza już na stałe zajmować się osobiście kuchnią?

- Na szczęście nie. Tony, poprzedni kucharz, ten który w ubiegłym roku odszedł na emeryturę, zadzwonił dzisiaj z propozycją, że mógłby wrócić na jakiś czas, żeby nam pomóc. Naturalnie zgodziłam się

z radością, ale poprosiłam go, żeby nie wyręczał mamy we wszystkim. Ona musi mieć coś, czym mogłaby się zająć, żeby nie myśleć o tych wszystkich okropnych sprawach. Tony przyjechał jakieś dwie godziny temu, więc myślę, że mama niedługo dołączy do nas.

Meghan poczuła na sobie wzrok Maca i szybko odwróciła oczy, aby nie widzieć jego współczującego spojrzenia. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że każdy z gości siedzących dziś wieczorem w sali jadalnej będzie przyglądał się ukradkiem jej i matce, aby przekonać się, jak zareagowały na najnowsze wydarzenia. Celowo założyła czerwoną spódnicę i sweterek z kaszmirskiej wełny w tym samym kolorze, do tego zaś złotą biżuterię. Nie zapomniała też o starannym makijażu. Mam nadzieję, że nie wyglądam na bezrobotną dziennikarkę, pomyślała, zerknąwszy w lustro przed wyjściem z domu.

Niepokoili ją tylko świadomość, iż Mac bez trudu domyślił się prawdy.

Właśnie zamówił wino, a kiedy kelner napelnił kieliszki, pierwszy sięgnął po swój.

- Mam dla ciebie wiadomość od Kyle'a - powiedział spoglądając na Meghan. - Prosił, aby ci przekazać, że jutro wieczorem zjawi się osobiście, żeby cię przestraszyć.

Meg uśmiechnęła się.

- Prawda, przecież to wigilia Wszystkich Świętych! Za co będzie przebrany?

- Nie uwierzysz, ale za ducha. Twierdzi, że za nadzwyczaj strasznego. Po południu mam wozić całą zgraję od domu do domu, ale Kyle uparł się, żeby ciebie zachować na wieczór. Nie zdziw się więc, jeśli po zapadnięciu zmroku ktoś zastuka do okna.

- Dobrze, że mnie uprzedziłeś. Nigdzie nie wyjdę i będę na niego czekała. Oho, idzie mama.

Minęło trochę czasu, zanim uśmiechnięta Catherine dotarła do ich stolika, gdyż wiele osób chciało ją osobiście ucałować i uściskać.

- Cieszę się, że tu przyszliśmy - powiedziała, kiedy wreszcie usiadła na krześle. - To znacznie lepsze niż tkwić w domu i zamartwiać się na śmierć.

- Wfyglądasz wprost cudownie - stwierdził z zachwytem Phillip.

Mac i Meghan wymienili szybkie spojrzenia. Ostrożnie, Phillipie, pomyślała Meg. Nie bądź zbyt natarczywy, bo mama odprawi cię z kwitkiem.

Przeniosła wzrok na palce matki, na których lśniły pierścionki z brylantami i szmaragdami. Przed wyjściem z domu Catherine powiedziała córce, że zamierza sprzedać biżuterę, gdyż w przyszłym tygodniu trzeba będzie zapłacić kolejną ratę podatku.

- Żał mi tylko z tego powodu, że chciałam zachować ją dla ciebie.

Mnie ona nie jest do niczego potrzebna, pomyślała dziewczyna, ale...

- Meg, niczego nie zamawiasz?

- Och, przepraszam.

Otworzyła menu.

- Polecam ci befsztyk a la Wellington - powiedziała Catherine. - Jest wyśmienity. Wiem coś o tym, bo sama go robiłam.

Dzięki wysiłkom Maca i Phillipa rozmowa podczas posiłku dotyczyła najróżniejszych mało istotnych tematów, od planów budowy chodników poczynając, a na wynikach piłkarskiej drużyny Kyle'a kończąc. Dopiero przy kawie Phillip zapytał Meg o jej zamiary.

- Przykro mi z powodu twojej pracy - powiedział.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Mnie też jest przykro, ale może jeszcze da się to jakoś odkręcić. Wiecie, co nie daje mi spokoju? Że właściwie nadal nic nie wiemy o Helenie Petrovic, a właśnie ona wydaje się kluczową postacią w całej tej aferze. Będę szukała tak długo, aż znajdę odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Oby tak się stało - powiedział Phillip. - Jeden Bóg wie, jak bardzo mi na tym zależy.

- Aha, właśnie sobie przypomniałam: nie zabrałam jeszcze rzeczy taty. Miałyś coś przeciwko temu, żebym zrobiła to jutro?

- Kiedy tylko zechcesz, Meg. Pomóc ci?

- Dziękuję, dam sobie radę.

- Zadzwoń do mnie, jak skończysz - zaproponował Mac. - Przyjadę i zniosę ci wszystko do samochodu.

- Jutro masz się zająć Kyle'em i jego kolegami - przypomniała mu Meghan. - Naprawdę nic mi nie będzie. Jestem już dużą dziewczynką.

- Uśmiechnęła się do obu mężczyzn. — Dziękuję, że przyszliście. To dobrze wiedzieć, że w trudnych chwilach można liczyć na przyjaciół.

\*\*\*

O dziewiątej wieczorem w Scottsdale w stanie Arizona Frances Grolier odłożyła nóż o drewnianej rękojeści i westchnęła ciężko. Otrzymała zamówienie na czterdziestocentymetrową brązową statuetkę przedstawiającą dziewczynkę i chłopca z plemienia Navaho, która miała zostać wręczona honorowemu gościowi podczas jakiejś imprezy charytatywnej. Termin realizacji zamówienia zbliżał się szybkimi krokami, a Frances wciąż jeszcze była niezadowolona z glinianego modelu, nad którym pracowała. Miała kłopoty z oddaniem wyrazu oczekiwania, jaki powinien malować się na twarzach dzieci. Jej ręce jakby straciły zdolność przenoszenia na plastyczny materiał wizji, która zrodziła się w wyobraźni.

Frances w głębi duszy doskonale wiedziała, skąd się biorą jej problemy: po prostu nie była w stanie się skoncentrować.

Annie. Już od prawie dwóch tygodni nie dała znaku życia. Nie zareagowała na żadną z próśb nagranych na automatyczną sekretarkę. Wczoraj i przedwczoraj Frances dzwoniła do jej przyjaciół, ale nikt jej nie widział.

Może być dosłownie wszędzie, pomyślała. Mogła przyjąć zlecenie z jakiejś redakcji i pojechać na koniec świata, żeby zebrać materiały do reportażu. Jako wolny strzelec Annie nie miała stałego rozkładu zajęć.

Tak właśnie ją wychowałam, przyznała samokrytycznie Frances. Chciałam, żeby była wolna i samodzielna, żeby brała od świata to, na czym jej zależy. Czyżbym robiła to po to, by usprawiedliwić swój własny styl życia?

Ta myśl powracała natrętnie od kilku dni.

Koniec z pracą na dzisiaj. Dorzuciła nieco drewna do kominka; dzień był słoneczny i ciepły, ale październikowe noce na pustyni są bardzo zimne.

W domu panowała cisza. Kto wie, może już nigdy nie będzie czekała z biciem serca na znajomy odgłos jego kroków? Kiedy Annie była mała, często pytała, dlaczego tatuś tak często wyjeżdża.

„Wykonuje bardzo ważną pracę dla rządu” - odpowiadała wtedy Frances.

Z biegiem lat dziewczynka stawała się coraz bardziej dociekliwa.

„Co to za praca, tatusiu?” - pytała.

„Supertajna, córeczko”.

„Czy ty jesteś w CIA?”

„Nawet gdybym był, to i tak bym ci nie powiedział”.

„Ale jesteś, prawda?”

„Annie, po prostu pracuję dla rządu, a to oznacza, że częściej muszę być w podróży niż w domu”.

Frances poszła do kuchni, napełniła szklankę lodem i dołała sporo whisky. To nie jest najlepszy sposób rozwiązywania problemów, ostrzegła wewnętrznym głosem.

Odstawiwszy szklankę, rozebrała się i weszła pod prysznic, by zmyć z rąk i twarzy zaschnięte grudki gliny. Po kąpieli założyła jedwabną piżamę i szlafrok, po czym ze szklanką w rękę zasiadła na kanapie przed kominkiem. Na stoliku leżała wydarta z gazety depesza Associated Press podsumowująca dotychczasowe wyniki śledztwa w sprawie stycziowej katastrofy na moście Tappan Zee.

„Liczba śmiertelnych ofiar wypadku zmalała z ośmiu do siedmiu”, brzmiał najbardziej interesujący fragment. „Mimo intensywnych poszukiwań nie udało się odnaleźć ani ciała Edwina R. Collinsa, ani szczątków jego samochodu”.

Czy to możliwe, żeby Edwin jednak żył?

Tego ranka, kiedy widzieli się po raz ostatni, znajdował się w fatalnym nastroju. Od pewnego czasu prześladowały go obawy, że jego podwójne życie wyjdzie na jaw, a obie córki znienawidzą go za to i nie będą chciały mieć z nim nic wspólnego. Lekarze stwierdzili, iż coraz częstsze bóle w klatce piersiowej mają podłoże stresowe.

W grudniu wręczył jej obligację na okaziciela opiewającą na dwieście tysięcy dolarów.

„To na wypadek, gdyby coś się ze mną stało” - powiedział.

Czyżby już wtedy zamierzał zniknąć przy pierwszej nadarzącej się sposobności? I gdzie jest Annie? Frances nie mogła uwolnić się od złych przeczuc.



Edwin miał w swoim gabinecie automatyczną sekretarkę. Jeśli Frances chciała skontaktować się z nim w jakiejś ważnej sprawie, dzwoniła między północą a piątą rano, naturalnie czasu nowojorskiego. Edwin sprawdzał o szóstej rano, czy są jakieś wiadomości, a jeśli były, to kasował je natychmiast po wysłuchaniu. Teraz pewnie sekretarka już nie działa. A może jednak?...

W Arizonie było pięć po dziesiątej, więc na wschodnim wybrzeżu właśnie minęła północ.

Frances podniosła słuchawkę i wystukała numer. Po drugim sygnale usłyszała nagrany na taśmie głos Eda:

„Tu numer 203-555-2867. Po sygnale proszę zostawić krótką wiadomość”.

Frances była tak zaskoczona, że niewiele brakowało, a zapomniałaby, po co dzwoni. Czy to oznacza, że on jednak żyje? - przemknęło jej przez głowę. A jeśli żyje, to czy ma dostęp do swojego gabinetu?

Nie miała nic do stracenia.

- Panie Collins, proszę skontaktować się ze sklepem z artykułami skórzanymi „Palomino”. Właśnie przysłano nam teczkę, którą był pan zainteresowany.

\*\*\*

Kiedy zadzwonił telefon, Orsini wciąż jeszcze przeglądał akta w gabinecie Collinsa. Na dźwięk dzwonka aż podskoczył w fotelu.

Włączyła się automatyczna sekretarka, a w chwilę potem rozległ się miły kobiecy głos. Kiedy połączenie zostało przerwane, Orsini długo siedział bez ruchu, wpatrując się w telefon. Nikt normalny nie dzwoniłby o tej porze w sprawie jakiejś teczki, pomyślał. To jakiś szyfr. Ktoś przekazał Collinsowi zakodowaną informację, co mogło oznaczać tylko jedno: tajemnicza rozmówczyni jest przekonana, że Edwin Collins żyje i że wiadomość dotrze do jego uszu.

Kilka minut później Victor Orsini wyszedł z biura, nie znalazłszy tego, czego szukał.

## 42

W niedzielę Catherine Collins pojechała na mszę odprawianą o dziesiątej rano w kościele św. Pawła, ale w trakcie nabożeństwa stwierdziła, że nie jest w stanie skupić się na liturgii. Tutaj została ochrzczona, tutaj brała ślub, stąd odprowadziła oboje rodziców na miejsce wiecznego spoczynku i zawsze znajdowała tu pociechę i ukojenie. Przez minione miesiące podczas każdej mszy modliła się o to, by wreszcie odnaleziono ciało Edwina, by potrafiła pogodzić się ze stratą oraz żeby znalazła dość sił do rozpoczęcia życia na nowo. A o co teraz prosiła Boga? Już tylko o to, żeby zachował Meg od wszelkich niebezpieczeństw. Zerknęła ukradkiem na siedzącą obok niej córkę; Meghan zdawała się być pogrążona w modlitwie, ale Catherine podejrzewała, że ona także błądzi myślami gdzieś daleko.

Nie wiadomo dlaczego przez głowę Catherine Collins przemknął fragment *Dies Irae*: „Dzień gniewu i rozpacz, świat płonie wokół...”

Jestem wściekła i zrozpaczona, a mój świat płonie, pomyślała. Zamrugła szybko, by powstrzymać łzy napływające do oczu i poczuła, jak palce Meghan zaciskają się na jej ręce.

Po mszy wstąpiły na kawę i ciasteczka do pobliskiej cukierni, w której ustawiano także kilka stolików.

- Już lepiej? - zapytała Meg.

- Pewnie - odparła dziarsko Catherine. - Po ciastkach i kawie trudno nie czuć się świetnie. Pojadę z tobą do biura.

- Chyba już ustaliłyśmy, że ja się tym zajmę. Dlatego właśnie przyjechałyśmy dwoma samochodami.

- Tobie wcale nie będzie łatwiej niż mnie. We dwie prędzej damy sobie radę, a poza tym na pewno jest tam sporo ciężkich rzeczy.

Matka powiedziała to tonem, który wykluczał jakąkolwiek dyskusję, więc Meghan nawet nie próbowała oponować.

Meghan przywiozła mnóstwo kartonowych pudeł, które teraz we dwie z matką wtaszczyły do budynku. Otworzywszy drzwi biura stwierdziły ze zdziwieniem, że światła są włączone i że działa ogrzewanie.

- Widocznie Phillip wpadł wcześniej i włączył grzejniki, żebyśmy nie zamarzyły - stwierdziła Catherine, rozglądając się po wnętrzu sekretariatu. - Nie mogę się nadziwić, jak rzadko tutaj bywałam. Twój ojciec często wyjeżdżał, a nawet jeśli akurat był w mieście, to często spotykał się z klientami poza biurem. Oprócz tego zawsze miałam na głowie zajazd.

- Rzeczywiście, ja przychodziłam tu chyba częściej od ciebie - przyznała Meghan. - Czasem zaglądałam po szkole, żeby wrócić z nim do domu. - Otworzyła drzwi do gabinetu ojca. - Wszystko wygląda dokładnie tak, jak to zostawił - poinformowała matkę. - To bardzo miło ze strony Phillipa, że czekał tak długo. Victor już dawno powinien się tu przeprowadzić.

Przez chwilę obie kobiety w milczeniu przyglądały się gabinetowi; na jego umeblowanie składało się czeresniowe biurko, fotel, wąski stolik, na którym stały ich fotografie, oraz szafka i półki wykonane z tego samego materiału co biurko. W sumie dawało to wrażenie przestronności i świadczyło o dobrym smaku użytkownika.

- Edwin sam kupił i odremontował to biurko - powiedziała Catherine. - Phillip chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli je zabierzemy.

- Jestem tego pewna.

Zaczęły od zdjęć, które ułożyły na dnie pudełka; obie wyczuwały, że im prędzej gabinet przybierze bezosobowy wygląd, tym łatwiej będzie im uporać się z zadaniem.

- Wiesz co, mamgo? Weź się za książki, a ja zajmę się biurkiem i dokumentami.

Dopiero po dłuższej chwili Meghan zauważyła, że w automatycznej sekretarce, stojącej na długim stoliku obok biurka, miga czerwone światelko. Zawołała matkę.

- Czy to możliwe, żeby ktoś jeszcze dzwonił w jakiejś sprawie do taty? - Nachyliła się i spojrzała na wyświetlacz. - Jest tylko jedna wiadomość.

Matka i córka ze zdumieniem wysłuchały krótkiego nagrania, a potem mechanicznego głosu maszyny, który poinformował:

- Niedziela, trzydziesty pierwszy października, godzina zero zero dziewięć. Koniec wiadomości.

- To zostało nagrane zaledwie kilka godzin temu! - wykrzyknęła Catherine. - Od kiedy w takich sprawach dzwoni się w środku nocy? I kiedy Edwin miałby zamówić tę teczkę?

- Możliwe, że to pomyłka ~ zauważyła Meghan. - Poza tym nie podano numeru telefonu ani żadnego nazwiska.

- O to chodzi! Przecież żaden sprzedawca nie zapomiałby podać swego numeru, szczególnie jeśli chodziło o zamówienie złożone przed kilkoma miesiącami. Meg, to zupełnie nie ma sensu!

Meghan wyjęła kasetę z urządzenia i włożyła ją do torby.

- To rzeczywiście nie ma sensu - zgodziła się. - Tracimy tylko czas, próbując teraz to rozgryźć. Lepiej weźmy się za pakowanie, a myśleć będziemy w domu.

Pospiesznie przejrzała szuflady biurka, ale znalazła tam tylko papierę, notatniki, spinacze, długopisy oraz kolorowe flamastry. Czytając życiorysy kandydatów ojciec zawsze podkreślał na żółto fragmenty przemawiające na ich korzyść, na różowo zaś zawierające najmniej korzystne informacje.

Potem zajęła się segregatorami. Pierwszy zawierał kopie rachunków, które ojciec przywoził z wyjazdów służbowych. Najwidoczniej księgowy zatrzymywał oryginały, ojcu zaś zwracał kserokopie z przystawioną pieczątką „rozliczone”.

- To też chyba wezmę do domu - powiedziała do matki. - Są tu kopie wszystkich rachunków taty.

- A po co ci one?

- Może znajdę jakąś wzmiankę o sklepie z artykułami skórzanymi „Palomino”.

Kończyły pakować ostatnie pudło, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe.

- To ja! - zawołał Phillip.

Po chwili wkroczył do gabinetu w stroju, w jakim rzadko miały okazję go widywać: w koszuli, bez krawata, w swetrze, dzinsowej kurtce i sztruksowych spodniach.

- Mam nadzieję, że nie zmarzłyście. Rano wpadłem tu na chwilę i włączyłem ogrzewanie. - Spojrzał na piętrzące się paki. - Tak sobie pomyślałem, że przyda wam się pomoc. Catherine, czy byłabyś taka miła i dała spokój temu pudłu z książkami?

- Tata nazywał ją „mocarną myszą” - powiedziała Meg. - Mimo to chyba rzeczywiście przyda się męska ręka. Dziękujemy, Phillipie.

Dopiero teraz zauważył segregator z rachunkami.

- Jesteście pewne, że to też wam potrzebne? Nie ma tam nic ciekawego, a poza tym przejrzyliśmy już wszystko, żeby sprawdzić, czy nie ma jeszcze jednej polisy.

- Jednak to wezmę - odparła Meg. - I tak musiałbyś coś z tym zrobić. Ale, ale... Phillipie, kiedy weszliśmy do gabinetu, na automatycznej sekretarce była nagrana ta oto wiadomość.

Meg włożyła kasetę do urządzenia i włączyła odtwarzanie.

- Zdaje się, że ty także nic z tego nie rozumiesz... — westchnęła, widząc zdumienie malujące się na jego twarzy.

- Nic a nic.

Całe szczęście, że przyjechały dwoma samochodami; oba bagażniki zostały wypełnione po brzegi, a na tylnych siedzeniach piętrzyły się sterty kartonowych pudeł. Mimo to kategorycznie odmówiły, kiedy Phillip zaproponował, że pojedzie za nimi i pomoże przy rozładunku.

- W najgorszym razie każę to zrobić kelnerom - powiedziała Catherine.

Jadąc do domu Meghan wiedziała już, że każdą wolną chwilę, kiedy akurat nie będzie zbierała informacji o Helenie Petrovic, spędzi przeglądając strona po stronie papiery przewiezione z gabinetu ojca. Jeżeli w życiu taty był ktoś inny i jeżeli kobieta leżąca teraz w kostnicy jest tą samą Annie, którą Cyrus Graham spotkał dziesięć lat temu, to w tych dokumentach może być jakaś wskazówka, która pozwoli mi rozwiązać zagadkę, pomyślała.

Przecucie podpowiadało jej, iż wskazówką tą może być sklep z artykułami skórzanymi „Paiomino”.

\*\*\*

Zdaniem Kyle'a tradycyjny świąteczny obchód domów zakończył się pełnym sukcesem. W niedzielę wieczorem, kiedy Mac był zajęty przygotowaniem kolacji, chłopiec rozłożył na podłodze imponujący zbiór cukierków, czekoladek, batonów, jabłek oraz jedno i pięćcentowych monet.

- Tylko nie jedz teraz tego wszystkiego - ostrzegł go Mac.

- Wiem, tato. Mówiłeś mi już dwa razy.

- A więc istnieje pewna szansa, że może to do ciebie dotrze.

Mac przewrócił hamburgery na drugą stronę.

- Dlaczego w niedzielę zawsze mamy na kolację hamburgery? - zapytał Kyle. - Przecież u McDonalda są dużo lepsze.

- Piękne dzięki - odparł ojciec, przekładając je na podpieczone bułeczki. - W niedzielę mamy na kolację hamburgery, ponieważ przyrzadząm je najlepiej w świecie. Do McDonalda chodzimy w piątki, w soboty robię spaghetti, a w pozostałe dni tygodnia obiady gotuje pani Dileo. A teraz wcinaj, jeśli chcesz jeszcze raz założyć kostium i nastraszyć Meg.

Kyle odgryzł potężny kęs i przez chwilę żuł w milczeniu.

- Tatusiu, czy ty lubisz Meg?

- Owszem, i to bardzo. Dlaczego pytasz?

• - Bo chciałbym, żeby częściej do nas przychodziła. Jest fajowa.

Ja też bym tego chciał, ale nic nie wskazuje na to, żeby tak miało się stać, pomyślał Mac. Kiedy minionego wieczoru zaproponował jej pomoc przy pakowaniu i wnoszeniu rzeczy z gabinetu ojca, spotkała go grzeczna, ale stanowcza odmowa.

Odejdź. Nie zbliżaj się. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Równie dobrze mogłaby wypisać to wielkimi literami na prześcieradle i wywiesić za oknem.

Z pewnością bardzo wyrosła od chwili, kiedy jako dziewiętnastoletnia pannica napisała do niego płomienny list, błagając go, by nie żenił się z Ginger. Żałował, że nie ma już tego listu i żałował też, że Meg

zmieniła zdanie. Wiele razy pluł sobie w brodę za to, iż nie posłuchał wtedy jej rady.

Nagle spojrzął na syna. Nie, wcale nie żałuję, pomyślał. Przecież mam tego chłopaka.

- Co się stało, tato? Wyglądasz jakbyś się martwił.

- To samo powiedziałeś wczoraj o Meg, kiedy zobaczyłeś ją w telewizji.

- Bo ona naprawdę się martwi i ty chyba też.

- Po prostu przestraszyłem się, że będę musiał nauczyć się przyrządzać jakieś inne potrawy. No, kończ już i wskakuj w kostium.

Wyszli z domu o wpół do ósmej, gdyż Kyle uznał, że dopiero o tej porze robi się wystarczająco ciemno.

- Założę się, że teraz grasują też prawdziwe duchy. W wigilię Wszystkich Świętych umarlaki wstają z grobów i napadają na ludzi.

- Od kogo to wiesz?

- Od Danny'ego.

- Więc powiedz Danny'emu, że nikogo nie przestraszy swoimi historjkami.

Minęli zakręt i po chwili znaleźli się przed domem Collinsów.

- Tato, ty zostaniesz tu, za żywopłotem, tak żeby Meg cię nie zauważyła, a ja pójde od tyłu, zastukam w okno i zawyję!

- W porządku. Tylko nie przestrasz jej za bardzo.

Kyle pobiegł na tył domu, wymachując latarnią w kształcie czaszki. Rolety w oknach jadalni były podniesione, dzięki czemu od razu dostrzegł Meg siedzącą przy stole, na którym piętrzyły się stosy papierów. Nagle chłopcu przyszedł do głowy znakomity pomysł: dojdzie aż na skraj lasu, a potem zawróci i rycząc wniebogłosy popędzi w kierunku domu, by na koniec załomotać w okno.

Znalazszy się między drzewami na próbę rozłożył ramiona i zaczął nimi wymachiwać. W pewnej chwili palce prawej ręki natrafiły na włosy... skórę... wreszcie ucho. Kyle usłyszał czyjś oddech i odwróciwszy się raptownie ujrzał sylwetkę kłęczącego na jednym kolanie człowieka. Rozproszone światło, docierające aż tutaj z ulicy, zaśniło w obiektywie kamery. Mężczyzna szybkim ruchem wyciągnął wolną rękę i chwycił chłopca za kark, ale Kyle wyrwał się i zaczął krzy-

czeń co sił w płucach. Zaraz potem poczuł mocne pchnięcie, upadł na ziemię, wypuścił z ręki latarnię i na czworakach rzucił się do ucieczki. Jego palce natrafiły na jakiś przedmiot; odruchowo zacisnął je, po czym zerwał się na nogi i przeraźliwie wrzeszcząc pognął w stronę domu.

Całkiem nieźle to robi, pomyślał Mac, usłyszawszy pierwszy krzyk syna. Jednak kilka sekund później, kiedy wrzask nie ustawał, ruszył biegiem w kierunku ściany lasu. Coś się stało! Nabierając prędkości przebiegł przez trawnik.

Meg także usłyszała przeraźliwy krzyk i czym prędzej otworzyła tylne drzwi, w samą porę, by chwycić w objęcia przerażonego, szlochającego rozpaczliwie Kyle'a. Tak właśnie zastał ich Mac; Meg kołysała chłopca, przemawiając do niego kojącym tonem:

- Już dobrze, Kyle, już dobrze. Wszystko w porządku.

Minęło jednak dobrych kilka minut, zanim chłopiec opanował się na tyle, by opowiedzieć im, co się stało.

- Kyle, to wszystko przez te bajędy o żywych trupach! - stwierdził stanowczo Mac. - Na pewno nikogo tam nie było.

Jego syn jednak nie miał żadnych wątpliwości.

- Mówię ci, tato, że to był jakiś człowiek z kamerą! - powtórzył zniecierpliwiony, popijając gorące kakao, które zrobiła mu Meg. - Pchnął mnie na ziemię, a ja wypuściłem latarnię, ale potem coś podniosłem, tylko że też to zgubiłem, jak zobaczyłem Meg. Powinno jeszcze leżeć przed domem. Idź i sam zobacz, tatusiu.

- Dam ci latarkę, Mac - powiedziała Meg.

Nie musiał długo szukać. Zaledwie półtora metra od tylnych drzwi domu leżało szare plastikowe pudełko, w jakie pakuje się kasety magnetowidowe. Mac podniósł je, po czym ruszył w stronę lasu. Naturalnie zdawał sobie sprawę, że nie ma co liczyć na schwytanie intruza ani nawet na odnalezienie jego śladów, ponieważ grunt był tu zbyt twardy. Znalazł natomiast latarnię Kyle'a, leżącą na skraju lasu dokładnie naprzeciwko okien salonu. Z tego miejsca doskonale widział Meg i syna siedzących na kanapie.

Jakiś człowiek z kamerą stąd właśnie obserwował Meghan, a może nawet ją filmował. Dlaczego?

Mac przypomniał sobie martwą dziewczynę leżącą w kostnicy i czym prędzej zawrócił w kierunku domu.

\*\*\*

Przeklęty bachor! Bernie pędził co sił w nogach do samochodu. Zostawił go na skraju parkingu przy „Zajeździe Drumdoe”, ale na tyle blisko innych pojazdów, żeby nie zwracał uwagi. Na parkingu stało teraz około czterdziestu samochodów. W największym pośpiechu wrzucił kamerę do bagażnika, wskoczył za kierownicę, uruchomił silnik i skręcił w drogę numer 7. Starał się nie przekroczyć dozwolonej prędkości więcej niż o dziesięć kilometrów; tak jeździ większość kierowców, gdyby jechał szybciej albo włókł się jak ślimak, mógłby wzbudzić zainteresowanie policji.

Czy chłopak zdążył mu się przyjrzeć? Raczej nie. Było przecież ciemno, dzieciak przestraszył się jak diabli... Cholera, jeszcze dwie sekundy, a zdążyłby cofnąć się w głąb lasu i nikt nie dowiedziałby się o jego obecności!

Bernie był na siebie potwornie wściekły. Tak wspaniale oglądało mu się Meghan przez teleobiektyw kamery. Film z całą pewnością będzie znakomity.

Z drugiej strony, chyba nigdy w życiu nie widział kogoś tak przerażonego jak ten dzieciak. Na samo wspomnienie o tym Bernie poczuł przypływ energii. Wspaniale jest dysponować taką mocą, wspaniale jest potajemnie obserwować i rejestrować najbardziej intymne gesty, jak chociażby to odruchowe odgarnianie włosów za ucho, wspaniale jest budzić lęk i przerażenie, żeby ludzie uciekali z krzykiem, tak jak ten chłopak przed chwilą.

Wspaniale jest patrzeć na Meghan, na jej ręce, włosy...

## 43

Stephanie Petrovic dłf przewracała się z boku na bok, nim wreszcie zapadła w głęboką. Kiedy jednak w niedzielę o wpół do jedenastej otworzyła oczy, była spokojna i uśmiechnięta. Nareszcie wiedziała, co powinna zrobić.

Co prawda ostrzegana żeby nigdy nie wspominała o tym człowieku, a najlepiej żeby mogła zapomnieć, jak się nazywa, ale to było przecież przed zabójcą Helenę.

Zadzwoiła do niego, IOH był dla niej bardzo miły i obiecał, że się nią zaopiekuje. Wyszuktał ludzi, którzy zaadoptują jej dziecko i zapłacą za nie sto tysięcy dolarów.

- Aż tyle? — ucieszyła

Zapewnił ją, że nie będzie z tym żadnych problemów.

Załatwił jej także zieloną kartę.

- Co prawda fałszywie nikt się na tym nie pozna - powiedział.

- Byłoby jednak lepiej, gdybyś przeprowadziła się gdzieś, gdzie nikt cię nie zna. Nawet w takim dużym mieście jak Nowy Jork możesz spotkać kogoś znajomego, a w twoim przypadku należy tego unikać za wszelką cenę. Na twoim miejscu wybrałbym Kalifornię.

Stephanie była pewnie polubiła Kalifornię. Może nawet uda jej się znaleźć pracę w jakiejś miejscowości wypoczynkowej? Za sto tysięcy dolarów zdobędzie wykształcenie, jakiego będzie potrzebować; może nawet odnajdzie dobrą posadę? Tak jak Helenę, była urodzoną kosmetyczką i bardzo lubiła to zajęcie.

Obiecał, że dziś o siódmej wieczorem przyśle po nią samochód.

- Nie chcę, żeby sąsiedzi wiedzieli, że się wyprowadzasz.



Stephanie miała wielką ochotę poleniuchować jeszcze w łóżku, ale była na to za bardzo głodna. Zaraz po urodzeniu dziecka przechodząc na dietę, obiecała sobie solennie.

Wstała, wzięła prysznic, założyła ciężową sukienkę, którą zdążyła już znieawidzić, po czym zaczęła się pakować. Helenę trzymała w szafie prawie nową, luksusową walizkę. Dlaczego miałabym jej nie wziąć? - pomyślała Stephanie. Czy ktoś ma do niej większe prawo niż ja?

Ze względu na ciężę miała niewiele ubrań, ale przecież kiedyś zeszczupleje, a wtedy stroje ciotki powinny pasować na niajak ulać. Helenę odznaczała się dość konserwatywnym gustem, lecz kupowała ubrania bardzo eleganckie i kosztowne. Stephanie dokonała przeglądu wszystkich szaf i szuflad, zostawiając tylko to, co jej się zupełnie nie podobało.

W szafie znajdował się też niewielki sejf. Stephanie знаła szyfr, więc otworzyła go bez trudu. Było w nim niewiele biżuterii, ale bardzo pięknej. Pierścionki, kolczyki oraz naszyjniki zmieściły się w kosmetyczce.

Wielka szkoda, że nie da się wynieść mebli. Sądząc jednak ze zdjęć, które oglądała, w Kalifornii nie używa się ciężkich, wyściełanych sprzętów z ciemnego drewna.

Stephanie zapakowała także kilka uroczych figurek z miśnieńskiej porcelany, a następnie przypomniała sobie o srebrnej zastawie stołowej. Wielkie pudło okazało się za ciężkie, więc wyjęła sztucce, zawinęła w foliowe torby, ścisnęła gumkami i włożyła do walizy.

O piątej zadzwonił pan Potters z pytaniem, jak się czuje.

- Może chciałabyś wpaść do nas na obiad?
- Bardzo panu dziękuję, ale ma przyjść ktoś z Klubu Rumuńskiego.
- To znakomicie. Nie chcieliśmy, żebyś siedziała zupełnie sama. Pamiętaj, żeby do mnie zadzwonić, gdybyś czegoś potrzebowała.
- To miło z pańskiej strony, panie Potters.
- Cóż, żałuję, że nie mogę zrobić dla ciebie nic więcej. Niestety, jeżeli chodzi o testament twojej ciotki, to mam związane ręce.

Wcale nie potrzebuję twojej pomocy, pomyślała Stephanie odkładając słuchawkę.

Teraz nadeszła pora, by napisać list. Zadowolili ją dopiero trzecia wersja. Co prawda zdawała sobie sprawę, że z pewnością popełniła parę błędów, ale przynajmniej zawarła w nim dokładnie to, co chciała.

*Drogi panie Potters!*

Miło mi Pana zawiadomić, że ścieg mojego dziecka, przyjechał mnie zobaczyć. Teraz pobierzemy się, a ja zaopiekuję się nami. Musi szybko wracać do pracy. Wyjeżdżam z nim razem. On pracuje w Dallas. Bardzo go kocham i wiem, że Pan będzie z tego zadowolony.

*Dziękuję panu za wszystko*

*Stephanie Petrovic*

Samochód przyjechał punktualnie o siódmej. Kierowca wyniósł bagaże, Stephanie zaś położyła na stole w salonie list i klucze, wyłączyła światło, zatrzasnęła za sobą drzwi i najszybciej jak mogła poszła wyłożoną płaskimi kamieniami ścieżką ku czekającej limuzynie.

\*\*\*

W poniedziałek z samego rana Meghan zadzwoniła do Stephanie Petrovic, ale nie zastała jej w domu, usiadła więc przy stole w jadalni, gdzie poprzedniego wieczoru przeglądała rachunki ojca.

Niemal natychmiast zwrócił uwagę na dziwną rzecz. Od 23 do 28 stycznia, tuż przed swoim zniknięciem, ojciec mieszkał w hotelu „Cztery Pory Roku” w Beverly Hills. W trzy ostatnie dni obciążono go wyłącznie należnością za pokój. Nawet jeśli zaczął jadać poza hotelem, to przecież przez trzy dni musiałby skorzystać z usług hotelowych albo przynajmniej napić się coli w barze, pomyślała. Mogła zrozumieć, dlaczego nie zamawiał śniadania w pokoju; rano zwykle jadał tak niewiele, że z pewnością wystarczył mu kawa i bułeczka w barze.

W takim razie jednak, dla pewności w rachunku za pierwsze dwa dni widniały takie pozycje jak parkietowa butelka wina, talerz z przekąskami, kilka rozmów telefonicznych? Meghan zanotowała dni, kiedy nie było dodatkowych opłat. Może udało się wychwycić jakąś prawidłowość?

W południe ponownie zadzwoniła do Stephanie, ale znowu bez powodzenia. Kiedy tak samo zakończyła się trzecia próba, o drugiej, zaniepokojona wykręciła numer Charlesa Pottersa. Prawnik uspokoił ją, że Stephanie na pewno nic się nie stało; kiedy rozmawiał z nią minionego wieczoru, powiedziała mu, że ma do niej wpaść ktoś z Klubu Rumuńskiego.



- To dobrze - westchnęła z ulgą Meghan. - Ostatnio wyglądała na bardzo zdesperowaną.

- Istotnie - przyznał Potters. - Go prawda nie jest to powszechnie wiadome, ale w sytuacji, kiedy zgodnie z ostatnią wolą zmarłego cały jego majątek przechodzi na rzecz jakiejś fundacji lub instytucji, a bliscy krewni czują się pokrzywdzeni i mają zamiar wystąpić do sądu o unieważnienie testamentu, często dochodzi do ugody, w wyniku której następuje podział spadku między rodzinę a obdarowaną instytucję. Jednak po wystąpieniu Stephanie w telewizji, w którym prawie oskarżyła kierownictwo kliniki o współudział w zabójstwie ciotki, o czymś takim nie może być mowy, gdyż wyglądałoby to tak, jakby Manning starał się zatkać jej usta pieniędzmi.

- Rozumiem - odparła Meghan. - Będę jeszcze próbowała dodzwonić się do niej, ale gdyby ona pierwsza odezwała się do pana, proszę jej przekazać, że czekam na telefon, dobrze? Mimo wszystko wydaje mi się, że należałoby odszukać ojca jej dziecka. Jeżeli teraz odda je do adopcji, później może tego żałować.

Catherine poszła rano do zajazdu, by dopilnować przygotowań do śniadania i lunchu. Wróciła, kiedy Meg kończyła rozmowę z Pottersem.

- No, wreszcie mogę ci pomóc - powiedziała, siadając przy stole.  
- Właściwie byłoby lepiej, gdybyś mnie zastąpiła - odparła Meghan.  
- Powinam pojechać do siebie, wziąć trochę świeżych rzeczy i odebrać pocztę. Dziś pierwszy listopada, więc pewnie przyszły już rachunki.

Minionego wieczoru, kiedy matka wróciła z zajazdu, Meghan opowiedziała jej o przygodzie Kyle'a.

- Poprosiłam kolegów z pracy, żeby dyskretnie sprawdzili, czy jakaś podrzędna stacja nie przygotowuje programu o nas i Andersonach. Człowiek z kamerą, filmujący mnie z ukrycia... To coś w ich stylu.

Nie pozwoliła jednak Macowi zawiadomić policji. Teraz wyjaśniła matce, na co powinna zwracać uwagę przeglądając dokumenty.

- Wychwytyj wszystkie rachunki hotelowe, na których przez dwa lub trzy dni z rządu nie ma żadnych należności poza opłatą za pokój. Chcę sprawdzić, czy coś takiego zdarzało się tylko wtedy, kiedy tata był w Kalifornii.

Dyskretnie przemilczała, że z Los Angeles do Scottsdale leci się zaledwie pół godziny.

- Będę też szukała sklepu z artykułami skórzanymi „Palomino” - powiedziała Catherine. - Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że już kiedyś słyszałam tę nazwę... To jednak musiało być dawno temu.

Meghan wciąż jeszcze nie podjęła decyzji, czy w drodze do domu zajrzy do pracy. Bądź co bądź, miała na sobie wyświechtane dzinsy i porozciągany, ale ulubiony sweter... I wystarczy, postanowiła. Między innymi właśnie dlatego tak bardzo lubiła zawód reportera: poza wizją można było pozwolić sobie na luz.

Czesząc się stwierdziła, że ma już za długie włosy; lubiła mieć je do kołnierzyka, tymczasem ich końce dotykały już ramion. Tak samo jak włosy zamordowanej dziewczyny... Zimnymi jak lód rękami spłótła je w krótki warkoczyk i podpięła.

- Meg, dlaczego nie wybierzesz się na obiad lub kolację z przyjaciółmi? - zapytała niespodziewanie matka, kiedy dziewczyna zbierała się już do wyjścia. - Odrobina rozrywki na pewno dobrze by ci zrobiła.

- Nie bardzo mam nastrój do towarzyskich spotkań, ale gdyby coś się zmieniło, na pewno cię uprzedzę. Będiesz wieczorem w zajeździe?

- Raczej tak.

- Pamiętaj, żeby po powrocie opuścić rolety. - Podniosła rękę z rozcapierzonymi palcami. - A teraz, jak by powiedział Kyle, przybij mi wysoką piątkę.

O dziwo, Catherine wiedziała, co to oznacza. Przez dłuższą chwilę matka i córka patrzyły sobie w oczy.

- Jedź ostrożnie.

Upomnienie to weszło na stałe w skład każdego pożegnania od chwili, kiedy w wieku szesnastu lat Meg zrobiła prawo jazdy. Odpowiedziała na nie jak zawsze:

- W porządku, spróbuję nie wjechać w tył żadnej ciężarówki.

Ugryzła się w język, ale było już za późno: wypadek na moście Tappan Zee spowodował kierowca cysterny, który w ostatniej chwili starał się wyminąć ciężarówkę. Catherine nasunęło się chyba to samo skojarzenie, gdyż powiedziała:

- Mój Boże, Meg, czuję się zupełnie tak, jakbym chodziła po polu minowym! Nawet żartobliwe powiedzonko, które towarzyszyło nam przez tyle lat, teraz nabrało nowego, groźnego znaczenia. Czy ten koszmar kiedyś się skończy?

\*\*\*#

W poniedziałek rano doktora George'a Manninga ponownie przesłuchiowano w gabinecie zastępcy prokuratora stanowego. Pytania zadawane przez Johna Dwycera stawały się coraz ostrzejsze, a w niektórych wyraźnie pobrzmiwała nuta sarkazmu. Dwójka detektywów siedziała w milczeniu, pozwalając szefowi samodzielnie prowadzić przesłuchanie.

- Panie doktorze, czy może pan wyjaśnić, dlaczego od razu nie poinformował nas pan o niefortunnym wypadku, jaki zdarzył się Helenę Petrovic w chwili, gdy przenosiła szkiełka Petriego z embrionami Andersonów?

- Ponieważ ona sama nie była pewna, czy istotnie nastąpiła zamiana.

George Manning siedział zgarbiony na krześle, a jego twarz, zwykle zdrowa i rumiana, miała barwę popiołu. Nawet bujne siwe włosy wydawały się bardziej szare. Od przyjścia na świat drugiego dziecka Andersonów lekarz wyraźnie się postarzał.

- Doktorze Manning, powtarzał pan wielokrotnie, że założenie i następnie wieloletnie kierowanie kliniką zajmującą się badaniami metod zapłodnienia pozaustrojowego stanowiły pańskie największe życiowe osiągnięcie. Czy wiedział pan, że Helenę Petrovic zamierza pozostawić klinice swój cały, dość znaczny majątek?

- Rozmawialiśmy na ten temat. Widzi pan, w tej dziedzinie sporo nam jeszcze brakuje do rezultatów, jakie pragnęlibyśmy osiągać. Na razie koszty zapłodnienia *in vitro* są bardzo wysokie, wahają się od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów, a w przypadku niepowodzenia trzeba wszystko zaczynać od początku. Co prawda niektóre kliniki twierdzą, jakoby osiągnęły dwudziestoprocentową skuteczność, ale bliższy prawdy wydaje mi się rezultat dziesięcioprocentowy.

- Z całą pewnością zależy panu na tym, by poprawić ten wynik?
- Oczywiście.

- A więc, czy nie był pan wstrząśnięty, kiedy w ubiegły poniedziałek Helenę Petrovic nie tylko oświadczyła panu, że odchodzi z kliniki, ale opowiedziała o niefortunnym zdarzeniu z embrionami?

- Szczerze mówiąc, byłem zdruzgotany.

- A mimo to, kiedy znaleziono ją martwą, zataił pan przed nami prawdziwe powody, które skłoniły ją do odejścia. - Dwycer oparł łokcie na biurku i pochylił się w stronę starego lekarza. - Co jeszcze opowiedziała panu w poniedziałek Helenę Petrovic?

Manning nerwowo splatał i rozplatał palce.

- Ze ma zamiar sprzedać dom w Lawrenceville i wyjechać, być może do Francji...

- Jak pan zareagował na to wyznanie?

- Oslupiałem... - szepnął Manning. - Byłem pewien, że przed czymś ucieka.

- Przed czym, panie doktorze?

George Manning zrozumiał, że już jest po wszystkim. Nie uda mu się dłużej chronić kliniki.

- Widocznie obawiała się, że jeśli drugie dziecko Andersonów nie będzie bliźniaczym bratem Jonathana, zostanie wszczęte dochodzenie, w wyniku którego wyjdą na jaw inne błędy, jakie popełniła w laboratorium...

- A testament? Wiedział pan, że Helenę Petrovic ma zamiar go zmienić?

- Powiedziała mi, że jest jej bardzo przykro z tego powodu, ale musi także zatroszczyć się o rodzinę.

John Dwycer zadał jeszcze jedno pytanie; odpowiedź na nie miała ostatecznie potwierdzić jego domysły.

- Panie doktorze, kiedy po raz ostatni rozmawiał pan z Edwinem Collinsem?

- Zadzwoił do mnie dzień przed zniknięciem. - Lekarzowi nie podobał się wyraz oczu Dwycera. - Skontaktował się wtedy ze mną po raz pierwszy od chwili, kiedy umieścił Helenę Petrovic w mojej klinice.

Odwrócił wzrok, by nie widzieć wyrazu niedowierzania i nieufności malującego się na twarzy prokuratora.

Meghan postanowiła jednak nie zajeżdżać do pracy, dzięki czemu dotarła do mieszkania już o czwartej. Skrzynka na listy pękała w szwach; od razu wyrzuciła druki reklamowe, po czym wsiadła do windy i pojechała na trzynaste piętro.

Zaraz po wejściu do pokoju otworzyła szeroko okna, a następnie przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, spoglądając ponad wodą na Statuę Wolności. W promieniach późnopołudniowego słońca kamienny posąg wydawał się dziwnie obcy i odległy. Zawsze, kiedy patrzyła na niego, myślała o dziadku, Pacie Kellym, który przybył do tego kraju jako nastolatek i ciężko pracował całe życie, budując swoją fortunę. Jak zareagowałby na wiadomość, że jego córka może stracić wszystko, i to tylko dlatego, że przez lat a była oszukiwana przez męża?

Scottsdale w stanie Arizona. Spoglądając na wody nowojorskiego portu Meghan wreszcie uświadomiła sobie, co od jakiegoś czasu nie dawało jej spokoju: Arizona leży na południowym zachodzie, a „Palomino” kojarzyło jej się właśnie z tym rejonem kraju.

Natychmiast podeszła do telefonu, zadzwoniła do informacji i poprosiła o numer kierunkowy do Scottsdale w Arizonie. Zaraz potem połączyła się z informacją w Scottsdale.

- Czy może mi pani podać numer Edwina Collinsa? Może też być E.R.Collins.

Nikt taki nie figurował w spisie abonentów.

- A ma może pani numer sklepu „Palomino”?

Wstrzymała oddech i po chwili usłyszała głos telefonistki:

- Już go pani podaję.

# 45

**W** poniedziałek wieczorem, kiedy Mac wrócił z pracy, zastał syna w znakomitym nastroju. Kyle poinformował ojca, że opowiedział kolegom z klasy o swojej przygodzie w lesie.

- Wszyscy strasznie mi zazdrościli - stwierdził z nie ukrywaną satysfakcją. — Kazali sobie w kółko powtarzać, jak mu się wyrwałem i uciekłem do domu. A ty opowiedziałeś swoim kolegom?

-Nie.

- Możesz, jeśli masz ochotę — zezwolił mu wspaniałomyślnie chłopiec, po czym odwrócił się, by odejść, **ale** ojciec przytrzymał go za ramię.

- Zaczekaj chwilę.

- O co chodzi?

- Chcę się czemuś przyjrzeć.

Kyle miał na sobie flanelową koszulę, rozpiętą na piersi. Mac odsunął ją nieco na bok, odsłaniając żółtofioletowe sińce na szyi syna.

- Skąd to masz?

- Przecież mówiłem ci, że ten człowiek mnie złapał.

- Mówiłeś, że cię popchnął.

- Najpierw mnie złapał, ale ja mu się wyrwałem.

Mac zaklął pod nosem. Wczoraj nie przyszło mu do głowy, żeby dokładniej przyjrzeć się Kyle'owi. Chłopiec miał na sobie kostium ducha, a pod spodem gruby golf. Palce, które pozostawiły na jego szyi tak wyraźne ślady, musiały być bardzo silne.

Natychmiast podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer policji. Wczoraj nie zrobił tego, ulegając prośbom Meghan.

„Już i tak żyje nam się wystarczająco ciężko, bez rozdmuchiwania tej sprawy. Policja z pewnością dojdzie do wniosku, że to tata kręci się koło domu. Zastępca prokuratora stanowego jest przekonany, że prędzej czy później ojciec będzie próbował skontaktować się z nami” -

powiedziała.

Meg wystarczająco długo trzymała mnie z dala od tej sprawy, pomyślał Mac. Teraz miarka się przebrała. To nie był jakiś nieszkodliwy podglądacz, zaczajony z kamerą w lesie.

Telefon odebrano po pierwszym sygnale.

- Posterunkowy Thorne przy aparacie, słucham.

Kwadrans później przed dom zajechał radiowóz. Dwaj przybyli policjanci nie ukrywali niezadowolenia z faktu, że nie zawiadomiono ich wcześniej.

- Doktorze MacIntyre, wczoraj była wigilia Wszystkich Świętych. Co roku obawiamy się, że jakiś szaleniec wykorzysta okazję i zaatakuje któreś z dzieci. Ten człowiek może być teraz w innej części miasta.

- Rzeczywiście, powinienem was wezwać od razu, ale nie wydaje mi się, żeby polował akurat na dzieci - odparł Mac. - Z miejsca, w którym się ukrywał, doskonale widać okna domu Collinsów, a właśnie wtedy była tam Meghan Collins.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia.

- Chyba powinniśmy zawiadomić zastępcę prokuratora okręgowego — powiedział jeden z nich.

\*\*\*

Wracając ze swego nowojorskiego mieszkania do domu, Meghan uświadomiła sobie gorzką prawdę, że dysponuje teraz niepodważalnymi dowodami na to, iż jej ojciec miał w Arizonie drugą rodzinę.

Kiedy zadzwoniła do sklepu z artykułami skórzanymi „Palomino”, poprosiła do telefonu właścicielkę. Kobieta zdziwiła się, usłyszawszy od Meghan o nagranej na automatyczną sekretarkę informacji.

- My na pewno nie zostawiliśmy tej wiadomości - stwierdziła stanowczo.

Przyznała natomiast, że wśród klientów sklepu znajduje się niejaka pani E. R. Collins, która ma dwudziestokilkuletnią córkę, ale odmówiła podania przez telefon dokładniejszych danych.

Meg dojechała do Newtown o wpół do ósmej. Zdziwiła się, ujrawszy na podjeździe czerwonego chryslera Maca oraz jeszcze jeden, nieznajomy samochód. Co się stało? - pomyślała z niepokojem. Zatrzasnęła za sobą drzwi mustanga i wbiegła po schodkach. Mój Boże, jak niewiele już trzeba, żeby zacząć trząść się ze strachu, pomyślała naciskając klamkę.

W salonie siedzieli Catherine, Mac, Kyle oraz detektyw Arlene Weiss. Mac wyjaśnił Meghan, dlaczego zdecydował się zawiadomić policję; mówił dość oschłym tonem, więc nietrudno było się domyślić, że ma do niej pretensję. I słusznie, pomyślała Meg. Jakiś szaleniec o mało nie udusił jego syna, a ja nie pozwoliłam mu wezwać policji.

Kyle siedział na kanapie między Catherine a ojcem, lecz na widok Meghan zerwał się i podbiegł do niej.

- Nie bądź taka smutna. Nic mi nie jest.

Spojrzała w poważne oczy chłopca, po czym chwyciła go w objęcia.

- Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, kolego.

Arlene Weiss nie zabrała im dużo czasu.

- Panno Collins, może nam pani wierzyć lub nie, ale chcemy pani pomóc - powiedziała, kiedy Meghan odprowadzała ją do drzwi. - Nie informując nas o wydarzeniach takich jak to, które miało miejsce wczoraj wieczorem, utrudnia pani prowadzenie śledztwa. Radiowóz zjawiłby się w ciągu kilku minut i kto wie, czy nie udałoby się schwytać tego człowieka; Kyle twierdzi, że miał ze sobą dużą kamerę, która na pewno utrudniłaby mu ucieczkę. Czy jest może jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

- Nie - odparła Meghan.

- Pani matka powiedziała mi, że była pani w swoim mieszkaniu.

Czy podczas pani nieobecności nadeszły jakieś nowe fakty?

-Nie.

Przygryzła wargę, gdyż przypomniała sobie o rozmowie telefonicznej, jaką odbyła z kierowniczką sklepu z artykułami skórzanymi.

Weiss przez chwilę przyglądała się jej bez słowa.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie. - Gdyby jednak przyszło pani do głowy coś, co może nas zainteresować, to zna pani nasz numer telefonu.

- Możesz iść oglądać telewizję — oznajmił Mac synowi, jak tylko Meghan wróciła do salonu. - Za piętnaście minut jedziemy do domu.

- Dzięki, tato, ale teraz nie ma nic ciekawego. Zostanę tutaj.

- Kyle, to nie była propozycja.

Chłopiec podniósł się z miejsca.

- Już dobrze, dobrze. Nie musisz się od razu tak złościć.

- Właśnie - poparła go Meghan, a Kyle przechodząc obok przybił jej wysoką piątkę.

Mac zaczekał, aż chłopiec zamknie za sobą drzwi.

.. - Czego dowiedziałaś się w Nowym Jorku? - zapytał.

Dziewczyna spojrzała na matkę.

- Wiem już, gdzie jest sklep z artykułami skórzanymi „Pałomino” oraz że wśród jego klientów znajduje się niejaka pani E. R. Collins.

Catherine gwałtownie wciągnęła powietrze, ale jej córka mówiła dalej:

- Chcę tam jutro polecieć. Musimy wiedzieć, czy tamta pani Collins jest tą samą kobietą, którą Cyrus Graham widział w towarzystwie taty, a po to, żeby mieć co do tego pewność, muszę z nią porozmawiać.

Catherine Collins modliła się w duchu, żeby na jej twarzy nie było widać takiego bólu i rozpacz, jak na twarzy jej córki.

- Meggie, jeżeli ty naprawdę tak bardzo przypominasz tę zamordowaną dziewczynę, a tamta kobieta okaże się jej matką, to twój widok sprawi jej ogromny ból.

- Uważasz, że cokolwiek może to zmienić?

Była zadowolona, że nikt nie próbuje jej odwieść od powziętego zamiaru.

- Meg, tylko nie mów nikomu, dokąd lecisz - ostrzegł Mac. - Jak długo chcesz tam zostać?

- Najwyżej jedną noc.

- A więc gdyby ktoś pytał, będziesz w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku.

Zawołał Kyle'a, po czym zwrócił się do Catherine:

— Czy znalazłabyś czas, żeby jutro zjeść z nami kolację w zajęz-dzie?

Ku swemu zdziwieniu zdołała się uśmiechnąć.

—Z przyjemnością. Co mam przygotować, Kyle?

—Może hamburgery z kurczaka?... — zasugerował rozmarzonym tonem.

—Chcesz, żeby sala świeciła pustkami? Chodź ze mną do kuchni, przyniosłam trochę ciasteczek.

—Twoja matka jest bardzo taktowna — zauważył Mac. — Domyśliła się, że chcę zamienić z tobą słowo na osobności. Meg, nie podoba mi się, że lecisz tam sama, ale chyba rozumiem, dlaczego to robisz. Chcę jednak znać całą prawdę. Czy ukrywasz coś przede mną?

—Nie.

—Tym razem nie pozwolę, żebyś odsunęła mnie na boczny tor i byłoby dobrze, żebyś o tym pamiętała. Jak mogę ci pomóc?

—Zadzwoń rano do Stephanie Petrovic, a jeśli jej nie zastaniesz, skontaktuj się z prawnikiem jej ciotki. Mam jakieś niedobre przeczucia. Przez cały dzień nie było jej w domu, nawet pół godziny temu, kiedy telefonowałam z samochodu. To dziwne, biorąc pod uwagę, że za dziesięć dni ma urodzić dziecko i czuje się wręcz fatalnie. Wczoraj po mszy padła na kanapę jak nieżywa, więc nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogłaby wytrzymać tak długo poza domem. Zapisz sobie numery telefonów do niej i do pana Pottersa.

Kiedy kilka minut później Kyle wrócił z kuchni i nadeszła pora pożegnania, Mac nie ograniczył się do złożenia przyjacielskiego pocałunku na policzku Meghan, lecz ujął jej twarz w dłonie i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

— Uważaj na siebie — powiedział, a następnie pocałował ją mocno w usta.



# 46

Poniedziałek nie był dla Berniego zbyt udanym dniem. Wstał o świcie, zasiadł w skrzypiącym fotelu w swojej piwnicy i zaczął oglądać nagranie, które poprzedniego wieczoru zarejestrował z kryjówki w lesie naprzeciwko okien domu Collinsów. Chciał je obejrzeć już wczoraj, ale matka zażądała, żeby spędził wieczór w jej towarzystwie.

- Całymi dniami siedzę w domu zupełnie sama, Bernardzie - pokaż mi się. - Do tej pory nigdy nie wychodziłeś w weekendy. Chyba nie spotykasz się z jakąś dziewczyną?
- Oczywiście, że nie, mamo.
- Przecież wiesz, że wpłatałeś się w kłopoty właśnie przez dziewczyny.
- To nie była moja wina, mamo.
- Nie twierdź, że to była twoja wina, tylko że powinieneś trzymać się z dala od dziewcząt.
- Oczywiście, mamo.

Kiedy matka znajdowała się w takim nastroju, najlepiej było po prostu słuchać i przytakiwać. Nadal budziła w Berniem strach; wciąż jeszcze drżał na wspomnienie czasów, kiedy był dorastającym chłopcem, a ona niespodziewanie zjawiała się w jego pokoju ze skórzanym paskiem w ręku.

„Widziałam, że znowu oglądasz te świństwa w telewizji, Bernardzie. Muszę wybić ci z głowy te bezecne myśli!”

Na pewno by nie zrozumiała, że jego uczucie do Meghan jest piękne i czyste. Po prostu chciał być blisko niej, patrzeć na nią, wiedzieć,

że w każdej chwili może zobaczyć jej uśmiech. Tak jak wczorajszej nocy. Wiedział na pewno, że gdyby zastukał w okno, nie przestraszyłaby się. Wręcz przeciwnie: czym prędzej pobiegłaby do drzwi, żeby go wpuścić do środka.

„Bernie, skąd się tu wzięłeś?” - powiedziałyby.

Kto wie, może nawet zrobiłaby mu filiżankę herbaty?

Bernie pochylił się do przodu w fotelu. Zaczynał się najlepszy fragment, kiedy Meghan, skupiona i poważna, usiadła w jadalni przy stole zawałonym jakimiś dokumentami. Dzięki obiektywowi o zmiennej ogniskowej udało mu się wykonać zbliżenie jej twarzy. Kiedy zwilżyła językiem wargi, przez jego ciało przebiegł dreszcz. Miała na sobie bluzkę z rozpiętym kołnierzykiem; nie był pewien, czy istotnie widzi pulsowanie tętnicy na szyi, czy tylko mu się wydaje.

- Bernardzie! Bernardzie!!!

Matka stała u szczytu schodów prowadzących do piwnicy. Od jak dawna?

- Idę, mamo.
- Zajęło ci to sporo czasu - powiedziała z przekąsem, kiedy wszedł do kuchni. - Spóźnisz się do pracy. Co tam robiłeś?
- Trochę sprzątałem. Staram się utrzymać porządek, tak jak sobie tego życzysz.

Kwadrans później wszedł do samochodu i powoli ruszył przed siebie ulicą, nie bardzo wiedząc, dokąd się skierować. Zdawał sobie sprawę, iż powinien pojechać na któreś z lotnisk, żeby zarobić trochę pieniędzy. Było to wręcz konieczne, zważywszy na znaczne wydatki, jakie miał ostatnio. Musiał jednak stoczyć ze sobą ciężką walkę, żeby zawrócić w stronę portu lotniczego La Guardia.

Przez cały dzień kursował między lotniskiem a centrum miasta. Wszystko układało się zupełnie nieźle aż do późnego popołudnia, kiedy trafił mu się jakiś nadzwyczaj nerwowy pasażer.

- Na litość boską, człowieku, zjedź na lewy pas! Nie widzisz, że ten jest zupełnie zablokowany?

Bernie właśnie myślał o Meghan; zastanawiał się, czy po zapadnięciu zmroku będzie mógł bezpiecznie przejechać koło jej domu.

Mezyczna siedzący na tylnej kanapie  
końca

!>f R<sup>1</sup>.r<sup>nem</sup> by wzi<sup>ac</sup> taksówkę! Człowieku, s<sup>dzies</sup> y  
\*.\* \ / n Sasz się iak mucha w smole!

i\w " os<sup>a,n</sup>;z<sup>az</sup>d z autostrady przed most<sup>m</sup> r<sup>fnbo</sup>  
v5» Iktpf Steczne lusterko gw<sup>townie</sup> szarpnął kierowni-

\*iL/ v f piskiem opon zatrzymał się przy kr<sup>a</sup>Wzniku.  
W "f w- f \ do diabła?! - wrzasnął pasażer.

f<sup>v</sup>s \ na przednim siedzeniu obok kierowcy gemie  
i.f<sup>v</sup>s \ I' <sup>l</sup> drzwi i wypchnął ją na zewnątrz.  
\*<sup>b</sup>I<sup>r</sup>//t

sarknął - Weź sobie taksówkę  
U AW mężczyzny. Przez chwilę spoglą<sup>ii</sup> s<sup>ofr</sup>ie  
pasażera ustąpił miejsca panice,  
cie. Bardzo przepraszam, jeśli pana z<sup>enerwo</sup>

k/ci<sup>a</sup>

P<sup>u</sup>f<sup>e</sup><sup>l</sup>

f<sup>P</sup>31 Wiarowo i głęboko, zgodnie z zalecen<sup>ami</sup> wie<sup>s</sup>,  
• kied<sup>></sup> czuł, że

powta<sup>za</sup>

wie-

% \<sup>hodu</sup> jak oparzony, a Bernie wcisnął <sup>wa</sup>ltow-  
,Vi> v <sup>raca</sup> c do domu. Niewiele brakowała <sup>a</sup> dałby

wyl<sup>v</sup> Al<sup>v</sup> y<sup>v</sup> ... - - \*

\amiwic-  
/V l/f<sup>ory</sup> kazał mu robić to zawsze, kied<sup>></sup> r<sup>2n</sup>/ 4<sup>s</sup>,

J v / <sup>^</sup> nad

nim panować, Bernie — powta<sup>></sup>g<sup>za</sup> } wjg-  
,:'''<sup>l</sup> i<sup>ry</sup> zeciwnym razie spędzisz tu resztę ży<sup>e</sup>ja"  
"i i J<sup>ie</sup> może wrócić do więzienia. Gotów l<sup>yj</sup> uczy<sup>l</sup>  
i<sup>l</sup> <sup>l</sup>o nie dopuścić.

iirff<sup>l</sup> XS \*\*\*

by<sup>4</sup> Jf<sup>l</sup> czne popiskiwanie budzika wyrwało  
Meghan

} U / Zarezerwowała sobie bilet na samolo<sup>sta</sup>tu-  
W Wy<sup>e</sup>go o 7.25. Nie miała najmniejszych pro-  
I \*X-J <sup>^y</sup> s<sup>P<sup>a</sup>^a</sup> płytko i niespokojnie. Dli<sup>^</sup>,<sup>0</sup> sta } a  
i i / V czując jak stopniowo rozluźniają si-<sup>na</sup>Dię.

v / Ha podawanej przez radio prognozy pogody.  
Vu zarejestrowano przygruntowe przyv<sup>mroz</sup>ki

ale w Arizonie, rzecz jasna, czekała na nią zupełnie inne warunki, ale i wieczory bywały tu inne, lecz w dzień na pewno jest jeszcze bardzo ciepło.

Cienkie spodnie, jedwabna bluzka i marynata wełnianego materiału powinny być w sam raz. Właśnie to, ale bez podpinkki. W pośpiechu wrzuciła do torby kilka rzeczy, które będzie potrzebowała podczas krótkiego pobytu.

Już na schodach poczuła zapach kawy, a w kuchni słysząc ją, zaczęła się matkę.

- Niepotrzebnie wstawiałaś - skarciła ją.

- I tak prawie nie spałam. - Catherine Collins miała nadzieję, że od szlafroka. - Nie upierałam się, żeby zjechać, nie wiem, czy słusznie postąpiłam. Chyba nie powinnaś sama... Chociaż z drugiej strony, jeśli w Scottsdale jakaś inna pani Collins, to nie mam pojęcia, co mogły być dzieci. Czy była niczego nieświadoma, tak jak ja, czy ty z pomocą mu żyć w kłamstwie?

- Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj wszystkimi się dzielą, jeśli Meg. - Jestem pewna, że będzie lepiej, jeśli odwiedzi cię. Wypiła kilka łyków soku grapefruitowego i siusnęła. Muszę już iść. Czeka mnie długa droga na lotnisko, a muszę znaleźć w porannym korku.

Catherine odprowadziła ją do drzwi i uściskała na pożegnanie.

- Będę w Phoenix o jedenastej, jeśli możesz, powiedz mi, kiedy będziesz w Phoenix - powiedziała Meghan. Idąc do samochodu czuła na plecach spojrzenie. Lot przebiegał spokojnie. Meghan siedziała przy oknie i mogła przez długie minuty spoglądać na słońce, niebo, chmur, wracając wspomnieniami do dawno minionych. Pomyślała sobie, jak z okazji piątych urodzin rodziców zabrała ją do Disneya w Orlando; była to jej pierwsza podróż z ojcem, ale także siedziała przy oknie, obok ojca; matka stała przy drzwiach przejścia.

Później ojciec wielokrotnie przypominał w rozmowach wówczas go zasypywała.

„Tatusiu, czy jakbyśmy wyszli z samolotu, to moglibyśmy chodzić po chmurach?”

Odparł, że jest mu bardzo przykro, ale chmury na pewno nie zdołają jej utrzymać.

„Ja natomiast zawsze jestem gotów to zrobić, Meggie Anne”.

İ robił to, zarówno dosłownie, jak i w przenośni, podtrzymując ją na duchu. Pamiętała ten okropny dzień, kiedy przewróciła się tuż przed metą biegu sztafetowego, co kosztowało jej szkołę utratę mistrzostwa stanu. Ojciec czekał na nią przed wyjściem z szatni, którą wymknęła się najszybciej jak mogła, by nie słyszeć słów pocieszenia trenerów i nie widzieć rozczarowania na twarzach koleżanek z drużyny. On miał dla niej nie pocieszenie, lecz zrozumienie.

„Są takie chwile w życiu, których nigdy się nie zapomina i które bardzo długo sprawiają ból. Obawiam się, że właśnie przeżyłaś jedną z nich” - powiedział.

Meghan poczuła, jak ogarniają ją wzruszenie, ale natychmiast otrząsnęła się z tego uczucia, przypomniawszy sobie, jak często ojciec przebywał poza domem utrzymując, jakoby Zatrzymywały go ważne sprawy służbowe. Wielokrotnie zdarzało się to nawet podczas Święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia. Czy spędzał te święta w Scottsdale, z drugą rodziną? Całe szczęście, że wtedy zajazd odwiedzało mnóstwo gości, dzięki czemu ona i matka nigdy nie były same.

W wieku czternastu lat uczęszczała na lekcje tańca jazzowego. Kiedy ojciec wrócił z jednej ze swoich podróży, zademonstrowała mu kroki, których nauczyła się tego dnia. Zaczekał do końca pokazu, po czym westchnął głęboko i powiedział:

„Meggie, jazz to wspaniała muzyka, ale jeśli chodzi o taniec, to nie może równać się z walcem”.

Właśnie wtedy nauczył ją tańczyć wiedeńskiego walca. ➤

\*\*\*

Z ulgą przyjęła podaną przez pilota wiadomość, że rozpoczęli już podchodzenie do lądowania w porcie lotniczym Sky Harbor, gdzie temperatura wynosi dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza. Kiedy maszyna znieruchomiała na płycie lotniska, Meghan wyjęła swoje rzeczy

ze schowka i niecierpliwie czekała na otwarcie drzwi. Marzyła tylko o tym, żeby jak najprędzej mieć ten dzień za sobą.

Punkt wynajmu samochodów znajdował się w terminalu im. Barry'ego Goldwatera. Meghan odszukała w książce telefonicznej adres sklepu „Palomino”, po czym pokwitowała odbiór samochodu i zapytała pracownika firmy, jak najłatwiej tam dojechać.

Młody mężczyzna zerknął na adres.

„To w Bogocie, handlowej dzielnicy Scottsdale. Będzie się pani wydawało, że znalazła się pani w średniowiecznym miasteczku. - Pokazał jej drogę na mapie. - Najdalej za dwadzieścia pięć minut będzie pani na miejscu.

Jadąc autostradą, Meghan podziwiała widoczne w oddali góry oraz bezchmurne, intensywnie błękitne niebo. Kiedy skrzyła we wskazany zjazd i pokonała jeszcze kilka kilometrów, po obu stronach drogi pojawiły się zabudowania, a także palmy, kaktusy i drzewka pomarańczowe.

Minęła hotel „Safari”, w którym przed jedenastu laty Cyrus Graham spotkał swego przyrodniego brata. Wzniesiony z wypalanej cegły budynek prezentował się nadzwyczaj okazale.

Sklep „Palomino” znajdował się półtora kilometra dalej, przy Scottsdale Road. W tej okolicy wszystkie budowle przypominały miniaturowe zameczki z wieżyczkami, blankami i otworami strzelniczymi. Wrażenie, że jest się w odległej przeszłości, pogłębiały wąskie, brukowane ulice. Sklepy były niewielkie i wszystkie wyglądały na bardzo drogie. Meghan zauważyła z samochodu ten, którego szukała i skrzyła na parking. Wyśiadłszy z wozu stwierdziła z niepokojem, że drżą jej nogi.

Zaraz po wejściu do sklepu owionął ją intensywny zapach skóry. Na półkach i ladach piętrzyły się stosy przemyślnie poukładanych toreb i torebek; w dalszej części pomieszczenia, do której schodziło się po kilku stopniach, widać było walizki i teczki.

Przy kasie stała sprzedawczyni — młoda kobieta o wyrazistych indiańskich rysach twarzy i niesamowicie gęstych, kruczoczarnych włosach, opadających na plecy obfitą kaskadą.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała z uśmiechem.

- Wie pani, to trochę nietypowa sprawa... Zatrzymałam się w mieście tylko na kilka godzin, a bardzo zależy mi na tym, żeby odnaleźć

krewnych. Niestety, nie znam ich adresu, nie ma też ich w książce telefonicznej. Wiem jednak, że często robią tu zakupy, więc pomyślałam sobie, że może macie ich adres albo chociaż numer telefonu.

Sprzedawczyni zawahała się.

- Niestety, ja pracuję tu dopiero od kilku dni, za godzinę powinna przyjść właścicielka, więc może zechce panizjrzeć wtedy i porozmawiać z nią osobiście?

- Za godzinę? Mam tak mało czasu...

- A jak brzmi to nazwisko? Mogę poszukać w rachunkach.

- Collins.

Ach, więc to pani dzwoniła wczoraj?

- Owszem.

Po rozmowie z panią właścicielką, pani Stoges, powiedziała mi o śmierci pana Collinsa. Czy on był krewnym tej pani?

Meghan poczuła, że ma zupełnie sucho w ustach.

- Zgadza się. Właśnie dlatego zależy mi na tym, żeby ją odnaleźć.

Sprzedawczyni przez chwilę stuknęła w klawiaturę komputera.

- Tak, jest tu adres i numer telefonu, ale chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli najpierw zadzwonię do pani Collins i zapytam, czy mogę jej pani podać?

Meghan nie pozostało nic innego, jak tylko skinąć głową. W milczeniu obserwowała, jak kobieta wykręca numer.

- Pani Collins? Dzwonię ze sklepu „Palomino”. Jest tutaj pewna młoda osoba, która chciałaby się z panią spotkać. Krewna. Czy mogę podać jej pani adres?

Słuchała przez chwilę, po czym spojrzała na Meghan.

- Jak się pani nazywa?

- Meghan. Meghan Collins.

Sprzedawczyni powtórzyła to co usłyszała, a następnie pożegnała się, odłożyła słuchawkę i odwróciła się z uśmiechem do Meghan.

- Pani Collins zaprasza panią do siebie. Mieszka dziesięć minut jazdy stąd.

po  
te  
sz

Frances stała przy oknie wychodzącym na tył domu. Dookoła patio i basenu biegł niski kamienny mur zwieńczony prętami z kutego żelaza. Posiadłość graniczyła z rozległą pustynią, na której znajdował się rezerwat Indian z plemienia Pima. Hen, daleko, lśniła w promieniach słońca Góra Wielbłądzia. Przepiękny dzień, w sam raz na to, żeby wreszcie wyjaśnić wszystkie tajemnice, pomyślała.

A więc Annie mimo wszystko pojechała do Connecticut, odnalazła Meghan i przysłała ją tutaj. Dlaczego właściwie miałyby respektować życzenia ojca? Czy była zobowiązana do lojalności wobec niego? Albo wobec mnie?

Dwa i pół dnia, jakie minęły od chwili, kiedy Frances zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce Edwina, upływały jej na oczekiwaniu wypełnionym na przemian nadzieją i obawami. Na pewno nie spodziewała się takiej wiadomości, jaką przed chwilą otrzymała z „Palomino”, ale teraz przynajmniej dowie się od Meghan Collins, kiedy i w jakich okolicznościach widziała się z Annie i jak można się z nią skontaktować.

Zadźwięczał gong u drzwi - delikatny, melodyjny, a jednocześnie jakby złowroźny. Frances odwróciła się i poszła przywitać gościa.

\*\*\*#

Kiedy Meghan zatrzymała samochód przed Doubletree Ranch Road numer 1006, ujrzała parterowy dom z kremową fasadą i dachem z czerwonej dachówki, stojący na skraju pustyni. Przed frontowym

wejściem rósł hibiskus o krwistoczerwonych kwiatach oraz kaktusy, w oddali zaś piętrzyły się majestatyczne góry.

Mijając szerokie okno zobaczyła stojącą we wnętrzu postać. Nie zdołała dostrzec jej twarzy, ale zauważyła, że kobieta jest wysoka, bardzo szczupła, ma włosy luźno spięte z tyłu głowy, na sobie zaś coś w rodzaju lekarskiego kitla.

Meghan nacisnęła przycisk i po chwili drzwi stanęły otworem. Kobieta zbladła i cofnęła się o krok.

- Mój Boże... - szepnęła. - Wiedziałam, że jesteś podobna do Annie, ale żeby aż tak...

Przycisnęła rękę do ust, jakby chciała powstrzymać potok słów.

To jest matka Annie. Matka, która jeszcze nie wie, że jej córka nie żyje, pomyślała z przerażeniem Meghan. Teraz, w mojej obecności, będzie jej jeszcze ciężiej się z tym pogodzić. Jak by zareagowała moja matka, gdyby Annie zjawiała się w Connecticut z wiadomością, że ktoś zadźgał mnie nożem?

- Wejdz, Meghan.

Kobieta odsunęła się na bok, wciąż jednak nie wypuszczając klamki z ręki, jakby chciała w ten sposób uchronić się przed upadkiem.

- Nazywam się Frances Grolier.

Meghan nie bardzo wiedziała, jaką osobę spodziewała się ujrzeć, ale na pewno nie tę chudą jak szczapa kobietę o silnych rękach i mizernej, pooranej zmarszczkami twarzy. W oczach, w które patrzyła, bez trudu można było dostrzec zdumienie i niepokój.

- Sprzedawczyni zwracała się do pani „pani Collins”...

- Robiąc zakupy posługuję się tym nazwiskiem.

Meghan zerknęła na złotą obrączkę na palcu kobiety. Frances Grolier zauważyła to spojrzenie.

- Twój ojciec dał mi ją dla zachowania pozorów.

Meghan przypomniała sobie, jak jej matka rozpaczliwie zacisnęła w dłoni obrączkę, którą zwróciła jej Fiona Black, i pospiesznie odwróciła się od Frances Grolier. Ogarnęło ją uczucie, że właśnie straciła bezpowrotnie coś niezmiernie cennego.

Dom był podzielony na część mieszkalną i pracownię, zajmującą tylną część budynku. Podłogę w części mieszkalnej wyłożono kamien-

nymi płytkami, przed dużym kominkiem stała obszerna kanapa, nieco z boku fotel i otomana, stanowiące dokładne kopie mebli z gabinetu ojca. Z fotela bez trudu można było sięgnąć do półki z książkami. Tata lubił czuć się jak w domu niezależnie od tego, gdzie akurat przebywał, pomyślała Meghan z goryczą.

Jej uwagę przyciągnęły stojące na okapie kominka fotografie. Niemal wszystkie przedstawiały jej ojca w towarzystwie tej kobiety oraz przyrodniej siostry Meghan. Jedno ze zdjęć wywarło na niej szczególnie silne wrażenie. Zostało zrobione podczas Świąt Bożego Narodzenia; ojciec siedział w fotelu z pięcio- lub sześćioletnią dziewczynką na kolanach, dokoła piętrzyły się stosy prezentów, obok zaś kłęzła znacznie młodsza Frances Grolier, obejmując go za szyję. Wszyscy byli w pizamach i szlafrokach. Wzorcowy przykład szczęśliwej rodziny.

Czy to podczas jednej z tych Gwiazdek, kiedy modliłam się ze wszystkich sił, żeby zdarzył się cud i tata niespodziewanie wrócił do domu? - zastanawiała się Meghan.

Poczuła ból w sercu, więc odwróciła się gwałtownie i pod przeciwległą ścianą ujrzała stojące na postumencie brązowe popiersie. Ruszyła w tamtą stronę tak wolno, jakby jej stopy także były wykonane z jakiegoś ciężkiego metalu.

Podobiznę ojca musiała wykonać osoba nie tylko obdarzona talentem, ale także kochająca go i rozumiejąca, gdyż udało się jej oddać zarówno lekko melancholijny wyraz twarzy, jak i zapowiedź uśmiechu, przyczajoną w kącikach oczu. Zmysłowe usta oraz gęste włosy z niesfornie opadającym na czoło kosmykiem również były dokładnie takie, jak w oryginale. Dopiero po chwili Meg dostrzegła ślady po pęknięciach; wyglądało to tak, jakby forma została rozbita na kawałki, a następnie starannie sklejana.

- Meghan...

Dziewczyna odwróciła się powoli. Bała się tego, co musiała powiedzieć tej kobiecie.

- Domyślam się, jakie żywisz do mnie uczucia, ale proszę cię... Muszę wiedzieć, co się dzieje z Annie. Wiesz może, gdzie teraz jest i co z twoim ojcem? Kontaktował się z tobą?



3. Możliwe, że Kyle widział Annie dzień przed jej śmiercią.

4. 25 października Helenę Petrovic ginie od kuli zaraz po tym, jak zrezygnowała z pracy w Klinice Manninga. (W klinice umieścił ją Edwin Collins, potwierdzając autentyczność jej sfalszowanych referencji).

5. Stephanie Petrovic zarzuca kierownictwu kliniki współdziałanie w morderstwie ciotki, które miało przeszkodzić jej w zmianie testamentu.

6. Między późnym popołudniem 31 października a 2 listopada Stephanie Petrovic znika z domu ciotki. Według informacji zawartych w pozostawionym przez nią liście wyjechała z ojcem swojego dziecka, chociaż wcześniej wszystko wskazywało na to, że boi się go i nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Na pierwszy rzut oka wszystko to nie miało sensu, ale Mac był pewien, że taki sens istnieje, tylko po prostu trzeba go dostrzec. Tak samo jak z genami, pomyślał. Jak tylko zrozumiesz zasadę, łamigłówka natychmiast układa się w logiczną całość.

Odkłóżył notes. Musi jeszcze sporo zrobić, jeśli jutro z samego rana ma zamiar wyruszyć w drogę do Trenton. Była czwarta po południu, a więc druga w Arizonie. Ciekawe, jak sobie radzi Meg? To z pewnością jeden z najtrudniejszych dni w jej życiu.

\*\*\*

Meg wytrzeszczyła oczy na Frances Grolier.

- Co ma pani na myśli?

- Kiedy był tutaj ostatni raz, bez trudu zauważyłam, jak bardzo jest przygnębiony. Powiedział, że najchętniej by po prostu zniknął... Ale najpierw odpowiedz na moje pytanie: czy widziałas Annie?

Zaledwie kilka godzin temu, pomyślała Meg. Przypomniała sobie słowa ojca, który ostrzegał ją, że niektóre wspomnienia mogą długo sprawiać niewymowny ból. Nagle poczuła ogromne współczucie dla Frances, w której oczach dostrzegła rosnące błyskawicznie przerażenie.

Matka Annie chwyciła ją za ramiona.

- Czy ona jest chora?

Meghan nie była w stanie wykrztusić ani słowa, więc tylko ledwo dostrzegalnie pokręciła głową.

- Annie... Annie nie żyje, prawda?

- Tak mi przykro...

- Nie, to niemożliwe! - Frances Grolier wpatrywała się błagalnie w twarz Meghan. - Kiedy otworzyłam drzwi... Chociaż wiedziałam, że to ty... Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę Annie. Wiedziałam, jak bardzo jesteście podobne. Edwin pokazywał mi twoje zdjęcia.

Nagle ugięły się pod nią kolana, więc Meghan objęła ją i pomogła usiąść na kanapie.

- Może do kogoś zadzwonić? Jest ktoś, kogo chciałaby pani mieć teraz przy sobie?

- Nie... - szepnęła kobieta. - Nie ma nikogo.

Twąz miała białą jak papier, nieruchome spojrzenie wbiła w kominek. Ona jest w szoku, pomyślała bezradnie Meghan.

Frances Grolier drgnęła raptownie, jakby obudziła się ze snu, i zapytała głosem pozbawionym emocji:

- Jak to się stało?

- Została pchnięta nożem. Umarła w izbie przyjęć, zaraz po przywiezieniu do szpitala.

-Kto?...

Nie musiała kończyć tego pytania.

- Przypuszczalnie był to napad rabunkowy. Nie znaleziono przy mej żadnych dokumentów, tylko kartkę z moim imieniem i numerem telefonu.

- Kartka z „Zajazdu Drumdoe”?

-Tak.

- Gdzie jest teraz moja córka?

- W biurze koronera na Manhattanie.

- To znaczy w kostnicy?

-Tak.

- W jaki sposób udało ci się mnie odnaleźć?

zięki informacji, jaką zostawiła pani na automatycznej sekretarce w gabinecie mojego ojca.

Przez twarz Frances Grolier przemknął upiorny uśmiech.

- Miałam nadzieję, że w ten sposób zdołam się z nim skontaktować.

On zawsze ciebie stawiał na pierwszym miejscu. Ciągłe się bał, że pewnego dnia ty i twoja matka dowiecie się o nas.

Szok powoli mijał, ustępując miejsca gniewowi i rozpacz.

- Naprawdę bardzo mi przykro... - wyszeptała Meghan. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Z miejsca, w którym siedziała, bez trudu mogła zobaczyć świąteczną fotografię na kominku. Przykro mi ze względu na nas wszystkich, pomyślała.

- Meghan, muszę z tobą porozmawiać, ale później. Teraz chcę zostać sama. Gdzie się zatrzymałaś?

- Może uda mi się dostać pokój w hotelu „Safari”.

- Zadzwoń do ciebie, a teraz idź już, proszę.

Tuż przed zamknięciem drzwi Meghan usłyszała dobiegające z wnętrza domu rozpaczliwe łkanie.

Jadąc do hotelu modliła się w duchu, żeby były wolne pokoje i żeby nie spotkał jej ktoś, kto mógłby wziąć ją za Annie. Na szczęście miejsc nie brakowało, a formalności w recepcji nie trwały długo, dzięki czemu już po dziesięciu minutach weszła do pokoju i od razu rzucała się na łóżko, ogarnięta przedziwnym uczuciem, stanowiącym mieszanicę ogromnego współczucia, bólu i lodowatego strachu.

Frances Grolier najwyraźniej uważała za całkiem możliwe, że jej kochanek, Edwin Collins, nadal żyje.

## 48

W wtorek rano Victor Orsini przeprowadził się do gabinetu Edwina Collinsa. Poprzedniego dnia ludzie z firmy zajmującej się sprzątaniami biur umyli okna, uprali wykładzinę dywanową i odkurzyli ściany, dzięki czemu pokój był teraz wręcz sterylnie czysty. Orsiniemu nawet nie przeszło przez myśl, by wprowadzać jakieś zmiany w wystroju wnętrza; z całą pewnością nie była to odpowiednia pora na tego rodzaju działania.

Wiedział, że w niedzielę Meghan z matką zabrały osobiste rzeczy Collinsa, mógł więc przypuszczać, że wysłuchały też wiadomości nagranej na taśmie, lecz nie miał pojęcia, co z niej zrozumiały. Po cichu liczył na to, że dziewczyna zostawi w biurze dokumenty związane z zawodową działalnością ojca, ale przekonał się, że wzięła je wszystkie. Czyżby na pamiątkę? Wielce wątpliwe. Meghan była sprytna i z pewnością czegoś szukała. Czy tego samego, na czego znalezieniu jemu, Victorowi, tak bardzo zależało? Czy to coś znajdowało się w tych dokumentach? I czy wpadnie w jej ręce?

Orsini przerwał rozpakowywanie swoich rzeczy i ponownie spojrzął na gazetę, którą rozłożył na biurku Edwina Collinsa (biurko zresztą także miało już wkrótce zostać przewiezione do „Zajazdu Drumdoe”).

awie Połowę pierwszej strony zajmował artykuł, w którymintonowano o najnowszych wydarzeniach związanych ze skandalem w JVICie Manninga; podobno działająca tam komisja znalazła mnóstwo dowodów świadczących o tym, że Helenę Petrovic popełniła nie Jena, lecz wiele poważnych pomyłek. Wśród próbek z embriona-

mi znaleziono sporo pustych, co znaczyło, że część embrionów obumarła w trakcie przechowywania.

Jeden z członków komisji oświadczył, zastrzegając sobie anonimowość, iż w najlepszym razie kierownictwu kliniki postawi się zarzut pobierania opłat za przechowywanie nieistniejących embrionów, w najgorszym natomiast może się okazać, że wiele kobiet, w chwili obecnej niezdolnych już do wytworzenia komórek jajowych, utraciło szansę posiadania własnego dziecka.

Obok artykułu zamieszczono fotokopię listu, w którym Edwin Collins gorąco polecał doktorowi Manningowi „doktor” Petrovic. List został napisany 21 marca, ponad siedem lat temu, jego odbiór zaś potwierdzono 22 marca.

Orsini zmarszczył brwi, przypomniał sobie, jak oskarżycielsko brzmiał w słuchawce głos Collinsa tego wieczoru, kiedy wydarzyła się katastrofa na moście. Siedział bez ruchu, wpatrując się w widniejący pod Hstem zamaszty podpis Edwina, a na jego czoło powoli występowały krople potu. Gdzieś w tym biurze, a może wśród dokumentów zabranych do domu przez Meghan Collins, znajdował się kompromitujący dowód, którego odkrycie zniszczy zbudowany z takim wysiłkiem domek z kart. Czy jednak ktoś go znajdzie?

Bernie jeszcze przez kilka godzin nie mógł odzyskać równowagi po spięciu z marudnym pasażerem. Jak tylko matka położyła się spać, zbiegł na dół i zaczął oglądać taśmy z Meghan. Na tych nowszych był także zarejestrowany jej głos, ale Bernie najbardziej lubił tę z lasu. Czuł ogromną potrzebę, by znowu znaleźć się blisko Meg. Jak najszybciej.

Wrócił na górę dopiero wtedy, kiedy w wąskiej szczelinie nad brązowym kartonem, którym zastawił piwniczne okienko, pojawiło się szare światło poranka. Matka z pewnością zauważyłaby, że nie spał w łóżku. Położył się w ubraniu i naciągnął kołdrę pod szyję - okazało się, że w samą porę, gdyż zaledwie kilka minut później w sąsiednim pokoju zaskrzypiał materac, a zaraz potem otworzyły się drzwi. Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami, czując na sobie badawcze spoj-

rzenie matki. Jak tylko wyszła, usiadł w łóżku i podkulił kolana pod brodę. Miał jeszcze co najmniej kwadrans; aż nadto czasu, by obmyślić plan postępowania na dzisiaj.

Meghan z pewnością jest w Connecticut, ale gdzie konkretnie? W domu? W zajeździe? A może w nowojorskim mieszkaniu? Właśnie, chyba od tego powinien zacząć.

Wstał o siódmej, zdjął sweter i koszulę, założył górę od piżamy i poszedł do łazienki, gdzie ochlapał wodą twarz i ręce, ogolił się, umył zęby i przeczesał włosy. Uporawszy się z poranną toaletą, uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze. Wszyscy mówili mu, że ma ciepły, przyjazny uśmiech; problem polegał tylko na tym, że lustro było bardzo stare i zniszczone, w związku z czym trochę przypominało krzywe zwierciadła w wesołym miasteczku. Zniekształcony uśmiech Berniego nie był ani ciepły, ani przyjazny.

Sypnął do umywalki sporo proszku do czyszczenia i przez dłuższą chwilę tarł ją energicznie dużą gąbką, a następnie splukał silnym strumieniem wody i wytarł do sucha przeznaczoną specjalnie do tego celu szmatą, którą matka trzymała pod wanną.

Wróciwszy do swojego pokoju Bernie starannie zaściłał łóżko, zdjął piżamę, założył czystą koszulę, a starą wrzucił do kosza na brudną bieliznę.

Na śniadanie dostał jęczmienne płatki.

- Wyglądasz na zmęczonego, Bernardzie — powiedziała matka ostrym tonem. - Czy nie za mało sypiasz?

- Nie, mam.

- O której poszedłeś spać?

- Chyba około jedenastej.

- Kiedy o wpół do dwunastej szłam do łazienki, ciebie nie było jeszcze w łóżku.

- Więc pewnie nie o jedenastej, tylko trochę później.

- Wydawało mi się, że słyszę twój głos. Rozmawiałeś z kimś?

- Nie, mam. Z kim miałbym rozmawiać?

- Jestem prawie pewna, że słyszałam też jakąś kobietę.

- To tylko telewizja. - Pospiesznie przełknął płatki i popił herbatę. - Dzisiaj muszę być wcześniej w pracy.

Odprowadziła go do drzwi.

- Tylko wróć punktualnie na obiad. Nie mam ochoty przez cały wieczór sterczeć w kuchni.

Chciał jej powiedzieć, że dzisiaj zostanie trochę po godzinach, ale nie odważył się. Zadzwoił do niej później.

Trzy przecznice od domu zatrzymał samochód i wszedł do budki telefonicznej. Było bardzo zimno, ale wykręcając numer nowojorskiego mieszkania Meghan Bernie drżał nie z chłodu, lecz z niecierpliwości. Po czwartym sygnale odezwała się automatyczna sekretarka, więc odwiesił słuchawkę, by zaraz potem zadzwonić do Connecticut, pod domowy numer dziewczyny. Odebrała jakaś kobieta, przypuszczalnie jej matka.

- Dzień dobry, pani Collins - powiedział Bernie niskim głosem, wymawiając słowa znacznie szybciej niż zwykle. - Czy mogę prosić Meghan?

-A kto mówi?

- Tom Weicker z Kanału 3.

- Och, dzień dobry, panie Weicker. Meg będzie przykro, że jej pan nie zastał. Niestety, wyjechała poza miasto.

Bernie zmarszczył brwi. Chciał dowiedzieć się, gdzie jest Meghan.

- Czy mogę się z nią jakoś skontaktować?

- Obawiam się, że nie, ale ma do mnie dzwonić po południu. Może powiem jej, żeby zadzwoniła do pana?

Bernie myślał błyskawicznie. „Nie” zabrzmiałoby w tej sytuacji co najmniej dziwnie, ale może uda mu się choć uzyskać wiadomość, kiedy Meg wróci do domu?

- Tak, bardzo proszę. Spodziewa się jej pani jeszcze dzisiaj?

- Raczej tak, a najpóźniej jutro.

- Bardzo dziękuję.

Był wściekły, że nie udało mu się zlokalizować Meghan, lecz miał też powody do zadowolenia, gdyż nie włókł się niepotrzebnie do Connecticut. Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku lotniska im. Kennedy'ego; w tej sytuacji równie dobrze może trochę poprawić, tylko lepiej niech nikt nie próbuje go uczyć, jak powinien jeździć!

\*\*\*

Tym razem Arlene Weiss nie zjawiała się w biurze Phillipa Cartera tylko zadzwoniła do niego we wtorek rano i zapytała, czy mógłby wpaść na nieformalną pogawędkę do siedziby zastępcy prokuratora stanowego w Danbury.

- Kiedy mam przyjechać?

- Jak tylko będzie pan mógł.

Phillip zjrzał do kalendarza, żadnych spotkań, których nie można by przesunąć na inny termin.

- Chyba uda mi się wyrwać około pierwszej.

- Znakomicie.

Odłożywszy słuchawkę spróbował zająć się poranną pocztą. Znajdowały się w niej między innymi listy z referencjami kandydatów, których chciał zaproponować dwóm poważnym klientom; dobrze, że przynajmniej ci nie zrezygnowali ze współpracy.

Czy Biuro Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera zdoła przetrwać burzę? Miał taką nadzieję. Jednym z pierwszych posunięć, jakie zamierzał wykonać w niedalekiej przyszłości, była zmiana nazwy firmy i pozostawienie w niej tylko własnego nazwiska.

W sąsiednim pokoju co chwila otwierały się i zamykały drzwi; to Victor Orsini prznosił swoje rzeczy do gabinetu Edwina. Tylko nie przyzwyczajaj się za bardzo do nowego miejsca, bo i tak długo na nim nie posiedzisz, pomyślał Phillip. Na razie potrzebował Orsiniego, ale już wkrótce będzie mógł się go pozbyć.

Ciekawe, czy policja znowu przesłuchiwała Catherine i Meghan. Zrezygnował z przeglądania poczty, podniósł słuchawkę i wystukał numer Collinsów.

- To ja - powiedział, kiedy usłyszał głos Catherine. - Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- o bardzo miło z twojej strony, Phillipie - odparła przygaszonym tonem.

- Masz jakieś kłopoty? - zapytał. - Znowu niepokoiła cię policja? dok  
iC, mC Z tych rzeczy Własnie  
n y, kopie rachunków i różne inne rzeczy. Wiesz, na co Meg

zwróciła uwagę? — Nie czekała na odpowiedź. — Zdarzało się, że Edwin przywoził rachunek z hotelu za pięcio- lub sześciodniowy pobyt, ale po pierwszym dniu na rachunku figuruje wyłącznie należność za pokój. Żadnych dodatkowych zamówień, ani jednego drinka, ani jednej butelki wina, nawet prasowania koszuli. Zauważyłeś to może?

- Nie. Jestem ostatnią osobą, która sprawdzałaby rachunki Edwina.

- Nie znalazłam ani jednego dokumentu sprzed więcej niż siedmiu lat. Czy jest jakiś tego powód?

- Owszem. Przepisy nakazują przechowywanie wszystkich rachunków i innych dokumentów finansowych właśnie przez siedem lat, na wypadek, gdyby zaszła potrzeba ich skontrolowania. Naturalnie w razie podejrzania o jakieś malwersacje ludzie z urzędu skarbowego mogą cofnąć się znacznie dalej.

- Ten schemat -jeden lub dwa dni z dodatkowymi opłatami, następnie bez - pojawia się za każdym razem, kiedy Edwin odwiedzał Kalifornię. Nawiasem mówiąc, latał tam prawie bez przerwy.

- Nie bez powodu, Catherine. Zawsze mieliśmy tam wielu klientów. Dopiero ostatnio zaczęło się to zmieniać.

- I nie zdziwiło cię, że on w dalszym ciągu tam jeździł?

- Catherine, zarówno on, jak i ja staraliśmy się zawsze znaleźć tam, gdzie istniała szansa zrobienia dobrego interesu.

- Wybacz, Phillipie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbyś postąpić tak jak Edwin, który oszukiwał swoją żonę przez prawie trzydzieści lat małżeństwa.

- Chodzi ci o to, że miał inną kobietę?

- Całkiem możliwe.

- Mój Boże, ile spraw zważyło ci się naraz na głowę! - powiedział ze współczuciem Phillip. - A co u Meg? Jest z tobą?

- Ma się dobrze, ale wyjechała na jeden dzień i oczywiście akurat dzisiaj zadzwonił jej szef.

- Masz może wolny wieczór?

- Przykro mi, ale już umówiłam się z Kyle'em i jego ojcem. — Zaważyła się przez chwilę. - Może ty też wpadniesz?

- Chyba nie, ale dziękuję za zaproszenie. A co z jutrem?  
- Zależy, o której wróci Meg. Mogę do ciebie zadzwonić?  
- Oczywiście. Uważaj na siebie i pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

Dwie godziny później Phillip Carter siedział w gabinecie Johna Dwyera. Oprócz prokuratora w rozmowie uczestniczyli także Bob Marron i Arlene Weiss. Niektóre z pytań bardzo przypominały te, jakie zadawała Catherine.

- Czy nigdy nie podejrzewał pan swego współnika o prowadzenie podwójnego życia?

- Nigdy.

- A co teraz myśli pan na ten temat?

- Wiedząc o tym, że w kostnicy w Nowym Jorku leży dziewczyna podobna do Meghan i że sama Meghan zażądała przeprowadzenia badania DNA? Oczywiście, że w to wierzę.

- Czy znając trasy podróży Edwina Collinsa pokusiłby się pan o wskazanie miejsca, gdzie, pańskim zdaniem, mógłby mieć drugą rodzinę?

- Niestety, nie.

Prokurator nie ukrywał rozdrażnienia.

- I anie Carter, odnoszę wrażenie, że wszystkie osoby związane bliżej z Edwinem Collinsem starają się chronić go za wszelką cenę. Pozwoli pan więc, że powiem wprost, o co nam chodzi: uważamy, że Edwin Collins żyje. Jeżeli miał jeszcze jakieś bliskie osoby, o których nic nie wiemy, mógł schronić się właśnie u nich. Jak pan sądzi, gdzie to mogłoby być?

- Nie mam pojęcia.

Dwyer ostatecznie stracił cierpliwość.

- Jak pan chce, panie Carter - warknął. - Pozwoli pan nam przejrzeć wszystkie dokumenty firmy, czy mam starać się o nakaz sądowy?

- Czy pozwolę? - parsknął Phillip. - Ja marzę o tym, żebyście to zrobili! Może wtedy uda wam się wreszcie zakończyć tę sprawę.

- i Pozwolicie porządnym ludziom żyć w spokoju.



W drodze powrotnej do biura Phillip Carter uświadomił sobie, że nie ma najmniejszej ochoty spędzić samotnie wieczoru, więc zadzwonił z samochodu do Catherine.

- Wiesz, zmieniłem zdanie. Jeśli ty, Mac i Kyle będziecie w stanie ze mną wytrzymać, to bardzo chętnie zjem z wami kolację.

O trzeciej po południu Meghan zadzwoniła z hotelu do domu. W Connecticut była teraz piąta, więc powinna jeszcze złapać matkę, zanim ta wyjdzie do zajazdu, by dopilnować wszystkiego przy obiedzie. Z trudem dobierając słowa opowiedziała jej o przygnębiającym spotkaniu z Frances Grolier.

- Jeszcze teraz czuję się paskudnie - dodała na zakończenie. - O niej lepiej w ogóle nie wspominać. To było jej jedyne dziecko.

- Ile lat miała Annie?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że była trochę młodsza ode mnie.

- To znaczy, że ojciec znał tę kobietę od wielu lat...

- Owszem. - Meghan przypomniała sobie fotografię stojącą na kominku. - Mamo, jest jeszcze jedna sprawa. Frances chyba uważa, że ta ta żyje.

- Przecież to niemożliwe!

- Ale ona tak myśli. Na razie nic więcej nie wiem. Czekam na telefon od niej. Chce ze mną porozmawiać.

- A co jeszcze ona może ci powiedzieć?

- Na pewno chce dowiedzieć się czegoś o śmierci córki. - Meghan uświadomiła sobie, że jest zbyt wyczerpana emocjonalnie, by kontynuować rozmowę. - Muszę już kończyć, mamo. Gdybyś miała okazję opowiedzieć o tym Macowi, ale tak żeby Kyle nie słyszał, to oczywiście możesz to zrobić.

Pożegnawszy się z matką, odłożyła słuchawkę i położyła się w ubraniach na łóżku. Zasnęła natychmiast, jak tylko jej głowa dotknęła poduszki.

Obudził ją dzwonek telefonu. Otworzyła oczy i usiadła raptownie; w pokoju było chłodno i ciemno. Spojrzała na podświetlony elektroniczny zegar, zamontowany wraz z radiem w konsolce obok łóżka: pięć

no ósmej. Dopiero wtedy zmusiła się, by wyciągnąć rękę i podnieść słuchawkę.

- Halo? - wymamrotała głosem, który nawet w jej uszach zabrzmiał głucho i nienaturalnie.

- Meghan? Tu Frances Grolier. Czy mogłabyś przyjechać do mnie jutro z samego rana?

- Oczywiście. - Pytanie: „Jak się pani czuje?” nie miało najmniejszego sensu. Jak mógł się czuć ktoś w jej sytuacji? - Może być o dziwniejsze?

- Jasne. Bardzo ci dziękuję.

\*\*\*

Kiedy Frances Grolier otworzyła Meghan drzwi, była zupełnie spokojna, choć na jej twarzy bez trudu można było dostrzec ślady głębokiego cierpienia.

- Zaparzyła kawę - powiedziała.

Z filiżankami w dłoniach usiadły na kanapie. Frances nie traciła czasu.

- Powiedz mi, jak umarła Annie - zażądała. - Powiedz mi wszystko. Muszę wiedzieć.

- Miałam nadać relację ze szpitala im. Roosevelta w Nowym Jorku... - zaczęła Meghan. Tak samo jak podczas rozmowy ze swoją matką nie starała się ubierać wstrząsającej treści w łagodne słowa. Powiedziała także o faksie, który otrzymała w nocy. „Pomyłka. Annie to pomyłka”.

Frances pochylała się w jej stronę.

- Jak myślisz, co to może znaczyć? - zapytała.

- Nie wiem - odparła Meghan i opowiadała dalej, niczego nie pomijając. Wspomniała jeszcze o fałszywych referencjach Heleny Petrovic > zakończyła natomiast informacją o wydaniu nakazu aresztowania Jca. - Znalaziono jego samochód. Może nie wiedziała pani o tym, ale \* a miał zezwolenie na broń. Rewolwer był w samochodzie. Okazało ? , że właśnie z niego zastrzelono Helenę Petrovic, ale ja nie wierzę, że y tata mógł kogokolwiek zabić.

- Ani ja.



- Wczoraj powiedziała pani, że mój ojciec żyje...  
- To całkiem możliwe. Meghan, mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy, gdyż zarówno dla ciebie, jak i dla mnie byłoby to zbyt ciężkie przeżycie. Zdaję sobie jednak sprawę, iż tobie i twojej matce należą się pewne wyjaśnienia.

Twojego ojca poznałam dwadzieścia siedem lat temu w sklepie „Palomino”. Chciał kupić portmonetkę dla żony, ale nie mógł się zdecydować, którą, więc poprosił mnie o pomoc, a następnie zaprosił na obiad. Tak się wszystko zaczęło.

- Zaledwie trzy lata po ślubie... - powiedziała cicho Meghan. - Wiem, że w małżeństwie rodziców wszystko układało się znakomicie, więc nie rozumiem, do czego był mu potrzebny związek z panią.

Zdawała sobie sprawę, że to, co mówi brzmi okrutnie i bezlitośnie, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Wiedziała, że jest żonaty - odparła Frances Grolier. - Pokazywał mi wasze zdjęcia. Edwin stwarzał wrażenie człowieka pewnego siebie, inteligentnego i dającego sobie świetnie radę w życiu, ale w rzeczywistości dręczyło go poczucie zagrożenia. Postaraj się go zrozumieć i przebaczyć. Pod wieloma względami twój ojciec pozostał małym chłopcem, który rozpaczliwie bał się, iż znowu zostanie porzucony. Chciał wiedzieć, że w razie czego będzie mógł skryć się gdzieś, gdzie zostanie przyjęty i zaakceptowany. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Taki układ pasował nam obojemu. Kochałam go, ale nie czułam się na siłach wziąć na barki ciężaru odpowiedzialności, jaki wiąże się z małżeństwem. Chciałam być wolna, aby stać się jak najlepszą rzeźbiarką, więc odpowiadał mi związek, który w każdej chwili mógł się zakończyć bez konsekwencji dla żadnej ze stron.

- Czy z posiadaniem dziecka nie wiąże się żadna odpowiedzialność? — zapytała Meghan.

- Nie mieliśmy zamiaru mieć dzieci. Kiedy okazało się, że jestem w ciąży, kupiliśmy ten dom i zaczęliśmy udawać małżeństwo. Od tej pory twój ojciec miał rozdarte serce; chciał być dobrym ojcem dla was obu, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie jest nim dla żadnej.

- A nie bał się, że ktoś go zdemaskuje? Wystarczyłoby jedno przypadkowe spotkanie, choćby takie jak z jego przyrodnim bratem.

- Oczywiście, że się bał. Ten strach prześladował go bez przerwy. W miarę jak Annie dorastała, zadawała coraz więcej pytań dotyczących tego pracy. Nie uwierzyła w bajeczkę o tajnej służbie rządowej. Potem zaczęła pisywać do różnych gazet, ty coraz częściej pojawiałaś się w telewizji... W listopadzie Edwin miał silne bóle w klatce piersiowej, ale nie pozwolił zawieźć się do szpitala. Chciał wrócić do Connecticut. Powiedział wtedy coś takiego: „Jeśli umrę, zawsze możesz powiedzieć Annie, że zginąłem podczas jakiejś tajnej misji”. Wkrótce potem dał mi obligacje na okaziciela na dwieście tysięcy dolarów.

Pieniądze pożyczone pod zastaw polisy ubezpieczeniowej, pomyślała Meghan.

- Nie chciałam ich przyjąć, ale przekonał mnie mówiąc, że w przeciwieństwie do mnie ty i twoja matka macie zapewnioną przyszłość.

Meghan nie uznała za stosowne wyprowadzić ją z błędu. Frances najwyraźniej nie przyszło do głowy, że firma ubezpieczeniowa mogła odmówić wypłacenia pieniędzy. Meg wiedziała też doskonale, iż jej matka prędzej umarłaby z głodu niż zdecydowałaby się zabrać tej kobiecie pieniądze, które dał jej Edwin Collins.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani mojego ojca?

~ Wyjechał dwudziestego siódmego stycznia. Miał odwiedzić Annie w San Diego, a rano dwudziestego ósmego stycznia chciał stamtąd polecieć do domu.

- Dlaczego uważa pani, że on żyje?

Meghan pragnęła jak najszybciej rozstać się z tą kobietą, której bardzo współczuła, jednocześnie czując do niej coraz większą odrazę, ale me mogła powstrzymać się od zadania tego pytania.

- I onieważ wyjeżdżając stąd był ogromnie wzburzony. Dowiedział się czegoś okropnego o swoim pracowniku.

- O Victorze Orsinim?

- Tak, właśnie o nim.

- A co to było?

! S<sup>o</sup> me wiem. Od kilku lat interesy szły coraz gorzej. Pewnego dnia znalazł w miejscowej gazecie informację o przyjęciu, jakie miało się odbyć w siedemdziesiątej rocznicy urodzin doktora George'a Mannin- wydała jego córka, mieszkająca pięćdziesiąt kilometrów stąd. Dzien-

nikarz zacytował słowa Manninga, który powiedział, że za rok ma zamiar ustąpić ze stanowiska dyrektora kliniki. Twój ojciec powiedział mi, że Kiinika Manninga należy do jego najlepszych klientów i zaraz zadzwonił do doktora, aby zaproponować mu, że już teraz zaczniesz szukać kandydata na jego następcę. Rozmowa trwała krótko, a kiedy Edwin wrócił od telefonu, był kompletnie załamany.

- Ale dlaczego?
- Naprawdę nie wiem.
- Proszę sobie przypomnieć, to bardzo ważne!

Grolier potrząsnęła głową.

Ostatnie słowa Edwina, jakie powiedział przy pożegnaniu, brzmiały następująco: „To dla mnie za wiele...” Potem wszystkie gazety doniosły o katastrofie na moście. Przypuszczałam, że w niej zginął, więc mówiłam wszystkim sąsiadom, że poniósł śmierć w katastrofie awionetki poza granicami kraju, ale Annie chyba mi nie uwierzyła.

Kiedy odwiedził ją wtedy w San Diego, dał jej pieniądze, żeby kupiła sobie coś z ubrania. Sześćset dolarów. Przypuszczalnie nie zauważył, że między banknoty dostała się kartka z twoim imieniem i numerem telefonu. Annie znalazła ją zaraz po jego wyjściu. - Usta Frances Grolier zdrząły lekko. — Dwa tygodnie temu zjawiała się tutaj, żeby, jak to się mówi, „zagrać w otwarte karty”. Zadzwoiła do ciebie, a kiedy podniosła słuchawkę i przedstawiła się, przerwała połączenie. Chciała zobaczyć świadectwo zgonu ojca, zarzuciła mi kłamstwo i domagała się, żebym powiedziała jej, gdzie zniknął. Wreszcie wyznałam jej prawdę, błagając jednocześnie, żeby nie próbowała kontaktować się z twoją matką. Wybiegła stąd, przewracając popiersie Eda, nad którym właśnie pracowałam, i już jej więcej nie widziałam.

Frances wstała z kanapy, podeszła do kominka i przycisnęła czoło do chłodnej powierzchni okapu.

Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do mojego prawnika. Jutro po południu poleci ze mną do Nowego Jorku, żebym mogła zidentyfikować ciało Annie i załatwić transport. Z góry przepraszam za kłopoty, jakie w związku z tym mogą wynikać dla ciebie i twojej matki.

Meghan pozostało do zadania już tylko jedno, ostatnie pytanie:

- Dlaczego zostawiła pani tę wiadomość dla taty?

- Ponieważ pomyślałam sobie, że jeśli jednak żyje, i jeżeli telefon w jego biurze wciąż działa, to może czasem sprawdza, co zostało nagrane na automatycznej sekretarce. Właśnie w ten sposób porozumiewaliśmy się w nagłych przypadkach: ja dzwoniłam w nocy, a on przychodził z samego rana, odtwarzał taśmę, po czym kasował nagranie. Wyprostowała się i spojrzała Meghan prosto w oczy. Niech nikt nie próbuje ci wmówić, że Edwin Collins mógł kogoś zabić bo to niemożliwe. On nie byłby zdolny do czegoś takiego. Byłby natomiast zdolny zacząć zupełnie nowe, trzecie życie, w którym nie ma miejsca ani dla ciebie i twojej matki, ani dla mnie i Annie.

Frances Grolier odwróciła się gwałtownie. Wszystko zostało już powiedziane. Meghan obrzuciła pożegnalnym spojrzeniem brązowe popiersie ojca, a następnie wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi

# 49

W środę rano, jak tylko Kyle wsiadł do szkolnego autobusu, Mac wyruszył do szpitala w Trenton w stanie New Jer-

Poprzedniego dnia podczas kolacji, korzystając z chwili, kiedy chłopca nie było przy stole, Catherine w skrócie zdała Macowi i Phillipowi relację z rozmowy telefonicznej z Meghan.

- Na razie wiem tylko tyle, że tamta kobieta była od dawna związana z Edwinem i że jest zdania, iż on żyje. No i jeszcze to, że zamordowana dziewczyna podobna do Meg była jej córka.

- Przyjęłaś to bardzo spokojnie i zauważył Phillip. - A może w to nie wierzysz?

- Sama już nie wiem, w co wierzę i co czuję, ale bardzo martwię się o Meg. Była bardzo przywiązana do ojca. Sądząc po głosie, musiała znajdować się w paskudnym nastroju.

Zaraz potem wrócił Kyle, więc rozmowa została skierowana na inny temat.

\*\*\*

Jadąc na południe przez Westchester drogą numer 684, Mac nie mógł oderwać myśli od Meghan. Istotnie, miała kompletnego bzika na punkcie Edwina Collinsa — prawdziwa ukochana córeczka tatusia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że od stycznia przeszła prawdziwe piekło. Wiele razy cisnęła mu się na usta prośba, żeby dopuściła go do swego cierpienia, żeby nie tłumila wszystkiego w sobie. Może powinien być bardziej stanowczo walczyć o przełamanie jej rezerwy? To

ławda, stracił mnóstwo czasu na pielęgnowanie własnej zranionej dumy po tym, jak opuściła go Ginger.

Przynajmniej byliśmy ze sobą uczciwi, pomyślał. Wszyscy wiedzieli, że popełnia błąd wiążąc się z Ginger - naturalnie wszyscy oprócz niego. Wyczuł nieprzychylną reakcję otoczenia zaraz po ogłoszeniu zaręczyn. Jednak tylko Meg miała dość odwagi, żeby mu o tym powiedzieć, mimo że wówczas liczyła sobie dopiero dziewiętnaście lat. W liście napisała, że go kocha i że powinien mieć dość zdrowego rozsądku, aby domyślić się, że jedynie ona jest odpowiednią dziewczyną dla niego. „Zaczekaj na mnie, Mac” - tak kończył się ten list.

Prawie o nim zapomniał, ale ostatnio coraz częściej zdarzało mu się o nim myśleć.

Wkrótce po tym, jak matka Annie zidentyfikuje jej zwłoki, wyjdzie na jaw, że Edwin Collins prowadził podwójne życie. Czy Catherine nie dojdzie aby wtedy do wniosku, iż powinna przenieść się gdzieś, gdzie nikt nie znał ani jej, ani jej męża? Należało się liczyć z taką możliwością, szczególnie jeśli nie uda się jej uratować zajązdu. Wówczas Meg prawdopodobnie także zmieni miejsce zamieszkania... Ta myśl po-działała na Maca jak lodowaty prysznic.

Nie uda ci się zmienić przeszłości, ale możesz starać się wpłynąć na przyszłość, pomyślał. Odnalezienie Edwina Collinsa, naturalnie jeśli jeszcze żyje, albo ostateczne ustalenie co się z nim stało uwolniłoby Meg i Catherine od niszczącej niepewności. Gdyby udało mu się odnaleźć w Trenton lekarza, z którym przed laty spotykała się Helenę i etrović, być może uczyniłby pierwszy krok na drodze ku rozwiązaniu zagadki jej zabójstwa.

Mac lubił prowadzić samochód, gdyż dobrze mu się wtedy myślało, dziś miał w głowie zupełny mętlik. Droga przez Westchester do mappan Zee wydawała mu się dłuższa niż zazwyczaj. Most Tappan wiasme tam wszystko się zaczęło dziesięć miesięcy temu. amtańd do Trenton było jeszcze półtorej godziny jazdy. Mac wszedł szpitala o wpół do jedenastej i zapytał o dyrektora.

-Jestem z nim umówiony na rozmowę.

rzv J\* . ^u^er o kazał się niedużym mężczyzną o poważnej twa-torej jednak często gościł przyjazny uśmiech.

- Słyszałem o panu, doktorze MacIntyre. Z tego co wiem, pańskie badania nad terapią genową dają coraz bardziej interesujące rezultaty - stwierdził uprzejmie.

- Istotnie - potwierdził Mac. - Jesteśmy już tylko o krok od znalezienia sposobu zapobiegania wielu groźnym chorobom. Najtrudniej jest zachować cierpliwość i bez końca powtarzać eksperymenty wiedząc, że od ich wyniku zależy życie wielu ludzi.

- Zgadzam się z panem. Ja nie mam takiej cierpliwości, w związku z czym byłby ze mnie marny naukowiec... Zapewne miał pan poważne powody, skoro jednak zdecydował się pan poświęcić cały dzień, by nas odwiedzić. Moja sekretarka powiedziała, że chodzi o coś bardzo pilnego.

Mac skinął głową, zadowolony, że może od razu przejść do rzeczy.

- Jestem tu w związku ze skandalem w Klinice Manninga.

Schuller zmarszczył brwi.

- To istotnie przykra sprawa. Doprawdy trudno mi sobie wyobrazić, żeby sekretarka, która pracowała w naszym ośrodku, mogła choć przez pięć minut udawać doświadczonego embriologa. Ktoś musiał poważnie zaważyć sprawę.

- Albo ktoś inny wyszkolił bardzo zdolną uczennicę, chociaż, jak się okazało, nie nauczył jej wszystkiego. Specjalna komisja stwierdziła wiele pomyłek, w tym również tak poważne jak błędne oznakowanie próbek z embrionami czy nawet douszczenie do obumarcia zarodków.

- Wśród dziedzin życia, które pilnie domagają się ogólnokrajowych regulacji prawnych, na pierwszym miejscu bez wątplenia znajduje się wszystko, co ma jakikolwiek związek z zapłodnieniem pozaustrojowym. Pole do popełniania błędów jest tam wręcz niewyobrażalnie wielkie. Wystarczy zapłodnić komórkę jajową niewłaściwym nasieniem, a dziecko będzie miało genotyp w pięćdziesięciu procentach różny od tego, którego należałoby oczekiwać. W ten sposób może nawet dziedziczyć choroby, z jakimi nie miało nic wspólnego żadne z jego prawnych rodziców. Kto wie, czy... - Schuller przerwał raptownie. - Ale ja przecież nawracam nawróconego! Proszę mi wybaczyć i powiedzieć, w jaki sposób mogę panu pomóc.

- Meghan Collins, reporterka pracująca dla Kanału 3 z Nowego Torku jest córką Edwina Collinsa, oskarżonego o to, że skierował Helenę Petrovic do pracy w Klinice Manninga nie sprawdzwszy uprzednio referencji. Część dawnych współpracowników Petrovic uważa, że spotykała się z jednym z lekarzy zatrudnionych w tym szpitalu, ale nikt nie wie z którym. Ja po prostu próbuję pomóc Meg odnaleźć tego człowieka.

- Czy przypadkiem ta Petrovic nie odeszła z ośrodka jakieś sześć lat temu?

- Niedługo minie siedem.

- Chyba domyśla się pan, doktorze, jak liczny mamy tutaj personel medyczny?

Mac skinął głową.

- Owszem. Wiem też, że korzystacie z usług konsultantów. To strzał na oślep, ale proszę się nie dziwić, że córka Edwina Collinsa stara się za wszelką cenę udowodnić, że to nie jej ojciec zabił Helenę Petrovic, a może to zrobić tylko w jeden sposób: znaleźć kogoś, kto miałby autentyczny powód, aby to uczynić.

- Wcale się nie dziwię. — Schuller sięgnął po pióro i zaczął notować.

- Domyśla się pan może, kiedy Petrovic mogła poznać tego lekarza?

- Rok lub dwa przed przenosinami do Connecticut, ale to także tylko przypuszczenia.

- Dobrze mieć coś na początek. Na wszelki wypadek sprawdzimy trzy lata wstecz. Uważa pan, że to właśnie ten człowiek pomógł jej zdobyć wiedzę, dzięki której uzyskała nową posadę?

- Kolejny domysł.

- W porządku. Dopilnuję, żeby przygotowano panu kompletną listę, z uwzględnieniem techników i laborantów. Oni także doskonale wiedzą, na czym polega ta praca. - Schuller podniósł się z fotela. - Można siedzieć, co pan zrobi z tą listą? Na pewno będzie bardzo długa.

eg ma zamiar przekopać się przez osobiste życie Helenę Petro-

- z obydwu nazwiska wszystkich jej przyjaciół i znajomych, a także ^grantów, z którymi kontaktowała się w Klubie Rumuńskim. Po-

myjej listę z tą, którą otrzymam od pana. -Mac sięgnął do kie-

mi ~ o spIS Personelu Kliniki Manninga z okresu, kiedy praco-

wała tam Petrovic. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan wprowadzić te nazwiska do komputera i porównać z własnym zestawieniem. - On także wstał z miejsca. - Ta sieć ma bardzo rzadkie oka, ale i tak jesteśmy panu ogromnie wdzięczni za pomoc.

- Przypuszczam, że trzeba będzie poczekać kilka dni, lecz zdobnie te informacje. Przesłać je panu, czy...

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli otrzyma je Meghan. Podam sekcję jej adres i numer telefonu.

I

Schuller odprowadził go do drzwi gabinetu. Wysiadając na parterze, Mac minął wiezionego w wózku chłopca mniej w wieku Kyle'a. Porażenie mózgowe, pomyślał. Jedna z chorób, kiedyś da się wyleczyć dzięki terapii genowej.

Chłopiec obdarzył go szerokim uśmiechem. \*

- Cześć. Pan jest lekarzem?

- Owszem, ale nie zajmuję się pacjentami.

- To tak samo jak ja.

- Ależ, Bobby! - skarciła go matka.

- Mam syna, z którym chyba prędko byście się dogadali.

Ścienny zegar wskazywał kwadrans po jedenastej. Mac doszedł wniosku, że jeśli kupi teraz w szpitalnym barze kanapkę i colę, będzie mógł zjeść lunch w samochodzie, bez potrzeby zatrzymywania się na drodze. Dzięki temu wróci do laboratorium najpóźniej o drugiej i tymczasem weźmie się do pracy.

\*\*\*

Przynajmniej udało mi się wczoraj zarobić kilkaset dolarów - tak brzmiała jedyna pocieszająca myśl, jaka przyszła Berniemu do głowy, kiedy obudził się w środę rano. Położył się o północy i niemal natychmiast zapadł w sen, ponieważ był bardzo zmęczony, ale teraz czuł się naprawdę nieźle. Ten dzień z pewnością będzie lepszy; kto wie, może nawet uda mu się zobaczyć Meg?

Niestety, matka była w paskudnym nastroju.

- Bernardzie, przez całą noc prawie nie zmrugałam oka, tak bardzo bolała mnie głowa. Okropnie dokuczały mi zatoki i co chwila kichałam. Musisz naprawić schody i wzmocnić poręcz, żebym mogła zejść do

nicv Jestem pewna, że narobiłeś tam straszego bałaganu, bo od ewnego czasu wyraźnie czuję zapach kurzu.

- Mamo, ja nie najlepiej znam się na takich rzeczach. Całe schody chyba do wymiany, bo wczoraj poczułem, że obluźował się kolejny topień. Chyba nie chcesz znowu zrobić sobie krzywdy?

- Nie mogę sobie na to pozwolić. Kto by wtedy utrzymywał dom w czystości, gotował ci obiady i pilnował, żebyś nie wplątał się w żadne kłopoty?

- Jesteś mi bardzo potrzebna, mamo.

- Przygotowuję ci też smaczne śniadanka.

-Wiem, mamo.

Dzisiaj śniadanie składało się ze szklanki soku jabłkowego i talerza letniej owsianki, prawie takiej samej, jaką dostawał w więzieniu. Mimo to Bernie starannie wyskrobał ją z talerza, a następnie wypił duszkiem sok.

Kiedy uruchomił silnik i wyjechał tyłem na ulicę, czuł się spokojny i odprężony. Pomachał ręką matce stojącej przy drzwiach domu. To dobrze, że przyszło mu do głowy, by powiedzieć jej o obluźowanym stopniu. Pewnego wieczoru przed dziesięciu laty zapowiedziała, że następnego dnia zejdzie do piwnicy, aby upewnić się, czy Bernie dba o porządek. Naturalnie nie mógł do tego dopuścić, gdyż właśnie kupił pierwszy odbiornik umożliwiający podsłuchiwanie policji. Matka natychmiast domyśliłaby się, że to bardzo kosztowne urządzenie. Do tej pory Bernie utrzymywał ją w przekonaniu, że w piwnicy stoi tylko stary telewizor, który włącza wieczorami, kiedy ona szła już spać.

Matka nigdy nie otwierała przysyłanych przez bank informacji o stanie jego konta, podobnie zresztą jak kopert z rachunkami telefonicznymi.

- Ja 1 tak nigdzie nie dzwonię - powtarzała.

- Nie miała pojęcia, ile naprawdę Bernie wydaje na sprzęt elektroniczny.

- amtej nocy przed dziesięciu laty, kiedy tylko usłyszał głębokie apanie dobiegające z jej pokoju, wykręcił śruby podtrzymujące góstopnie. W wyniku upadku matka złamała sobie kość biodrową i kilka miesięcy leżała unieruchomiona w łóżku, co oznaczało



dla Berniego mnóstwo dodatkowych obowiązków, ale gra była warta świeczki. Od tej pory matce nawet przez myśl nie przeszło, żeby zaryzykować odwiedzin w piwnicy.

Bernie doszedł do wniosku, że przed południem powinien trochę popracować, choć nie miał na to zbyt wielkiej ochoty. Matka Meghan powiedziała, że córka wróci dzisiaj, ale skąd miał wiedzieć, o jakiej porze? Nie mógł zadzwonić i znowu przedstawić się jako Tom Weicker, bo kto wie, czy Meghan nie skontaktowała się już z szefem, który na pewno zaprzeczył, jakoby wczoraj telefonował do niej do domu.

Interes szedł wyjątkowo marnie. Bernie zostawił samochód tam gdzie zwykle, sam zaś kręcił się wśród pasażerów zjeżdżających ruchomymi schodami z sali przylotów.

- Czysty samochód, tani przejazd, znakomity kierowca - powtarzał w kółko, z uśmiechem przyklejonym do ust.

Niestety, zarząd lotniska poustawiał wszędzie mnóstwo tabliczek ostrzegających pasażerów przed korzystaniem z usług nielicencjonowanych przewoźników. Kilka osób już się prawie zgodziło na jego propozycję, ale w ostatniej chwili zmieniło zdanie. Najbardziej zdenerwowała go pewna starsza kobieta. Pozwoliła mu wynieść walizki na zewnątrz, ale kiedy chciał iść z nimi prosto do samochodu, zaczęła krzyczeć, żeby natychmiast postawił je na chodniku. Stojący w pobliżu ludzie skierowali na nich zaciekawione spojrzenia.

Ach, gdyby tak był z nią sam na sam... Głupia, strachliwa baba. Przecież tylko starał się być uprzejmy! Naturalnie wołał nie zwracać na siebie uwagi, więc pospiesznie wykonał jej polecenie.

— Oczywiście, proszę pani. Zaraz przyprowadzę samochód.

Kiedy podjechał pięć minut później, jej już oczywiście nie było.

To przepelniło czarę goryczy. Nie będzie dzisiaj wozil żadnych łebków! Zignorował młode małżeństwo, które zapytało go, ile wzięłoby za kurs na Manhattan, ruszył z piskiem opon, wyjechał na Autostradę Centralną, a następnie, opłaciwszy przejazd na rogatkach przy moście Triborough, skręcił w zjazd prowadzący do Nowej Anglii.

W południe siedział przy barze w „Zajeździe Drumdoe”, zając hamburgera i pijąc piwo. Joe powitał go jak stałego gościa.

## 50

Wśród Catherine przyjechała do zajazdu z samego rana i aż do wpół do dwunastej przesiadła w biurze. Mieli dwadzieścia rezerwacji na lunch i nawet jeśli jeszcze parę osób wpadłoby „z marszu”, to Tony i tak doskonale da sobie radę. Postanowiła, że wróci do domu i zajmie się dokumentami Edwina.

Po drodze zajrzała do baru; siedziało tam już około dziesięciu osób, w tym kilka pogrążonych w lekturze menu. Całkiem nieźle, jak na dzień powszedni. Nie ulegało wątpliwości, że ruch wzrasta; w porze obiadowej zajazd cieszył się już niemal taką samą frekwencją, jak przed recesją. Rzecz jasna, nie oznaczało to, że uda jej się uchronić go przed sprzedażą.

Wsiadając do samochodu pomyślała, że to idiotyzm jeździć taki kawałek z domu do pracy i z powrotem. Powinna chodzić na piechotę. Wszystko przez to, że zawsze tak bardzo się spieszy. Cóż, chyba już niedługo...

Za biżuterię dostała znacznie mniej niż oczekiwała. Znajomy jubiler, którego najpierw poprosiła o radę, uważnie obejrzał wszystkie Pierścionki, naszyjniki i bransoletki, a następnie powiedział:

I o piękne rzeczy i myślę, że już niedługo rynek ożywi się na ty-  
Ze 2na: jdzie pani na nie kupca za dobrą cenę. Na razie lepiej ich nie sprzedawać - no, chyba że ma pani nóż na gardle.

i Nie sprzedała więc, tylko zastawiła, ale pieniądze, jakie dzięki te-  
zysicała, z trudem wystarczyły na zapłacenie raty podatku. Za-  
ifiszące trzeba będzie zapłacić następną... W dzisiejszej poczcie  
a brutalną ofertę jednego z pośredników w handlu nierucho-



go dowiedziała się w Scottsdale, ponieważ... Ponieważ prędzej czy później doborą się do tego jacyś dziennikarze, więc chyba będzie lepiej, jeśli pierwszeństwo uzyska nie ktoś obcy, lecz właśnie zaprzyjaźniony Kanał 3.

- Pani Collins, dobrze się pani czuje?

Catherine błyskawicznie podjęła decyzję.

- Tak. Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. Meg polecała do Scottsdale wstanie Arizona, żeby...

Podzielił się nim swoimi wiadomościami, a potem jeszcze Weicker zadał kilka pytań. Najtrudniejsze było ostatnie.

- Jako dziennikarz muszę panią o to zapytać, pani Collins. Co w tej chwili myśli pani o swoim mężu?

- Nie mam pojęcia, co powinnam o nim myśleć — odparła. — Wiem tylko tyle, że ogromnie współczuję Frances Grolier. Jej córka zginęła, natomiast moja żyje i zobaczę ją już za kilka godzin.

Odłożyła słuchawkę i powoli przeszła do jadalni. Usiadła przy stole, na którym leżały dokumenty przywiezione z gabinetu Edwina Collinsa, oparła łokcie i przez dłuższą chwilę rozcierała sobie skronie. Coraz bardziej bolała ją głowa.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Boże, żeby tylko nie byli to ludzie z prokuratury albo dziennikarze, pomyślała, podnosząc się z wysiłkiem z krzesła,

Przez obojętność dostrzegła wysokiego, przystojnego mężczyznę. Kto to może być? Poznała go dopiero wtedy, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła jego twarz.

- Dzień dobry, pani Collins - powiedział Victor Orsini. - Przepraszam, że zjawiam się bez uprzedzenia, ale akurat byłem w okolicy i pomyślałem sobie, że wpadnę na chwilę. Wydaje mi się, że w papierach Edwina powinno być kilka dokumentów, które jeszcze będą mi potrzebne. Czy pozwoli pani, że ich poszukam?

\*\*\*

Samolot wystartował z Phoenix o 13.25 i zgodnie z rozkładem miał wylądować w Nowym Jorku o 20.05. Meghan ucieszyła się, że znowu dostała miejsce przy oknie. Środkowy fotel był wprawdzie pusty,

ale kobieta siedząca przy przejściu sprawiała wrażenie nadzwyczaj rozmownej.

Aby uniknąć konieczności prowadzenia konwersacji, Meg odchyliła oparcie do tyłu i zamknęła oczy. Odtwarzając w pamięci spotkanie z Frances Grolier miała wrażenie, iż pędzi kolejką górską, błyskawicznie przeskakując z jednego emocjonalnego szczytu na drugi. Uczucia, jakie ją kolejno ogarniały, zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Wściekłość na ojca.

Nienawiść do Frances.

Zazdrość o to, że był ktoś, kogo ojciec kochał równie mocno jak ją.

Zaintrygowanie osobą Annie. Pisywała artykuły i reportaże do różnych gazet. Z pewnością była inteligentna - myślała Meghan. Wyglądała prawie tak samo jak ja i była moją przyrodnią siostrą. Jeszcze żyła, kiedy wnoszono ją do karetki. Umarła na moich oczach.

Współczucie dla wszystkich. Dla Frances Grolier i Annie, dla matki, dla siebie i ojca. Może kiedyś uda mi się zobaczyć go takim, jakim widziała go Frances: skrzywdzony mały chłopiec, który czuł się bezpiecznie tylko wtedy, kiedy wiedział, że jest miejsce, gdzie w razie jakiegось nieszczęścia zostanie przyjęty i zaakceptowany. Czy jednak naprawdę potrzebował aż dwóch domów i dwóch rodzin, by zrekomensować sobie nieszcześliwe dzieciństwo?

Stewardesy zaczęły roznosić napoje. Meghan poprosiła o kieliszek wina; sączyła je powoli, rozkoszując się ciepłem, które powoli rozchodziło się po jej ciele. Ukradkiem zerknęła w bok; na szczęście pasażerka siedząca przy przejściu była pogrążona w lekturze.

Wkrótce potem podano lunch. Meghan nie czuła głodu, mimo to zjadła pasztecik i sałatkę i napiła się kawy. Od razu zaczęło się jej rozjaśniać w głowie. Wyjęła notes, poprosiła o jeszcze jedną kawę, po czym zajęła się sporządzaniem notatek, które miały pomóc jej w uporządkowaniu rozrzuconych bez ładu i składu fragmentów łamigłówki.

Skrawek papieru z jej imieniem i numerem telefonu podziałał jak detonator; Annie zażądała od matki, by ta wyznała jej całą prawdę. Wcześniej zadzwoniła do Meghan, ale odłożyła słuchawkę. Gdyby wtedy odezwała, być może nie przyjechałaby do Nowego Jorku i nie została zamordowana.

Kyle zauważył Annie w Newtown- Czy widział ją ktoś jeszcze?  
Czy Frances podała jej adres biura

Doktor Manning. Frances twierdziła- ojciec był bardzo zdenerwowany po rozmowie, jaką przeprowadził na dzieło przed swoim zniknięciem. Z kolei Manning oświadczył, przesłuchującym go funkcjonariuszom, że rozmowa przebiegła \* przyjemniej! atmosferze. Jeśli tak, to co spowodowało wzburzenie ojca?

Victor Orsini. Może tutaj należy szukać rozwiązania? - zastanawiała się Meghan. Podobno tatą wstrząsła coś, czego się o nim dowiedział.

Orsini. Podkreśliła nazwisko trzy razy- Zaczął pracować w Biurze Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Helenę Petrovic została skierowana do pracy w Klinice Manninga. Czyżby między tymi dwoma faktami istniał jakiś związek?

U dołu strony Meg napisała wielkimi literami:

CZY TATA ŻYJE?

Samolot wylądował punktualnie o ósmej. Kiedy Meghan odpięła pasy, kobieta siedząca przy przejściu zarnknła książkę i powiedziała radośnie:

- Wreszcie sobie przypominałam! Od razu wyczułam, że nie ma pani ochoty na rozmowę, ale wydawało mi się, że skądś panią znam. Teraz już wiem: spotkałyśmy się w ubiegłym roku w San Francisco. Pani nazywa się Annie Collins i jest dziennikarką, prawda?

\*\*\*

Bernie dostrzegł Catherine w lustrze, kiedy pochyliła głowę, udając, że jest pogrążony w lekturze menu. Nie chciał, żeby zwróciła na niego uwagę. Nigdy nie jest dobrej \* gdzie zwracają na ciebie uwagę, bo wówczas zaczynają zadawać Pytania. Wystarczyło jedno spojrzenie w lustro, aby stwierdzić, że matka Meghan to inteligentna kobieta. Z pewnością nie dałoby się zbyć jej byle czym.

Gdzie teraz jest Meghan? Bernie zamówił jeszcze jedno piwo, po czym zaczął się zastanawiać, czy przypałem barman nie przygląda mu się tak samo jak gliniarze, którzy zatrzymywali go i pytali, co robi w tej okolicy. Wystarczyło odpowiedzieć: »Tak sobie spaceruję" a-

u Nic wielkiego", żeby posypały się kolejne pytania: „Znasz tu kogoś?", „Jaki często tu przychodzisz?"

Bał się nawet pomyśleć, co by było, gdyby tutaj też zaczęto mu zadawać takie pytania.

Najważniejsze, żeby przyzwyczaili się do jego widoku. Jeżeli kogoś często widzisz, to tak jakbyś go w ogóle nie widział. Bernie rozmawiał na ten temat z więziennym psychiatrą.

Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, żeby omijał z daleka las rosnący za domem Meghan. Ten przeklęty dzieciak wrzeszczał tak głośno, że ktoś na pewno wezwał policję. Możliwe, że gliniarze do dziś patrolują teren. Skoro jednak nie wolno mu zbliżyć się do jej domu, to w jaki sposób mają zobaczyć? Przecież od chwili, kiedy została skierowana na przymusowy urlop, nie spotkał jej ani razu.

Siedział przy barze, pijąc piwo i wtedy nagle przyszła mu do głowy odpowiedź, cudownie prosta i oczywista.

Przecież to nie jest tylko restauracja, ale także zajazd! Ludzie tu mieszkają - dzień, dwa, czasem dłużej. Na zewnątrz stoi tablica z napisem WOLNE POKOJE. Z okien wychodzących na południową stronę budynku z pewnością roztacza się wspaniały widok na dom Meghan. Gdyby wynajął pokój, mógłby wchodzić i wychodzić o dowolnej porze, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. To samo z samochodem: nikogo nie dziwiłaby jego obecność na parkingu. Powie w recepcji, że ma matkę w szpitalu, a kiedy zostanie wypisana, chciałby umieścić ją w jakimś spokojnym miejscu, żeby mogła wypocząć.

- Czy pokoje tutaj są bardzo drogie? - zapytał barmana. - Szukam dla mojej matki jakiegoś kąta, gdzie mogłaby odzyskać siły po operacji. Już właściwie wydobrzała, ale jest jeszcze osłabiona i nie bardzo może zatroszczyć się o siebie.

- Pokoje gościnne są tu wspaniałe - zapewnił go Joe. - Odnowiono je dwa lata temu. Nie są też drogie, jak to w martwym sezonie. Podróżują dopiero koło Święta Dziękczynienia, a znowu stanieją w kwietniu albo maju.

- Moja matka lubi mieć w pokoju dużo słońca.

- Myślę, że na pewno znajdzie pan coś w sam raz dla niej. Proszę porozmawiać z Virginiją Murphy. To prawa ręka pani Collins.

Pierwszy pokój, który pokazano Berniemu, spełniał jego oczekiwania. Znajdował się dokładnie naprzeciwko domu Collinsów. Berniemu zostało jeszcze sporo pieniędzy, więc mógł tutaj mieszkać bardzo, bardzo długo. Wyjął z portfela kartę kredytową i podał pani Murphy, która przyjęła ją z uprzejmym uśmiechem.

- Kiedy zjawi się pańska matka, panie Heffernan? - zapytała.  
- Na pewno nie wcześniej niż za kilka dni. Na razie, dopóki nie wyjdzie ze szpitala, ja sam będę korzystał z tego pokoju. Z Long Island jest zbyt daleko, żeby codziennie jeździć w tę i z powrotem.

- Oczywiście, tym bardziej, że czasem tworzą się okropne korki. Ma pan jakiś bagaż?

- Przyniosę go później.

Dopełniwszy formalności, Bernie pojechał do domu, gdzie zjadł z matką obiad, a następnie powiedział jej, że jego szef kazał mu odstać do Chicago samochód klienta.

- Zajmie mi to trzy albo cztery dni. Samochód jest bardzo kosztowny, więc muszę bardzo uważać i nie jechać za szybko. Wrócę autobusem.

- Ile ci za to zapłacą?

Bernie podał pierwszą kwotę, jaka przyszła mu na myśl.

- Dwieście dolarów dziennie.

Matka potrząsnęła z oburzeniem głową.

- Niedobrze mi się robi, jak sobie pomyślę, ile musiałam się naharować za parę dolarów, żeby cię nakarmić i ubrać, a ty dostajesz dwieście dolarów tylko za to, że pojeździsz sobie jakimś luksusowym autem!

- Muszę wyruszyć jeszcze dziś wieczorem.

Poszedł do swego pokoju i wrzucił trochę czystych rzeczy do czarnej plastikowej walizki, którą matka kupiła przed wielu laty na jakiejś wyprzedaży. Walizka wciąż jeszcze prezentowała się całkiem przyzwoicie. Nie zapomniał także zapakować zapasu czystych kaset magnetowidowych oraz telefonu komórkowego.

Nie pocałował matki na do widzenia. Nigdy jej nie całował, a ona nie miała nic przeciwko temu. Jak zwykle odprowadziła go do drzwi i przyglądała się, jak wsiada do samochodu.

- Tylko nie wpakuj się w jakieś kłopoty, Bernardzie.

\*\*\*

Kiedy o wpół do jedenastej Meghan dotarła do domu, matka czekała na nią w salonie - z serem, krakersami, winogronami i butelką białego wina w kubku z lodem.

- Pomyślałam sobie, że przyda ci się coś na polepszenie nastroju.

- Bardzo słusznie. Zaraz przyjdę, mam.

Zaniosła bagaż do sypialni, przebrała się w pizamę i szlafrok, umyła twarz, rozczesała włosy, a następnie spięła je z tyłu gumką.

- No, tak jest dużo lepiej - oświadczyła po powrocie do salonu. - Nie obrazisz się, jeśli dzisiaj jeszcze nie zrelacjonuję ci wszystkiego ze szczegółami? Wiesz już o tym, co najważniejsze. Tata spotykał się z Frances Grier, matką Annie, od dwudziestu siedmiu lat. Po raz ostatni widziała go w styczniu tego roku na dzień przed jego zniknięciem, kiedy odlatywał do Nowego Jorku. Frances i jej prawnik mają zarezerwowane bilety na samolot, który startuje z Phoenix dziś przed północą, więc powinni dotrzeć do Nowego Jorku jutro około szóstej rano.

- Dlaczego nie zdecydowała się poczekać do jutra? To chyba żadna przyjemność spędzić noc w samolocie.

- Podejrzewam, że po prostu chce jak najszybciej mieć to za sobą. Ostrzegłam ją, że policja prawie na pewno będzie chciała jej zadać mnóstwo pytań oraz żeby była przygotowana na widok tłumy reporterów.

- Meg, mam nadzieję, że nie popełniłam błędu... - Catherine zaważała się przez chwilę. - Opowiedziałam Tomowi Weickerowi o twojej wyprawie do Scottsdale. Kanał 3 nadał w wiadomościach o szóstej informację o Annie i myślę, że powtórzą ją jeszcze o jedenastej. Odniosłam wrażenie, że starają się zachowywać fair wobec nas obu, co jednak nie zmienia faktu, że to obrzydliwa historia. Chyba nie muszę dodawać, że wyłączyłam telefon i automatyczną sekretarkę. Kilku dziennikarzy pofatygowało się nawet osobiście, ale nie wpuściłam ich do domu. Byli też w zajeździe, gdzie dowiedzieli się od Virginii, że wyjechałam z miasta.

- To dobrze, że zawiadomiłaś Toma. Bardzo go lubię i cieszę się, że

uprzedził konkurencję. - Meg spróbowała uśmiechnąć się do matki. - Szczerze mówiąc, podziwiam twoją odwagę.

- A cóż innego mi pozostało? Aha, jeszcze najważniejsze: Meg, to nie Tom dzwonił wczoraj do ciebie. Dopiero potem uświadomiłam sobie, że ten człowiek próbował wyciągnąć ode mnie informację, gdzie jesteś. Zawiadomiłam policję. Powiedzieli, że będą mieć nasz dom na oku i że od czasu do czasu pošlą kogoś do lasu. - Nagle jej głos załamał się, a dotychczasowe opanowanie znikło bez śladu. - Meg, boję się o ciebie!

Do licha, kto mógłby posłużyć się nazwiskiem Toma Weickera? - przemknęło dziewczynie przez głowę.

- Mamo, nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale przecież mamy się na baczności, więc na pewno nic nam się nie stanie, prawda?

- Chyba tak.

- W takim razie możemy spokojnie obejrzyć wiadomości. Już prawie jedenasta.

Co innego udawać bohatera, pomyślała Meg, a co innego zdawać sobie sprawę, że kilkaset tysięcy ludzi właśnie dowiaduje się o historii, która wyróciła twoje życie do góry nogami.

Joel Adison, stały prezenter wieczornych wiadomości Kanału 3, przywitał widzów wyjątkowo poważną miną.

- Jak już informowaliśmy w naszym dzienniku o szóstej, Edwin Collins, zaginiony 28 stycznia tego roku i podejrzany o dokonanie zabójstwa Heleny Petrovic, okazał się ojcem młodej kobiety zamordowanej kilka dni temu na Manhattanie. Pan Collins jest także ojcem Meghan Collins, reporterki naszej stacji...

...nakaz aresztowania... dwie rodziny... w Arizonie jako mąż znanej rzeźbiarki Frances Grolier...

- Wygląda na to, że sporo dowiedzieli się na własną rękę, bo akurat o tym im nie mówiłam - powiedziała Catherine.

Wreszcie nastąpiła przerwa na reklamę. Meg wyłączyła telewizor.

- Matka Annie twierdziła, że kiedy tata zjawił się po raz ostatni w Arizonie, był wstrząśnięty czymś, czego dowiedział się o Victorze Orsinim.

- O Orsinim?!

Dziewczyna spojrzała z niepokojem na matkę.

- Tak, a co się stało?

- Był u nas dzisiaj. Zapytał, czy może przejrzeć papiery Edwina, bo podobno zawieruszyły się między nimi jakieś ważne dokumenty.

- Zabrał coś? Zostawiłaś go samego w pokoju?

- Nie... To znaczy, najwyżej na minutę, a on siedział tu całą godzinę. Wyszedł z zawiedzioną miną i jeszcze zapytał, czy aby na pewno przywieźliśmy wszystkie dokumenty, jakie były w gabinecie Edwina. Poprosił też, żebym na razie nie wspominała Phillipowi o jego wizycie. Obiecałam mu to, ale teraz sama już nie wiem, co o tym myśleć.

- Widocznie w tych papierach jest coś, co, jego zdaniem, nie powinno trafić do naszych rąk. - Meg podniosła się z kanapy. - Proponuję, żebyśmy poszły już spać, bo jutro z pewnością dom zostanie obleżony przez dziennikarzy. My jednak spędzimy dzień sprawdzając po kolei każdy z tych dokumentów. Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Wielka szkoda, że nie mamy pojęcia, czego powinniśmy szukać.

\*\*\*

Kiedy Meg przyjechała do domu, Bernie siedział przy oknie w swoim pokoju w zajeździe. Włączył kamerę natychmiast, jak dziewczyna zapaliła światło w sypialni. Westchnął z zadowoleniem, kiedy zdjęła żakiet i zaczęła rozpinąć bluzkę, ale zaraz potem podeszła do okna i opuszczyła żaluzje. Widział jedynie niewyraźny zarys jej ciała, gdy chodziła po pokoju, przebierając się w domowy strój. Czekał niecierpliwie, aż zjeździe na parter.

W pewnej chwili dostrzegł coś, co utwierdziło go w przekonaniu, że postąpił bardzo słusznie, zachowując wzmoczoną ostrożność: przed domem Collinsów przejechał powoli radiowóz. Potem okazało się, że radiowóz pojawia się regularnie co dwadzieścia minut, a w lesie od czasu do czasu widać błysk latarek. Policjanci szukali tajemniczego człowieka z kamerą.

Co by sobie pomyśleli, gdyby wiedzieli, że siedzi tutaj, obserwując ich i śmiejąc się do rozpuku? Jednak nadal musiał bardzo uważać. Pra-

gnał jak najszybciej doprowadzić do spotkania z Meghan, lecz teraz stało się jasne, że nie może to nastąpić ani w zajeździe, ani tym bardziej w jej domu. Będzie musiał poczekać na jej wyjazd; jak tylko zobaczy, że dziewczyna idzie do garażu, zbiegnie na dół, wsiądzie do samochodu i ruszy za nią, jak tylko Meg minie parking przy zajeździe.

Musiał znaleźć się z nią sam na sam, by porozmawiać jak z przyjacielem. Chciał zobaczyć z bliska jej uśmiech, chciał obserwować jej ruchy, tak jak teraz, kiedy zdejmowała żakiet i rozpinała bluzkę. Meg zrozumie, że on jej nie skrzywdzi. Przecież zależy mu tylko na tym, żeby traktowała go jak przyjaciela.

Bernie prawie nie spał tej nocy. Obserwował, jak radiowóz jeździ w tę i z powrotem ulicą, przy której stoi dom Meghan.

W tę i z powrotem,

W tę i z powrotem.

# 51

W czwartek rano jako pierwszy zadzwonił Phillip. Oglądałem wczoraj wiadomości, a dzisiaj rozpisuję o tym wszystkie gazety. Mogę wpaść na kilka minut - Oczywiście - odparła Catherine. - To znaczy, jeśli uda ci się przejść do drzwi, bo przed domem kłębi się tłum dziennikarzy.

- Wejdę od tyłu.

Była dziewiąta rano. Meg i Catherine siedziały przy śniadaniu.

- Czyżby coś się zdarzyło? - zastanawiała się głośno Catherine.

Phillip sprawiał wrażenie mocno zdenerwowanego.

- Pamiętaj, co obiecałaś Victorowi Orsiniemu - przypomniawszy córka. — Chciałabym najpierw sama sprawdzić, co jest grane.

Kiedy zjawił się Phillip, obie kobiety natychmiast zauważyły, że znajduje się w paskudnym nastroju.

- Tama pękła, jeśli można użyć tej przenośni - poinformowała. Wczoraj zgłoszono pierwszy pozew. Małżeństwo, które płaciło oskarżeniemu Manninga za przechowywanie dziesięciu embrionów, dowiedziało się, że jest ich tylko siedem. Wygląda na to, że Helena Petrovici dawna fałszowała dokumenty, by ukryć swoje błędy i niedopatrzoność. Pozew dotyczy także naszej firmy.

- Doprawdy nie wiem, co mogę powiedzieć z wyjątkiem tego - ogromnie mi przykro - wyszeptowała Catherine.

- Chyba w ogóle nie powinienem zwracać wam tym głowy. Nie po to przyszedłem. Oglądaliście wywiad, jakiego Frances Lier udzieliła rano na lotnisku?

- Tak - odparła Meg.



- I co sądzicie o jej stwierdzeniu, że Edwin najprawdopodobniej nie zginął, tylko celowo zniknął, by zacząć nowe życie?

- To kompletna bzdura! - stwierdziła stanowczo dziewczyna.

- Muszę was ostrzec, że John Dwyer także nie wierzy w śmierć Edwina. Kiedy rozmawiałem z nim we wtorek, zarzucił mi utrudnianie śledztwa. Zadał mi też hipotetyczne pytanie: „Gdyby Ed potajemnie utrzymywał z kimś bliskie kontakty, to gdzie szukałbym tego kogoś?” - Spojrzał na Meghan. - Ja nie wiedziałem, w przeciwieństwie do ciebie.

- Czyżbyś sugerował, że mój ojciec jednak żyje, a ja wiem, gdzie go znaleźć?

Carter milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy odpowiedział, w jego głosie nie było ani śladu zwykłej pewności i spokoju.

- Nie wierzę, żebyś знаła aktualne miejsce pobytu Edwina, ale przecież ta Grolier znała go tak dobrze... - Natychmiast uświadomił sobie, jak można zrozumieć jego słowa. - Wybaczcie mi - dorzucił prędko.

Meghan wiedziała, że Phillip Carter ma rację; zastępca prokuratora stanowczo będzie pytał, dlaczego wpadła na pomysł podróży do Scottsdale.

- Phillip też już ledwo daje sobie z tym wszystkim radę - zauważyła Catherine po wyjściu Cartera.

Godzinę później Meghan spróbowała po raz kolejny dozwonić się do Stephanie Petrovic, ale bez rezultatu. Zadzwoiła więc do Maca do pracy, aby zapytać, czy jemu się to udało.

- Ten list to kompletna bzdura - stwierdziła, dowiedziawszy się o notatce pozostawionej przez dziewczynę. - Stephanie na pewno nie wyjechałaby z własnej woli z tym człowiekiem. Widziałam, jak zareagowała na moją propozycję, żeby go odszukać i zmusić do płacenia alimentów. Ona się go po prostu boi. Wydaje mi się, że pan Potters powinien zawiadomić policję o jej zaginięciu.

Kolejne tajemnicze zniknięcie, pomyślała odłożywszy słuchawkę. Było już za późno, żeby jechać do New Jersey; wyruszy tam jutro przed świtem, dzięki czemu może uda się jej uniknąć spotkania z dziennikarzami.

Miała zamiar odwiedzić Charlesa Pottersa i poprosić go, żeby pozwolił jej rozejrzeć się po domu Heleny Petrovic. Chciała także porozmawiać z księdzem, który odprawiał nabożeństwo żałobne; z pewnością znał wszystkie rumuńskie emigrantki, które uczestniczyły we mszy.

Istniało realne niebezpieczeństwo, iż Stephanie Petrovic wiedziała o czymś, co mogło stanowić zagrożenie dla mordercy jej ciotki.



## 52

W czwartek przed południem detektywi Bob Marron i Arlene Weiss otrzymali od prokuratora okręgowego z Manhattanu zezwolenie na przeprowadzenie przesłuchania Frances Grolier. Przesłuchanie odbywało się w apartamencie hotelu „Dora!”, zaledwie kilka przecznic od kostnicy. Kobiecie towarzyszył sześćdziesięciokilkuletni adwokat, Martin Fox - siwowłosy emerytowany sędzia, który błyskawicznie reagował na wszystkie pytania niewygodne dla jego klientki.

Wcześniej Frances zidentyfikowała ciało Annie. Miało zostać przewiezione samolotem do Phoenix, gdzie będzie czekał właściciel zakładu pogrzebowego ze Scottsdale. Choć na twarzy Frances Grolier zastygł grymas cierpienia, była opanowana i nie płakała.

Odpowiadała na te same pytania, które już zadawali jej funkcjonariusze nowojorskiego wydziału do spraw zabójstw. Nie знаła nikogo, kto mógłby towarzyszyć jej córce w podróży do Nowego Jorku. Annie nie miała żadnych wrogów.

O Edwinie Collinsie powiedziała tylko tyle, że owszem, uważa za bardzo prawdopodobne, iż wykorzystał okazję, aby zniknąć.

- Czy kiedykolwiek wspominał pani o tym, że chciałby zamieszkać na wsi?

Dopiero to pytanie wyrwało Frances ze stanu odrętwienia. Spójrzała ze zdziwieniem na Arlene Weiss.

- Dlaczego pani o to pyta?

- Bo choć jego samochód, który znaleźliśmy przed mieszkaniem Meghan Collins, najwyraźniej był niedawno w myjni, to jednak w bież-

niku opon pozostały ślady błota i żdźbła trawy. Sądzi pani, że mogłby ukryć się w jakimś odosobnionym miejscu poza miastem?

- To możliwe. Czasem jeździł na spotkania z kandydatami kończącymi właśnie różne prowincjonalne szkoły, a później powtarzał, że życie na wsi jest znacznie mniej skomplikowane niż w mieście.

\*\*\*

Z Nowego Jorku Weiss i Marron pojechali prosto do Newtown, by jeszcze raz porozmawiać z Catherine i Meghan. Zadali im to samo pytanie, co Frances Grolier.

- Szczerze mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić mojego męża na farmie - powiedziała Catherine.

Meghan w pełni podzielała zdanie matki.

- Cały czas nie daje mi spokoju pewna sprawa... Jeśli założymy, że mój ojciec żyje, to czy nie wydaje się państwu dziwne, że porzucił samochód w miejscu, gdzie musiał bardzo szybko zwrócić czyjąś uwagę oraz że zostawił w nim narzędzie zbrodni?

- Na razie nie wykluczamy żadnej wersji - odparł Marron.

- Ale koncentrujecie się właśnie na tej jednej! Może gdybyście na chwilę o niej zapomnieli, udałoby się wam dostrzec inną, bardziej prawdopodobną?

- Lepiej porozmawiajmy o tym, co skłoniło panią do odbycia niespodziewanej podróży do Arizony. Dowiedzieliśmy się o niej z telewizji. Czy może nam to pani wyjaśnić? Przede wszystkim, kiedy udało się pani ustalić, że ojciec ma tam drugą rodzinę?

Godzinę później Marron i Weiss odjechali, zabierając ze sobą taśmę z nagraniem informacją o sklepie „Palomino”.

- Wierzysz, że ktokolwiek w prokuraturze pracuje nad hipotezą inną niż ta, według której we wszystkim maczał palce ojciec? - zapytała Meghan.

- Nie i z pewnością nie mają zamiaru tego zrobić - odparła z goryczą matka.

wróciły do jadalni, gdzie tak uważnie studiowały rachunki z podróży służbowych Edwina Collinsa. Teraz bez większego trudu mogły ustalić, kiedy dokładnie ich mąż i ojciec odwiedzał Scottsdale.

- Nie wydaje mi się jednak, żeby Victor Orsini poszukiwał właśnie tych informacji - powiedziała Meg. - Musiało mu chodzić o coś innego.

\*\*\*

W Biurze Doradztwa Kadrowego Collinsa i Cartera sekretarka Jackie i księgowa Milly rozmawiały szeptem o narastającym konflikcie między Carterem i Orsinim. Ich zdaniem przyczyną były kłopoty spowodowane przez pana Collinsa oraz kolejne pozwы kierowane do sądu. Od śmierci pana Collinsa nic nie szło jak należy.

- Albo raczej od jego zniknięcia - poprawiła się Jackie. - Aż trudno uwierzyć, że ktoś, kto ma tak miłą i inteligentną żonę jak pani Collins, mógł przez tyle lat żyć z inną kobietą... Bardzo się niepokoję - ciągnęła. - Całą pensję odkładam dla chłopców, żeby mogli pójść na studia. Ta praca to dla mnie prawdziwe błogosławieństwo. Nie chciałabym jej stracić.

Milly liczyła sobie sześćdziesiąt trzy lata i miała zamiar pracować jeszcze dwa lata, żeby uzyskać większą emeryturę.

- Ty jeszcze możesz sobie coś znaleźć, ale kto zatrudni taką starą babę jak ja?

Było to pytanie, które ostatnio zadawała sobie co najmniej kilka razy dziennie.

- Jeden z nich przychodzi tu nocami! - szepnęła Jackie. - Sama wiesz, jak łatwo poznać, czy ktoś grzebał w dokumentach.

- Po co mieliby to robić? - zdziwiła się Milly. - Przecież każda z nas orientuje się w tych papierach znacznie lepiej od nich. Bądź co bądź, właśnie za to nam płacą.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że któryś z nich szuka kopii listu z rekomendacją dla Helenę Petrovic, który został wysłany do Kliniki Manninga - powiedziała Jackie. - Ja też próbowałam ją odnaleźć, ale przepadła jak kamień w wodę.

- Kiedy pisałaś ten list, pracowałaś tu dopiero od paru tygodni i jeszcze nie bardzo orientowałaś się w sposobie archiwizacji dokumentów - przypomniała jej Milly. - Zresztą, jakie to ma znaczenie? Przecież policja ma oryginał, a tylko on się liczy.

- To może mieć znaczenie, i to całkiem spore - odparła Jackie. - Prawdę mówiąc, nie pamiętam, żebym go pisała, ale to było już siedem lat temu, więc miałam prawo zapomnieć. Poza tym, na oryginale są moje inicjały.

- A więc?

Jackie otworzyła szufladę, rozpięła torebkę i wyjęła z niej złożony we czworo wycinek z gazety.

- Od chwili, kiedy zobaczyłam w gazecie fotokopię tego listu, coś nie dawało mi spokoju. Teraz już wiem, co. Zresztą, popatrz sama. - Podała wycinek Milly. - Widzisz, że każdy akapit jest wcięty na sześć kolumn? W ten sposób piszę listy dla pana Cartera i pana Orsiniego. Pan Collins zawsze prosił, żeby cały list był wydrukowany wielkimi literami, bez wcięć przy akapitach.

- Zgadza się - potwierdziła Milly. - Ale ten podpis wygląda na podpis pana Collinsa.

- Owszem, tylko że nie mogę się nadziwić, dlaczego podpisał list napisany w taki sposób.

\*\*\*

O trzeciej po południu zadzwonił Tom Weicker.

- Meg, chciałem ci powiedzieć, że postanowiliśmy wykorzystać materiał, który nakręciłaś w Centrum Franklina w Filadelfii. Wiesz, ten, co miał pójść razem z reportażem o bliźniakach. Będzie dzisiaj w obu wieczornych dziennikach. To bardzo dobry kawałek, a w dodatku ma związek ze skandalem w Klinice Manninga.

- Cieszę się, że ci się spodobał.

- Chciałem być pewien, że go obejrzysz - powiedział zaskakująco ciepłym tonem.

- Wielkie dzięki, Tom.

Wpół do szóstej Meg odebrała telefon od Maca.

- Może dla odmiany dziś ty i Catherine wpadniecie do nas na kofe. Założę się, że nie chcecie pokazywać się w zajeździe.

- Ani trochę - przyznała. - Może być o wpół do siódmej? W dzienniku o szóstej dają mój materiał.

- W takim razie przyjedźcie wcześniej, to obejrzymy go razem.

Przy okazji Kyle będzie mógł się pochwalić, że nauczył się obsługiwać magnetowid i potrafi zaprogramować nagrywanie.

- W porządku.

\*##

Materiał istotnie był bardzo dobry, szczególnie ta jego część, która została zrealizowana w gabinecie doktora Williamsa. W pewnej chwili dyrektor Centrum wskazał szerokim gestem ściany zawieszono od góry do dołu zdjęciami dzieci.

- Gzy potraficie sobie państwo wyobrazić, ile radości wniosły te małe istotki w życie wielu bardzo nieszczęśliwych ludzi? - Ekran wypełniły przesuwane powoli fotografie, a doktor Williams dodał: - Wszystkie dzieci, które państwo teraz widzicie, przyszły na świat wyłącznie dzięki doskonałym w naszym ośrodku metodom zapłodnienia pozaustrojowego.

- Trochę łzawe, ale w sumie nie najgorsze - skomentowała Meg.
- Moim zdaniem bardzo dobre powiedział Mac.
- Może i masz rację. Proponuję, żebyśmy darowali sobie resztę wiadomości. I tak wiemy, czego będą dotyczyć.

\*\*\*#

Bernie przez cały dzień nie ruszał się z pokoju. Powiedział pokojówce, że nie czuje się najlepiej; przypuszczalnie doszło do głosu zmęczenie po wielu nieprzespanych nocach, jakie spędził w szpitalu, opiekując się chorą matką.

Kilka minut później zadzwonił telefon.

- Co prawda zwykle podajemy do pokoi tylko śniadania kontynentalne, ale panu dostarczymy wszystko, czego pan sobie zażyczy — poinformowała go Virginia Murphy.

Zażyczył sobie lunchu, potem zaś obiadu. Położył się na łóżku, z poduszkami podłożonymi wysoko pod głowę, ale jak tylko kelner wyszedł z pokoju, natychmiast wrócił na swoje stanowisko przy oknie.

Kilka minut przed szóstą Meghan i Catherine wyszły z domu. Było już ciemno, lecz ganek oświetlała lampa. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien za nimi pojechać, ale szybko doszedł do wniosku,

że traciłby tylko czas; zaczeka, aż Meghan będzie sama. Zaraz zresztą okazało się, iż postąpił bardzo słusznie, ponieważ samochód zamiast w lewo, skręcił w prawo. Przypuszczalnie kobiety jechały do domu, w którym mieszkał ten dzieciak z głupim psem. Był to jedyny budynek przy kończącej się ślepo uliczce.

Przez cały dzień okolicę patrolowały radiowozy, ale pojawiały się znacznie rzadziej niż poprzednio, a po zapadnięciu zmroku Bernie tylko raz dostrzegł w lesie błysk latarki. Gliny traciły zapach. I bardzo dobrze.

Meghan i jej matka wróciły około dziesiątej; godzinę później dziewczyna przebrała się w piżamę, przez kilkanaście minut pisała coś w notatniku, a następnie poszła spać.

Jeszcze długo po tym, jak wyłączyła światło, Bernie siedział nieruchomo przy oknie, myśląc o niej i wyobrażając sobie, że jest teraz w jej pokoju.

# 53

Donald Anderson wziął dwutygodniowy urlop, żeby pomóc żonie przy dziecku. Ani on, ani Dina nie chcieli w domu nikogo obcego.

- Ty masz tylko odpoczywać - powiedział żonie. - Ja i Jonathan mamy wszystko pod kontrolą.

Poprzedniego wieczoru lekarz pozwolił Dinie zabrać dziecko do domu. On także uważał, że powinni starać się za wszelką cenę unikać rozgłosu.

- Idę o zakład, że między dziewiątą a jedenastą w holu będzie kręciło się mnóstwo reporterów - powiedział. Właśnie o tej porze zazwyczaj wypisywano do domu wszystkie matki z nowo narodzonymi dziećmi.

Przez cały tydzień dzwonili dziennikarze z propozycjami przeprowadzenia wywiadu, więc Don musiał podłączyć automatyczną sekretarkę. Ma się rozumieć, nie odpowiedział na żadną z propozycji.

W czwartek zatelefonował ich prawnik; w Klinice Manninga oficjalnie stwierdzono mnóstwo nadużyć i niedociągnięć. Ostrzegł ich, żeby spodziewali się nacisków ze strony adwokatów poszkodowanych osób, którzy będą starali się namówić ich do złożenia pozwu.

- Nic z tego - odparł stanowczo Anderson. - Może pan to powtórzyć każdemu, kto pana zapyta.

Dina leżała na kanapie i czytała Jonathanowi książkę z jego ulubionymi opowieściami o Wielkim Ptaku.

- Może po prostu wyłączymy telefon? - zaproponowała, podniósłszy wzrok na męża. - Jeszcze tylko tego brakuje, żeby Nicky dowiedział

o przyszłości, że pozwałam kogoś do sądu tylko dlatego, że urodziłam właśnie jego, a nie jakieś inne dziecko!

Nadali mu imię Nicholas dla upamiętnienia wuja Diny, tego, do którego tak bardzo był podobny, jeśli wierzyć jej matce. Ze stojącej nie opodal kołyski dobiegł delikatny szelest, potem nieśmiało zawożenia, a wreszcie donośny krzyk.

- Usłyszał, że o nim rozmawiacie - powiedział Jonathan.

- Całkiem możliwe, kochanie - odparła Dina i pocałowała go w czoło.

- Moim zdaniem po prostu chce mu się jeść - oświadczył Don, po czym nachylił się, wyjął z kołyski wrzeszczące zawiniątko i wręczył je żonie.

- Czy my na pewno nie jesteśmy bliźniakami? - zapytał Jonathan.

- Na pewno - potwierdziła Dina. - Ale jesteście braćmi, a to najważniejsze. - Dała niemowlęciu ssać. - Przecież masz moją oliwkową cerę, syneczku - szepnęła, pieszczotliwie gładząc maleńki policzek, po czym uśmiechnęła się do męża. - Wiesz co, Don? To dobrze, że przynajmniej jedno z naszych dzieci jest do mnie podobne.

Gdyby w piątek Meghan wyruszyła z domu jeszcze przed świtem, mogłaby dotrzeć do usytuowanego na przedmieściach Trenton kościoła św. Dominika już o wpół do jedenastej. W czwartek wieczorem zadzwoniła do młodego księdza i umówiła się na spotkanie; teraz miała pewność, że zdoła się zmobilizować do wczesnego wstania z łóżka. Plebania mieściła się w wąskim, dwupiętrowym wiktoriańskim domu otoczonym werandą i niezbyt starannie przystrzyżonym żywopłotem. Na umeblowanie zagraconego, ale przytulnego salonu składały się wielkie wyściełane fotele, stół o fantazyjnie rzeźbionych nogach oraz staromodne lampy stojące. Na podłodze leżały wypłowiały dywan w orientalne wzory, w kominku zaś wesoło buzowały płomienie, dzięki czemu w pokoju było bardzo ciepło, w przeciwieństwie do niewielkiego holu o kamiennej podłodze.

Ksiądz Radzin otworzył drzwi, zaprosił Meghan do salonu, z zakłopotanym uśmiechem wyjaśnił, że właśnie rozmawia przez telefon, po

czym znik/1^ na P^tr2e, Czekając na jego powrót Meghan doszła do wniosku iż w ta^ s^mP^y^czme urządzonym pokoju można było śmiało wyznaczyć grzechy, nie lękając się doczesnej kary ani wiecznego potę/ema,

Nie bar/zo^ wsec\*^zała, o^oo właściwie powinna zapytać księdza. Sądząc do kró\*k\*EJ przemowie, jaką wygłosił podczas nabożeństwa, znał i lubił Hele/16 Petrovic

Wreszci^ us^y^sza^a kroki na schodach i po chwili ksiądz Radzin wszedł do y^o^0^\_ui^P^P^pos^> ze kazał na siebie tak długo czekać, po czym usiadł na p^zciewko me J w fotelu i zapytał:

- W czy/"" moge d P^moce Meghan?

Nie Cz^mi moşe e\* służyć", tylko „W czym mogę ci pomóc”.

Różnica niew^e^a^a^e ne w:a^d^omo czemu Meg poczuła się podniesiona na duch^\*t

- Musze sie dowiedzieć, kim naprawdę była Helena Petrovic. Zapewne słysz/\* ksiądz o ty^"1^\_oo wydarzyło się w Klinice Manninga?

- Tak oczywiście. Pilnie śledzę wszystkie wiadomości na ten temat. Widzia^em te^ w dzisiejszej gazecie twoje zdjęcie, a obok fotografie tej bie^ne^ dziewczyny, która została zamordowana na Manhattanie. Istotni\* P^dob «ństwo jest uderzające.

- Właśni^ o^ te^o^ sie ió wsz^st^o zaczęło... - Meghan pochyliła się do Drzod^i^ op^ai\*^a^ takcie na kolanach i mocno spłotła palce rąk. - Zastępc^a nro^uratora stano^wego, który prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa H^ene ^etrovic uważa, że mój ojciec ponosi odpowiedzialność za skiere? gwaniejey^o^ pracy w kli^mce a tai^ kże za jej śmierć. Ja jestem inneo /dania. Na zbyt wiele pytań nie udało się uzyskać sensownych odn^2^ dlaczego miałby polecać Manningowi kogoś, kto nie miał o^P^ow^e^dnich kwalifikacji? A przede wszystkim, co chciał zyskać, umie^cza^J^ac Petrovic w laborato^m?

- Zawsze ję^me^e Jakiś powód ludzkiego działania, Meghan. Czasem nawet wi^ce^J^ni jeden

- Właśnie p^io^TM chodzi. Na razie nie mogę znaleźć ani jednego, nie mówiąc iu^ o k^ku. P^o^o^mo^J^o^jci^c zawracałby sobie głowę panią Petrovic r^f^y wiedział, że sfalszowała swoje dokumenty? Traktował prace z V^e^a^ powagą i był bardzo dumny z tego, że udaje mu

się znaleźć dobrych pracowników dla jego klientów. Często o tym rozjawnialiśmy

Obarceni^aiew^ykwalfikowanej osoby obowiązkami, którym sprostać mógł jedynie ktoś z wykształceniem medycznym, było ze wszechmiar karygodne. Sp^e^a^na komisja wykrywa coraz więcej błędów popełnionych w labor^atorium. Nie wyobrażam sobie, żeby mój ojciec celowo popełnił takie nadużycie. A Helenę? Czy nie miała żadnych wyrzutów sumienia? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że jej niezręczność lub po prostu brak wiedzy może doprowadzić do uszkodzenia lub nawet zniszczenia embrionów? Przecież większość z nich miała szansę rozwinąć się w łonach matek i przyjść na świat jako dzieci.

- Przyjść na świat po wszczępieniu w łono matki... - powtórzył ksiądz Radzin. - Interesująca koncepcja, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę jej aspekty etyczne. Wracając jednak do Helenę: nie uczęszczała regularnie do kościoła, ale jeśli już przychodziła, to zawsze na ostatnią niedzielną mszę, a potem zostawała na kawę. Kilka razy odniosłem wrażenie, jakby borykała się z jakimś problemem, ale nie mogła zdobyć się na odhygę, by o nim porozmawiać. Przyznam jednak, że gdybym miał znaleźć najlepiej do niej pasujące określenia, to z pewnością nie szukałbym ich wśród słów takich jak „bezsmyślna”, „niestaranna” czy „bezwzględna”.

- A co z przyjaciółmi? Czy miała jakichś bliskich sobie ludzi?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ostatnio rozmawiałem z kilkoma jej znajomymi, ale wszyscy są zdania, że nigdy nie odkryła się przed nimi do końca.

- Obawiam się, że coś złego przytrafiło się jej siostrzenicy, Stephanie. Czy ksiądz widział choć raz młodego mężczyznę, który jest ojcem jej dziecka?

- Nie. Z tego co wiem, nikt z tu mieszkających nie wie, jak on wygląda.

- Co ksiądz myśli o Stephanie?

- Łe pod żadnym względem nie przypomina Helenę. Oczywiście, jest jeszcze młoda i przyjechała do tego kraju zaledwie przed rokiem, ale... zos^aia zup^nie sama, więc jeśli ojciec dziecka zjawił się niespoame, mogła dojść do wniosku, że warto zaryzykować raz jeszcze.



Marszczy czoło tak samo jak Mac, pomyślała Meghan. Ksiądz Radzin z pewnością nie miał jeszcze czterdziestu lat, a więc był niewiele starszy od Maca. Dlaczego ich porównuję? Chyba dlatego, że w obu bez trudu można wyczuć dobro i życzliwość.

Wstała z fotela.

- Niepotrzebnie zajęłam księdzu tyle czasu.  
- Zostań jeszcze chwilę, Meghan. Siadaj, proszę. Wspomniałaś, że nie jesteś w stanie ustalić, co skłoniło twojego ojca do umieszczenia Helenę w Klinice Manninga. Może najpierw powinnaś wyjaśnić, dlaczego w ogóle zainteresował się tą kobietą? Może nawiązał się między nimi romans?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Bardzo wątpię. Miał wystarczająco dużo kłopotów z takim dzieleniem czasu między Connecticut i Arizone, żeby moja matka nie domyśliła się istnienia Frances Grolier.

- W takim razie, może pieniądze?

- To także jest mało prawdopodobne. Przecież klinika zapłaciłaby firmie ojca bez względu na to, kim obsadziłby stanowisko kierownika laboratorium. Zgadza się z księdzem, że w większości przypadków powodem zbrodni są pieniądze lub miłość, ale tutaj żadne z tych wyjaśnień nie pasuje. - Ponownie podniosła się z miejsca. - Naprawdę muszę już iść. Jestem umówiona z prawnikiem Helenę w jej domu w Lawrenceville.

\*\*\*

Charles Potters już na nią czekał. Podczas mszy Meghan nie zwróciła na niego większej uwagi, ale teraz, kiedy mogła mu się dokładnie przyjrzeć, doszła do wniosku, że wygląda jakby przed chwilą zszedł z planu jakiegoś starego filmu.

Jego ciemnoniebieski garnitur został skrojony według mody obowiązującej przed kilkadziesiąt laty, koszula była śnieżnobiała, wąski, granatowy krawat nienagannie zawiązany. Prawnik miał zdrową, różową cerę, rzadkie, starannie przyczesane siwe włosy oraz okulary bez oprawek, znacznie powiększające zaskakująco bystre orzechowe oczy.

W pierwszej chwili Meghan nie zauważyła żadnych zmian w elegancko umeblowanym salonie. Wyglądał tak samo jak niecały tydzień temu, kiedy była tu po raz pierwszy. Skoncentruj się, nakazała sobie. Wykorzystaj do maksimum zmysł obserwacji. Dopiero kiedy rozejrzała się dokładniej, spostrzegła brak pięknych figurek z miśnieńskiej porcelany, które poprzednio stały na okapie kominka.

- Pani przyjaciel, doktor MacIntyre, odwiódł mnie od zamiaru natychmiastowego poinformowania policji o kradzieży, ale obawiam się, że jednak będę musiał to uczynić. Jako wykonawca testamentu muszę dbać o majątek Helenę.

- Doskonale pana rozumiem. Chodziło mi tylko o to, żeby najpierw podjąć jakieś kroki zmierzające do odnalezienia dziewczyny. Jeśli schwyta ją policja, z całą pewnością zostanie deportowana. Poza tym mam poważne podstawy przypuszczać, że stało się coś, przy czym uniknięcie kilku porcelanowych figurek i ubrań Helenę Petrovic okazało się bardzo mało istotne. Czy ma pan list, który zostawiła Stephanie?

- Naturalnie. Oto on.

Meghan szybko przeczytała kilka zdań skreślonych niezbyt wprawiającą ręką.

~ \* — czy znał pan tego mężczyznę

- Nie.

- A co Helenę myślała o ciąży swojej siostrzenicy?

~ Helenę była osobą bardzo życzliwą ludziom, choć skrytą. Zawsze, gdy ktoś nawiązywał ze mną na ten temat, wyrażała troskę i współczucie.

Jak dawna zajmował się pan jej sprawami?

- Mniej więcej od trzech lat.

~ Wierzył pan, że ona naprawdę jest lekarzem?

- Nie miałem powodu, by w to nie wierzyć.

- A

~ Ciekawość? Co Pan Sądzi o temacie w jakim zgromadziła tak znaczny majątek? & mój ojciec jako kierowniczka laboratorium w Klinice Manninga? < bś ^ a wysoko ^ P ens J ? > . ale wcześniej, pracując jako sekretarka, z pewnością zarabiała zbyt wiele.

~ \* wiodła Wiedzialem tylko tyle, że wcześniej Ma kosmetyczką. W tym czasie osiągnąć znaczne dochody, a w dodatku Helenę bar- > 40 m ^ e niozna r e > > szczęśliwie inwestowała swoje pieniądze... Panno Col-



łins, przykro mi, ale nie mam dużo czasu. Zdaje się, że chciała pani obejrzeć dom?

- Tak, rzeczywiście.

Poszli na piętro, gdzie także panował nienaganny porządek. Stephanie z pewnością nie pakowała się w pośpiechu.

Główna sypialnia była urządzona niemal z przepychem. Helenę Petrovic nie oszczędzała na niczym; dopasowane pod względem kolorystyki obicia ścian, zasłony i kapa na łóżko sprawiały wrażenie bardzo kosztownych.

Przez przeszkłone drzwi przechodziło się do niewielkiego saloniku, którego jedna ściana była zawieszona zdjęciami dzieci.

- To te same fotografie, które wiszą w Klinice Manninga - zauważyła Meghan.

- Helenę często mi je pokazywała - odparł Potters. - Była bardzo dumna z każdego sukcesu odniesionego przez klinikę.

Meg przez dłuższą chwilę przyglądała się zdjęciom.

- Niektóre z tych dzieci widziałam dwa tygodnie temu, podczas dorocznego zjazdu organizowanego przez Manninga. - Znalazła fotografię Jonathana. - To pierwszy syn Andersonów, o których z pewnością czytał pan w gazetach. Właśnie od nich zaczęła się cała afera związana z Kliniką Manninga. - Umilkła, wpatrując się w zdjęcie wiszące w prawym górnym rogu. Przedstawiało obejmujących się chłopca i dziewczynkę w identycznych sweterkach. Dlaczego akurat ta fotografia przykuła jej uwagę?

- Naprawdę muszę już iść, panno Collins.

W głosie prawnika pojawiła się nuta zniecierpliwienia. Mimo to Meg zatrzymała się w drzwiach saloniku i jeszcze raz popatrzyła na zdjęcie dwojga dzieci, by w razie potrzeby móc bez trudu odtworzyć je w pamięci.

\*\*\*

Matka Berniego czuła się podle. Wszystko przez tę alergię. Ostatnio kichała prawie bez przerwy, a w dodatku łzały jej oczy. Wydawało się jej, że czuje przeciąg; czyżby Bernard zostawił otwarte okno w piwnicy?

Jednak nie powinna była pozwolić mu jechać do Chicago, nawet za dwieście dolarów dziennie. Czasem, kiedy zbyt długo przebywał poza domem, przychodziły mu do głowy różne głupie myśli. Zaczynał śnić na jawie i robić rzeczy, które mogły ściągnąć mu na głowę kłopoty

Te jego ataki wściekłości. Jeśli była w pobliżu, potrafiła przewidzieć ich nadejście i nie dopuścić do wybuchu. Dzięki niej Bernard żył jak porządny człowiek; karmiła go i opierała, pilnowała, żeby nie spóźniał się do pracy i nie włóczył się wieczorami, tylko siedział z nią i oglądał telewizję.

Od dłuższego czasu zachowywał się bez zarzutu, ale ostatnio znowu był jakby trochę dziwny.

Dlaczego nie zadzwonił? Chyba w Chicago nie zaczął od razu włóczyć się za jakąś dziewczuchą? Nigdy nie miał złych zamiarów; chodziło mu tylko o to, żeby ją dotknąć, ale jeśli dziewczyna zaczynała krzyczeć, wstępował w niego zły duch. Kilka z nich ciężko poturbował.

Ci z policji powiedzieli, że jeśli zrobi to jeszcze raz, nie pozwolą mu już wrócić do domu. Zamkną go na zawsze. On też o tym wiedział.

\*\*\*

Jedynie, co udało mi się ustalić ponad wszelką wątpliwość, to ile razy oszukał mnie mąż, pomyślała Catherine w późne piątkowe popołudnie, wstając od stołu zawalonego papierami przywiezionymi z biura. I jakie to ma teraz znaczenie? Sama rozdrapuję bardzo jeszcze świeże rany.

Spojrzała w okno; tak, nie ulega wątpliwości, że to już listopad. Łą trzy tygodnie Święto Dziękczynienia, więc należy się spodziewać wzmózonego ruchu w zajeździe.

Godzinę temu dzwoniła Virginia. Pośrednik w handlu nieruchomościami stawał się coraz bardziej natarczywy. Znowu pytał, czy rajd jest przeznaczony na sprzedaż. Nawet podał swoją cenę, nie leszkając zaznaczyć, że możliwe są negocjacje. Nalegał, żeby się spieszyć, bo klientowi zależy na szybkim sfinalizowaniu trans-

akcji, a jeśli sprawa będzie się przeciągać, to ma dla niego w zanzardzu inną, równie interesującą ofertę. Kto wie, może nawet mówił prawdę?

Catherine zastanawiała się, jak długo ona i Meg wytrzymają wzrastające z każdym dniem ciśnienie psychiczne.

Właśnie, Meg... Czy po ostatnich wydarzeniach zamknie się w sobie tak jak wtedy, kiedy Mac ożenił się z Ginger? Catherine nigdy nie zdradziła się przed córką, że wie, jak bardzo Meg była wtedy załamana. Dziewczyna zawsze szukała oparcia u Edwina. Nic dziwnego: ukochana córeczka tatusia. U nas to chyba rodzinne, pomyślała Catherine.

Naturalnie zauważyła, w jaki sposób ostatnio Mac spogląda na Meghan. Oby tylko nie było za późno. Edwin nigdy nie wybaczył matce, że go odrzuciła, a Meg z wysiłkiem wzniosła wysoki mur, odgradzając się od Maca. Mimo że bardzo lubiła Kyle'a, celowo nie zadała sobie trudu, aby wyciągnąć wnioski z faktu, iż chłopiec darzy ją niemal ślepym uwielbieniem.

Catherine dostrzegła kątem oka jakieś poruszenie w lesie i zamarała, sparaliżowana przerażeniem, ale prawie natychmiast się odprężyła. To tylko policjant. Dobrze, że mają dom na oku.

Rozległ się szczęk klucza przekreścanego w zamku.

Catherine westchnęła z ulgą; jej córka, dzięki której jeszcze jakoś była w stanie wszystko to wytrzymać, wróciła bezpiecznie do domu. Może teraz uda jej się wreszcie uwolnić od powracającego natrętnie obrazu: pierwsza strona dzisiejszej gazety, a na niej dwa zdjęcia - Meg oraz Annie.

Oba prawie takie same.

Jeden z kelnerów przyniósł pocztę z zajazdu. W „Daily News” obok fotografii dwóch młodych kobiet zamieszczono także kopię faksu, który Meg otrzymała tej nocy, kiedy zamordowano Annie. „CZY MORDERCA NAPRAWI SWÓJ BŁĄD?” pytano w wydrukowanym wielką czcionką tytule.

- Cześć, mamó. Już wróciłam.

»

Catherine na wszelki wypadek spojrzała jeszcze raz na policjanta patrolującego skraj lasu, po czym odwróciła się, by przywitać córkę.

Virginia Murphy formalnie była kelnerką w restauracji, ale w razie potrzeby pełniła także funkcję recepcjonistki, oprócz tego zaś była prawą ręką Catherine, zastępując ją oraz informując o wszystkim, co działo się w zajazdzie podczas jej nieobecności. Dziesięć lat młodsza od Catherine, o piętnaście centymetrów wyższa i znacznie bardziej zaokrąglona, w pełni zasługiwała nie tylko na miano znakomitego pracownika, lecz również dobrej przyjaciółki.

Znając sytuację, w jakiej znalazła się jej pracodawczyni, Virginia robiła wszystko, aby ułatwić jej życie. Codziennie modliła się, żeby Catherine nie musiała sprzedawać zajazdu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedy wreszcie ucichnie wrzawa i opadnie zainteresowanie mediów, jedyną szansą na powrót do normalnego życia będzie dla Catherine właśnie „Zajazd Drumdoe”.

Virginia miała do siebie wielki żal o to, że nie usiłowała przemówić Catherine do rozsądku, kiedy zjawił się ten zwariowany projektant z próbkami kosztownych wykładzin, obić i kafelków. Mało tego, przyklaskiwała wszystkim jej pomysłom, zamiast odciągnąć ją na stronę i zapytać, skąd ma zamiar wziąć na to pieniądze.

Teraz istotnie zajazd prezentował się znakomicie, ale okrutny los sprawił, że mimo wielkich nakładów być może trzeba będzie sprzedać „Drumdoe” za pół ceny.

Między innymi właśnie dlatego Virginia starała się chronić Catherine przed wszelkimi dodatkowymi troskami, ale coraz bardziej niepokoił ją gość, który wynajął pokój 3A. Od chwili, kiedy się wprowadził, prawie nie wychodził z pokoju, twierdząc, że jest wyczerpany ciągłymi podróżami między Long Island a New Haven, gdzie opiekował się leżącą w szpitalu matką. Rzecz jasna, z przynoszeniem mu posiłków do pokoju nie wiązał się żaden szczególny problem; kłopot polega jedynie na tym, że mężczyzna może być poważnie chory, jak by wyglądało, gdyby coś mu się stało podczas pobytu w zajazdzie? gma postanowiła zaczekać jeszcze jeden dzień. Jeżeli do jutra nic mieni, pójdzie na górę i sama z nim porozmawia. Spróbuje go onać, Zeby zgodził się na wizytę lekarza.

\*\*\*

W piątek późnym popołudniem do Maca zadzwonił Frederick Schuller ze szpitala w Trenton,

- Właśnie wysłałem pannie Collins listę osób zatrudnionych u nas w interesującym ją okresie. Czeka ją dość długa lektura, chyba że wie już, kogo powinna szukać.

- Jestem panu ogromnie wdzięczny, doktorze — powiedział szczerze Mac. - Nie spodziewałem się, że tak szybko da pan sobie z tym radę.

- Zobaczymy, czy moja pomoc do czegoś się przyda. Aha, jest jeszcze coś, co może pana zainteresuje. Przeglądając listę pracowników Kliniki Manninga znalazłem na niej nazwisko doktora Henry'ego Williamsa. Znam go. Obecnie kieruje Centrum im. Franklina w Filadelfii.

- Tak, wiem o tym.

- Williams nigdy u nas nie pracował, ale przypomniałem sobie, że w naszym szpitalu leżała jego żona, a on ją często odwiedzał. Miało to miejsce w okresie, kiedy Helenę Petrovic była sekretarką w naszym ośrodku.

- Myśli pan, że to właśnie on może być tym lekarzem, z którym się spotykała? - zapytał szybko Mac.

Schuller wyraźnie się zawahał.

- Rozmawiałem z siostrą oddziałową z oddziału, na którym leżała pani Williams. Pracuje tam od dwudziestu lat i doskonale pamięta zarówno ją, jak i jej męża.

Mac czekał w milczeniu na ciąg dalszy. Oby to było to, czego szukamy! - modlił się w duchu.

Nie ulegało wątpliwości, że Frederick Schuller toczy ze sobą ciężką walkę. Wreszcie, po kilkusekundowej przerwie, znowu zaczął mówić.

- Pani Williams cierpiała na nowotwór mózgu. Pochodziła z Rumunii. W miarę, jak jej stan ulegał pogorszeniu, traciła zdolność porozumiewania się po angielsku. Ponieważ doktor Williams znał po rumuńsku zaledwie kilka słów, podczas każdych odwiedzin towarzyszyła mu kobieta pełniąca funkcję tłumaczki.

Helene Petrovic?

Nigdy jej nikomu nie przedstawił. Według siostry oddziałowej była ciemnowłosą, brązowooką kobietą w wieku czterdziestu kilku lat, bardzo zadbaną i atrakcyjną. Jak pan widzi, to nic konkretnego.

Wręcz przeciwnie, pomyślał Mac. Jeszcze raz serdecznie podziękował doktorowi Schullerowi, a odłożywszy słuchawkę rąbnął pięścią w otwartą dłoń.

Wreszcie jest jakiś punkt zaczepienia! Według relacji Meg doktor Williams kategorycznie zaprzeczył, jakoby znał Helenę Petrovic przed jej pojawieniem się w Klinice Manninga. Williams był znakomitym specjalistą w swojej dziedzinie, mógł więc wyszkolić Petrovic w taki sposób, żeby mogła udawać embriologa.

# 54

**K**yle, czy przypadkiem nie powinieś wziąć się za odrabianie lekcji? - upomniała łagodnie chłopca Marie Dileo, sześćdziesięcioletnia korpulentna pani zajmująca się domem i chłopcem podczas nieobecności Maca.

Kyle oglądał zarejestrowany przez siebie wywiad, który Meg przeprowadziła w Centrum im. Franklina.

- Jeszcze chwilę, pani Dileo. Słowo honoru.

- Chyba wiesz, co mówi twój tata, kiedy zbyt długo oglądasz telewizję?

- Ale to jest przecież program oświatowy, a nie kreskówki. Marie Dileo potrząsnęła głową.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź.

**M**imo to uśmiechnęła się wyrozumiale. Bardzo lubiła Kyle'a, który-

**W** był miłym, bystrym dzieckiem.

Wreszcie chłopiec wyłączył magnetowid.

- Meg jest świetną reporterką, prawda?

- Oczywiście.

Kyle ruszył za Marie do kuchni, za nimi zaś podążył Jake.

**A** - Zdaje się, że wróciłeś od Danny'ego trochę wcześniej niż zwykle?

-Aha.

Zakręcił miską z owocami,

**U** - Nie rób tego, bo zrzucisz ją na podłogę. Dlaczego nie zostałeś Danny'ego tyle co zawsze?

- Bo jego mama zdenerwowała się na nas.

- Naprawdę? - Gospoia na chwilę przestała zajmować się przygotowywaniem pieczeni. - Przypuszczam, że miała jakiś powód?

- Rodzice Danny'ego zrobili sobie zsyp na brudną bieliznę, więc postanowiliśmy go wypróbować.

- Kyle, przecież ani ty, ani Danny nie zmieścilibyście się do zsypu na brudną bieliznę!

- My nie, ale Penny weszła bez problemu.

- Wsadziliście tam Penny?!

- To był pomysł Danny'ego. Od wkładał ją na górze, a ja łapałem na dole. Na wszelki wypadek ułożyliśmy wielką górę z poduszek i kołder, gdybym jej nie zdążył złapać, ale wszystko było w porządku. Penny bardzo się to podobało, ale potem przyszła mama Danny'ego i okropnie nas skrzyczała. Powiedziała, że za karę nie będziemy mogli bawić się razem przez cały tydzień.

- Kyle, na twoim miejscu odrobiłabym lekcje, zanim twój ojciec wróci do domu. Wątpię, żeby był zachwycony, kiedy o tym usłyszy.

- Wiem, wiem...

Kyle westchnął głęboko, po czym wysypał zeszyty na kuchenny stół. Jake bezzwłocznie zwinął się w kłębek na podłodze u jego stóp.

Pan MacIntyre zupełnie niepotrzebnie kupował mu biurko na urodziny, pomyślała Marie. Właśnie miała zamiar nakryć do stołu, ale po namyśle stwierdziła, że może z tym jeszcze poczekać. Było dopiero dziesięć po piątej. Zazwyczaj przygotowywała obiad i wychodziła do domu zaraz po powrocie Maca, czyli około szóstej. Nie lubił od razu siadać do stołu, więc on i Kyle jedli obiad nieco później, już po wyjściu pani Dileo.

Zadzwonił telefon, ale zanim gospoia zdążyła ruszyć się z miejsca, Kyle zerwał się na równe nogi.

**J**a odbiorę! - Podniósł słuchawkę, ale po chwili oddał ją Marie. - To do pani.

Dzwonił mąż Marie z informacją, że jej przebywający w domu spokojnej starości ojciec został przewieziony do szpitala.

- Coś się stało? - zapytał Kyle, kiedy kobieta odłożyła słuchawkę.

- Tak. Zachorował mój ojciec. Jest bardzo stary, więc muszę jak najprędzej jechać do szpitala. Podrzucę cię do Danny'ego i zostawię kartkę twojemu tacie.

- Tylko nie do Danny'ego! - wykrzyknął chłopiec z przerażeniem.
- Proszę zawieźć mnie do Meg. Zaraz do niej zadzwonię.

Nacisnął jeden z przycisków pamięci na aparacie. Numer Meg znajdował się zaraz za numerami policji i straży pożarnej.

Powiedziała, że na mnie czeka i że mogą przyjeżdżać choćby zaraz! - oznajmił radośnie chwilę później.

Pani Dileo napisała kilka słów dla Maca.

- Tylko nie zapomnij zabrać ze sobą zeszytów.
- W porządku.

Kyle pobiegł do pokoju i zgarnął ze stolika kasetę z nagrany programem Meghan. Może będzie chciała obejrzeć go jeszcze raz?

\*\*\*

Catherine nie miała pojęcia, co może być przyczyną gorączkowej aktywności Meghan. W ciągu dwóch godzin, jakie minęły od jej powrotu, dziewczyna zdążyła przekopać się przez dokumenty Edwina, odłożyć na bok kilka z nich oraz wykonać kilka telefonów z gabinetu. Potem długo siedziała przy biurku ojca, notując coś zawzięcie. Catherine przypominała sobie okres studiów córki; choć Meg przyjeżdżała na weekendy do domu, to spędzała je głównie przy biurku, szperając w prawniczych książkach i sporządzając notatki.

O piątej matka zdecydowała się zaryzykować i wetknęła głowę do gabinetu.

- Pomyślałam sobie, że zrobię na obiad kurczaka z grzybami. Może być?
- Oczywiście. Usiądź na chwilę, mamo.

Catherine wybrała krzesło stojące naprzeciwko biurka. Jej wzrok przeslizgnął się po rozłożystym fotelu Edwina i otomanie. Meg powiedziała, że identyczne meble znajdują się w Arizonie; jeszcze niedawno stanowiły bliską jej sercu pamiątkę po mężu, a teraz ledwo mogła znieść ich widok.

Meg oparła łokcie na biurku, złączyła dłonie i podsunęła je pod brodę.

- Dziś rano odbyłam bardzo sympatyczną rozmowę z księdzem Radzinem. To on odprowadził mszę żałobną za Helenę Petrovic. Powie-

działam mu, że nie jestem w stanie znaleźć choćby jednego powodu, dla którego tata mógłby umieścić Petrovic w Klinice Manninga, a on odparł coś w tym rodzaju, że każde ludzkie działanie musi mieć jakąś przyczynę i że jeśli nie potrafię jej dostrzec, to może powinnam spojrzeć na całą sprawę z zupełnie innego punktu widzenia.

- Co masz na myśli, kochanie?

- Mamo, w krótkim okresie czasu zważyło nam się na głowę mnóstwo bolesnych przeżyć. Najpierw zobaczyłam w szpitalu umierającą Annie, potem dowiedziałymy się, że tata niemal na pewno nie zginął w wypadku na moście i zaczęłyśmy podejrzewać go o prowadzenie podwójnego życia. Niewiele później zaczęto go poszukiwać w związku ze sprawą sfalszowanych referencji Heleny Petrovic, teraz zaś policja podejrzewa, że miał jakiś związek z jej morderstwem. - Dziewczyna pochyliła się do przodu. - Gdyby nie wstrząsnęła nami wiadomość o jego podwójnym życiu i o śmierci Petrovic, z pewnością zastanowiłybyśmy się, czy aby na pewno w chwili wypadku tata był na tym moście.

- Jak to? — wykrztusiła ze zdumieniem Catherine. — Przecież Victor Orsini rozmawiał z nim przez telefon, kiedy twój ojciec właśnie dojeżdżał do mostu, a oprócz tego jeden ze świadków widział, jak jego samochód spada do rzeki!

- Ten świadek najzwyczajniej w świecie się pomylił, a co do rozmowy przez telefon, to wiemy o niej wyłącznie od Orsiniego. Założmy przez chwilę, że tata zadzwonił do niego już po przejechaniu przez most. Przymuszczałnie widział we wstecznym lusterku, co się tam zdarzyło. Frances Grolier powiedziała mi, że tata był z jakiegoś powodu wściekły na Victora, a po telefonicznej rozmowie z Manningiem sprawiał wrażenie zupełnie wytrąconego z równowagi. Ja byłam wtedy w Nowym Jorku, ty w zajeździe. Wcałe bym się nie dziwiła, gdyby okazało się, że tata postanowił spotkać się z Orsinim natychmiast, a nie dopiero nazajutrz rano, jak twierdzi Victor. W życiu osobistym tata często wahał się i nie potrafił podjąć decyzji, ale w sprawach zawodowych rzadko kiedy miewał wątpliwości.

- Sugerujesz, że Victor kłamie? - zapytała Catherine Collins.

- Ijyłoby to kłamstwo bardzo trudne do wykrycia, nie sądzisz? rzecież zgadza się miejsce i pora, o której przeprowadzono rozmowę



wę... Mamo, kiedy Helenę Petrovic podejmowała pracę w Klinice Manninga, Victor od miesiąca pracował już w firmie taty.

- Phillip nigdy go nie lubił... - mruknęła Catherine. - Meg, nie widzę sposobu, w jaki mogłabyś to udowodnić. Poza tym znowu pojawia się to samo pytanie: dlaczego? Dlaczego Victorowi miałyby załżeć na skierowaniu tej kobiety do pracy w laboratorium? Co chciał w ten sposób osiągnąć?

- Na razie tego nie wiem, ale czy nie zdajesz sobie sprawy, że jak długo policja będzie wierzyła, że tata żyje, tak długo nie zacznie poważnie traktować innych możliwości wyjaśnienia zabójstwa Helenę Petrovic?

Zadzwoił telefon.

- Założę się, że to Phillip - powiedziała Meg, podnosząc słuchawkę. Okazało się jednak, że to Kyle.

- Mamy gości na obiedzie - oznajmiła chwilę później. - Spróbuj jakoś rozmnożyć tego kurczaka.

-Mac i Kyle?

-Tak jest.

- Znakomicie. - Catherine wstała z krzesła. - Meg, chciałabym wierzyć w te nowe teorie przynajmniej w połowie tak mocno, jak ty. Na razie jednak nawet w moich uszach twoje argumenty brzmią jak rozpaczliwa próba obrony dobrego imienia ojca i nic więcej.

Córka pokazała jej zadrukowaną kartkę.

- To styczniowy rachunek za telefon zainstalowany w samochodzie taty. Popatrz, ile kosztowała ostatnia rozmowa. Trwała prawie dokładnie osiem minut. Chyba nie trzeba aż ośmiu minut, żeby umówić się na spotkanie?

- Kochanie, nie zapominaj, że na liście do Kliniki Manninga widnieje podpis ojca. Grafolodzy nie mają co do tego żadnych wątpliwości.

Po obiedzie Mac zaproponował, żeby Kyle pomógł Catherine sprzątać ze stołu. Jak tylko zostali z Meghan sami w salonie, opowiedział jej o związkach doktora Williamsa z Trenton, a być może także z Helenę.

Meghan wytrzeszczyła oczy.

- Doktor Williams! Mac, on kategorycznie stwierdził, że poznał Helenę Petrovic dopiero w Klinice Manninga. Recepcjonistka z kliniki widziała ich razem w restauracji. Zapytałam go o to, a on wyjaśnił, że miał zwyczaj zapraszać na kolację każdego nowego pracownika. Wiesz, taki przyjacielski gest ułatwiający zaaklimatyzowanie się w środowisku.

- Meg, wydaje mi się, że trafiliśmy na bardzo istotny ślad, ale w dalszym ciągu nie mamy pewności, czy to właśnie Helenę była tłumaczką Williamsa podczas jego odwiedzin u chorej żony.

- Przecież wszystko się zgadza! Williams i Petrovic mają ze sobą romans. Ona bardzo interesuje się pracą w laboratorium, a on pomaga jej sfałszować zyciorys, wystawia wyssane z palca referencje, potem zaś, kiedy ona zjawia się w klinice, tuszuje jej błędy.

- Ale przecież Williams odszedł z Kliniki Manninga pół roku po przyjeździe Petrovic. Dlaczego miałyby to robić, skoro łączyło ich coś więcej niż przyjaźń?

- Helenę mieszkała w New Jersey, a więc niezbyt daleko od Filadelfii. Jej siostrzenica twierdziła, że ciotka często wyjeżdżała na cały weekend; prawdopodobnie spędzała ten czas właśnie z Williamsem.

- A jak to wszystko się ma do listu polecającego podpisanego przez twojego ojca? Miał wszelkie powody po temu, by ręczyć za Williamsa, który jest fachowcem wysokiej klasy, ale co mogło go skłonić do wystawienia pochlebnej opinii Helenę?

- Na ten temat także mam pewną teorię, w której główną rolę odgrywa Victor Orsini.

Uśmiechnęła się do Maca. Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki zobaczył na jej twarzy od bardzo dawna.

Stali przed kominkiem, zwróceniu twarzami do siebie. Mac objął dziewczynę i spróbował ją przytulić, lecz ona natychmiast zeszytniała i usiłowała się odsunąć. Nie pozwolił na to.

- Ustalmy coś, Meghan - powiedział poważnym tonem. - Dziewięć lat temu miałaś całkowitą rację. Ogromnie żałuję, że wtedy tego nie rozumiałem. - Umilkł na chwilę. - Jesteś dla mnie stworzona. Wiem o tym i ty też o tym wiesz. Nie wolno nam tracić czasu. - Pocałował ją mocno, po czym uwolnił z uścisku i cofnął się o krok. - Nie pozwo-



le, żebyś mnie ciągle odtrącała. Jak tylko twoje życie wróci do normy, porozmawiamy na nasz temat.

\*\*\*

Kyle uparł się, że musi pokazać taśmę z nagraniem programem Meg.

- To tylko trzy minuty, tatusiu. Chcę pokazać Meg, że potrafię już nagrywać z telewizji.

- Marudzisz, ale niech ci będzie - odparł Mac. - Aha, tak przy okazji: kiedy byłem w domu, zadzwoniła do mnie mama Danny'ego. Jesteś uziemiony. Pokaż Meg to nagranie, ale potem na tydzień zapomnij o telewizji.

- Co nabroiłeś? - zapytała szeptem Meg, kiedy Kyle usiadł obok niej na kanapie.

- Później ci powiem. Patrz, już się zaczyna.

Wszyscy skierowali wzrok na ekran.

- Dobra robota, Kyle - pochwaliła Meg chłopca.

Tej nocy Meghan długo leżała w łóżku z otwartymi oczami. Myśli tłukły się jej po głowie w szalonej gonitwie. Doktor Williams i Helenę Petrovic, Victor Orsini, Mac... Powiedziałam policji, żeby na chwilę zapomnieli o moim ojcu, to na pewno znajdą zabójcę. Mac...

O nim na razie nie chciała myśleć.

Tyle spraw, że nie chciały jej się pomieścić w głowie, a jednak zdawała sobie sprawę, że coś jej umknęło, coś bardzo, ale to bardzo ważnego. Co to mogło być? Na pewno miało jakiś związek z nagraniem wywiadu, jaki przeprowadziła w Centrum im. Franklina w Filadelfii. Poproszę Kyle'a, żeby jutro pożyczył mi tę taśmę, postanowiła. Muszę obejrzeć ją jeszcze raz.

Bernie miał wrażenie, że ten piątek nigdy się nie skończy.

Wstał dopiero o wpół do ósmej, jak na niego naprawdę bardzo późno, i od razu domyślił się, że zaspał i że Meg wyszła już z domu. Załuzje w oknie jej pokoju były podniesione, a łóżko zasłane.

Powinien zadzwonić do matki, ale bał się. Gdyby się domyśliła, że wcale nie pojechał do Chicago, na pewno by się wściekła i kazała mu natychmiast wracać do domu.

Przez cały dzień siedział przy oknie, obserwując dom Meghan i czekając na jej powrót. Przyciągnął aparat najbliżej jak mógł, żeby nie przerywać obserwacji nawet wtedy, kiedy dzwonił, by zamówić śniadanie, a później lunch.

Przed samym przyjściem kelnera przekręcił klucz w zamku, a kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wskoczył w ubraniu do łóżka i zawołał: „Proszę wejść!” O mało nie oszalał z niecierpliwości, kiedy kelner guzdrał się z tacą; przecież Meghan mogła właśnie wtedy przyjechać do domu!

Krótko po lunchu zastukała pokojówka, a kiedy nie odpowiedział, otworzyła drzwi uniwersalnym kluczem. Na szczęście Bernie przewidział taką sytuację i założył łańcuch. Wiedział, że przez szczelinę kobieta nie zobaczy wnętrza pokoju.

- Czy mogę zmienić pościel? - zapytała.

Uznał, że będzie lepiej, jeśli pozwoli jej to zrobić. Zależało mu na tym, by nie wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń. Jednak kiedy kobieta mijała go, odniósł wrażenie, że przygląda mu się badawczo. Z trudem zmusił się, żeby się do niej uśmiechnąć i podziękować, gdy wychodziła z pokoju.

Późnym popołudniem przed dom wreszcie zajechał biały mustang. Bernie przycisnął nos do szyby; widok Meghan od razu poprawił mu samopoczucie.

Około wpół do szóstej jakaś starsza pani przywiozła dzieciaka, który wpadł na niego w lesie. Gdyby nie ten szczeniak, Bernie mógłby w dalszym ciągu filmować Meg spomiędzy drzew, być bliżej niej, dokładnie widzieć każdy jej gest, drgnięcie powieki, grymas ust... Nienawidził przekłętego gówniarza.

Nie przyszło mu do głowy, żeby zamówić obiad. Po prostu nie był głodny. Wreszcie, o wpół do jedenastej, długie oczekiwanie dobiegło końca: Meghan włączyła światło w swojej sypialni i zaczęła szykować się do snu.

Jakaż była piękna!

- Gdzie jest Orsini? - zapytał Phillip w piątek o czwartej po południu.

- Miał się z kimś spotkać na mieście, proszę pana. Powiedział, że wróci około wpół do piątej.

Jackie toczyła ze sobą ciężką walkę, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić. Zirykowany pan Carter zawsze budził w niej lęk; pan Collins nigdy nie okazywał zdenerwowania. Jednak teraz szefem był właśnie pan Carter, a wczoraj wieczorem mąż Jackie, Bob, powiedział jej, że powinna donieść pracodawcy, że Victor Orsini przychodził nocą do biura i przeglądał dokumenty.

„A może to robi sam pan Carter?” - zastanawiała się na głos.

„Jeśli tak, to tylko doceni twoją lojalność. Pamiętaj, że jeśli między nimi dwoma dojdzie do jakiegoś nieporozumienia, tym, który odejdzie, będzie nie Carter, lecz Orsini”.

Bob miał rację.

- Panie Carter, to chyba nie mój interes, ale jestem prawie zupełnie pewna, że pan Orsini przychodzi tu w nocy i przegląda dokumenty.

Phillip Carter milczał co najmniej przez minutę, po czym odparł z kamienną twarzą:

- Dziękuję, Jackie. Kiedy wróci pan Orsini, powiedz mu, że chcę z nim natychmiast porozmawiać.

Nie chciałam być teraz w skórze pana Orsiniego, pomyślała.

Dwadzieścia minut później obie z Milly nawet nie starały się udawać, że nie słuchają z zapartym tchem dobiegającego zza zamkniętych drzwi podniesionego głosu Phillipa Cartera.

- Od dłuższego czasu podejrzewałem, że po cichu pracujesz dla Dowsena i Rosena. Przeżywamy teraz poważne kłopoty, a ty przygotowujesz sobie miękkie lądowanie, przekazując im poufne informacje dotyczące naszych klientów. Chyba jednak zapomniałeś, że w umowie znajduje się klauzula zabraniająca takich działań. Wynos się stąd i nie radzę ci, żebyś próbował się pakować; i tak już wyniosłeś wystarczająco dużo dokumentów. Rzeczy osobiste prześlemy ci pocztą.

- A wiec o to chodziloz - Szepnek Jackfe - TQ  
nie w porzadku z jego strony.

Ani ona, ani Milly nie podniosly spojzenia, kiedy Orsini mial ich

E& wSetS Gdby to " \*\* \* \* \* \* \*  
££

W sobote rano Catherine pojechała do zajazdu, by przejrzeć pocztę, i zastała Meg w gabinecie ojca, przeglądającą segregatory.

-Przynoszę ci sobie tutaj, bo w jadalni jest taki bałagan że nie mogę się skoncentrować. Victor z pewnością szukał czegoś bardzo ważnego, a my wciąż nie widzimy lasu zza drzew.

Catherine przyjrzała się córce. Potrzebowała sporo czasu, aby zorientować się, na czym polega ledwo uchwytna zmiana w wyglądzie Meghan która nie dawała jej spokoju co najmniej od kilku dni: włosy sięgały już do ramion i były zaczesane do tyłu. Natychmiast przypomniała sobie zdjęcie Annie zamieszczone w gazecie

- cŁTego?r "Drumdoe".

- Virginia zgadza się ze mną. Dług jest po prostu zbyt duży. Nie chcę doprowadzić do tego, żeby zajazd został zlicytowany.

- Mam przecież nawet w obecnych okolicznościach musi istnieć część pieniędzy zainwestowanych przez tatę w jego firmę!

- Gdbyśmy miały świadectwo zgonu, dostalibyśmy ubezpieczenie.

z. % of £ Z £ r to wapięczy długo " \* £ £

nie e wrażenie że ostat

o P f Wła się tu czaciej niż kiedykolwiek do tej pory.

-Po prostu stara się być uprzejmy, a ja w pełni to doceniam. Możę to coś więcej niż zwykła uprzejmość?

\*\* ^Z^ "•" - ^ « ^Wlle

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że Kyle nie grzeszy dyskrecją. Podglądał was z kuchni i donosił mi z wielką satysfakcją, że Mac cię pocałował.

- Nie interesuje mnie, co.

- Przestań, Meg! Catherine podeszła do biurka, otworzyła szufladę, wyjęła z niej plik listów i rzuciła na blat. - Nie zachowuj się jak twój ojciec, który na całe życie został emocjonalnym kaleką tylko dlatego, że nie był w stanie wybaczyć komuś, kto go raz odepchnął.

- Miał ku temu wszelkie powody!

- Jako dziecko, owszem. Jako dorosły mężczyzna, który ma kochającą go rodzinę - na pewno nie. Może nie musiały przez prawie trzydzieści lat latać do Scottsdale, gdyby jeden jedyny raz pojechał do Filadelfii i pogodził się z matką.

Meg uniosła brwi.

- Kiedy chcesz, potrafisz grać całkiem ostro, wiesz o tym?

- Jasne, że potrafię. Meg, ty przecież kochasz Maca. Zawsze go kochałaś. Na litość boską, weź się wreszcie w garść i przestań się bać, że Mac okaże się debilem i wróci do Ginger, gdyby przyszła jej ochota kiwnąć na niego palcem.

- Tata zawsze nazywał cię mocarną myszą...

Meg poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- I miał rację. Teraz wrócę do zajazdu i zadzwonię do pośrednika. Jedno mogę ci obiecać: będę targowała się tak długo, aż przypelźnie na kolanach, błagając o litość.

O wpół do drugiej, tuż przed wyjściem do zajazdu, Catherine zajrzała do gabinetu.

- Pamiętasz, jak wydawało mi się, że gdzieś już słyszałam nazwę tego sklepu z artykułami skórzanymi? Wydaje mi się, że matka Annie zostawiła taką samą wiadomość na naszej domowej sekretarce siedem lat temu, mniej więcej w połowie marca. Pamiętam, że to było akurat wtedy, bo byłam tak wściekła na Edwina, że nie wrócił do domu na twoje dwudzieste pierwsze urodziny, że kiedy wreszcie przyjechał, przywożąc ci w prezencie skórzaną torebkę, powiedziałam mu, iż najchętniej grzmotnęłabym go nią w głowę.

\*\*\*

W sobotę od samego rana matka Berniego czuła się paskudnie: kichała prawie bez przerwy, a w dodatku dokuczały jej zatoki i drapało ją w gardle. Musiała coś z tym zrobić.

Wszystko przez Bernarda; z pewnością nie posprzątał w piwnicy i teraz kurz rozprzestrzenił się po całym domu.

Jej irytacja rosła z każdą minutą. Wreszcie o drugiej po południu poczuła, że dłużej już tego nie wytrzyma. Musi zejść na dół i posprzątać. Najpierw zrzuciła do piwnicy szczotkę i szufelkę, potem napchała szmat do plastikowej torby i także cisnęła ją na dół. Torba wyładowała tuż obok szczotki. Uporawszy się z tym zadaniem, matka Berniego zawiązała fartuch i ostrożnie dotknęła poręczy; nawet nie wyglądało to najgorzej. Będzie szła bardzo ostrożnie, schodek po schodku, najpierw sprawdzając wytrzymałość każdego stopnia, a dopiero potem przenosząc nań ciężar ciała. Do dzisiaj nie miała pojęcia, jak doszło do wypadku przed dziesięciu laty; jakby nigdy nic szła po schodach i nagle straciła przytomność, a kiedy ją odzyskała, leżała w karetce pędzącej do szpitala.

Posuwała się naprzód powoli, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. No, udało się, pomyślała, kiedy wreszcie stanęła na cementowej posadzce. Chwilę później zawadziła nogą o torbę ze szmatami i runęła ciężko na podłogę.

W

piwnicy rozległ się wyraźny trzask łamanej kości.

Jak tylko matka wróciła do zajazdu, Meghan wykreśliła domowy numer Phillipa.

- Cieszę się, że cię zastałam - powiedziała, gdy podniósł słuchawkę. - Bałam się, że pojechałeś do Nowego Jorku albo na jakąś aukcję.

- Postanowiłem trochę odpocząć, bo mam za sobą paskudny tydzień. Wczoraj po południu musiałem wyrzucić z pracy Victora.

- Dlaczego? - spytała Meghan, zaskoczona i zaniepokojona nagłym zwrotem wydarzeń. Chciała mieć Victora pod ręką, żeby w razie potrzeby wypytać go o jego powiązania ze sprawą rekomendacji udzielonych Helenie Petrovic. Co będzie, jeśli wyjedzie z miasta, nie podając nowego adresu? Na razie nie mogła jeszcze podzielić się swymi podejrzeniami z policją, gdyż nie udało się jej zdobyć żadnych dowodów. Na to potrzebowała jeszcze czasu.

- To obmierzły typ, Meghan. Podkradał nam klientów. Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że twój ojciec od dawna podejrzewał go o coś takiego.

- Ja też tak uważam - odparła Meg. - Właśnie w tej sprawie dzwonię. Przypuszczam, że to właśnie on, korzystając z nieobecności taty, wysłał list rekomendujący Petrovic. Phillipie, wśród dokumentów, które zabrałyśmy z gabinetu taty, nie ma jego kalendarzy, w których zapisywał terminy wyjazdów i spotkań z klientami. Może zaplątały się gdzieś w biurze?

- Powinny być wśród papierów, które wzięłyście z Catherine.

- Mnie też się tak wydawało, ale ich nie ma. Phillipie, usiłuję skontaktować się z matką Annie. Jak ostatnia idiotka nie zapisałam sobie jej

domowego numeru telefonu. Mam wrażenie, że nie było w biurze tego dnia, kiedy wysłaliście do Kliniki Mannic Ijstrekomendujący Petrovic. To było 21 marca, zgadza się?

- Chyba tak.

- W takim razie prawie na pewno mam rację, \*m^tka Annie Jno- że to potwierdzić. Zadzwoiłam do jej prawnika, f^r^b co prawda me zgodził się podać jej numeru, ale obiecał, że przel^26 moją prośbę - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Jest jes2^c^e jedna sprawa. Wszystko wskazuje na to, iż doktora Williamsa ła^c^y z Helenę P^e^m trovic, nazwijmy to, nic głębokiej sympatii. Całki^2^1^1 tnożliwe, że to on jest tym mężczyzną, którego widziała jej sąsiad^3^1

- Meg, przecież to absurd! Masz jakieś dowody?

- Jeszcze nie, ale jestem pewna, że już niedługo J^e^z^i^o^b^e^d^e.

- Zachowaj ostrożność. Williams cieszy się wi^w^i szacunfci^em w kręgach naukowych, więc lepiej nie wymieniaj jeg^1^1^1 Wiska, dopóki nie będziesz miała czegoś na poparcie swoich os#^ar^z^ń.

\*\*\*

Frances Grolier zadzwoniła za kwadrans trzecia.

- Podobno chciałaś ze mną rozmawiać?

- Owszem. Powiedziała mi pani, że przez te ws^Ucie lata tylko kilka razy musiała pani zostawić memu ojcu zaszyfro^an^ wiadomość, podając się za ekspedientkę ze sklepu „Palomino”. c^y kiedykolwiek dzwoniła pani do naszego domu?

Grolier nie zapytała, do czego Meghan jest pot^\*^ze^na ta info^macja.

- Tak, jeden jedyny raz. Prawie siedem lat temu, "o^ładnie die- siątego marca. Annie miała ciężki wypadek samoch^o^V^y i lekarce nie dawali jej szans na przeżycie. Najpierw zadzwonił^1^1^1 do biura, &1^e okazało się, że ktoś wyłączył sekretarkę, a ja wiedziała^1^1^1 e Edwin o^a pewno jest w Connecticut i po prostu musiałam się z nitr^ skontaktować. Przyleciał następnego dnia i został dwa tygodni^\*^> znaczy

do

chwili, kiedy stało się jasne, że Annie jednak z tego w/J^ie.

Meg przypomniała sobie swoje dwudzieste pierwi^u^\*^ godziny, 1^a marca przed siedmiu laty. Eleganckie przyjęcie w zajeżó^nie - Telefon od

ojca. Złapał wirusową grypę i lekarz kazał mu zostać w łóżku. Dwustu gości, wśród nich Mac i Ginger, pokazujący wszystkim zdjęcia Kyle'a. Przez cały wieczór starała się uśmiechać i nie dać nikomu poznać, jak bardzo jest jej przykro, że nie ma przy niej ojca.

- Wszystko w porządku, Meghan? - zapytała z niepokojem Frances Grolier.

- Tak, oczywiście. Bardzo panią przepraszam. Przepraszam za wszystko. Powiedziała mi pani bardzo ważną rzecz. Teraz wiele może się zmienić.

Odłożyła słuchawkę; przez kilka minut myślała intensywnie, po czym zadzwoniła do Phillipa i powtórzyła mu to, czego dowiedziała się od Frances.

- Meg, jesteś niezwykłą dziewczyną.

- Wybacz, Phillipie, ale ktoś dzwoni do drzwi. To chyba Kyle. Poprosiłam go, żeby mi coś przyniósł.

- W porządku, nie ma sprawy. Aha, może lepiej nie rozmawiaj o tym z nikim aż do chwili, kiedy uzyskamy jasny obraz sytuacji.

- Oczywiście. Prokurator i tak mi nie wierzy, więc jemu powiem o wszystkim na samym końcu. Do usłyszenia, Phillipie. Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś nowego.

Kiedy szeroko uśmiechnięty Kyle przekroczył próg, Meghan schyliła się i pocałowała go w policzek.

- Tylko żebyś nigdy tego nie robiła przy moich kolegach! - ostrzegł ją.

- Dlaczego?

- Mama Jimmy'ego zawsze czeka przed domem i całuje go, jak tylko Jimmy wysiądzie z autobusu. Mówię ci, to obrzydliwe!

- W takim razie, dlaczego teraz pozwoliłeś się pocałować?

- Bo prywatnie to co innego. Nikt nas nie widział. Poza tym, wczoraj całowałaś się z tatą.

- To on mnie pocałował.

- Co, fajnie było?

Meg zastanowiła się przez chwilę.

- Powiedzmy, że nie było to obrzydliwe. Masz ochotę na mleko i ciastka?

- Jasne. Przyniosłem ci tę taśmę. Dlaczego chcesz ją obejrzeć jeszcze raz?

- Szczerze mówiąc, sama nie wiem.

- W porządku, mnie tam wszystko jedno. Tata powiedział, że będzie za jakąś godzinę. Pojechał po coś do sklepu.

Meghan przyniosła ciastka i szklanki z mlekiem, a kiedy oboje rozsiedli się wygodnie - ona na kanapie, chłopiec na podłodze u jej stóp - i Kyle pilotem włączył odtwarzanie, dziewczyna poczuła, jak serce bije jej w przyspieszonym tempie. Co takiego tam zobaczyłam? - zadała sobie po raz kolejny to samo pytanie.

Odpowiedź uzyskała w chwili, kiedy po zakończonej rozmowie z doktorem Williamsem kamerzysta wykonał zbliżenie wiszących na ścianach gabinetu fotografii dzieci, które przysły na świat w Centrum im. Franklina. Meg wyrwała Kyle'owi pilota.

- Przecież to już prawie koniec! — zaprotestował.

Wpatrywała się z natężeniem w zdjęcie przedstawiające dwoje dzieci: dziewczynkę i chłopca ubranych w identyczne sweterki. Taka sama fotografia wisiała w saloniku w domu Heleny Petrovic w Lawrenceville.

- Wcale nie „prawie”, Kyle - odparła. - To już naprawdę koniec. Wreszcie wszystko rozumiem.

Zadzwonił telefon.

- Zaraz wracam - powiedziała, podnosząc się z kanapy.

- Ja tymczasem przewinę taśmę. Wiem, jak to się robi.

- Meg, czy jesteś sama? - usłyszała w słuchawce podekscytowany głos Phillipa Cartera.

- Jak dobrze, że dzwonisz, Phillipie! Właśnie znalazłam dowód na to, że Helena Petrovic знаła doktora Williamsa. Wiem też chyba, co robiła w Klinice Manninga.

Carter sprawiał wrażenie, jakby jej nie słyszał.

- Jesteś sama? - powtórzył pytanie.

- Tylko z Kyle'em.

- Możesz odwieźć go do domu?

- Mac pojechał do sklepu, ale mogę zostawić chłopca w zajęździe. Co się stało?



W głosie Cartera pojawiła się nuta hysterii.

- Przed chwilą dzwonił do mnie Edwin! Chce się spotkać z nami obojgiem. Waha się, czy powinien się oddać w ręce policji. Wygląda na to, że jest naprawdę zdesperowany. Nie mów o tym nikomu, dopóki z nim nie porozmawiamy.

- Tata? - wykrztusiła Meghan z niedowierzaniem. - Tata dzwonił do ciebie? - Zakreśliło się jej w głowie, więc chwyciła się kurczowo krawędzi stołu. - Gdzie on jest? Muszę się z nim natychmiast zobaczyć!

## 56

Odzyskawszy przytomność, matka Berniego próbowała wzywać pomocy, ale szybko przestała krzyczeć, gdyż doskonale zdawała sobie sprawę, że i tak nikt jej nie usłyszy. Nie miała również żadnych szans na to, by wspiąć się po schodach do mieszkania. Pozostawało jej tylko jedno: doczołgać się do telefonu, który Bernie zainstalował w piwnicy. Przeklęty Bernard! To wszystko jego wina! - pomyślała. Dlaczego nie utrzymywał tu porządku, chociaż tyle razy go o to prosiłam? Ból promieniował z opuchniętej kostki, obejmując już niemal całą nogę. Kobieta rozpaczliwie łapała powietrze szeroko otwartymi ustami. Wydawało się jej, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Wreszcie udało się jej dopełznąć do obszernej wnęki, którą jej syn zaadaptował dla swoich potrzeb i chociaż prawie odchodziła od zmysłów z bólu, to jednak poczuła, jak ogarnia ją potworna wściekłość na widok zgromadzonego tam sprzętu. Ten wielki telewizor, te wszystkie radia i inne urządzenia! Co on sobie wyobraża, żeby wyrzucać pieniądze na takie głupstwa!

Telefon stał na starym kuchennym stole, który Bernie przytąszczył do piwnicy ze śmietnika, gdzie wystawili go sąsiedzi. Nie mogła sięgnąć tak wysoko, więc szarpnęła za przewód i aparat spadł z łoskotem na podłogę.

Na szczęście nic się nie zepsuło. Matka Berniego podniosła słuchawkę i z wysiłkiem wykręciła 911. Kiedy w chwilę potem odezwał się dyspozytor, poprosiła o przysłanie karetki, podała nazwisko i adres, po czym znowu straciła przytomność.



\*\*\*

- Kyle, muszę zostawić cię w zajeździe - powiedziała Meghan do chłopca. - Napiszę kartkę twojego taty i wetknę ją w drzwi. Powiedz mojej mamie, że zdarzyło się coś nieprzewidzianego i musiałam nagle wyjechać.

- Dlaczego jesteś taka zdenerwowana! Meg?
- Zdenerwowana? Wcale nie! Daje ci się po prostu mam przygotować relację z bardzo wagi wydarzenia.
- To świetnie.

Meghan ruszyła sprzed zjazdu dopiero wówczas, kiedy Kyle dotarł do drzwi. Zatrzymał się i pomachał do niej, a ona uśmiechnęła się z wysiłkiem i nacisnęła pedał gazu.

Umówiła się z Phillipem na skrzyżowaniu w West Redding, mniej więcej trzydzieści kilometrów od Newtown.

- Potem pojedziesz za nią - powiedział jej przez telefon. - Stamtąd jest już niedaleko, ale sama na pewno nie trafiłabyś na miejsce.

Dziewczyna nie wiecie co o tym sądzić w jej głowie kłębiły się sprzeczne myśli. Tata żyje i jest zdesperowany! Ale dlaczego? Z pewnością nie dlatego, że zamordował Helenę Petrovic! Boże, spraw, żeby to nie było to!

Kiedy wreszcie dotarła do skrzyżowania mało uczęszczanych bocznych dróg, natychmiast dostrzegła czarnego cadillaca Phillipa. Nie pozwolił jej się zatrzymać, tylko wystawił rękę przez okno i dał znak, żeby jechała za nim. Kilometr dalej skręcił nagle w wąską gruntową drogę; po pięćdziesięciu metrach także samochód Meghan zniknął między gęstymi drzewami. Nawet gdyby ktoś przejeżdżał szosą, z pewnością nie udało by mu się go dostrzec.

Victor Orsini wcale nie był zdziwiony piątkowym wybuchem wściekłości Phillipa Cartera. Już dawno zadawał sobie pytania „czy”, tylko „kiedy” to się stanie. Na szczęście niemal w ostatniej chwili udało mu się znaleźć to, czego szukał. Po wyjściu z biura wsiadł do samochodu, pojechał prosto do domu nad jeziorem Candlewood, zrobił

sobie martini, usiadł przy oknie i spoglądając na spokojną tafłę jeziora zaczął się zastanawiać, co teraz powinien uczynić.

Dowody, które zebrał, z pewnością nie wystarczyłyby do wygrania sprawy w sądzie. Poza tym nie mógł przecież powiedzieć wszystkim, bo wtedy zaszkodziłby samemu sobie.

Pracował u Collinsa i Cartera przez siedem lat, lecz nagle okazało się, że najważniejszy był pierwszy miesiąc; pełnił funkcję kłamry spinającej wydarzenia, których finał rozegrał się całkiem niedawno.

Victor spędził piątkowy wieczór rozważając różne warianty postępowania, a następnego ranka urządził sobie godzinny bieg brzegiem jeziora, by po raz ostatni zastanowić się, czy podjął właściwą decyzję. Wreszcie o wpół do trzeciej po południu zadzwonił pod numer, który dał mu Marron. Podświadomie oczekiwał, że nie zostanie detektywa w pracy, ale Marron podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

Victor przedstawił się, a następnie powiedział spokojnym, rzeczowym tonem, który nieodmiennie wzbudzał zaufanie klientów: - Czy mógłbym wpaść do pana na pół godzinki? Wydaje mi się, że wiem, kto zamordował Helenę Petrovic.

\*\*\*

Kyle zatrzymał się przy drzwiach zjazdu, obejrzał na Meghan i pomachał do niej, a potem przyglądał się, jak odjeżdża. Dostała do zrobienia reportaż. Fajowo. Szkoda, że nie mogła zabrać go ze sobą. Do tej pory myślał, że w przyszłości zostanie lekarzem, jak tata, ale teraz doszedł do wniosku, że dziennikarze mają znacznie ciekawsze życie.

Chwilę potem z parkingu wystrzelił z piskiem opon zielony chevrolet. Za kierownicą siedział ten sam mężczyzna, który dzięki znakomitemu refleksowi ocalił życie Jake'owi. Szkoda, że nie wiedziałem, że tu jest, podziękowałbym mu, pomyślał Kyle, odprowadzając wzrokiem samochód. Skręcił w tym samym kierunku, co Meghan.

Chłopiec wszedł do budynku i natychmiast zobaczył siedzące w recepcji matkę Meg oraz panią Murphy. Obie miały poważne miny.

- Dzień dobry - przywitał się grzecznie.
- Co ty tu robisz, Kyle? Catherine natychmiast się zreflektowała; chyba jednak nie należy w ten sposób witać siedmioletnich chłopców.

To ztr<sup>czΛ</sup> chci<sup>Λ\*111</sup> zapytać, czy wpadliście z Meg na lody, czy po coś innego-

yleg tylko mnie podwiozła i kazała zostać z panią. Zadzwonili do niej ze ma s2 ybko jechać robić reportaż.

Rozmawiała ze swoim szefem?

J4ie wiem z kim, ale od razu zaczęła się okropnie spieszyć.

pyłoby wspaniale, gdyby znowu zaczęła dostawać zlecenia - powiedzie Catherine do Virginii. - Na pewno bardzo podniosłoby ją to na duchu.

Jeż tak uważam - odparła przyjaciółka. - Wracając do tego gościa z 3A: jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Szczerze mówiąc, wydaie rfl<sup>sΛe></sup> ze coś 2 mm jest me w porządku.

Tylko tego nam jeszcze trzeba!

i twoim zdaniem to normalne, że ktoś przez trzy dni nie wystawia n<sup>osa</sup> z P<sup>ok°J</sup> a potem wypada z niego jakby się paliło i pędzi do wwiści<sup>a</sup> przewracając po drodze ludzi? Nie widziałaś go, ale zapewniam c<sup>pe</sup> ze n<sup>pe</sup> wygnał<sup>na</sup> chorego. Zbiegł ze schodów przeskakując tr<sup>^y</sup> spodnie, a w dodatku miał ze sobą dużą kamerę.

W takim razie rozejrzyjmy się po jego pokoju - zdecydowała Catherine. - Chodź z nami, Kyle.

2»raz po otwarciu drzwi poczuły wyraźny zapach stęchlizny.

Czy ktoś tu sprzątał od chwili, kiedy on się wprowadził?

Nie - odparła Virginia Murphy. - Betty mówiła, że z wielkimi ora<sup>mi</sup> pozwolił jej zmienić pościel, a kiedy zapytała, czy może po-sprzątać, prawie wyrzucił ją za drzwi.

Jednak chyba wstawał czasem z łóżka. Spójrz, przysunął sobie fotel <i<sup>o</sup> o<sup>k<sup>na</sup></sup> - Nagle Catherine zmarszczyła brwi. - Zaczekaj chwili

i Podeszła do okna, usiadła w fotelu i spojrzała przez szybę. -

Q ^óJ Boże... -wyszeptała.

Co się stało?

Stąd można zajrzeć prosto w okno sypialni Meghan!

Catherine zerwała się z fotela, podbiegła do telefonu, zerknęła na lcartk? z n<sup>urmera</sup>mi alarmowym i podniosła słuchawkę.

policja stanowa, przy aparacie porucznik Thorne.

, Mówi Catherine Collins z „Zajazdu Drumdoe" w Newtown.

Wydaje mi się, że mężczyzna, który mieszkał w zajeździe, obserwował nasz dom. Przez kilka dni nie wychodził z pokoju, a teraz nagle wybiegł i odjechał w wielkim pośpiechu. Zasłoniła ręką mikrofon. - Kyle, czy widziałeś, żeby jakiś samochód ruszył za Meg, po tym jak wysadziła cię przy zajeździe?

Chłopiec wyczuł, że coś jest nie w porządku, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby przyczyną zamies<sup>2am</sup> i m<sup>óg</sup> być ten miły człowiek, który był takim znakomitym kierowcą.

- Nic się nie bójcie, ten gość z zielor<sup>ego</sup> chevroleta jest w porządku. Zatrzymał wóz prawie w miejscu, ki<sup>cc</sup> y tydzień temu przejeżdżał obok naszego domu, a Jake wyskoczył mu prosto pod koła.

- Pojechał za moją córką! - wykrzyknęła rozpaczliwie Catherine. - Ma zielonego chevroleta, a Meg jest w białym mustangu. Znajdźcie ją! Musicie ją znaleźć!

# 57

Dwaj policjanci wyskoczyli z radiowozu, który zatrzymał się z piskiem opon przed obskurnym, piętrowym domkiem w dzielnicy Jackson Heights. Chwilę potem zza zakrętu wypadła pędząca z dużą szybkością karetka.

Policjanci podbiegli do tylnych drzwi, wyważyli je, a następnie pościgili po schodach do piwnicy. Jeden ze stopni urwał się pod ciężarem młodszego z nich, ale policjant zdołał złapać się poręczą i uchronić przed upadkiem. Kiedy dotarli na dół, sierżant potknął się o torbę wypchaną szmatami.

- Nic dziwnego, że coś sobie zrobiła - mruknął. - Gorzej tu niż na polu minowym.

Od strony obszernej wnęki dobiegły ciche jęki. Policjanci znaleźli tam starszą kobietę, leżącą na podłodze obok starego kuchennego stołu, na którym piętrzyły się stosy książek telefonicznych. Przed 40-calowym telewizorem stał wysiedziany fotel, a na stoliku pod ścianą tłoczyły się policyjna radiostacja, maszyna do pisania oraz telefaks.

Młodszy funkcjonariusz przykleknął obok kobiety.

- Wszystko będzie w porządku, pani Heffernan - powiedział łagodnie. - Zaraz zabiorę panią do szpitala.

Matka Berniego jakby go nie słyszała.

- Mój syn nie zrobił nic złego... - szepnęła, po czym zamknęła oczy.

- Dave, spójrz na to!

Młody policjant zerwał się na równe nogi.

- Co jest, sierżancie?

Dowódca patrolu wskazał otwartą książkę telefoniczną dzielnicy Queens z kilkoma nazwiskami zaznaczonymi czerwonym długopisem.

- Nic ci to nie przypomina? Akurat te osoby informowały nas ostatnio o telefonach z pogrózkami.

Na górze rozległy się pospieszne kroki sanitariuszy, więc Dave podbiegł do schodów.

- Uważajcie, bo tu cholernie łatwo skrócić sobie kark! - zawołał. Pięć minut później półprzytomna matka Berniego znalazła się w karetce, natomiast dwaj policjanci zostali w piwnicy.

- Mamy wszelkie powody, żeby się tu trochę rozejrzeć - powiedział sierżant, po czym zaczął wertować papiery leżące na stoliku obok telefaksu. Jego partner wysunął szufladę; pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był bardzo elegancki damski portfel.

- Wygląda na to, że Bernie trochę dorabia sobie na boku - mruknął.

Otworzywszy portfel zamarł w bezruchu, gdyż zobaczył uśmiechniętą twarz Annie Collins; w przegródce z plastikową szybką tkwiło jej prawo jazdy. Jednocześnie sierżant znalazł oryginał faksu.

„Pomyłka - przeczytał na głos. - Annie to pomyłka”.

Dave schylił się po leżący na podłodze telefon i podał go przełożonemu.

- Sierżancie, chyba powinien pan zawiadomić szefa, że znaleźliśmy mordercę Annie Collins.

\*\*\*

Nawet Bernie miał problemy z zachowaniem takiej odległości od wozu Meghan, żeby nie zostać zauważonym, a jednocześnie nie stracić go z oczu. Zobaczył, że biały mustang podąża za elegancką limuzyną, ale już za skrzyżowaniem oba pojazdy nagle zniknęły mu z oczu. Domywolving na MZICS SkleC?y. Więc zana mował, wrzucił wsteczny bieg i postrzegł wąską gruntową drogę, jedy-

LimT eStrZem kilkuS6t mctrów. więc wjechał w nią ostrożnie. zaczął Y k S y obszernej polany. Bernie dotarł na T Samochod y Podskakując i kołysząc się na wybojach, czy] się 2n rUga Stron J po czym TMSzył za nimi. Tym razem las skończyłme prędzej; Bernie gwałtownie wcisnął pedał hamulca,

Było już po czwartej, a

gdyż za jednym z zakrętów ujrzał rozległe, otwarte pole. Mustang i limuzyna zbliżyły się do stojących w sporej odległości od drzew zabudowań. Bernie włączył kamerę, przyłożył ją do oka i ustawił największe zbliżenie; samochody właśnie zniknęły za dużą stodołą.

Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, zastanawiając się, co powinien uczynić. Niedaleko mieszkalnego domu, obok którego wzniesiono stodołę, rosła gęsta kępa młodych sosen; może tam uda mu się ukryć chevroleta? Nie miał innego wyjścia - musiał spróbować.

s  
z  
ą  
c

e nad horyzontem słońce skryło się za szybko gęstniejącymi chmurami. Meg podążyła za Phillipem długą, wyboistą drogą. Przejechali przez las i dużą polanę, potem przez następny, znacznie mniejszy, a kiedy dotarli do rozległego pola, w oddali ujrzała samotny dom i wielką stodołę.

Dlaczego tata ukrył się w tym miejscu? Modliła się w duchu, żeby znalazła właściwe słowa, kiedy wreszcie staną twarzą w twarz. *Byłam cię tatą!* - krzyknęło w niej dziecko, którym jeszcze trochę

Co się z tobą działo, tato? - pytała zbolęła, dorosła kobieta. Dlaczego

polu  
C

Bardzo mi ciebie brakowało. Jak mogę ci pomóc?  
Phillip wjechał między zaniedbane budynki i wyłączył silnik, a po

gost  
40-c  
ścian

~ Gdzie jest tata? - z \*

A

nie. -

fu

tem wysiadł z samochodu, podszedł do mustanga Meghan i otworzył drzwi.

## 58

Kiedy punktualnie o trzeciej Victor Orsini zjawił się w gabinecie Johna Dwyera w Danbury, oprócz prokuratora zastał tam również Arlene Weiss i Boba Marrona. Godzinę później, patrząc na ich pozbawione wyrazu twarze, w dalszym ciągu nie wiedział, czy przywiązują jakąkolwiek wagę do dostarczonych przez niego informacji.

- Powtórzymy wszystko jeszcze raz od początku...
- Powtarzałem to już dziesięć razy! - przerwał Orsini Dwyerowi.
- A ja chętnie pana posłucham po raz jedenasty.

~ Już dobrze, dobrze... A więc, wieczorem dwudziestego ósmego stycznia Edwin Collins zadzwonił do mnie z samochodu. Rozmawialiśmy przez osiem minut, po czym przerwał połączenie, ponieważ właśnie wjeżdżał na most Tappan Zee, a nawierzchnia była bardzo śliska.

- Może wreszcie powie nam pan, o czym rozmawialiście przez tych osiem minut? - wtrąciła się Arlene Weiss.

Akurat tę część historii Victor chętnie pominąłby milczeniem, ale było oczywiste, że nikt mu nie uwierzy, dopóki nie wyjawi całej prawdy.

~ Dwa albo trzy dni wcześniej Edwin dowiedział się, że przekazywałem konkurencyjnej firmie informacje dotyczące naszych klientów ~ Przyznał z ociąganiem. - Wściekł się na mnie i kazał przyjść do biura następnego dnia z samego rana.

~ Potem już pan z nim nie rozmawiał?

~ Dwudziestego dziewiątego stycznia przyszedłem do pracy punktualnie o ósmej. Wiedziałem, że Ed mnie wyrzuci, ale nie chciałem, że > myślał sobie, że ukradłem choć jednego centa. Dał mi do zrozu-

mienia, że gdyby znalazł dowody świadczące o tym, iż chowałem do kieszeni część prowizji, podałby mnie do sądu. Wtedy nie wiedziałem, co miał na myśli, ale teraz jestem prawie pewien, że chodziło mu o Helenę Petrovic. Przymuszczałem wcześniej nic o niej nie wiedział, a kiedy natrafił na dokumenty związane z jej sprawą, doszedł do wniosku, że staram się ją przepchnąć „na lewo”.

- Stwierdził, że ponad wszelką wątpliwość, że prowizja za skierowanie Heleny Petrovic do pracy w Klinice Manninga trafiła na konto firmy - poinformował go Marron.

- Ja też o tym wiem, ale on nie miał o tym pojęcia, bo ktoś celowo włożył potwierdzenie dokonania przelewu do teczeki doktora W...

- W takim razie kto zarekomendował doktorowi Manningowi Helenę Petrovic? - zapytał Dwyer.

- Phillip Carter. To nie mógł być nikt inny. Siedem lat temu, kiedy do kliniki wysłano list polecający ją jako znakomitego specjalistę,

pracowałem w firmie dopiero od miesiąca. O całej aferze dowiedziałem się dwa tygodnie temu, kiedy ta kobieta została zamordowana. Idę o zakład, że Ed też nie miał o niczym pojęcia, bo pod koniec marca, w tym także dwudziestego pierwszego - a taka data widnieje na liście - nie było go w biurze. Domyśliłem się, że coś tu nie gra, jak tylko zobaczyłem w gazecie fotokopię listu z jego podpisem. - Ruchem głowy wskazał kartkę, którą wcześniej wręczył Dwyerowi. - Trzymał ją w ręku pusty papier z nagłówkiem „Szanowni Państwo” oraz podpisem Edwina. Kiedy jeszcze pracowała jego poprzednia sekretarka, do której miał całkowite zaufanie, zostawiał jej sporo takich listów *in blanco*, ze swoim podpisem, żeby w razie potrzeby podyktować jej przez telefon odpowiednią treść. Podpis zawsze znajdował się w tym samym miejscu: w trzydziestym piątym wierszu, a zaczynał się od pięćdziesiątej kolumny. Potem nastąpiła Jackie i Edwin przy mnie podarł te puste listy, gdyż nie był jej stuprocentowo pewny. Pomyślałem sobie jednak, że jeden lub dwa mogły się gdzieś zawieruszyć; szukałem ich w papierach Edwina, ale ten, który pan widzi, znalazłem dopiero w biurku Phillipa Cartera, wcześniej dorobiwszy sobie klucz. Zapewne Phillip zachował go sobie na wszelki wypadek, gdy

by potrzebował jeszcze jakiegoś dokumentu podpisanego przez Edwinę Collinsa.

Możecie mi wierzyć albo nie, ale kiedy dwudziestego dziewiętego stycznia czekałem na Eda w jego gabinecie, odniosłem wrażenie, jakby tam niedawno był, ponieważ zauważyłem otwartą szufladę zawierającą dokumentację klientów od H do O; założyłem się, że szukał w papierach Kliniki Manninga jakiejś wzmianki o Helenie Petrovic.

Zadzwoiła Catherine Collins, zaniepokojona nieobecnością męża. Poprzedniego wieczoru uczestniczyła w zjeździe absolwentów Hartford, a kiedy wróciła do domu, Eda w nim nie było, więc chciała sprawdzić, czy może siedzi już w pracy. Powiedziałem jej, że rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem, kiedy przejeżdżał przez most Tappan Zee - wtedy jeszcze nic nie wiedziałem o wypadku. To ona zaczęła od razu podejrzewać, iż Ed stał się jedną z ofiar katastrofy.

Wydawało mi się to całkiem prawdopodobne - ciągnął Victor. - Ed przecież wspominał o śliskiej nawierzchni, a wypadek zdarzył się niecałą minutę po zakończeniu naszej rozmowy. Natychmiast zadzwoniłem do Phillipa; numer był zajęty, ale ponieważ Phillip mieszka zaledwie dziesięć minut jazdy od biura, wsiadłem do samochodu i pojechałem do niego. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy skoczyć na most i zobaczyć, czy zaczęli już wyciągać z rzeki ciała ofiar.

Phillip był w garażu. Odniosłem wrażenie, jakby właśnie miał zamiar wsiadać do samochodu. Obok stał jego jeep i choć o nic nie pytałem, sam poinformował mnie, że przyprowadził go ze wsi, gdyż zbliża się termin przeglądu. Phillip dojeżdżał na swoją farmę cadillacem, ale po terenie posiadłości poruszał się wyłącznie jeepem. Wtedy nie wzbudziło to moich podejrzeń, ale niedawno przyszło mi do głowy, że jeśli Ed uniknął wypadku na moście, pojechał prosto do biura, znalazł tam coś, co go rozwścieczyło, i od razu wstąpił do Cartera, to właśnie tam, w domu Phillipa Cartera, należałoby szukać rozwiązania zagadki. Phillip mógł wywieźć Eda poza miasto jeepem, a potem ukryć wóz w jakimś zakątku i wrócić do miasta jeepem. Słyszałem od różnych osób, że ma kilka oskich posiadłości.



OrsinumjHrobi  
^Jac na niewzruszone twarze ^"T ^Pomyślas  
\* mi nie uwierzą. \* Swolch s^haczy. To nie no! s

- ~ yaii nam pomógł, panie Orsini - powiedział uprz.  
John Dwyer. - W razie potrzeby odezwiemy się do pana. Dziękuję  
że zechciał pan pofatygować się do nas.  
Jak tylko za Orsinim zamknęły się drzwi, prokurator klepnął d  
nią w biurko i spojrzał na detektywow  
- To by się zadziało, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę najnot  
szy raport z laboratorium.  
W wyniku dokładnych badań na wykładzinie wyściełającej <JcJ  
bagażnika samochodu Edwina Collinsa znaleziono ślady krwi.

D  
- \* - ^ w  
Padła p dz  
PoJicjan  
PfdziJi po  
rem młods:  
nić przed u  
wypchana  
-Nied:  
PoJu minoi  
Od strc  
leżli tam st  
g° stołu, n  
40-calowy  
ścianą tloc:  
lefaks.  
Młods  
~ Wszy  
nie-2ara  
Matka j  
- Mój s  
- Dave,  
Młody  
-Cojei

Zbliżała się czwarta, kiedy Mac wreszcie wyruszył w drogę po-  
wrotną do domu. Rzeźnik, piekarz, sklep ze świecami... Chy-  
ba o niczym nie zapomniał. Był u fryzjera, odebrał pranie i wstą-  
pił do supermarketu. Kto wie, czy pani DiLeo będzie mogła pojechać  
w poniedziałek na zakupy.

Mac znajdował się w znakomitym nastroju. Kyle był zachwycony,  
że może zostać u Meg. Z pewnością ze strony chłopca nie należało się  
spodziewać najmniejszego sprzeciwu, gdyby jego ojcu udało się na  
nowo rozniecić płomyk uczucia, jakim kiedyś - Mac nie miał co do  
tego najmniejszych wątpliwości - darzyła go dziewczyna. Meggie, nie  
masz żadnych szans, pomyślał. Nie uciekniesz przede mną.  
Dzień był chłodny i pochmurny, ale fakt ten w najmniejszym stop-  
niu nie rzutował na dobre samopoczucie Maca. Bez trudu mógł sobie  
przypomnieć wyraz nadziei, jaki pojawił się na twarzy Meghan, kiedy  
udało się uzyskać potwierdzenie zażyłej znajomości, łączącej Helenę Pe-  
trov, c z doktorem Williamsem i kiedy stało się jasne, że Victor Orsi-  
TM mógł maczać palce w sfalszowaniu listu skierowanego do doktora  
anmnga. Pojawiła się szansa na uwolnienie jej ojca od podejrzeń  
N^c 1CZenie w tym skandalu.

Podwóin 1ZmiChifaktU, 1Pz6Z pmwie trz ,dzieści lat Ed prowadził  
^one zT^, Pomyślał Mac Jeśli Jednak jego nazwisko przestanie być  
z Pewnością zTT 0SZUSStWem /okru tym zabójstwem, Catherine i Meg  
Ki edy zj ^ S2ybcieJ Uzyskać równowagę psychiczną.  
raz u wi\_e\_d\_z\_i\_a\_l\_ż\_e H "A Wylonił sie ..Zajazd Drumdoe", Mac od  
- e wydarzyło się coś niedobrego. Przed budynkiem sta-



lo kilka radiowozów, na parkingu właśnie lądował policyjny śmigłowiec, a inny, z emblematami stacji telewizyjnej z New Haven, stał kilkanaście metrów z boku.

Mac zahamował z piskiem opon, wyskoczył z samochodu i popędził do zajazdu, zanim jednak dobiegł do wejścia, drzwi otworzyły się z hukiem i na spotkanie wybiegł mu zapłakany Kyle.

- Tato, Meg wcale nie pojechała robić reportażu! Ten człowiek, który uratował Jake'a, to ten sam, który obserwował ją z lasu. Teraz pojechał za nią swoim samochodem!

Meg! Macowi zakręciło się w głowie; przez chwilę miał wrażenie, że znowu stoi w kostnicy, spoglądając w dół na martwą twarz Annie Collins. Z odrętwienia wyrwał go Kyle, chwytając za ramię.

- Policja wysłała śmigłowce, żeby szukały Meg i tego człowieka w zielonym samochodzie. Pani Collins nic nie mówi, tylko płacze.

-  
p;  
Ta-  
to, nie pozwól, żeby Meg stało się coś złego!

P  
re

ni  
wj  
po  
leż  
go  
40-  
ścić  
lefa

Siedząc Meghan jadącą za cadillakiem Bernie czuł, jak ogarnia go coraz większa wściekłość. Chciał być z nią sam na sam, bez żadnych świadków! Po co przypętał się ten samochód? A jeśli tamten gość będzie próbował się stawiać? Bernie poklepał się po kieszeni i z ulgą wyczuł znajomy przedmiot. Nigdy nie był pewien, czy ma go przy sobie. Wiedział, że nie powinien go nosić i nawet próbował zostawić go w piwnicy, ale kiedy spotkał dziewczynę, która mu się podobała, natychmiast zaczął o niej myśleć, a wtedy z jego głową działy się różne dziwne rzeczy.

nie.  
f  
^  
—

Zostawił samochód za kępą sosenek i z kamerą w ręku ostrożnie podkraślił się do mocno zaniedbanych budynków. Z bliska okazało się, że dom mieszkalny jest znacznie mniejszy niż wydawało się z daleka oraz że między nim a stodołą jest jeszcze niewielka szopa na narzędzia. Bernie niewiele myśląc wcisnął się w wąską przestrzeń między domem a szopą. Było tam bardzo ciasno i walało się mnóstwo rupieci, ale nie mógłby sobie wymarzyć lepszej kryjówki. Instynktownie wyczuł, że podobnie jak pokój w zajezdzie, jest to wyśmienite miejsce na to, by obserwować nie będąc przez nikogo widzianym.

Dotarłszy do końca przejścia zatrzymał się i ostrożnie wysunął głowę.

Meghan i mężczyzna, którego Bernie widział po raz pierwszy w życiu stali przy starej studni jakieś dziesięć metrów od niego. Byli zwrócenieni twarzami do siebie. Berniego oddzielała od nich wielka bryła cadillaca, więc nisko schylony podkraślił się do samochodu i włączył kamerę.

# 60

Phillipie, zanim zobaczymy się z tatą, chciałam ci powiedzieć, że chyba już wiem, dlaczego Helene Petrovic trafiła do Kliniki Manninga.

- Naprawdę?

Gdyby była mniej podekscytowana, może zwróciłaby uwagę na dziwnie obojętny ton, jakim zadał to pytanie.

- Wczoraj w domu Petrovic w Lawrenceville zobaczyłam mnóstwo zdjęć dzieci. Były wśród nich także te, które wcześniej widziałam na ścianach gabinetu doktora Williamsa w Centrum im. Franklina w Filadelfii. A wiesz, dlaczego? Bo te dzieci wcale nie przyszły na świat dzięki zabiegom stosowanym w Klinice Manninga! Przypuszczam, że Helene wykradała stamtąd embriony i dostarczała je doktorowi Williamsowi, a on wykorzystywał je w doświadczeniach przeprowadzanych w Centrum.

Dlaczego Phillip tak mi się przygląda? zaniepokoiła się nagle. Czyżby mi nie wierzył?

Sam pomyśl: Helene przez sześć miesięcy pracowała z nim u Manninga, a wcześniej przez trzy lata była sekretarką w Trenton, gdzie bardzo często odwiedzała laboratorium. Mamy dowody świadczące o tym, że znali się już wtedy.

Phillip jakby się nieco odprężył.

- To chyba rzeczywiście ma ręce i nogi. A więc według ciebie to nie twój ojciec, tylko Victor wysłał do Manninga list z rekomendacjami dla Helene?

- Oczywiście! Tata był wtedy w Scottsdale. Annie miała wypadek,

który o mało nie skończył się dla niej fatalnie. Bez trudu mogę udowodnić, że o niczym nie wiedział.

■ Nie wątpię.

\*\*\*

Phillip Carter zadzwonił do doktora Henry'ego Williamsa w sobotę o 15.15 i zażądał, by natychmiast poproszono go do telefonu, mimo że lekarz właśnie badał pacjentkę. Carter mówił krótko, ale to, co miał do przekazania, zmroziło Williamsowi krew w żyłach.

- Meghan Collins odkryła twoje powiązania z Petrovic - powiedział - choć na razie przypuszcza, że to Orsini sfalszował list do Manninga. Z kolei Orsini też chyba zaczął coś podejrzewać i licho wie, czy nie domyśli się prawdy. Wszystko może jeszcze dobrze się skończyć, ale na wszelki wypadek trzymaj gębę na kłódkę i nie odpowiadaj na żadne pytania.

Henry Williams zdołał jakoś przyjąć wszystkie pacjentki przewidziane na ten dzień. Kiedy wreszcie o wpół do piątej wyszedł z gabinetu, jego sekretarka przyjrzała mu się z niepokojem.

- Pani doktorze, czy mogę panu jakoś pomóc? zapytała. Nikt nie może mi pomóc, pomyślał, ale jakoś zdołał się uśmiechnąć.

- Nie, Ewo. Bardzo ci dziękuję.

- Dobrze pan się czuje? Wygląda pan nie najlepiej.

- Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie.

Za kwadrans piąta, kiedy w ośrodku został już tylko on jeden, wziął do ręki fotografię zmarłej żony i wpatrując się w nią z natężeniem, położył głowę na oparciu fotela.

- Moja kochana Marie... - wyszeptał. - Nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Naprawdę uważałem, że robię coś dobrego. Helene też tak myślała.

Odstawił zdjęcie na biurko, podparł głowę rękami i zapatrzył się przed siebie. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął zapadać zmrok.

Carter oszalał. Trzeba go powstrzymać.

Myśli Williamsa skierowały się ku synowi i córce. Henry junior pracował jako położnik w Seattle, Barbara jako endokrynolog w San

Francisco. Jakie piętno\*...  
e ten skandal na ich karierach, szcze-  
dlugo-...  
golnie jes>dojdzie do d ^ W procesu?  
Prawdaitak wyidzi^.  
ni i  
PrzVMPP w pamieci  
zadawała. Czy podejrz  
az ie  
A do tego ta spraw  
pewność ze to Carter  
jej usta. Cj przyczynił  
to w poni ku, żeby Goj  
ny, korp nie popełnić  
To sai< pytanie odr  
HenryMiliams  
jasmc, aby\* ten sposob  
Kiedvskończwł. wio:  
należała moralna sat  
dzom, b# bez wątpień.  
tyle przezmeo wycierp  
adresowali  
przez killaalogich chwif  
które przyszły na świat  
go gabinetie. W mroku sf  
tły płomybadzjei; moza Jed  
Wreszcie doktor rieri  
wyszedł f swego gabinet  
Zaadresowaną kopert  
zaparkoWsamochód. F  
lins najpełniej we wtorek  
Wtedy nie będzie to f  
dla niego żadnego znaczenia  
Słońce» isiało nisko m  
który gi ziemi pozolkr  
da wyb z domu z t\*  
mniała, zsprzed podróżą

koperty. Osobą, której

Phillip Carter miał na sobie dzinsy oraz ciepłą pikowaną kurtkę. Wepchnął ręce w jej obszerne kieszenie i oparł się o cembrowinę starej studni.

Naprawdę myślisz, że Victor zabił Helenę Petrovic dlatego, że zdecydowała się odejść z kliniki? - zapytał.

- Victor albo doktor Williams, który mógł wpaść w panikę, bo przecież Helenę dużo wiedziała na jego temat. Gdyby pisnęła choć słowo, do końca życia nie wyszedłby z więzienia. Ksiądz z jej parafii powiedział mi, że odniósł wrażenie, jakby borykała się z jakimś poważnym problemem. - Ciałem Meg zaczęły wstrząsać dreszcze. Czy to tylko ten wiatr, czy może także nerwy? - Chyba zaczekam na tatę w samochodzie. Jak myślisz, Phillipie, kiedy go zobaczę?

Już niedługo, Meghan. Prawdę mówiąc, jest bardzo blisko stąd. - Phillip Carter wyjął ręce z kieszeni. W prawej trzymał rewolwer, lewą zaś wskazał studnię. - To policyjne medium miało rację. Twój ojciec leży w wodzie i nie żyje już od wielu miesięcy.

Nie pozwól, żeby Meg stało się coś złego! - powtarzał w myślach Mac, kiedy z synem u boku wchodził do „Zajazdu Drumdoe”. W środku kłębił się tłum policjantów, dziennikarzy i reporterów. Pracownicy i goście tłoczyli się przy wejściach do restauracji i baru, natomiast na kanapie w głównym holu leżała Catherine. Twarz miała szarą jak popiół; obok niej siedziała Virginia Murphy. Kiedy zobaczyła Maca, wyciągnęła rękę i z zadziwiającą siłą zacisnęła palce na jego ramieniu. - Mac, Victor Orsini opowiedział o wszystkim policji. To robota Phillipa. Wyobrazasz sobie? A ja tak mu ufałam! To chyba on dzwonił do Meg, podając się za Edwina. Ten człowiek, który ją szpieguje, to niebezpieczny szaleniec, który już wielokrotnie napastował kobiety. Właśnie na niego natknął się Kyle podczas Halloween. Nie wiemy, dokąd pojechała Meghan. Tak się boję, że nie jestem w stanie zebrać myśli. Nie mogę jej stracić, Mac! Nie zniósłabym tego. Do holu wbiegła Arlene Weiss.

ani Collins, załoga jednego ze śmigłowców zlokalizowała zielony samochód na starej farmie w pobliżu West Redding. Na wszelki

obaczenia

wypadek kazaliśmy im trzymać się z daleka. Dotrzemy na dalej za dziesięć minut.

Mac uściśnął mocno Catherine i obdarzył ją pokrzepiającą przynajmniej miał nadzieję - uśmiechem.

- Znajdę Meg - obiecał. - Nic jej nie będzie.

Wybiegł przed zajazd. Reporter i kamerzysta ze stacji w weni pędzili właśnie co sił do śmigłowca. Mac dogonił ich kilk sami i wskoczył za nimi do maszyny.

- Zabieraj się pan stąd! - wrzasnął reporter, przekrzykuje, wirnika.

- Jestem lekarzem! - odkrzyknął Mac. - Mogę się przydat!

- Dobra, zamykaj drzwi! - ryknął reporter do pilota. to gówno naprawdę potrafi latać!

Meghan wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy.

- Phillipie, ja... ja nic z tego nie rozumiem! - wyrzuciła. ciec... Mój ojciec jest w tej studni?

Bezwiednie zrobiła trzy kroki naprzód i oparła ręce na nienk zimnym brzegu cembrowiny. Nie pamiętała w tej chwili ani ow werze, z którego mierzył do niej Phillip, ani o przenikliwym «j» Z narastającym przerażeniem wpatrywała się w czarny otwór

- Nie zobaczysz go, Meg. Co prawda wody nie jest dużo, ale raz, żeby zakryć ciało. Był już martwy, kiedy go tam wrzuciłem: może to być dla ciebie jakimś pocieszeniem. Zastrzeliłem go tej nocy, kiedy wydarzył się wypadek na moście.

Meg odwróciła się gwałtownie.

- Jak mogłeś to zrobić? Przecież był twoim przyjacielem, kiem... Jak mogłeś zabić Helenę i Annie?

- Pochlebiasz mi, ale mylisz się. Nie miałem nic wspaw śmiercią Annie.

- Mnie też chciałeś zabić. Nadałeś faks z informacją, że śmiej nie to pomyłka.

Meg rozglądała się w panice dokoła. Może zdąży dobiec do chodu? Nie, zastrzelili ją, zanim zrobi dwa kroki.

- To ty powiedziałaś mi o tym fakcie. Nie mogłem oczekiwać niczego lepszego. Chciałem, by ludzie wierzyli, że Ed żyje, a ty dostarczyłaś mi wspaniałego dowodu.

- Co zrobiłeś mojemu ojcu?

- Wkrótce po wypadku Ed zadzwonił do mnie z biura. Był w szoku. Powiedział, że niewiele brakowało, a zginąłby na moście. Poinformował mnie o podwójnej grze Orsiniego. Powtórzył też swoją rozmowę z Manningiem, od którego dowiedział się, że nasza firma ulokowała w klinice jakąś specjalistkę od embriologii nazwiskiem Petrovic, o której słyszał po raz pierwszy w życiu. Przyjechał od razu do biura, żeby to sprawdzić, ale w teczce Kliniki Manninga nie znalazł o niej żadnej wzmianki. Naturalnie to także zwałił na Orsiniego.

Meg, spróbuj mnie zrozumieć. Gdybym wówczas nie zareagował, wszystko wyszłoby na jaw. Poprosiłem, żeby zajrzał do mnie, żebyśmy mogli wspólnie przygotować się do rozmowy z Orsinim, ale jak tylko przestąpił próg mojego domu, zaczął obrzucać mnie oskarżeniami. Wystarczyło mu dziesięć minut, żeby skojarzyć fakty. Twój ojciec był bardzo inteligentnym człowiekiem. Nie pozostawił mi wyboru. Musiałem to zrobić.

Mój Boże, jak tu zimno, przemknęło Meghan przez głowę.

- Przez pewien czas wydawało się, że wszystko będzie w porządku - ciągnął Phillip. - Potem jednak Helenę zrezygnowała z pracy, mówiąc na odchodnym Manningowi, że popełniła błąd, który może stać się przyczyną wielu kłopotów. Chyba sama rozumiesz, że nie mogłem pozwolić, by wszystko wygadała. Opowiedziałaś mi o tej zamordowanej dziewczynie podobnej do ciebie i o zagadkowym fakcie. Od dawna wiedziałem, że twój ojciec ma kogoś na zachodnim wybrzeżu, więc domyśliłem się, że to była jego córka. Wtedy właśnie postanowiłem go wskrzesić.

- Nawet jeśli rzeczywiście nie nadałeś tego faksu, to zadzwoniłeś do nas w nocy, o mało nie zabijając mojej matki. Potem przysłałeś jej różę i siedziałeś obok niej, kiedy czytała załączony list... Jak mogłeś być dla niej tak okrutny?

Ksiądz Radzin powiedział mi wczoraj, że każde ludzkie działanie ma swoją przyczynę, pomyślała.

- W wyniku rozwodu straciłem mnóstwo pieniędzy. Kiedy tylko się dało inwestowałem w nieruchomości, których musiałem się pozbyć. Mam za sobą dzieciństwo przeżyte w nędzy: razem z rodzicami i dziewięciorgiem rodzeństwa mieszkaliśmy w trzech małych pokojach. Nie chcę już nigdy w życiu zaznać biedy. Razem z Williamem wymyśliłem sposób, żeby nikomu nie czyniąc krzywdy zarobić trochę pieniędzy. Helenę też dostawała swoją działkę.

- Mówisz o wykradaniu embrionów z Kliniki Manninga i dostarczaniu ich do Centrum Franklina?

- Nie jesteś tak sprytna, jak myślałem. Chodzi o coś znacznie większego.

Podniósł rewolwer i wycelował w jej serce. Meghan wpatrywała się w jego palec, zaciskający się coraz mocniej na spuście.

- Tydzień temu wyprowadziłem ze stodoły samochód Edwina, więc teraz jest tam miejsce na twój. A ty, moja droga, dołączysz do tatusia.

W rozpaczliwym odruchu Meg rzuciła się na ziemię i przetoczyła w prawo. Pierwszy pocisk przeleciał nad jej głową, drugi trafił w ramię.

Zanim Phillip zdążył wystrzelić po raz trzeci, nie wiadomo skąd pojawiła się postać z nożem w ręce. Poruszała się tak szybko, że zanim Carter zdążył skierować broń w jej stronę, szerokie ostrze rozorało mu gardło.

Meghan dopiero teraz poczuła okropny ból w ramieniu, a zaraz potem odniosła wrażenie, że spada w bezdenną przepaść.

# 61

Odzyskawszy przytomność stwierdziła, że leży na ziemi, a głowę opartą ma na czyichś kolanach. Kiedy z trudem otworzyła oczy, ujrzała nad sobą anielsko uśmiechniętą twarz Berniego, w chwilę potem zaś poczuła jego pocałunki na ustach, oczach i czole.

Gdzieś z bardzo daleka dobiegł przytłumiony, mechaniczny łoskot. Śmigłowiec? Samolot?

- Jestem szczęśliwy, że zdążyłem cię uratować, Meghan. Chyba nie ma nic złego w tym, że użyło się noża, żeby uratować komuś życie? - zapytał Bernie. - Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy. Nie chciałem, żeby Annie umarła tamtej nocy. To była pomyłka. - Umilkł, a po chwili powtórzył z tym samym, niewinnym uśmiechem na twarzy: - Annie to pomyłka.

\*\*\*

Mac przysłuchiwał się wymianie zdań między załogami śmigłowców a policjantami w radiowozach. Nagle z całą siłą uświadomił sobie, że Meg jest zdana na łaskę i niełaskę dwóch morderców: szaleńca, który podglądał ją z lasu i Phillipa Cartera.

Cartera, który najpierw oszukał i zamordował swego współnika, potem zaś odgrywał rolę przyjaciela Catherine i Meghan, by znać na bieżąco rezultaty prowadzonych przez nią poszukiwań.

Meghan. Meghan!

Śmigłowce zaczęły obniżać lot. Mac na próżno jednak wyteżał wzrok. Za kwadrans zrobi się zupełnie ciemno; w jaki sposób zdołają wówczas zapobiec nieszczęściu?



- Jesteśmy na granicy West Redding - powiedział przez ramię pilot. - To już naprawdę niedaleko.

\*\*\*

To wariat, przemknęło Meg przez głowę. Bernie, ten zawsze uśmiechnięty parkingowy, który często opowiadał jej o swojej matce. Skąd się tu wziął? Dlaczego ją śledził? Mój Boże, przed chwilą powiedział, że zamordował Annie!

Spróbowała usiąść.

- Nie chcesz, żebym cię trzymał, Meg? Przecież nie zrobię ci nic złego.

- Oczywiście, wiem o tym. - Musiała postępować bardzo ostrożnie, żeby go nie zdenerwować. - Tylko ta ziemia jest taka zimna.!

- Wybacz mi, powinienem być o tym pomyśleć. Pomogę ci.

Objął ją niezgrabnie ramieniem i dźwignął z ziemi. Nogi od razu ugięły się pod nią, ale nie upadła. Bernie trzymał ją mocno, uciskając ranę po kuli. Ból był potworny, lecz bała się mu o tym powiedzieć.

- Bernie, czy mógłbyś... - Nie, nie da rady. Jeszcze chwila, a znowu straci przytomność. - Moje ramię... Okropnie boli.

Na ziemi leżał nóż, którym Bernie zabił Phillipa. Czy to samo ostrza pozabawiło życia Annie? Rewolwer wciąż jeszcze tkwił w zaciśniętej ręce Cartera.

- Wybacz mi. Jeśli chcesz, wezmę cię na ręce... - Czują jego oddech we włosach. - Ale... Czy możesz tak postać choć przez chwilę? Chcę cię sfilmować. Mam kamerę.

Ma kamerę... Oczywiście. To on był tym człowiekiem, który mało co w lesie nie udusił Kyle'a. Oparła się o cembrowinę, a Bernie najpierw skierował obiektyw w jej stronę, potem zaś cofnął się o krok i sfilmował nieruchome ciało Phillipa, Wreszcie odłożył kamerę i podszedł do dziewczyny.

- Meghan, jestem bohaterem! - stwierdził z dumą. Jego oczy błyszczały w gęstniejącym mroku.

- Oczywiście.

- Uratowałem ci życie.

- To prawda.

- Ale oni zabronili mi nosić przy sobie broń, a nóż to też broń. Znowu zamkną mnie w szpitalu albo w więzieniu. Nie chcę tam wracać.

- Porozmawiam z nimi.

- To nic nie da, Meghan. Właśnie dlatego musiałem zabić Annie. Zaczęła krzyczeć, choć ja tylko podszedłem do niej i powiedziałem: „To niebezpieczna okolica. Zaopiekuję się tobą”.

- Tak powiedziałeś?

- Tak, Meg. Myślałem, że to ty. Ty nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym się tobą zaopiekował, prawda?

- Oczywiście.

- Nie zdążyłem jej niczego wyjaśnić, bo zobaczyłem, że nadjeżdża radiowóz. Nie chciałem zrobić jej krzywdy. Nawet nie wiedziałem, że mam przy sobie nóż. Czasem zupełnie o nim zapominam.

- Całe szczęście, że miałeś go dzisiaj. - Samochód, pomyślała Meghan. W stacyjce są kluczyki. To moja jedyna szansa. - Chyba powinienś go stąd zabrać, żeby nie znalazła go policja.

Spojrzał za siebie na ziemię.

- Masz rację. Dziękuję ci, Meghan.

- I nie zapomnij o kamerze.

Wiedziała, że musi działać błyskawicznie, gdyż w przeciwnym razie Bernie dogoni ją, zanim uda jej się dotrzeć do samochodu. Teraz będzie miał w ręku nóż. Kiedy odwrócił się i ruszył w kierunku ciała Phillipa, dziewczyna co sił w nogach pobiegła do samochodu, szarpnęła za klamkę, otworzyła drzwi i wskoczyła do środka.

- Co ty robisz?! - wrzasnął Bernie.

Dwoma susami znalazł się przy mustangu, ale ona zdążyła już zablokować drzwi. Chwycił za klamkę, a w tej samej chwili Meghan nacisnęła pedał gazu i ruszyła. Spod tylnych kół strzeliły fontanny ziemi zmieszanej z trawą. Bernie przez jakiś czas biegł obok samochodu, krzycząc przeraźliwie, ale wreszcie musiał dać za wygraną. Półprzytomna z bólu i strachu Meghan skręciła w drogę prowadzącą ku ścianie lasu. Mimo iż cały czas cisnęła gaz do oporu, dzieliła ją od drzew jeszcze spora odległość, kiedy we wstecznym lusterku zobaczyła, jak zza kępy sosen wyskakuje ciemny samochód i rusza w pogoń.



###

Lecieli nad lasem, poprzedzani przez policyjny śmigłowiec. Wszyscy wyteżali wzrok w szybko zapadającej ciemności.

- Jest farma! - krzyknął nagle pilot.

Mac nigdy nie zdołał stwierdzić, co sprawiło, że spojrzał w przeciwną stronę.

- Zawracaj! - ryknął. - Natychmiast zagrcaj!

Na rozległą polanę wyprysnął z lasu biały mustang Meghan, a tuż za nim zielony chevrolet. Chwilę później ścigający samochód zrównał się z uciekającym i zaczął spychać go z drogi.

- Ląduj! - polecił Mac pilotowi. - To Meg! Ten wariat ją zabije!

###

Meghan miała szybszy wóz, ale Bernie był lepszym kierowcą. Dogonił ją jeszcze w lesie, a teraz, na polanie, zrównał się z nią i zaczął uderzać prawym przednim błotnikiem w jej drzwi. Szarpana gwałtownymi wstrząsami Meghan zacisnęła kurczowo ręce na kierownicy; po kolejnym uderzeniu, silniejszym od poprzednich, w twarz wystrzeliła jej poduszka powietrzna. Mimo to nie zmniejszyła prędkości. Bernie ponowił atak, biały mustang wpadł w poślizg, uderzył kołami w jakąś przeszkodę i kilkakrotnie przekoziółkował. Dziewczyna poczuła, jak wgniecione drzwi uderzają ją w zranione ramię, powodując paroksyzm bólu; samochód znieruchomiał na boku, a chwilę później spod pogiętej maski wystrzeliły płomienie.

Berniego zafascynował widok płonącego samochodu, ale do jego uszu dotarło szybko narastające wycie syren i łoskot wirników śmigłowców. Musiał uciekać, i to prędko.

„Obawiam się, że któregoś dnia zrobisz komuś krzywdę”. Tak powiedział mu więzienny psychiatra. Jeśli jednak wróci do matki, ona na pewno się nim zaopiekuje. Poszuka sobie nowej pracy, a wieczory będzie spędzał w jej towarzystwie, oglądając telewizję. Od tej pory będzie tylko straszył kobiety przez telefon. Kfikt się o tym nie dowie.

Rysy twarzy Meghan już zaczęły zacierać się w jego pamięci. Wkrótce zapomni o niej, tak samo jak zapomni o wszystkich kobietach,

które mu się podobały. Nigdy nie zrobiłem nikomu krzywdy i nie chciałem zabić Annie, powtarzał w myślach, jadąc szybko przez mroczny las. Może mi uwierzą, jeśli mnie złapią.

Wkrótce dotarł do szosy, ale kiedy już miał skrócić w kierunku autostrady, oślepił go blask reflektorów, a w jego uszy uderzył wzmożony, rozkazujący głos:

- Tu policja. Wychodź z samochodu z rękami nad głową.

Z oczu Berniego popłynęły łzy.

- Mamo... Mamo... - powtarzał żałośnie, kiedy posłusznie otworzył drzwi i podniósł wysoko ręce.

\*\*\*

Meg rozpaczliwie szukała przycisku zwalniającego pas bezpieczeństwa, ale bez skutku. Była zupełnie zdezorientowana.

Przez otwory wentylacyjne do wnętrza samochodu zaczął przedostawać się dym. Mój Boże, jestem w pułapce! - przemknęła jej rozpaczliwa myśl. Drzwi też były zablokowane.

Poczuła na twarzy podmuch gorącego powietrza. Chciała krzyknąć, ale płuca wypełnił jej dym i nie zdołała wydobyć głosu.

\*#\*

Mac biegł pierwszy, za nim pilot, dalej kamerzysta i reporter. Kiedy dotarli do samochodu, ogień sięgał im do twarzy. W środku na tle płomieni wyraźnie widzieli Meghan, usiłującą wydostać się z kabiny.

- Musimy wyciągnąć ją przez drzwi pasażera! - zawołał Mac.

Jak na komendę natarli na gorący dach mustanga i zaczęli kołysać płonącym samochodem.

- Teraz!

Pchnęli z całej siły, nie zważając na to, że rozgrzany metal boleśnie parzy im ręce. Wóz przechylił się, i z łoskotem opadł na cztery koła.

\*\*\*

Temperatura rosła z każdą chwilą. Jak we śnie Meg zobaczyła po drugiej stronie szyby przerażoną twarz Maca; ostatkiem sił odblokowała drzwi, po czym straciła przytomność.

# 62

Śmigłowiec wylądował na dachu szpitala w Danbury. Poparzona i obolała Meghan poczuła, jak jacyś ludzie zabierają ją z objęć Maca i układają na noszach.

Nosze. Szpital. Martwa Annie na noszach. Nie, pomyślała z rosnącym przerażeniem. Proszę, nie.

-Mac...

- Jestem przy tobie, Meggie.

Jaskrawe światło. Sala operacyjna. Dotyk maski na twarzy. Tej samej maski, którą w Szpitalu Roosevelta zdjęto z twarzy Annie.

-Mac!

Dotyk jego ręki.

-Jestem tutaj, kochanie.

Zaraz po przebudzeniu Meghan ujrzała nad sobą twarz pielęgniarki, a w chwilę potem poczuła, że ramię ma ciasno spowite bandażem.

- Wszystko będzie w porządku.

Przewieziono ją do pokoju, gdzie czekali Mac, Kyle i Catherine. Spojrzała matce w oczy. Były zdumiewająco spokojne.

- Odnaleźli ciało taty.

Mac objął Catherine opiekuńczym gestem. Miał zabandażowane ręce. Mac, jej opoka, jej miłość.

Zapłakana twarz Kyle'a.

- Jeśli chcesz, to możesz mnie całować nawet przy ludziach.

W niedzielę wieczorem na przedmieściu Pittsburgha odnaleziono ciało doktora Henry'ego Williamsa. To właśnie w tej okolicy mieszkał jako dziecko; tutaj też poznał później swoją żonę. Siedział za kierownicą samochodu. Zażył potężną dawkę środków nasennych. Na fotelu obok leżały listy do syna i córki, w których prosił dzieci o wybaczenie i zapewniał o swojej miłości.

\*\*\*

Meghan wyszła ze szpitala w poniedziałek rano. Co prawda miała rękę na temblaku i była potwornie poobijana, ale poza tym jej stan nie budził zastrzeżeń lekarzy.

Natychmiast po powrocie do domu poszła na górę, by przebrać się w ulubioną piżamę i szlafrok. Rozpiąwszy pierwszy guzik zawahała się, po czym podeszła do okna i opuściła żaluzje. Mam nadzieję, że kiedyś mi to minie, pomyślała.

Kiedy zeszła na dół, Catherine właśnie odkładała słuchawkę.

- Powiedziałam agentowi, że rezygnuję ze sprzedaży zajazdu - poinformowała córkę. - Teraz, kiedy mamy świadectwo zgonu, bank odblokuje wspólne konto moje i Edwina, a firma ubezpieczeniowa wypłaci pieniądze z polisy, zarówno tej prywatnej, jak i służbowej. To ogromna suma, Meg.

Meghan ucałowała matkę.

- Cieszę się, że udało ci się ocalić „Drumdoe”. Wątpię, czy potrafiłabyś pogodzić się z jego stratą. - Przy kawie przeglądała poranne gazety. W szpitalu zdążyła obejrzyć pierwsze wiadomości, w których poinformowano o samobójstwie Williamsa. - Przekopują się przez dokumentację w Centrum Franklina, żeby ustalić, komu wszczepiono embriony wykradzione przez Helenę Petrovic.

- Współczuję tym nieszczęśnikom, którzy teraz zastanawiają się, czy ich embriony nie trafiły do zupełnie obcych ludzi - powiedziała Catherine. - Nie wyobrażam sobie, jak można dokonać takiej zbrodni wyłącznie dla pieniędzy!

- Najwyraźniej można. Phillip powiedział mi, że nie chodziło mu

o nic innego. Kiedy jednak zapytałam go, czy Petrovic kradł embryo po to, by doktor Williams mógł prowadzić swoje doświadczenia, odparł, że nie jestem taka sprytna jak myślał, i że w rzeczywistości chodziło o coś znacznie większego. Oby tylko dało się ustalić, o co! — Zamoczyła usta w kawie. - Co mógł mieć na myśli? I co stało się ze Stephanie Petrovic? Czyżby Phillip zabił także tę biedną dziewczynę? Przecież lada dzień miała urodzić dziecko!

Wieczorem przyszedł Mac.

- Pogrzeb taty odbędzie się pojutrze - poinformowała go Meghan. Właściwie powinnam zawiadomić Frances Grolier i powiedzieć jej, co się z nim naprawdę stało, ale wyznam ci szczerze, że jakoś nie mogę się zdobyć na to, żeby do niej zadzwonić.

Objął ją delikatnie, dokładnie tak, jak zawsze o tym marzyła.

- Pozwolisz, że ja się tym zajmę?

Kiedy zbierał się do odejścia, dała upust bezsilnemu żalowi:

- Najgorsze jest to, że wciąż jeszcze nie znamy całej prawdy! Tylko doktor Williams mógł nam wyjaśnić, co miał na myśli Phillip.

We wtorek o dziewiątej rano zadzwonił Tom Weicker. Tym razem nie zadał żartobliwego pytania, od którego zaczął rozmowę poprzedniego dnia: „Gotowa do pracy, Meg?” Nie zapytał także, jak się czuje, tylko od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Meg, chyba uda nam się dokonać przełomu.

- O czym mówisz, Tom?

- Przyszedł list zaadresowany do ciebie, z dopiskiem „Do rąk własnych”. Nadawcą jest doktor Williams.

- Williams? Natychmiast otwórz i przeczytaj!

- Jesteś pewna?

- Prędko, otwieraj!

W słuchawce zapadła cisza. Meg wyobraziła sobie Toma, jak rozcina kopertę i wyjmuje jej zawartość.

- I co?

- To spowiedź Williamsa.

- No więc, na co czekasz? Czytaj, bo umrę z ciekawości!

- Mam lepszy pomysł. Przewiozłaś tam z Nowego Jorku ten faks, który wzięłaś z biura? Jeśli tak, to podaj mi jeszcze raz numer. Przeczytamy to razem.

Meghan spełniła jego życzenie, po czym najprędzej jak mogła zeszła na dół, do gabinetu ojca. Będąc jeszcze za drzwiami usłyszała popiskiwanie urządzenia. Kiedy wpadła do pokoju, ze szczeliny właśnie zaczęła wylaniać się kopia pierwszej strony wyznania doktora Williamsa.

W sumie liczyło pięć stron. Meghan przeczytała je raz, potem drugi i trzeci. Dopiero po dłuższym czasie ochłonęła na tyle, by skoncentrować uwagę na najważniejszych fragmentach.

Zadzwonił telefon.

- I co o tym myślisz? - zapytał Tom Weicker.

- Wszystko tu jest! Potrzebował pieniędzy, ponieważ miał do zapłacenia rachunki za długotrwałe leczenie żony. Petrovic była osobą o wrodzonych uzdolnieniach, która powinna zostać lekarzem. Traktowała zamrożone embryo jak małe istoty, mogące nadać sens życiu bezdzietnych par, natomiast Williams uważał je za towar, za który ludzie są gotowi zapłacić wielkie pieniądze. Dogadał się z Carterem, a ten chętnie umieścił Petrovic w Klinice Manninga, pisząc list na papierze z podpisem ojca.

- Nie brakowało im rozmachu - stwierdził Weicker. - Wyszukali duży, położony w ustronnym miejscu dom, gdzie umieszczali nielegalne emigrantki, które za dziesięć tysięcy dolarów oraz fałszywą zieloną kartę zgadzały się spełnić rolę matek-nosicieli. Całkiem niedrogo, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Williams i Carter brali później za każde dziecko minimum sto tysięcy dolarów. W ciągu sześciu lat udało im się sprzedać ponad dwie setki dzieci. Snuli plany założenia komunalnych ośrodków...

- Kiedy niespodziewanie Helenę postanowiła się wycofać twierząc, że popełniła poważny błąd, który wkrótce wyjdzie na jaw - wpadła w słowo Meghan. - Doktor Manning natychmiast zawiadomił doktora Williamsa, gdyż ufał mu i musiał podzielić się wstrząsającą wiadomością. Przeraziła go perspektywa skandalu i reputacji. Powiedział Williamsowi, że Petrovic jest niemal

pewna, iż uśmierciła embrion, z którego miał się rozwinąć bliźniaczy brat Jonathana Andersona.

Williams zaalarmował z kolei Cartera, a ten wpadł w panikę. Miał klucz od mieszkania Helenę w Connecticut - wcale nie dlatego, żeby łączyła ich jakaś romantyczna historia. Po prostu czasem musiał zaglądać tam podczas jej nieobecności, żeby zabrać embriony, które poprzedniego dnia przywiozła z kliniki.

- Tak właśnie było - potwierdził Weicker. - Carter wpadł w panikę i zastrzelił ją. Meg, doktor Williams podał ci adres tego domu, w którym trzymają ciężarne dziewczyny. Musimy zawiadomić władze, ale naturalnie będziemy przy tym, jak się tam zjawią. Interesuje cię ta robota?

- Oczywiście! Tom, mógłbyś przysłać po mnie śmigłowiec? Najlepiej jeden z tych największych. Aha, nie zwróciłeś uwagi na jedno: to właśnie do Williamsa zwróciła się z prośbą o pomoc Stephanie Petrovic, ponieważ to on wszczepił jej zapłodnioną komórkę jajową. Jeżeli można o nim powiedzieć coś dobrego, to na pewno to, że Stephanie zawdzięcza mu życie. Gdyby wspomniał o niej Phillipowi, z pewnością byłaby już martwa.

Tom obiecał, że śmigłowiec wyląduje przy „Zajeździe Drumdoe” najdalej za godzinę. Zaraz po rozmowie z szefem Meghan wykonała jeszcze dwa telefony. Pierwszy do Maca.

- Możesz urwać się z pracy? Chciałabym, żebyś był przy tym ze mną.

Drugą, również bardzo krótką rozmowę, przeprowadziła z pewną kobietą, która niedawno po raz drugi została matką.

- Czy może pani wpaść do mnie najdalej za godzinę? I proszę zabrać ze sobą męża.

Dom, który doktor Williams opisał w swoim liście, znajdował się sześćdziesiąt kilometrów od Filadelfii. Kiedy śmigłowiec wiozący Meghan, Maca oraz państwa Andersonów wylądował na trawniku, czekał już na nich Tom Weicker z ekipą Kanału 3. W pobliżu stało kilka służbowych limuzyn oraz policyjnych radiowozów.

- Uzgodniłem, że wejdziemy do budynku razem z nimi - poinformował Tom dziewczynę.

■...- Dlaczego przywiozłaś nas tutaj? - zapytała Dina Anderson.

- Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała na pewno - odparła dziewczyna. Przecucie podpowiadało jej, że raczej się nie myli. Przecież w swoim wyznaniu doktor Williams napisał: „Kiedy Helenę przyprowadziła swoją siostrzenicę i poprosiła, żebym wszczepił jej jeden z embrionów, nie miałem pojęcia, że w przyszłości zamierzała sama wychowywać dziecko”.

\*\*\*

Wszystkie kobiety były w ciąży; jedne w mniej, inne w bardziej zaawansowanej. Kiedy do budynku wkroczyli przedstawiciele władz, na twarzach dziewcząt pojawiło się przerażenie.

- Proszę, nie odsyłajcie mnie do domu! - błagała jedna z nich. - Przecież obiecali mi, że będę mogła zostać!

- Matki-nosicielki... - wyszeptał wstrząśnięty Mac, po czym zapytał Meghan: - Czy Williams wiedział przynajmniej, czyje dziecko ma urodzić każda z nich?

- Napisał tylko tyle, że wszystkie embriony pochodziły z Kliniki Manninga. Helenę Petrovic przyjeżdżała tu bardzo często, aby upewnić się, czy dziewczętom niczego nie brakuje. Zależało jej na tym, by wszystkie embriony otrzymały szansę rozwoju i przyjścia na świat.

Wśród młodych kobiet nie było Stephanie Petrovic.

- Jest w szpitalu - poinformowała ich zdenerwowana, zapłakana Pielęgniarka. - W nocy chwyciły ją bóle porodowe.

\*\*\*

- Dlaczego tu jesteśmy? - zapytała ponownie Dina Anderson go-  
Zine  
i Wro-  
później, kiedy Meghan przebrała się po wyjściu z sali porodowej  
ciła do poczekalni szpitala.

- Za chwilę zobaczymy dziecko Stephanie - poinformowała zanie-  
pokojoną kobietę. - Miała je urodzić dla Heleny. Na tym polegała ich  
umowa.

Mac odciągnął Meghan na stronę.

- Czy to będzie to, o czym myślałem? - zapytał cicho.